

Adrianna Trzepiota

# ZWILCZONA

O kobiecej intuicji,  
mazurskiej magii i ogromnej miłości



To opowieść o kobiecich zmysłach, przemyślna wpięciem  
mitu i legend, siłka od magii. Dotyka także kłopotów  
których się jeszcze bardziej w niedostatku codzienności.

Katarzyna Eneflich



Adrianna Trzepiota

Zwiltzona Tom 1

Zwiltzona. O Kobiecej Intuicli, Mazurskiej Magii i Ogromnej Miłości

*Demon dzisiejszej cywilizacji złamał równowagę w człowieku,*

*Między jego rozumem a wolą, między nauką a sumieniem (...)*

**Rabindranath Tagore**

*– Moim zadaniem jest ją odbudować.*

Zośka, Jaśmina i Lena. Każda z nas jest inna, a jednak nasze marzenia krążą nieustannie wokół tego samego: bezpieczeństwa, miłości, szczęścia i rodziny. Chyba każdy tego pragnie, bez względu na rasę, płeć, wyznanie...

Wszystkie pochodzimy ze Szczytna, malowniczego miasteczka na Mazurach. Zośka wyjechała do Warszawy zaraz po studiach. Zawsze powtarzała, że nie będzie tu mieszkać, bo

w stolicy jest więcej możliwości, no i oczywiście pieniędzy, choć te bynajmniej nie leżą na ulicy.

Była największą feministką spośród nas i, jak to w życiu bywa, najwcześniej zaszła w ciążę. Teraz ma trzydzieści cztery lata – tyle samo co ja i Lena – męża i dwoje dzieci. Pracuje

w firmie doradczo-szkoleniowej i jest odnoszącą sukcesy, prawdziwą bizneswoman.

Lena to artystka. Jest naszym spoiwem. Napędza pozytywnymi myślami i chęcią do życia. Jej ciemne włosy zawsze lśnią, doklejone rzęsy otulają czarne oczy, a wybielone zęby przypominają, że nieustannie trzeba o siebie dbać. Wystarczy, że na nią spojrzę, zobaczę jej uśmiech, pastelowe kolory jej obrazów, i już wiem, że muszę wziąć życie za rogi i ciągle biec do przodu, robić swoje, a co ma być, to i tak będzie. Lena mieszka w Janowie Podlaskim.

Wyprowadziła się tam, bo jak powiedziała: „...w janowskich puszczech mieszkają słowiańskie biesy. Tam mieszka moja »wilczyca«, tam jest mój dom, mój świat, tam są deski, na których maluję, moje pola, tam jestem... Dzika wilczyca to moje drugie oblicze”. Pierwszy raz pojechała do Janowa tuż po uzyskaniu dyplomu warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Została

zaproszona na plener malarski i... już nie wróciła. Zanim jej obrazy zaczęły się sprzedawać jak świeże bułeczki, dorabiała jako pracownica janowskiej galerii sztuki. Właśnie taka jest Lena.

Żyje samotnie, niczym pustelnica, z farbami, sztalugami. Maluje na poddaszu swego domu i co jakiś czas daje nam do zrozumienia, że kobiecość i wrażliwość na sztukę są naszymi największymi atutami. Kiedy nie mam sił, jadę do niej.

Odbudowuję wtedy swój wewnętrzny świat.

Jaki jest mój świat? I prosty, i niekiedy tak skomplikowany, że sama nie wiem, co mam z nim zrobić. Zostałam w Szczytnie, uczę języka polskiego. Lubię swoją pracę, a przede wszystkim Kocham swoich uczniów – dorastającą, licealną młodzież. Są naiwni, utalentowani, spragnieni świata, dopiero zaczynają poznawać siebie.

Imię Jaśmina odziedziczyłam po babci. Dowiedziałam się o tym z przypadkowo znalezionej listy. Kiedy miałam piętnaście lat, pojechałam z rodzicami do wsi Wałpusz, w której mieszkała nasza antenatka. Świętowaliśmy Boże Narodzenie. Znudzona kolędowaniem, postanowiłam przełamać strach i wejść na zaczarowany i zakazany strych. Zawsze interesowało mnie, co tam się znajduje. Wymknęłam się niepostrzeżenie z pokoju i stąpając cichutko po drewnianych schodach, wkroczyłam na ostatnią kondygnację domu. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam sterty zakurzonych ubrań, papierów, zabawek. W samym rogu pomieszczenia stał przepiękny dębowy kredens. Zapaliłam światło, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Oświetlenie było słabe. Żarówka, która wisiała tuż pod sklepieniem, miganiem dawała znać, że zaraz dokończy

swego żywota, jednak wiedzioną jakimś przeczuciem, szłam dalej.

Dotykając kredensu, miałam wrażenie, jakbym obcowała z innym światem. Widniejący na nim kurz nie pozwalał całkowicie odkryć jego piękna. Odsunęłam szufladę. Była w niej sterta pożółkłych listów i pocztówek. Wzięłam niewielki stos kartek i powoli zaczęłam czytać:

*Jaśmino, proszę, pamiętaj o naszej przysiędze!*

*Nie po to ją składałyśmy, żeby po tych sześćdziesięciu latach milczenia wszystko poszło w niepamięć! Musi się udać! Tylko nadal zbieraj zioła i wybieraj te najlepsze. Wierzę w jej moc!*

*Ty też musisz. Nie po to składałyśmy braterskie przysięgi krwi, żeby XXI wiek nam ją*

*zabrał! Bogowie wymarli, ludzie ich nie chcą, to po co mają się ukazywać? Ale my żyjemy! Jeżeli narodzi się podczas trzynastej pełni księżyca, to przecież musi nazywać się Jaśmina, tak jak Ty i*

*ja! Dopilnuj tego, to Twoja misja: nadać imię! Jak to zrobisz, czort jeden wie i niech ma Cię w swej opiece. Ja do Polski już nie wrócę. Pamiętaj, że bogów zabił człowiek swą pazernością, ale Ty o swoich nie zapominaj. Jak będziesz chciała w nich wierzyć, to będą, jeżeli się ich wyprzesz, to już nikt nie otoczy Cię swą opieką, a kroczyć samej przez świat jest trudno.*

*Zawsze musi być ktoś lub coś, co podpowiada, jakimi dźwiękami duszy i serca się kierować.*

*Twoja na zawsze siostra wszechświata Jaśmina*

No i jak to w bajkach bywa, w tym momencie zgasło światło.

Przerażona ciemnością, uciekłam. Zbiegając ze schodów, upadłam, rozbiłam nos i poplamiałam krwią listy trzymane w ręku. Schowałam je głęboko do kieszeni bojówek. Poszłam do łazienki, umyłam się i jakby nigdy nic zesłam na parter, by dalej świętować Narodziny Pańskie. Nie miałam odwagi tego wieczoru zapytać babci, co to wszystko znaczy. Co to był za list?

Pierwszego dnia świąt wróciliśmy do Szczytna. Drugiego babcia spadła ze schodów i niestety już z nich nie wstała. Miała siedemdziesiąt osiem lat. Tego dnia nauczyłam się nie odkładać niczego do jutra... bo jutra może już nie być. W dokumentach ze starego kredensu znaleźliśmy testament, w którym to właśnie ja dziedziczyłam po babci dom i bardzo starą książkę o ziołach. O liście nie wie nikt prócz moich ukochanych przyjaciółek Leny i Zośki. Między innymi przez ten podpis na jego końcu zaczęłyśmy nazywać siebie nawzajem siostrami wszechświata.

I to wszechświat zabrał tajemnicę, której już najprawdopodobniej nigdy nie poznam. Poza magią wirującą wokół mnie, którą dostrzegam w codziennym życiu (poranny wschód słońca czy letni, ciepły deszcz), mam męża, dwuletnią córkę, dwa koty i suczkę Bunię. Mieszkam w ostatnim miejscu na ziemi – bez asfaltu, sklepów i tym podobnych komercyjnych bzdur. Otaczają mnie lasy, porosty i mchy. Tuż obok mam sąsiadów hodujących dwie kozy, nieczynny już, wymarły ośrodek wypoczynkowy i jezioro, nad którego taflą wiosną przelatują dzikie

kormorany, kaczki, gęsi, czaple i bociany.

Każda z moich przyjaciółek potrzebuje wrócić do korzeni, „ręcznie szytego życia”, jak mawia moja mentorka, uznana pisarka i psychoanalityczka Clarissa Pinkola Estés. Każda chce mieć siłę, energię, aby dobrze żyć, umieć rozwiązywać problemy, nie dawać za wygraną. Do tego jest potrzebna wiara. Wiara przede wszystkim w siebie. Moja córka Maria jest dowodem na to, że człowiek nie umiera nigdy. Jak w buddyjskim kołowrocie wcieleń odradza się nieustannie na

nowo.

Mój ogród nadal pachnie. Sierpniowe słońce chyli się ku zachodowi. Zostały mi jeszcze dwa tygodnie wakacji, zanim zostanie zwołana rada pedagogiczna i trzeba będzie przygotować plany wynikowe. Nie chcę teraz o tym myśleć. Niedługo w szkole, w której pracuję, nastąpi zmiana władzy. Nie ma kogo posadzić na stołku pani dyrektor, do której kaprysów już zdążyliśmy się przyzwyczaić. „Stara” odchodzi na emeryturę. Krystyna, jedyna z kadry posiadająca kwalifikacje, kategorycznie odmawia, więc nasze grono czeka to, co najgorsze – dyrekcja z zewnątrz.

Jeszcze dwa tygodnie! Dwa tygodnie pełnego luzu. Joachim wyjeżdża do pracy, a ja z Maryską wtapiamy się w malownicze krajobrazy Wałpusza. Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że przeprowadzka do domu po babci była jedną z najlepszych decyzji, jakie podjęliśmy. Ogród zarósł. Jabłonie obrodziły na potęgę, gałęzie aż uginają się pod ciężarem owoców. Siedzę na schodach mojego domu z twarzą zwróconą ku niebu i wsłuchuję się w ciszę. Czuję się piękna o szóstej rano, bez makijażu, jedynie w promieniach słońca. To jest magia tego miejsca! A może raczej duszy?

Mój dom znajduje się nad jeziorem. Kiedy jestem zła, idę na brzeg

i patrzę, jak spienione fale biją o siebie z impetem. Innym razem podziwiam niczym niezmaconą taflę, gładką i delikatną jak jedwab. Jutro mam tutaj zlot czarownic. Przyjeżdżają moje ukochane przyjaciółki. Joachim tego nie wytrzyma. Babskich rozmów o szminkach, butach, poezji, utyskiwania na mężów. Tylko kobieta wie, ile siły drzemie w takich spotkaniach. Niby gadanie o niczym, a jednak energia, jaką organizm dostanie na tym wymyślonym sabacie, jest nie do opisanania. Dziś przychodzi listonosz. Mam nadzieję, że wrzuci coś ciekawego do skrzynki.

– Dzień dobry, panie Mietku! Jest coś do mnie?

– A witam szanowną sąsiadkę! Oczywiście, że jest! Rachunki roznoszę zawsze, ale żeby jakieś pocztówki, listy pachnące miłością, oj, sąsiadko, to już nie te czasy. Teraz tylko maile i telefony.

– Panie Mietku, więcej wiary w ludzi. Rachunki trzeba płacić od zawsze. Za komuny też były... przynajmniej wolności mamy więcej.

– Jak pani coś powie, to powie, ale czułości nigdy człowiekowi dość.

Pan Mietek jest moim sąsiadem, a ponadto wspaniałym człowiekiem. Razem z żoną mieszkają dwie szutrówki (na Mazurach

mówimy tak na piaszczyste drogi) ode mnie. Nie mają dzieci. Nie wiem dlaczego. To nie moja sprawa. Hodują dwie kozy, których pilnuje Burek, owczarek szczycieński. To kundel najwyższej klasy, ale kiedy mu się spojrzy w oczy, to ma się wrażenie, jakby się patrzyło w ludzkie, aż ciarki przechodzą po plecach. Niektóre psy wyglądają na głupie i zachowują się głupio, ale są też takie, obok których nie przejdiesz obojętnie. Burek właśnie do tych drugich należy.

– Panie Mietku, niech pan coś wyczaruje z torby, a tak przy okazji, to po co wczoraj tę śliwę ścięliście? Była taka piękna, dorodna! Aż ciężko mi się na sercu zrobiło, jak zobaczyłam pustkę koło płotu.

– A bo owoców już nie dawała.

– Przecież drzewa owocowe z reguły co drugi rok obradzają!

– A jak kobieta stara, to daje owoce?

Nie miałam więcej pytań. Listonosz wygrzebał ze skórzanej torby tylko rachunki i z uśmiechem na twarzy poszedł dalej. Kręgosłup miał wygięty w prawą stronę, niczym łuk.

Maryśka płacze – już ósma! Narobiła po pachy – inaczej nie można tego nazwać – aż wyleciało z pieluszki. Wyje przez łyżki:

– Mamaaa, gdzieee?

– Byłam na dworze, córuś, nie płacz, już przebieramy.

– Pebebamy? Niecee!

I znowu ryk. Takie sytuacje doprowadzają mnie do szału. Nie wierzę, że nie czuje, co ma w pieluszce, nie wierzę też w to, że jej to nie przeszkadza.

– Przebieramy i już! Maryśka, uspokój się, masz kupę wszędzie!

To trzeba przebrać!

– Nieceeeeee!

Czasami myślę, że zwariuję albo zrobię coś gorszego. Jeść nie, przebrać nie, pić nie, bawić się nie. Zwariuję jak nic. Mój telefon informuje mnie, że nadeszła wiadomość. Odbieram ręką, która nie jest brudna.

– Marek mnie zdradza. Przyjadę z dziećmi.

– Co?



Przechodzi mi przez myśl, że pomyliłam się w składaniu wyrazów w zgrabną całość. Jak to Zośkę ktoś może zdradzać? Moja przyjaciółka jest wspaniałą matką dwóch zwariowanych chłopaków, do tego pracuje, całkiem nieźle zarabia, świetnie wygląda, ma samochód, kochającego męża... Wszystko wygląda jak w normalnej rodzinie... Dzwonię.

– Nie mogę gadać. Pakujemy się, będziemy dziś! – woła i się rozłącza.

Rozmowa nierozpoczęta, a już zakończona. Miała być przecież dopiero jutro. Bez chwili zastanowienia dzwonię po Lenę. Uda jej się przyjechać dzisiaj. Mam nadzieję, że Joachim wróci o stałej godzinie, bo inaczej nie zdążę nic ugotować. Dobry ciepły obiad w podbramkowych sytuacjach ratuje zbolale dusze. Zrozumiałam to po urodzeniu Maryśki. Obiady mojej mamy były niezastąpione. I tak to już chyba jest, że bliskość odczuwamy poprzez pracę rąk: gotowanie, szycie, pieśczoły. Słowa nie mają takiej mocy. To właśnie przy użyciu rąk opiekujemy się drugą osobą, dajemy jej poczucie bezpieczeństwa. W przyjaźni również jest ta przystań. Choćby minął rok od naszego ostatniego spotkania, koleżanki wiedzą, że u mnie zawsze znajdą talerz gorącej zupy i czystą pościel, i z wzajemnością.

Znowu dzwoni telefon, pewnie Zośka.

– Cześć, Jaśmina. Z tej strony Darek, jestem z Joachimem w szpitalu w Olsztynie.

– Co? – Znowu to cholerne „co?”. Jedyne słowo, jakie potrafię wypowiedzieć w chwili zagrożenia.

– Spokojnie, ma tylko złamaną nogę – beznamiętnie oznajmia kolega mojego męża.

– Co? – Oblewa mnie gorący pot, ręce zaczynają się trząść. Kupa dziecka nie przeszkadza mi już w niczym. – Ale jak to? Przecież miał być w pracy, co się stało?

– Spokojnie – z opanowaniem mówi Darek. – Przed pracą pojechaliśmy pojeździć na motorach, no wiesz, zanim otworzył zakład. Skręcając w boczną drogę, uderzył nogą w betonowy murek.

– I tylko tyle? Jak dla mnie to jest aż tyle! I co teraz, Darek? Co mam robić? Zbieram się i jadę do szpitala, a Marysię zostawię u teściów.

– Po chwili wreszcie pytam: – Darek, ale co z tą nogą?! No mów, na Boga!

– Będzie miał chyba operację i jakieś druty wsadzane, może śruby,

źle to nie wyglądało, ale dobrze też nie jest.

No i weź tu się dogadaj z facetem. Same konkrety, żadnych szczegółów. Noga złamana to pół biedy, ale druty, śruby to jakaś abstrakcja! Przeszła mi chęć na robienie obiadu. Pieluchę zmieniam w pół sekundy. Dziecko ubrane w minutę dziesięć. Pakujemy się do samochodu. Fotelik, pasy, dokumenty Joachima. Jadę. Czas pędzi jak szalony. Włączam radio. Muszę zagłuszyć myśli. Córcia, o dziwo, spokojna, ale widzę w lusterku, że nieustannie na mnie patrzy. Stara się wyczytać z mojej twarzy każdy grymas.

Myślę o tych pieprzonych motorach. Zawsze uważałam, że w związku każda ze stron potrzebuje odrobiny wolności, miejsca tylko dla siebie, przestrzeni, której nie będą nawiedzać żona, mąż, dzieci ani rodzina. Joachim ma motor, a ja? Ja chyba nie mam nic. Mam dziecko – to znaczy mamy dziecko – pracę, ogród i... trzydzieści cztery lata.

Parkuję przed domem teściów, biegnę z dzieckiem na rękach, oddaję małą i jadę do szpitala.

Szpital śmierdzi czystością. To chyba jakiś paradoks – w domu czystością pachnie, w szpitalu śmierdzi. Oczywiście ma na to wpływ dobór detergentów, ale wolę tego miejsca zbyt często nie odwiedzać.

– Dzień dobry. Nazywam się Jaśmina Szeretucha. Jestem żoną...

Kobieta w recepcji przerywa mi:

– Aaa, tego od motoru, co mu noga odleciała... Właśnie ma operację, niech nic się nie boi, gorsze rzeczy widziałam. Chłop młody, zagoi się raz-dwa.

– Jak to „odleciała”? – Czuję, że krew napływa mi do aorty i zaraz tryśnie uszami po ścianach. Strużki potu suną między biustem i po plecach.

– Ano takiej sobie metafory użyłam. A wie, co to metafora?

– Tak, wiem. Lepiej by było, gdyby pani ludzkim językiem do ludzi mówiła, a środki stylistyczne pozostawiła do rozbioru polonistom. Można w ten sposób kogoś przestraszyć. W dalszym ciągu nie wiem, co

z moim mężem!

– A co się tak unosi?! Ja informacja, nie lekarz, idzie do pokoju numer dziewięć.

Znajduję pokój numer dziewięć, w środku jest lekarz. Znowu ta sama śpiewka:

– Dzień dobry. Nazywam się Jaśmina Szeretucha. Jestem...

– Aaa szanowna małżonka tego od motoru?

I co ja mam powiedzieć?

– Tak, ta od motoru. Co z mężem?!

– Właśnie ma operację. Złamanie nastąpiło w dwóch miejscach w stawie skokowym. Jest dość poważne, bo z przemieszczeniem. Koledzy szukają mu właśnie w nodze połamanych kości i będą je przykręcać śrubami. Dwa miesiące na zwolnieniu. Na razie żadnego chodzenia. Jak dobrze pójdzie, za tydzień go wypiszemy, ale kule może już pani kupić. Pojutrze pewnie się przydadzą. Wagę i wzrost męża pani zna, pomożemy zmierzyć długość ramion i nóg. I tak miał dużo szczęścia, dobrze, że mu tej nogi nie urwało.

– O Boże! – To jedyne słowo, jakie wyrywa mi się z ust. Mój mózg nie daje rady przetrwać zbyt wielu informacji naraz.

– Spokojnie, pani Jaśmino. Znieczulenie mąż dostał w kręgosłup, więc jest całkowicie świadomy. Proszę gdzieś się przejść albo poczekać jeszcze dwie godziny i będzie pani mogła z nim porozmawiać.

Próbuję ochłonąć. W kieszeni dzwoni telefon. Darek.

– Jaśka! Musiałem jechać do pracy, dlatego nie ma mnie już w szpitalu. – Słyszę, jak drży mu głos w słuchawce. Też jest zdenerwowany. Może w końcu do niego dotarło, że ten wypadek to poważna sprawa.

– Czym go tu przywiozłeś? – Do tej pory w ogóle nie myślałam o tym, że przecież Darek musiał jakoś przetransportować tu Joachima.

– Zadzwoń po karetkę. Szybko poszło. Naprawdę jest w dobrym szpitalu. Słuchaj, muszę kończyć, klienci idą do warsztatu. Jak będziesz coś wiedziała, dzwoń!

Mądrała! Jak będziesz coś wiedziała, to dzwoń! A kto go na ten motor wyciągnął? I co teraz? Mam czekać? Muszę się przejść.

Wychodzę ze szpitala. Pani z recepcji posyła mi przyjazne spojrzenie. „Będzie dobrze”, mówią jej oczy. Sierpień piękni się w słońcu. Siadam na ławce przed budynkiem i przywołuję wspomnienia z wizyty u Zośki w Warszawie. Mój mózg czasami włącza „stop”.

Najczęściej

w bardzo

dziwnych

bądź

zupełnie

prozaicznych

okolicznościach, na przykład gdy stoję w kolejce albo jadę autobusem.

Mam wtedy przed oczami jakąś migawkę z życia, zwykle z dzieciństwa.

Obecna jest sprzed kwartału: spacerując po Marszałkowskiej, odurzona

kolorowymi billboardami, reklamami i innymi fajerwerkami robiącymi

z naszych uczuć konfetti, pomiędzy sklepami z piekielnie drogimi

kosmetykami oraz ubraniami dostrzegłam dziewczynę grającą na

skrzypcach. Z głośników sklepowych wydobywała się hałaśliwa

muzyka, zewsząd otaczał mnie gwar – nie byłam w stanie usłyszeć, co

gra. Zbliżałam się do niej powoli. Dobiegły mnie piękne dźwięki

smyczka

pocieranego

o struny.

Im

bliżej

byłam

i uważniej

nasłuchiwałam, tym bardziej miałam wrażenie, że czas się zatrzymuje.

Krok za krokiem, gest za gestem wszystko zwalniało. Kiedy znalazłam się już bardzo blisko dziewczyny, zamiast postać i posłuchać, przeszłam obok niej, jakby jej gra nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Weszłam do pobliskiego empiku, nie rozumiejąc, dlaczego się tak zachowałam.

Jakbym nie była w swoim ciele. Osiemnaście lat wcześniej zapewne stanęłabym przed tą skrzypaczką albo ostentacyjnie usiadła na chodniku i słuchała. A teraz? Czyżby z wiekiem człowiek tracił potrzebę wyrażania siebie? Kupiłam książkę. Wychodząc ze sklepu, modliłam się, żeby skrzypaczka jeszcze była na ulicy. Na szczęście nadal grała.

Ukradkiem wyciągnęłam z kieszeni złotówkę i przewyciężając strach (skąd to się wzięło?), wrzuciłam ją do futerału od skrzypiec. Walczyłam ze sobą. Walkę prowadziły dwie jakże różne osoby: nastoletnia Jaśmina i ta już dorosła. Bałam się, ale wygrałam! Spojrzałam dziewczynie prosto w oczy. Odwzajemniła spojrzenie i uśmiechnęła się szczerze.

Trwałyśmy tak chwilę, a ja miałam wrażenie, jakby ktoś otworzył przede mną drzwi do mojej własnej świadomości. Odchodząc, nie widziałam już ani sklepów, ani ludzi, ani samochodów, czułam ulgę i lekkość.

Zrobiłam to, co chciałam. To był pewien przełom w moim życiu. Taki mały gest, który bardzo dużo mi uświadomił.



W głowie cisza. Długa pauza. Patrzę na złoty pierścionek na lewej dłoni. Dostałam go od rodziców po uzyskaniu dyplomu magistra. Takie właśnie drobiazgi zostają po bliskich nam ludziach. Wspomnienia zdają się ukrywać w rzeczach. Zegarek. Dał mi go Joachim w trzecią rocznicę ślubu. Skórzany pasek. Waniliowa tarcza z czterema chabrami w miejscu czterech cyfr.

Ile ja tu siedzę? Joachim już po operacji od jakiejś półtorej godziny!

Pospiesznym krokiem znów mijam panią w informacji. Nie zauważa mnie, czyta coś i chichocze filuternie. Wbiegam do sali:

– Joachim, jak się czujesz? Co z nogą? Mów! Boże, jak to się stało? Miałaś jechać do pracy. Zawsze przed pracą chodzisz na motor? Darek pewnie cię wyciągnął. Mówiłam, że to się kiedyś tak skończy. Po co tam w ogóle pojechałaś? I widzisz, jaki jest tego finał? Teraz już w ogóle w niczym mi nie pomożesz: ani przy dziecku, ani w domu. Czemu nic nie mówisz?

Patrzy na mnie z politowaniem i bólem w oczach. Nie może się ruszyć. Na twarzy rysuje mu się bezsilność. Prawą brew ma lekko przypaloną, a czoło zmarszczone jak rodzynek.

– Bo mnie atakujesz.

– Ja? Ja cię atakuję? – Moje zdziwienie jest tym większe, im więcej słów pada z jego ust.

– Znowu masz pretensje. Znowu czegoś chcesz. Dziewczyno, mam cztery śruby w nodze, jestem po ciężkiej operacji. Daj żyć. Chcę spać, póki środki znieczulające działają.

Nie wierzę, że to mówi Joachim. Ani „dzień dobry”, ani „miło cię widzieć”, żadnych wyjaśnień, tylko tak po prostu „chcę spać”? Zdania wypowiedziane tonem znudzonego życiem męża.

– Jaśminko, jedź do domu, do Marysi. Nie chcę dziś nikogo widzieć. Żadnych rodziców, nikogo! Chcę spokoju bez wyrzutów i pytań. Chcę spać! Miałem wypadek i tyle. Naprawiając samochody w zakładzie, też codziennie jestem narażony na wypadek.

– Ale co ty wygadujesz? Mam sobie tak po prostu iść? Przecież jesteś moim mężem, martwię się o ciebie.

– Martwisz się o mnie czy bardziej o siebie? Bo w domu ani przy dziecku w najbliższym czasie ci nie pomogę.

Czuję się, jakby ktoś uderzył mnie kijem w głowę. Może ma rację?

– Joachim, kocham cię. Damy sobie radę. Wyzdrowiejesz.

Najważniejsze jest teraz twoje zdrowie. Nie mam do ciebie pretensji.

Martwię się jak kobieta. Nie umiem martwić się jak mężczyzna. –

Z gorąca pasma włosów przyklejają mi się do twarzy, a lepkie od brudu ręce nie wiedzą, czy mają skubać rąbek sukienki, czy zdrapywać skórę przy paznokciu.

– Ja też cię kocham. Tylko muszę iść spać. Zadzwoń jutro.

Odwraca się ode mnie. Całując go w policzek, dostrzegam uśmiech na twarzy męża.

– Będzie dobrze – szepczę i wychodzę.

Wsiadam do samochodu i kiedy uruchamiam silnik, od razu włącza się radio: „Zapyta Bóg w swym niebie, co dałem Mu od siebie.

Wierzyłem i kochałem, i byłem tym, kim chciałem, bym był. I żyłem, jak chciałem, bym żył, i byłem, kim miałem być”. Zespół Raz Dwa Trzy.

W moim życiu ich muzyka zajmuje bardzo ważne miejsce. Zastanawiam się przelotnie, czy jestem tym, kim chciałam być. Czy żyję tak, jak chciałam? Na pewno z Joachimem i Maryską, ale czy jestem tym, kim chciałam być? Nie wiem. Obowiązki przytłaczają.

Jadę drogą z Olsztyna na Szczytno. Wokoło wirują zielone lasy i mazurskie pola. Dzwoni telefon! Pewnie ze szpitala. Gdzie ja mam komórkę? Jednak prawdą jest, że do kobiety trzeba dzwonić zawsze dwa razy. Za pierwszym nigdy nie odbierze.

– Cześć. Gdzie jesteś? – drżącym głosem pyta teściowa.

– Jadę już do Szczytna. Jeszcze trzydzieści kilometrów i będę u was. Niestety, Joachim nie chce już dziś nikogo widzieć. Mamo, przepraszam za niego, ma chyba załamanie nerwowe. Jest po operacji lewej nogi. Lekarze skręcili mu kości na śruby.

– Tak, wiem. Dzwoniliśmy do niego. Opowiedział nam wszystko.

Na koniec dodał, że chce spać. To się porobiło. Jak ty sobie poradzisz? Zima idzie. Jedź powoli. Przecież on będzie niedysponowany przez dwa albo i trzy miesiące...

– Mamo, na razie nie chcę o tym myśleć. Muszę spakować najpotrzebniejsze rzeczy i zawieźć mu z samego rana. Dzisiaj już nie dam rady. Głowa mnie boli od tego wszystkiego.

Zapomniałam, że przez cały dzień nic nie jadłam, a w domu już pewnie goście.

– To może zostaw Marysię u nas na noc? Jak będziesz jutro

wracała ze szpitala, to ją zabierzesz...

Waham się. Ale ta propozycja jest strzałem w dziesiątkę. Małe dziecko absorbuje całkowicie. W domu bałagan, w głowie strach. A co ja zrobię zimą? Z odśnieżaniem, paleniem w piecu – jak ja z tym wszystkim dam radę? Brrrr... myśli, zróbcie „stop”! Wszystkiego od razu nie poukładam. Trzeba zaczynać od małych kroków. Najpierw coś zjeść, spakować torbę mężowi, przyjąć gości. A co dalej? Życie pokaże.

– Dobrze. Niech u was zostanie. Dziękuję za pomoc. Jesteście

zawsze pod ręką – mówię z ulgą.

– Uważaj na siebie. Zadzwoń jutro, jak będziesz jechała. Pa.

Bez pomocy dziadków ani rusz. Przed porodem zaklinałam się, że poradzę sobie sama. Mówiłam, że wrócę do pracy zaraz po urlopie macierzyńskim, a dziecko oddam do żłobka. Tak bardzo bałam się opowieści o niespełnionych matkach, które zrezygnowały z siebie na rzecz rodziny. Nie chciałam powielać tego schematu. Jednak życie jest brutalne. Jak bardzo boli serce i wyje dusza, gdy nie możesz się wyspać, bo dwadzieścia razy w nocy wstajesz do dziecka? Z jednej strony przeklinasz dzień, w którym zaszłaś w ciążę, z drugiej masz jeszcze

większe wyrzuty sumienia, że tak myślisz, bo przecież kochasz to maleńkie stworzenie najmocniej jak potrafisz. A już czary goryczy dopełnia mąż, którego prosisz o pomoc – nie z egoizmu, po prostu nie dajesz rady! – a on śpi. Otworzy wreszcie jedno zaspane oko i powie: „Jutro idę do pracy, muszę się wyspać”.

Stoisz nad nim i nie wiesz, czy go drapać, czy gryźć. W końcu idziesz płakać po cichu w kącie. Z tych łez również rodzą się wyrzuty sumienia, bo płaczesz nad swym losem. Kiedy bowiem nie ma pomocy z zewnątrz w postaci mamy, teściów, ciotki, która od czasu do czasu zajmie się dzieckiem, abyś mogła zrobić coś dla siebie, wtedy rodzą się rodzinne tragedie. Dobrze więc, że ja mam takich ludzi wokół siebie.

Jestem już w Szczycionku, pięknej mazurskiej wsi. Jeszcze jeden zakręt i będę w domu. Dookoła mnie las. Cudowny, pachnący grzybami i deszczem. Czuję, że to jest moje miejsce na ziemi. Współczuję tym, którzy jak nomadowie poszukują swych gniazd. Wieczna tułaczka. Ja już wiem, gdzie jest mój dom. Podjeżdżam pod stary drewniany płot. Joachim miał go naprawić tego lata. Chyba nic z tego. Zatrzymuję się i otwieram bramę, jednak nigdzie nie widzę samochodu Zośki. Przecież powinna już być.

Zajeżdżam pod dom. Zośka siedzi na schodach i głaszcze kota Lucka. Ruda kocica uciekła przedwczoraj i do tej pory jej nie ma.

Chłopaki buszują w ogrodzie, chyba jeszcze nieświadomi, że małżeństwo ich rodziców się rozpadło. Przyjaciółka nie wygląda dobrze. Oczy ma podkrążone, paznokcie nieumalowane i ten charakterystyczny skurcz mięśni twarzy. Czoło lekko ściągnięte, usta zaciśnięte. Od razu po człowieku widać, że zrodził się w nim głęboki, upokarzający ból.

– Co się stało? Zośka, ty nie żartujesz? Gdzie samochód? – pytam.

– Przecież to jego samochód! Nie mogłam go wziąć! Nawet, kurwa, samochodu teraz nie mam! Nie mam nic, rozumiesz? Nic! Tylko dwoje dzieci na utrzymaniu! Dupek! – wykrzykuje z rozpaczą.

– Zocha, nic nie rozumiem. Joachim ma połamaną nogę, leży w szpitalu, ale już jest po operacji, nie będzie go przez najbliższe dwa tygodnie. Jak chcesz, możecie zostać dłużej, jeden pokój jest wolny. Nie przygotowałam nic do jedzenia, właśnie wracam od niego. Zawołaj chłopaków, to chociaż kanapki zrobimy. Nie rycz! Lena będzie za godzinę! To nie koniec świata.

– Łatwo się mówi, jak sprawa nie dotyczy ciebie. Dla mnie to jest koniec świata! Gdzie ja będę mieszkała? Co ja teraz zrobię? – ze strachem w głosie pyta Zośka.

– Nie wiem, co masz zrobić, na razie musicie coś zjeść, później

będziemy myśleć.

Szukam klucza w mojej wielkiej wiklinowej torbie. Jak zwykle nie mogę go znaleźć. Chcesz wiedzieć, z jaką kobietą masz do czynienia? Zajrzyj do jej torebki. W mojej wielki bałagan: kawałki materiałów (szyję na maszynie), długopisy, szminki, notes, w którym zapisuję złote myśli uczniów i swoje. Ukradkiem spoglądam na ramię Zochy – jej torba jest piękna, skórzana, chyba z węża, lakierowana, jak jej dotychczasowe życie. Nie muszę do niej zaglądać, aby wiedzieć, jaki tam panuje porządek.

Siadamy w kuchni. Zośka drży jak osika na wietrze. Nie poznaję jej w tej nowej roli – samotnej matki. Wyciąga papierosy i ceremonialnie odpala jednego na środku pomieszczenia.

– Zwariowałaś? Od kiedy palisz? Jeden papieros podobno zabiera piętnaście minut życia! – wyrzucam gniewnie.

– A na co mi takie życie? Niech zabiera! Zawsze paliłam! Możesz mnie nie pouczać chociaż teraz? Marek też mi to ciągle powtarzał, nie cierpiał, jak paliłam. Całe życie właśnie tak wygląda! Najpierw ukrywasz się przed rodzicami, potem przed mężem, a na koniec przed dziećmi. Nie jestem jak ty: poukładana, rozsądna, szczęśliwa.

Rozumiesz? Nie jestem! Nie dostałam domu w spadku, na wszystko



muszę pracować. A teraz jeszcze sama! – krzyczy mi prosto w twarz, zaciągając się coraz mocniej papierosem. Zaczyna łkać. Podczas spazmu jej spierzchnięte usta wyginają się jak cięciwa i pękają na środku. Płynie z nich drobna strużka krwi. Zośka ociera ją dłonią, rozmazując na policzku. Wygląda jak malowidło naskalne. – Masz coś do picia? – lekko się jąka.

Nie chcę już jej umoralniać, wyciągam więc kieliszek i czystą wódkę. Zachłystuje się, gdy łyka ten magiczny płyn. Niektórzy mówią, że to jedyny środek potrzebny do tego, aby w miarę bezpiecznie otworzyć umysł. Niech ma, niech płacze, pije, krzyczy, niech się oczyści ze złych myśli. Dziś jest u mnie, nie u matki, przełożonego czy sąsiadki z długim językiem. Jest u mnie. Nie wiem, co mam powiedzieć, o co pytać. Ukradkiem wyglądam przez okno, sprawdzając, gdzie są chłopcy. Mam ją pocieszać? Mówić, że nic się nie stało? Że będzie dobrze? Przecież nie będzie dobrze! Ona go naprawdę kochała! Nie dobierając odpowiednio słów, rzucam:

– Spuść psa z łańcucha, a sam zaskomle u twych drzwi. Tylko już wtedy nie otworzysz.

– Co? – Ze zdziwienia upuszcza papierosa na drewnianą podłogę. Podnosząc go naprędcę, patrzy mi w oczy z wyrzutem.

Skąd we mnie taka agresja? Przytakuję i kończę:

– No bo tak jest! Sam jeszcze wróci, ale ty już wtedy będziesz innym człowiekiem. To właśnie ty będziesz podawała miskę z jedzeniem. Ty będziesz wydzielala każdą porcję miłości. Pytanie tylko, jaką część on dostanie. Zapewne jedną setną.

– Jaśmina, co ty wygadujesz? – Zaskoczona Zośka unosi wysoko brwi. – Przecież nawet nie wiesz, co się stało. My mamy dzieci!

– Słuchaj, kiedy mówisz mi przez telefon, że mąż cię zdradza, to co mam myśleć? Zdrada to zdrada. Jak długo cię oszukuje? – Mentorskim tonem stanowczej nauczycielki odzywa się we mnie królowa życia.

– Półtora roku! A ja głupia udawałam, że nic nie widzę! – I znów zalewa się łzami.

W tym samym momencie chłopcy łamią gałąź na jabłoni rosnącej przed oknem. Jakby cały świat przekazywał sobie wiadomość, że Zosia jest roztrzaskana na pół, albo i na więcej części.

A może każde złamane drzewo odzwierciedla rozbite życie? Jedna z mazurskich legend mówi o kobiecie, która z zazdrości o swego niewiernego męża otruła go podczas kolacji. Zazdrość przesłoniła jej

oczy. Kiedy zrozumiała, co zrobiła, przestraszyła się kary, jaka może na nią spaść, i pod osłoną nocy udała się do jesionowej chaty, którą zamieszkiwała Wardega, okoliczna zielarka uważana za czarownicę. Ta poradziła jej, aby wycięła małżonkowi grdykę, czyli jabłko Adama, i powiesiła ją na drzewie w sadzie kochanki, a ciało zakopała na skraju ogrodu. Zaznaczyła przy tym, że jeżeli miłość jej męża i kochanki była jedynie doznaniem seksualnym, to wszystkie jabłonie wraz z duszą kochanki obumrą, jeżeli jednak opierała się na prawdzie i wzajemnym zrozumieniu, jabłka będą słodsze niż u innych, a ją dopadnie sroga kara. Owoce z dnia na dzień stawały się coraz smaczniejsze i bardziej czerwone. Ludzie domyślili się prawdy i chcieli powiesić zdesperowaną kobietę na tym samym drzewie, na którym ona zawiesiła adamowe jabłko. Dziewczyna krzyczała z rozpacz, nie chcąc pogodzić się z prawdą ujawnioną przez naturę. Gdy miała już na szyi sznur, gałąź złamała się, a zbrodniarka upadła na ziemię. Kilkanaście razy próbowano ją powiesić. Za każdym razem konar z głośnym trzaskiem się łamał. W ten sposób zdewastowano cały sad. Ludzie bojąc się jej mocy, wygonili kobietę ze wsi. Po kilku dniach znaleźli ją z poderżniętym gardłem w miejscu, gdzie zakopała męża. Jabłonie nigdy nie odrosły w sadzie. Po dziś dzień każdy Mazur i Warmiak obserwuje swoje drzewka – jeżeli gałęzie łamane przez wiatr nie wypuszczają nowych pędów, to znaczy, że gdzieś niedaleko rozkwita zakazana miłość. W końcu ten owoc pochodzi z drzewa poznania dobra i zła.

Ciekawe, czy moja jabłoń puści pędy na nowo... Zośka już jest lekko wstawiona, a Leny dalej nie ma. W lodówce mam tylko światło i jajka. Kroję stary chleb w kostkę, podsmażam tak, aby pysznie się zarumienił i zaczął skwierczeć. Odrobinę solę i pieprzę. Dodaję rozbite jajka i mieszam. Jeszcze chwilę trzymam na patelni, dodaję świeżej bazylii oraz oregano. Zdejmuję z ognia. Grzanki z jajkiem to najlepszy i najsmaczniejszy sposób na zabicie głodu, gdy zapasów brak. Podaję je przyjaciółce ze szklanką zimnego mleka. Rozgrzebuje widelcem potrawę i zaczyna jeść. Zosine łzy kapią na grzanki.

– Nie jedz tego! Przecież tam już są twoje łzy! – wołam. – Nie można jeść pokarmów zroszonych łzami, bo smutek, który wyplakałaś, wróci do ciebie! – Zabieram jej talerz i szybko wymieniam jedną porcję na drugą.

– A co ty się taka przesądna zrobiłaś? Przecież to tylko zwykłe żarcie! – odpowiada niewzruszona.

– Żarcie zwykłe. Ale łzy nie biorą się znikąd.

Parzę już dla niej kawę. W tym momencie na podwórko zajezdza Lena. Chłopcy obskakują ją od razu, wdzięcząc się i śmiejąc. Rzeczywiście, ma czar urokliwej kobiety, ale dla niej najważniejsza jest pasja. Otwiera bagażnik swojej terenówki i wyciąga ogromny pakunek.

Nie muszę się długo zastanawiać. Wiem, że to deska. Najnowszy wytwór jej małych, zwinnych rączek. Zainspirowały ją stare kresowe chaty, powstałe pod koniec XIX wieku. Pozyskuje z nich drewno, które staje się podłożem dla niezwykłych anielic. Zawsze dokładnie selekcjonuje deski, jednak nie ingeruje w formę, tylko wykorzystuje ich naturalne walory. Maluje na nich głównie kobiece twarze. Widzę, jak jej obcasy zapadają się w miękkim podłożu, ale jest twarda, idzie dalej. Gdy tylko na nią spojrzę, od razu przypomina mi się jedno z jej ulubionych powiedzonek: „Pamiętaj, że o swoją dupę trzeba dbać. Nikt inny za ciebie tego nie zrobi!”.

– Cześć, dziewczyny! – krzyczy Lena od progu. – Zosia, ja już wszystko wiem. Prezent oddaję w ręce gospodyni tego domu. Pogadamy wieczorem, przy chłopcach nie będziemy cię patroszyć. – Całuje przyjaciółkę w czoło. – Bez faceta można żyć, a bez przyjaźni niestety nie. Im dalej w las, tym więcej drzew, a przyjaźń? Jak dobra wróżka pojawia się, kiedy nad twoją głową wiszą czarne chmury. Trudniej jest przeżyć śmierć dziecka niż zdradę.

Nie wiem, skąd ona to wszystko wie. Nie jest mężatką, nie ma dzieci, nie ma nawet partnera, więc skąd czerpie tę wiedzę? Zawsze nam mówi, że bez sztuki i własnych pasji nie można żyć pełnią życia, i chyba ma rację. Gdyby Zośka nie zamknęła się w swoim pracowitym świecie, pewnie łatwiej znośliaby teraz rozstanie z mężem.

Lena powoli zaczyna odwijać prezent. Mocnymi ruchami zrywa szary papier i rzuca go niedbale na podłogę. Naszym oczom ukazuje się delikatna twarz kobiety. Jest taka piękna. Mam wrażenie, że patrzy prosto na mnie i przenika na wskroś. Zafascynowana podchodzę i opuszkami palców dotykam farby, która jeszcze nie zdążyła dobrze wyschnąć. Wskazujący jest już naznaczony burgundowym kolorem z mojego nowego obrazu. Pasuje tu – właśnie w tym miejscu pomiędzy kredensem a mahoniową szafką. Będę ją widziała, siedząc przy stole. Podświetlona od góry zostanie opiekunką tego miejsca. Niech pilnuje domowego ogniska i rozpala nowy żar. Chcę płonąć razem z nią, wtopić się w jej włosy, wysłuchać historii wydobywającej się z jej drewnianego serca. Jest zachłanna, zapanowała nade mną całkowicie. Widzę tylko jej twarz w otoczeniu królewskiej purpury i płomiennorudych loków. Ma ciemne brwi, zgrabny nos, wydatne, pełne złotej rozkoszy usta. Wysmukła szyja przypomina łabędzia podrywającego się do lotu. Kojarzy mi się ze skrzypcami. Nie wydobywa dźwięków, ale porusza struny mojego serca tak mocno, że zaczynam w tej melodii słyszeć siebie. Długie rzęsy zdają się falować. Osnuta jest ciepłą, ale i drapieżną

paletą barw: od żółci i czerwieni po czern. Hipnotyzuje mnie zmysłowością. Głaszczę jej twarz, próbując zamknąć w swoich dłoniach jej myśli. Uspokajam się.

Stawiam półtorametrową deskę pomiędzy meblami i oddalam się, aby podziwiać ją z dalszej perspektywy. Siadam przy Zośce.

W milczeniu podziwiamy ją we trójkę. Nagle zauważam coś jeszcze na obrazie. Skupiona na jej twarzy, nie dostrzegłam tego, co jest ukryte obok niej. W prawym dolnym rogu, w miejscu dużego, ciemnego sęka, patrzą na mnie złotobrazowe oczy. Nie należą do istoty ludzkiej.

Wyłaniają się z mroku. Są zagadkowe, bo skupiają na sobie całą uwagę.

Ukrywają się i znowu pokazują. Należą do kota, który ma króciutki nos i sterczące uszy – jest wyczulony na każdy, nawet najmniejszy ruch.

Pilnuje swojej płomiennorudej pani, przypominając, że co jakiś czas trzeba go nakarmić i pogłaskać. Ta kobieta z obrazu mogłaby zostać żoną Bułhakowa. Tak, to jest moja Małgorzata. Nie potrafię dokładnie nazwać tego, co widzę, ale wiem, że to jest kobieta taka jak ja. Kobieta, która zaczyna walczyć ze swymi demonami i złymi siłami.

Nie zważając na okoliczności, idę do garażu w poszukiwaniu wiertarki. Nie będę czekała, aż Joachim wróci ze szpitala. Ta kobieta musi wisieć w tym miejscu od dziś, od teraz. Nie za miesiąc, za kwartał. Musi na mnie patrzeć już jutro rano, gdy się obudzę. W jej oczach widzę bunt, którego mi brakuje, drogę i światło. Wygrzebuję wiertarkę

i rozglądam

się

za

pomarańczowym

pudełeczkiem,

w którym

z pietyzmem pogrupowane są wkręty, wiertła i kołki rozporowe. Nigdy nie wbijałam niczego w ścianę. Zabieram wszystkie narzędzia ze sobą, wracam i zaczynam wiercić. Dziewczyny patrzą na mnie, jakbym zwariowała – przecież mogłam postawić obraz w kącie i poczekać na męża. Ale ja wiercę, że aż dygoczę, a czerwony pył sypie mi się pod stopy.

Dziura jest, jeszcze tylko kołeczek i gwóźdź. To nie było takie trudne. Nie miała wisieć ani w salonie, ani w sypialni, choć tam mniej byłaby narażona na uszkodzenia i zabrudzenia.

Nagle słyszę Zosię:

– Nie wiem, kim jest ta kobieta, widziałam tylko ich rozmowy na czacie. Napisał, że jest dla niego „powietrzem, bez którego nie umie żyć”. Nie pamiętam, kiedy do mnie ostatni raz tak mówił. Niech tylko mi powie, kim ona jest, a będzie mógł wrócić... – Ostatnie słowa szepcze cichuteńko.



– Utopiłabyś się we własnych łzach! – wykrzykuje Lena, uderzając drobną piąstką w stół. – Twój problem polega na tym, że masz pozostać kobietą, a nie kurą z cyckami do macania, znoszącą obiady! Masz być kobietą! On będzie smażył się w piekle pod wpływem wyrzutów sumienia, a ty? Nie zapuść się, bo patrzeć na worek pokutny nikt nie ma ochoty!

Słońce chyli się ku zachodowi. Otwieram kuchenne okno, aby wywietrzyć, a przy okazji wypędzić wszystkie złe myśli i słowa, które zostały w tym miejscu wypowiedziane. Chłodny wiatr uderza z impetem. Zamykam oczy i wciągam głęboko do płuc zdrowe powietrze. Świerszcze grają w wysokich trawach. Robię kilka wdechów nosem i wydechów ustami. Skoro kuchnia ma się przewietrzyć, to moje ciało też powinno.

Zośka się położyła, a Lena zagania chłopaków do domu. Zaczyna

boleć mnie głowa, niestety ostatnio zdarza się to coraz częściej. Ratuja mnie tabletki, od których niebawem popsuję sobie całkowicie żołądek. Czuję w powietrzu zapach macierduszki, czyli lebiodki pospolitej, która rośnie w moim ogrodzie w najbardziej nasłonecznionym miejscu. Jej korzenny silny zapach podobny jest do woni pieprzu, nie jest słodki, za to ciepły jak klimat śródziemnomorski. To ziele jest surowcem nie tylko leczniczym, ale i przyprawowym. Powinnam zaparzyć trochę dla Zośki. Lebiodka była znana już w starożytności. Leczą ją rany powstałe po jadowitych ukąszeniach, natomiast w średniowieczu wierzą, że jej wywary chronią przed czarami i chorobami oraz zapewniają wzajemność w miłości. Ludy słowiańskie stosowały ją przy takich przypadłościach jak histeria czy erotomania, podobno wycisza popęd płciowy. Niech dziewczyna się nie rozbudza, niech jej miłość uśnie, niech wygaśnie uczucie, aby mogło narodzić się nowe. Czarcie duchy dadzą spokój jej zbolącej głowie i przyśnie na ten trudny dla niej czas... Włączam radio i znów słyszę komunikat:

– „Wilki w lasach warmińsko-mazurskich zadomowiły się już na dobre. Najwięcej można ich zobaczyć w okolicach Rusi, jednak mieszkańcy nie odczuwają zagrożenia. Jeszcze dziesięć lat temu w olsztyńskich lasach żyło ich około pięćdziesięciu, obecnie szacujemy, że jest ich ponad sto. Od dwutysięcznego roku nadleśnictwa zaczęły stały monitoring tych zwierząt”.

Dreszcz przebiega mi po ciele, ale nie powinnam się bać. Przecież zwierzęta atakują jedynie w chwili zagrożenia. Muszę poczytać na ten temat, skoro mieszkam praktycznie w lesie. Powinnam wiedzieć, jak się przed nimi obronić w razie niebezpieczeństwa. Ale czy przed wilkami w ogóle da się ochronić? Naturalnego zwierzęcego instynktu nic nie zdoła pokonać. Koniecznie muszę się dowiedzieć, czy na naszym terenie ich nie ma. A jeśli są? Czemu ich do tej pory nie widziałam?

– Chłopcy już śpią – przerywa mój wewnętrzny monolog Lena. –

Na podwórzu był Mietek, no wiesz, ten listonosz. Od razu do niego pobiegli, dał im kartofli z ogniska. Kolację dla nich mamy już z głowy. Nie chcieli się myć, a ja ich nie zmuszałam. Zocha będzie musiała to przeżyć.

– Chodź do niej, już wstała. Słyszałam, jak odkręcała wodę w łazience.

Biegnę po zasuszone nasiona, młóćcę w móżdżerzu, zaparzam.

Drewniana Małgorzata puszcza do mnie oko w kuchni. A gdzie moja ruda kocica? Nie ma jej już chyba trzeci dzień. Mam nadzieję, że wróci w jednym kawałku. Nasza bizneswoman leży cała mokrusieńka pod pościelą. Oczy ma wyblakłe, jakby ktoś wyssał z niej energię. Sprawia wrażenie na wpół żywej – za dużo emocji jak na kilka dni. Jej ciało jest blade jak alabaster, szczupłe, spracowane, jednak w żyłach ta sama krew,

a w sercu żal.

– Zostawił komputer na stole i się nie wylogował. Specjalnie to zrobił, żebym zobaczyła ich namiętą rozmowę. Słyszał, jak wchodziłam do kuchni. Czekał, aż przeczytam. Słyszałam jego oddech przez ścianę – uwierzcie mi, że to słyszałam. Te minuty trwały całą wieczność.

Pytałam: kto to, dlaczego, co zrobiłam źle? A on powiedział, że się dusi, że już tak dalej nie może, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł!

Rozumiecie? Wyszedł! Biegłam za nim, krzyczałam, żeby wrócił. Nie

wiedziałam, czy pojechał się napić, czy do kumpla, czy do niej! Ta

niewiedza! I wieczne domysły. Wrócił na drugi dzień i oznajmił, że ten

cały czat w komputerze to jedno wielkie kłamstwo, bo pod jego

kochankę podszywa się koleżanka, która wyświadczyła mu przysługę!

Powiedział, że chciał, abym go znienawidziła! Nie rozumiem tego. Ja już

nie wiem, co jest prawdą, a co kłamstwem. Nie mam siły o tym myśleć.

I Zośka znowu zaczyna zalewać się łzami. Wygląda jak kot, który

wpadł do kałuży. Umazany w błocie, wyciągnięty przez przypadkowego

przechodnia, zmarznięty, pozostawiony na krawężniku. Biedne,

złęknione stworzenie.

– Najgorsze jest to, że wczoraj przyszedł z kwiatami i zaczął mnie

przepraszać. A ja? Ja nie wiem, jak się teraz nazywam. To wszystko

przybrało zbyt szybkie tempo, nie nadążam. Musiałam przyjechać.

– Od kiedy wiesz, że cię zdradza? – delikatnym tonem pyta

zdegustowana Lena.

– Tydzień już mija.

– I nic nam nie powiedziałaś do tej pory? Nie wiesz, gdzie

dzwonić?

– Musiałam się uspokoić, przepraszam, musiałam upewnić się, czy

to, co się dzieje, to nie jest sen.

Zosia niechętnie odpowiada na nasze pytania. Woli mówić:

– Ostatnio przyjechała teściowa i namawiała mnie, żebym z nim

została, bo wychowywanie dzieci w pojedynkę jest bardzo trudne.

Chłopcy cały czas pytają, gdzie jest tata. Widzą, że coś jest nie tak. Boję

się, boję się życia. Z Markiem na chwilę obecną nie potrafię żyć,

a rodzina wymusza właśnie na mnie podjęcie decyzji, czy mam go

przyjąć, czy opuścić. Przecież w tym wypadku każda decyzja jest

tragiczna. Ale to on ją podjął! A ja mam teraz winić siebie za wszystko!?

To jest jakiś absurd, granie na moich emocjach. Najgorsze jest to, że

teraz nic nie czuję, zupełnie nic. Nie wiem, czy go kocham. I te wieczne

kłamstwa... Ja już sama nie wiem, czy on ma tę kochankę, czy nie.

– Oczywiście, że ma! – ostentacyjnie wykrzykuje Lena. –

Zastanów się, co by miał powiedzieć na sprawie rozwodowej – że wymyślił sobie kochankę, aby mniej cię bolało? To jest zupełnie nielogiczne. Mógł przynajmniej zachować resztki godności i powiedzieć ci to prosto w twarz, a tak zachował się jak gówniarz, który ucieka przed przyznaniem się do winy – prawi kazanie Lena, a ja myślami jestem zupełnie gdzie indziej.

Wyobrażam sobie scenę, w której to Joachim oznajmia, że jestem mu zupełnie obojętna, że wybiera nowy dom, beze mnie. I co ja wtedy miałabym zrobić? Oprócz pracy i dziecka nie mam nic, czym mogłabym się zająć. Bez niego zostaję zupełnie sama. Ja i Marysia w wiecznej piaskownicy życia.

Kolejna migawka: wychodzę z domu do kina – pierwszy raz od porodu! Ależ to jest wydarzenie: ubrać się, umalować, włożyć szpilki, przynajmniej ten jeden raz, poczuć zapach perfum na swojej skórze, na ładnym dekolcie (przecież mogę go pokazywać!), porozmawiać z koleżankami – od siedzenia w czterech ścianach można zwariować. Już mam wychodzić, taka piękna w zielonym płaszczyku, kiedy widzę, jak Marysia z płaczem biegnie za mną do przedsionka. Krzyczy, jakby ktoś zdierał z niej skórę: „Mamo, nie chodź!”. Joachim siedzi w kuchni i nie reaguje. Proszę, żeby ją zabrał, bo nie wyjdę. Na co słyszę: „No, idź!

Tylko zamknij za sobą drzwi. A co ja mam zrobić? Przecież ona chce do ciebie, nie do mnie!” . Mała zaczyna jeszcze mocniej pokazywać, kto tu rządzi. Proszę go, żeby ją nakarmił, zbudował coś z klocków, wyciągnął farby, zainteresował czymś dziecko. Jego odpowiedź: „No idź wreszcie, ona i tak będzie krzyczeć, dopóki nie wyjdiesz!” . Nawet na mnie nie patrzy. Mam już obśliniony przez dziecko płaszcz, jest mi gorąco, mała wieszka mi się na szyi. Próbuję odciągnąć jej uwagę i dyskretnie wyjść. Wybiega za mną na schody z bosymi nogami, umazana od śliny i glutów. Myślę: gdzie jest mój mąż?! W końcu się orientuje, przybiega do nas. Odrywa ode mnie Marysię i krzyczy: „Przecież ci mówiłem, żebyś zamknęła drzwi!” .

Słyszałam wtedy tylko oddalający się płacz i spazmy mojego dziecka. Stałam na ganku jak słup, moje załzawione oczy wyglądały pewnie jak te dzisiejsze Zosine, nie czułam nic. Zupełna pustka. Czy tak ma wyglądać całe moje życie? Czy każde pięć minut tylko i wyłącznie dla siebie muszę wyszarpywać z codzienności? Muszę wydrzeć, wyprosić, przebić się przez tłum innych, mocniejszych i silniejszych? Poprawiłam makijaż, wsiałam do samochodu, spojrzałam w lusterko i zobaczyłam w nim mądrą, zaradną kobietę. Kobietę, która pragnie miłości i uciech życiowych. Nie zdrad i erotomanii, tylko towarzystwa ludzi, wina, świec, poezji, muzyki, dobrej energii. Widziałam w tym lusterku piękną istotę z fascynującymi oczami. Wyglądała jak pies husky. Zielonooka, dzika, walcząca szamanka.

Z zamyślenia wyrwała mnie Lena:

– Jaśmina, daj tę miksturę, może się trochę dziewczyna uspokoi.

Musimy podjąć jakieś działania. Jesteśmy teraz same. Jeden facet

w szpitalu, drugi się kurwi. Trzeba coś zaradzić. Polej nam bimbru.

Dzisiaj zarządzam restart myśli. Jak byłam na studiach, nauczyłam się

pić. Nie jestem wariatką – chodzi mi o umysł. Przy takim wycieńczeniu

emocjonalnym jest nam potrzebna duża dawka sportu albo zmiana stanu

skupienia, czyli alkoholowy restart. Oczywiście, nie do przesady, ale kac

jest wskazany.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Wygrzebała z barku dwie butelki

bimbru. Ten alkohol oczywiście jest nielegalny, ale na Mazurach pędzi

się go przez cały rok. Mój pochodzi od pewnego człowieka, który

mieszka na skraju lasu i trzyma go w wielkich drewnianych beczkach.

Mówimy na niego „duch puszczy”. Bimber smakuje jak stuletnia

whisky, a na drugi dzień nie boli głowa. Jest tylko senność i lenistwo.

Próbowałam kiedyś zdobyć przepis, ale skończyło się na niczym. Może

to i dobrze – bimbru jeszcze nigdy nie pędziłam i chyba nie chcę.

Rozcieńczamy zdradziecki płyn colą i już po kilku minutach

zapominamy, że dzieciaki śpią obok. Zośka powoli zaczyna się otwierać

i zadawać pytania. Drąży, chcąc sprawdzić, jak widzimy jej dramat,



nieustannie się obwinia, że może jednak to ona była złą żoną, bo upominała Marka, wyciągając butelki po wódce zza łóżka. Nie sprzeciwiała się, gdy nie wyrażał zgody na wieczorne wyjście z koleżankami. Marek lubił sobie wypić i przez te wspólne lata wpędził ją chyba w ogromne poczucie winy, że chciała coś zrobić dla siebie – a przecież tak nie może być. Swego czasu nazywałyśmy ją Złotą Kurką, bo dobrze zarabiała na dyrektorskim stanowisku, ale w domu zachowywała się zupełnie inaczej. Nie była już wystrojonym chodzącym ideałem, tylko poddaną żoną biegającą przy dzieciach. Można by pomyśleć, że idealna pani domu: ambitna, troskliwa, cały czas na wysokich obrotach. Zgadzała się na wszystko i go zagłaskała. Ta sytuacja to nie jej wina. Ona doskonale potrafiła połączyć stereotyp matki Polki oraz wielkomięskiej bizneswoman. Zapomniała jednak o sobie. Czy ja też taka jestem? Chciałabym gryźć i krzyczeć... i co dalej?

– Myślę, że będą: rozwód, krew, pot i łzy. Jak już po roku czy dwóch, trzech latach dojdziecie do siebie – a może wcześniej – to będzie chciał wrócić. Zawsze chcą wracać. Najtrudniejsze to teraz przetrwać dzień, miesiąc, rok. To jest najgorsze – prawie niczym psycholożka najwyższej klasy.

Zastanawia mnie jednak, co powiedzieć dzieciom – że „tatuś się nimi znudził”? Tego niestety nie wzięłam pod uwagę. Mówię więc to, co

jako jedyne przychodzi mi na myśl:

– Zosia, ale nie buntuj dzieci przeciwko Markowi. Jak podrosną, to zrozumieją. W życiu nie dzieje się nic bez powodu, bez konkretnej przyczyny. – Jedyne, czego nie tłumaczę tym stwierdzeniem, to bólu dziecka. Ono zawsze jest niewinne. – To się odwróci dla was na lepsze – kontynuuję po chwili – jednak musisz w to uwierzyć. A on? Dopadnie go jakaś kara, zgryzota, ból. Nie wiem, jak to nazwać, ale życie mu pokaże, że to nie było fair. Pewnie nie teraz, może dopiero za piętnaście lat. Uważam, że powinnaś znaleźć punkt zaczepienia gdzie indziej, i nie chodzi mi o innego mężczyznę. Spędzaj więcej czasu z dziećmi, w plenerze. Zaczniij biegać, zapisz się na siłownię. A jak ci potrzeba spokoju, to idź do kościoła, nie do spowiedzi, tylko aby wsłuchać się w ciszę. Stawiaj sobie małe cele, na przykład w tym tygodniu porozmawiaj z dziećmi o tacie. Powiedz im, że ciebie również boli serce, że odszedł, ale wy musicie trzymać się razem. Wasza trójka jest teraz najważniejsza. Musicie się chronić i kochać nawet bez taty. W kolejnym tygodniu postaw sobie za cel wrócić do pracy! Choćbyś miała pracować ze łzami w oczach, musisz być wśród ludzi. Następny tydzień: zacznij sobie uświadamiać, że on tak chciał, a nie ty. On wybrał inną, inne ciało, inne problemy. To jest koniec, ale trzeba żyć dalej! Przecież jesteś taką piękną kobietą. Na pewno ktoś się tobą zainteresuje, tylko nie możesz się zapuścić! Krok po kroku.

Ale jestem mądra... Nie wyobrażam sobie, jak to może boleć, ale wierzę w jej lepsze jutro. Zawsze jest rozwiązanie, tylko niestety czasu nie można przyspieszyć.

– Otwórz, Zośka, oczy na znaki! – upieram się nadal. – One są wszędzie, trzeba jedynie chcieć je zobaczyć i pozwolić się prowadzić.

– Bez was bym sobie nie poradziła z tym wszystkim – odpowiada.

– Jutro porozmawiam szczerze z chłopcami. Teraz musimy żyć we trójkę, ale damy radę.

W jej oczach pojawia się odrobina nadziei. Nigdy nikomu nie można jej odbierać. Tak jak dziecko musi mieć matkę, tak każdy człowiek powinien być karmiony nadzieją i marzeniami.

– Wczoraj dzwonił i mówił, że chce wszystko naprawić – dodaje. –

Dziś napisał, że bez niego byłabym nikim, bo to on ściągnął mnie ze

Szczytna do Warszawy. Gdybym tu została, pewnie pracowałabym

w podrzędnym sklepiku, bawiąc się w księgową, a w stolicy on mnie

rekomendował i zaczęła się ta cała przygoda z pracą i pieniędzmi. – Łzy

ciekną jej po twarzy. – Przecież gdybym była głupia, to nie

osiągnęłabym takiego sukcesu. Przecież to ja ogarniam dom, dzieci,

przedszkola, w dzień pracuję, gotuję, sprzątam, w nocy też pracuję.

Nawet z urlopu macierzyńskiego wróciłam szybciej, bo marudził, że

brakuje pieniędzy. Przecież ja to wszystko dla nich! A teraz? Takie słowa? Czuję, że to jest zupełnie obcy człowiek, jakbym go w ogóle nie znała.

– A czy wasza rodzina już wie o tej sytuacji? – pytam, popijając biber.

– No pewnie. Teściowie mieszkają trzy piętra nad nami, to jak mają nie wiedzieć. Przychodzą do nas, kiedy chcą, więc szybko się zorientowali. Dwa dni temu teściowa prosiła, żebym do niego wróciła. Tłumaczyła, że to wszystko przez alkohol. Powiedziała, że zabierze go do placówki, w której dadzą mu „szczepionkę” dla uzależnionych, i to wszystko załatwi. Ale przecież nie ma szczepionki na ucziwość i miłość! A ja sobie nie wszczępię krztyny zaufania do niego! Już raz wszczępili mu wszywkę i co? Po miesiącu kazał ją usunąć! On sam musi chcieć się zmienić! I jeszcze ta kochanka!

– Wiesz, Zocha, że takie wahania nastrojów są normalne dla alkoholików. Jak jest trzeźwy, to was kocha, jak pijany, to nienawidzi. On sam musi coś z tym zrobić. Też uważam, że pogubił się chłopak właśnie przez nałóg. – Uważnie obserwując jej reakcję, mówię dalej: – Patologii u was nigdy nie było, ale alkohol pojawiał się zawsze. Zocha, on musi się najpierw z tego wyleczyć, dopiero potem z kochanki. Pytanie tylko, ile wytrzymasz w takim upokorzeniu.

– Ile wytrzymam? Ja go nienawidzę! Też popadam w skrajne emocje! Czasami jak na niego patrzę, to mam takie myśli, że mogliby mnie za nie wsadzić do więzienia. Muszę iść do psychiatry. Dopiero teraz łączę fakty: jak nie chciał jechać z nami na wakacje, sypiać ze mną, stał się odległy. I to wieczne pilnowanie telefonu. Tłumaczył, że to jego klienci, a on musi być na skinienie.

– Zośka, musisz sobie wszystko poukładać. Postanowić co dalej, bo mieszkanie, z tego co pamiętam, jest zapisane na Marka. Umów się z nim, żeby dawał wam jakieś pieniądze, i szukaj czegoś do wynajęcia.

– Ja o tym wszystkim wiem. Nie byłabym w stanie teraz na niego patrzeć. Najpierw muszę kupić jakiś samochód. Myślałam, że Joachim pomoże, ale w tej sytuacji chyba jednak nie. – Twarz jej pobladła jeszcze bardziej, a zatroskane oczy stały się wręcz przezroczyste.

– Poradzimy coś. Głowa do góry! Może ktoś będzie mógł ci pożyczyć auto. Kumpli mechaników u nas pod dostatkiem.

Uśmiecha się i rozpromienia na chwilę. Jakby otrzymała z nieba drobny ożywczy promień słońca. Braterstwo krwi. Obok zdrowia najcenniejsze ze wszystkich możliwych uczuć. Alkohol szumi w głowach.

Lena jak zwykle szkicuje coś w swoim notesie. Wygląda, jakby była w transie. Ręce szybko przesuwiają się po kartce papieru. Na przemian igrają ze sobą dwa kolory: czerwień paznokci i czerń grafitu. Kreśli koła, znaczki, czasami mocniej dociska ręką papier, innym razem ją cofa. Ołówek w jej dłoni wygląda niczym czarodziejska różdżka.

Pamiętam, jak kiedyś Marysia poprosiła ją: „Ciociu, wycaruj coś”.

Lena przybiegła do mnie z pytaniem, czy może namalować rysunek na ścianie w jej pokoju. Zgodziłam się. Pokój małej i tak czekał na remont, zaś farby i sztalugi leżały w garażu już od niepamiętnych lat. Lena, kiedy tylko miała czas, zawsze przyjeżdżała na Mazury. Moja przyjaciółka bez malowania „czuje się jak król bez berła”. Tworzyła pół dnia i wyczarowała. Na jednej trzeciej białej ściany (to znaczy szarej, bo biała ściana w pokoju dziecka z biegiem czasu przyjmuje kolor bliżej nieokreślony) widniała twarz elfa. Porcelanowej kobiety z zapadniętymi policzkami i wydłużonymi uszami. Ich końcówki były lekko rozmazane. Zlewały się z piaskowym tłem. Nie dało się określić barwy ani ułożenia włosów, ponieważ pozostawały za złotą mgłą. Wyraźne były jedynie oczy. Wyzierał z nich przenikliwy chłód. Jednak pod tą mroźną powłoką źrenic wyczuwałam ciekawość świata, która kryje się jedynie w oczach dziecka. Im bliżej podchodziłam do ściennego arcydzieła, tym mocniejszą czułam z nim jedność. To były moje oczy. Fizjonomia bliżej nieokreślona, ale oczy moje. Wokół elfiej matki szybowały chabrowe

motyle, były ich setki. Duże, średnie, małe. Niebieskie skrzydła

zawierały w sobie różne odcienie nieba: od bieli po burzowy granat.

Przyprószone brokatem, przypominały złotą ławicę ryb w błękitnej toni

mórz. Od razu zdjęłam firankę z okna, wiązka światła padła na ścianę.

Owady mieniły się złociście, podrywały do lotu.

Nie jestem w stanie dokładnie opisać tego malowidła. Brakuje

słów, aby ubrać wszystko w zgrabną całość. To tak, jakbyś chciała

opowiedzieć niewidomemu, czym jest paleta barw. Można nazywać je za

pomocą dźwięków, skojarzeń, ale i tak zawsze wizja takiej osoby będzie

odbiegać od naszej. Jedyne, co można zrobić w takiej sytuacji, to opisać

kolor poprzez temperaturę: granat – chłód, złoto – ciepło. Albo poprzez

uczucia, na przykład zielony – spokój, czerwony – pasja, czarny – złość.

Ja widziałam w tym błogi sen, marzenie, las, magię, spontaniczność,

kobiecość, głęboką wodę, falę, sztorm, fantazję, mech, witalność, ptasie

pióra; słyszałam szum drzew, czułam ten czar...

– Lena! – wykrzykuję, budząc się z zamyślenia. – Powiedz coś,

zawsze tak mądrze gadasz. Co o tym wszystkim myślisz? – Pociągam ją

za rękaw, bez skrępowań wyrywając z twórczej ekstazy.

– Ja? – Zaczyna podgryzać końcówkę ołówka. – Uważam, że już

dawno powinnyście oprzytomnieć – mówi w końcu. – Ty, Zośka,

wiecznie pracujesz, nawet nie masz czasu, żeby zdrowo zjeść. A tobie,

Jaśmina, grozi niebawem całkowite zabicie osobowości. Gadacie, że nie macie czasu, bo dom, bo rodzina, zawsze jest coś. Stare powiedzenie zen brzmi: „Powinieneś medytować dwadzieścia minut dziennie, chyba że nie masz czasu, wtedy godzinę dziennie”. Zaczniście w końcu rozmawiać ze swoją wilczycą. Ona jest waszym drugim obliczem. Głosem wewnętrznym, który odzywa się w chwili zagrożenia albo podczas snu. Właśnie ją teraz narysowałam. Popatrzcie jej głęboko w oczy i zobaczcie, czego tak naprawdę od was wymaga. Nie chce być trzymana na uwięzi. Wilczyca żyje w stadzie, chce być dzika i wyzwolona, ale tylko jedna samica na całe stado ma swego wybranka, któremu daje potomstwo. Gdy któraś jest słaba, inne ją podgryzają i zostaje wykluczona. Dlatego musi nieustannie dbać o swoją pozycję. To drapieżny ssak. Nie poddaje się bez walki. A wy? Skapitulowałyście już na samym początku. Wilczyca potrzebuje dużych przestrzeni, jest niestrudzonym wędrowcem, ma rozwiniętą mowę ciała. W ten sposób komunikuje się z innymi. Warczy, szczeka, wyje, skomle, piszczy.

Myślę o tym, że na kobiety od wieków urzędza się polowania – to zaczyna się od dnia porodu, a kończy zazwyczaj na śmierci. Stosuje się rozmaite techniki polowań, w zależności od rodzaju ofiary i terenu.

Wmówiona wina, poczucie karności, poddaństwo, strach, przesadna pokora, presja rodzicielska, „upupienie” we własnym domu. Najpierw się kobietę tropi, węszy, czy jest odpowiednia do udomowienia, potem sama zagania się w kozi róg. Naganiacze płoszą ją, wmawiając, że taka



jej rola, tak jest od wieków. Trzeba wiedzieć, czego się chce.

Najtrudniejsze to sprecyzować cel. Wtedy jest do czego dążyć

i wewnętrzna harmonia pojawia się sama.

– Życie jest jak dziwka: albo ty ją przelecisz, albo ona ciebie. Do

was należy decyzja. – Lena prawi jak opętana, ale poniekąd ma rację. –

Jaśmina! Poza domem i dzieckiem co masz? Czym się interesujesz?

Kiedyś pisałaś świetne opowiadania, nie bez powodu poszłaś na

polonistykę. Suszysz zioła, robisz wspaniałe herbaty. I co z tym

zrobiłaś?

Patrzy na Zośkę.

– A ty, Zosia? Poza pracą co robisz? Co ci sprawia radość? Nigdy

nie zadałaś sobie trudu, żeby odpowiedzieć na to pytanie. I dziś, w wieku

trzydziestu czterech lat, chcecie ode mnie się dowiedzieć co dalej?

Siebie zapytajcie. Wsłuchajcie się w swój wewnętrzny głos. Macie tyle

czasu. Teraz jest właściwy moment. Z różnych powodów odeszli od was

mężowie, więc spożytkujcie ten czas, nie wegetujcie od rana do nocy. –

Zbytńo pobudzona, wymachuje rękoma i coraz bardziej podnosi głos.

Prawie krzyczy. Osłupialiśmy. Niespecjalnie wiemy, o czym do nas

mówi. Jakby już zupełnie zdziczała w janowskich puszczech.

Kręci mi się w głowie od tych bajek. Mam w sobie tyle alkoholu,

że powoli zaczynam wierzyć w to, co Lena mówi. Widzę ją podwójnie,  
powieki mi opadają, a ciało jakby lewituje. Z oddali słyszę mowę drzew,  
przez otwarte okno wpada do pokoju ożywczy chłód. Jutro będzie padać,  
myślę.

Dzisiejsze

popołudniowe

lepkie

powietrze

zapowiada

nadchodzącą zmianę pogody. Co jakiś czas zrywa się silny wiatr

i porusza gałęziami. Spoglądam na segment z książkami. Kolory okładek

mimowolnie zaczynają się przenikać, tworząc abstrakcyjną maź.

Zmieniam stan skupienia ze stałego na płynny. Jestem jak gąbka

chłonąca każde słowo.

– Proszę, pokaż mi ten rysunek – odzywam się błagalnym tonem.

Kiedy Lena podaje mi zeszyt, nasze dłonie się stykają i przebiega

po nich prąd. Obie podskakujemy z wrażenia. W notesie widzę pysk

zwierzęcia. Lekko ściągnięta skóra na nosie i towarzyszące temu

zmarszczki wskazują na to, że namalowana wilczyca warczy.

W otwartym pysku widać zarysowujące się białe kły, które sprawiają

groźne wrażenie. Wysoko postawione uszy nasłuchują i górują nad

resztą ciała. Jest skupiona w najwyższym stopniu. Jej włos, krótki

i prosty, tworzy dość gęste pokrycie głowy; od czubka nosa po płat czołowy biegnie biała linia sierści. Sprawia wrażenie niedostępnej istoty. Jasne, przenikliwe spojrzenie dopełnia całości. Uwodzi nim.

– Uwolnij mnie! – słyszę z oddali stłumiony jęk.

Ukradkiem rozglądam się po pokoju. Dziewczyny dyskutują, ale do mnie dociera jedynie ten dźwięk. Nie mam ochoty wdawać się w dyskusję. Jestem zmęczona i pijana. Dzieje się coś niedobrego, skoro zaczynam słyszeć głosy, a bynajmniej nie są one człowieczą mową.

– Uwolnij mnie! Oswajaj!

Robi mi się niedobrze, mam lęki. Wybiegam do łazienki, ręką dociskając usta. Ledwo zdążam, otwieram sedes i wymiotuję. Nie muszę długo czekać. Nie podnosząc głowy znad muszli klozetowej, słyszę kroki. To Lena. Jak kogoś dobrze znasz i przebywasz z nim dosyć często, na pewnym etapie wtajemniczenia nie musisz go widzieć, aby wiedzieć, że to stąpanie należy do niego. Zmysły pozwalają rozpoznać, że te nieznaczne strzykanie kości czy odgłos miarowego kładzenia stóp na podłodze jest charakterystyczny dla tej właśnie osoby. Zatrzymuje się w progu.

– Chyba dawno nie piłaś. Daj, potrzynam ci włosy. – Z lekkim

zażenowaniem zbiera moje włosy w garść i odsłania twarz.

– Lena, ja słyszę jakieś dźwięki, mam w głowie głosy – mamroczę.

– Taki dziwny warkot, jakby ktoś siedział mi na ramieniu. – Coraz mocniej zaciskam dłonie na sedesie.

– Może raczej mówisz o pijackim bełkocie? – śmieje się, z gracją poprawiając pasek u spodni.

– Nie, to nie to. Opowiadałaś o tej wilczycy, a ja w środku czułam, jakby ktoś chciał mi trzewia wyrwać razem z sercem. Jakby uciskał klatkę piersiową i nie chciał puścić. I tak coraz mocniej, i mocniej. Jakby wsadził w usta knebel i zakleił taśmą. A ja chciałam mówić i jedyne, o czym myślałam, to żebyś już skończyła gadać, bo wyglądałaś, jakby ci na rozum padło.

– Przebudzasz się. Skoro już do ciebie przemówiła, to jej nie zagłusz – stwierdza kategorycznym tonem moja przyjaciółka. –

Nieustannie wsłuchuj się w ten głos. Uda się ją zrozumieć tylko wtedy, gdy zaczniesz podążać jej śladem. Biegaj razem z nią i odpoczywaj, niech zamieszka w tym domu, widziana oczami duszy. Widocznie twój pierwotny, dziki instynkt jeszcze nie umarł. Jesteś do uratowania, ale Zośka? Ona jest jak zamurowane okno opuszczonego domu.

Odwążyłabyś się przebić i wejść do środka? Można odkryć tam coś

cennego, ale jest i strach, że zawali się całość zmurszałego budynku. Nie wiesz, co znajdziesz. Możesz dużo zyskać, a jeszcze więcej stracić.

Z tobą jest trochę inaczej. Pewnie natura, którą się otaczasz na co dzień, nieświadomie pielęgnowała instynkt, więc jej słuchaj. A teraz umyj twarz, wyszoruj zęby i chodź do Zośki. Bóg wie, co ona tam robi.

Wstaję ostrożnie, podpierając się o zlew. Wsadzam głowę pod zimną wodę. Mrowi mnie cała twarz. Krople spływają mi po szyi, zatapiając się w głębokim dekolcie, ciekną od nadgarstków po łokcie. Dookoła mrok. Podnoszę głowę i patrzę w lustro. Znowu to nieszczęsne odbicie, jak w bajce o Śpiącej Królownie. Opowiadanie, która jest wpisana w archetyp życia każdej kobiety. Nie chcę być królowną, chcę być szamanką, krzyczę w myślach. Chcę decydować o swoim losie, choćbym miała cierpieć, wolę podejmować decyzje sama niż ze sztabem ludzi. Jeszcze jeden łyk wody i wracam na ziemię.

Uderzam się kilka razy dłonią w policzki, pozostawiając czerwone ślady. Zaczynam być głodna. A to pierwsza oznaka powracającej trzeźwości. Tylko co tu zrobić? Przecież nie mam niczego w lodówce. Schodzę na parter. Zapalam światło i widzę mój obraz – jakby Małgorzata mnie pilnowała. Jak dobrze, że jest tu ze mną.

Wyciągam czerstwy chleb, kroję na kromki, grubo smaruję masłem i wrzucam na patelnię. Na oleju kładę również ząbki czosnku, żeby się

zrumieniły i zmiękły. Masło zaczyna się roztopiać i powoli wsiąka w pieczywo, nadając mu odpowiednią puszystość. Oprószam ziołami prowansalskimi, lebiodką, czyli polskim oregano, solą, pieprzem i czekam, aż się całkowicie zarumienią. Pachnące grzanki układam na talerzyku. Na koniec wcieram w nie ząbki czosnku. Widzę, jak Małgorzata delectuje się tym zapachem. Zabieram jeszcze słoik z kiszonymi ogórkami, których wprawdzie nie przełknę w obecnym stanie, ale muszę myśleć także o innych. Chlebki, te bardziej przysmażone, oczyszczą moje jelita. Tak, te spalone przeznaczam dla siebie.

Wchodząc do pokoju, potykam się o wystający próg i o mało nie wyrzucam wszystkiego na podłogę. Dziewczyny są tak zaabsorbowane przeglądaniem jakiejś książki, że nie od razu mnie zauważają.

– To jest ta księga, którą znalazłaś na strychu? Czemu nam jej wcześniej nie pokazałaś? Wiesz, ile to może być warte? To *silva rerum*\* z 1893 roku! Okładka z prawdziwej bawolej skóry! I ponad pięćset stron zapisków i wycinanek! Przecież to jest już dobro narodowe! – mówi z zaciśniętym gardłem i zmaltretowaną od płaczu twarzą Zosia.

– Głupia jesteś! Zamiast sprzedawać, zrób z tego użytek! Zobacz, ile tu przepisów, mikstur, zaklęcia nawet są! – rzuca podniecona Lena. – Zacznij to praktykować! Przecież znasz się na ziołach, suszeniu,

sadzeniu, połącz jedno z drugim i otwórz punkt ziołolecznictwa!

– Kobiety, dajcie spokój. Przejrzałam tę księgę już kilkadziesiąt razy i te wszystkie rośliny oraz zaklęcia pochodzą z północnych rejonów Polski. Nie z Mazur. Tutaj była i jest inna kultura. Znalazłam parę zapisów stąd, bo moja babcia była trochę jak znachorka. Od sto pięćdziesiątej strony jest mowa o Warmii i Mazurach, ale na początku to przecież Białystok, Sejny, Terespol, Białoruś, Litwa, nie ten skrawek Polski. I jeszcze południowo-wschodnie rejony Podlasia, i chyba województwo lubelskie. – Zjadam spalony chleb niczym niewzruszona.

– I co? I ciebie nigdy nie interesowało, skąd to się wzięło? Jak tu dotarło? Po co babka to pisała? A jakie ty masz w ogóle korzenie? A ten stary list? Pamiętasz go? – Lena rozprostowuje podkurczone nogi i przesiada się na wiklinowy fotel pod oknem.

– Z tyłu książki jest zakładka, tam jest list.

Zosia szybko otwiera pożąłkłą kopertę. Czyta łapczywie.

Zapomina o swych przyziemnych problemach.

– Ale z niego wynika, że masz tak samo na imię jak twoja babcia i osoba, która napisała ten list. Ty też jesteś Jaśmina! Twoja babcia miała siostrę? A może przyjaciółkę?

– A skąd ja mam wiedzieć? – Rozzłoszczona lawiną pytań, na które nie znam odpowiedzi, znowu zaczynam pić biber. Coś mi tu nie pasuje – jak złośliwy giez przyczepiła się do mnie ta prastara bajda i co jakiś czas daje o sobie znać. W tym momencie z podwórza dobiegają przeraźliwy pisk i głuche pomrukiwania przerywane przeszywającymi dźwiękami. Przypominają płacz niemowlęcia. To ruda kocica, myślę, zrywając się z fotela.

Kocica siedzi na drzewie i obdziera je z kory. Jednym susem zeskakuje najpierw na mnie, potem na podłogę i z jękiem zaczyna biegać bez celu. Nie pomagają nasze nawoływania w stylu „kici, kici, chodź tu, nie bój się”. Oszalała wskakuje na Zośkę, rozszarpuje okładkę książki i biegnie na dół. Możliwe, że jest głodna. Miska ze świeżym mlekiem zawsze stoi dla niej w kuchni. Moja książka natomiast jest w opłakanym stanie.

Zosia delikatnie próbuje dopasować do siebie kawałki skóry, ale nic z tego nie wychodzi. Zwykłą igłą nie da się ich przebić, a jedynie można zniszczyć. Wkłada palec wskazujący pomiędzy grzbiet okładki a kartki. Chce naciągnąć na nowo nici, którymi była zszyta książka, jednak jej palec nieruchomieje, a na twarzy maluje się nieme osłupienie. Powolnym ruchem ręki zaczyna wyciągać jakiś papierek. Rozkłada go z pieczołowitością godną nabożeństwa. Czas się zatrzymuje. Najpierw



lewy róg zawiniątka, potem prawy, w końcu wyprostowuje pomięty świstek i naszym oczom ukazuje się mapa nakreślona granatowym tuszem.

– Nie wierzę! Przecież takie rzeczy dzieją się tylko w bajkach! – mamrocze moja jeszcze niedawno zdradzona przyjaciółka.

– Zobacz, Jaśka! Z tej strony meandrującymi liniami jest nakreślone jezioro, potem drzewo! Przecież to twój dom! Po lewej stronie jest jakiś duży obiekt. Kiedyś była tu karczma, prawda? Tam, gdzie teraz jest ten stary ośrodek! Pamiętasz? Wykopali, wywieźli stare fundamenty i zalali betonem. Teraz jest tam boisko do gry w tenisa.

Nie chcę tego przyznać, ale ma rację. Wyraźnie zaznaczona jest moja posesja, stara karczma i trzy drzewa w różnych odległościach. Nad każdym znajduje się symbol jabłka. Takie małe serduszko z ogonkiem i listkiem. Jedno drzewko stoi przed moim domem, drugie po prawej stronie na ziemi należącej do pana Mietka, a trzecie na wprost lasu. Ten trzeci symbol jest nakreślony pod drzwiami. Zostały one umieszczone na wgiętej linii małego wzniesienia. Obok nich widnieje czarny krzyżyk. Całość obrysowana wyraźnym kółkiem znaczy, że musi to być jakieś ważne miejsce.

– Jaśmina, kojarzysz to miejsce? Tam jest jakiś grób? – ciągnie

temat zafascynowana znaleziskiem Zosia.

– Tak. Chyba wiem, gdzie to jest. Tam nie ma żadnego grobu, stoi tylko stara kapliczka z Matką Boską.

– No to idziemy, co? Dziewczyny! A jeżeli tam jest skarb? Złoto?

To jesteśmy bogate! – z ufnością dziecka wypowiada słowa, w które chyba sama nie wierzy. Wspólnie z Leną wybuchamy gromkim śmiechem. Dawno nie widziałam tak podnieconej Zośki. Zachowuje się jak moja Maryśka na widok czekoladowych kulek z mlekiem. Euforia i przede wszystkim liczba procentów we krwi sprawiają, że szybko się ubieramy, wygrzebujemy latarki i zapominając o śpiących dzieciach, wybiegamy w poszukiwaniu wrażeń.

Czuję się jak w grze komputerowej. Nocną ciszę co jakiś czas przecina jak nożem szczekanie psów. Idziemy miarowym tempem, nasłuchując pohukiwań sów i wciągając w nozdrza zapach świerkowych igieł. Las inaczej pachnie nocą, inaczej za dnia. Kiedy jest widno, mazurskie knieje udają, że śpią. Obserwują nas, ludzi, i milczą.

Rozmyślają i wydzielają najpiękniejszy aromat. Gdyby można zamknąć go w słoiku i sprzedawać w wielkich miastach, zarobiłabym fortunę.

Żeby naprawdę poczuć las, trzeba doświadczyć go każdym zmysłem. Wzroku, węchu, dotyku. Aby się z nim zjednoczyć, należy

wyostrzyć szósty zmysł – intuicję. Ten najbardziej ukryty, o którego istnieniu nie każdy wie. Zwierzę ma instynkt, człowiek – intuicję.

Nadgorliwe korzystanie z rozumu sprawia, że jest tłamszona i w ten sposób umiera. Tak samo jest z mięśniami. Organy długo nieużywane zanikają. Czasami intuicja bywa sprzeczna z rozumem, dlatego człowiek ma wybór. Wolną wolę.

Znowu ją słyszę! Przerazona staję i oglądam się za siebie, ale oprócz moich śladów nikogo nie zauważam. Dziewczyny śmiejąc się, idą dalej. Ja spanikowana chcę zawrócić. Ich postaci oddalają się coraz bardziej, zostawiając na piasku odbicia stóp. Tam, gdzie powinny być moje, jest pustka. Gładki, niczym niezmacony układ maleńkich kamyczków.

– Nie zostawaj w tyle. Nie zawracaj! Twórz! – wyje w mojej głowie wilczyca.

Bez chwili namysłu, co sił w nogach gonię moje towarzyszki.

Biegając, potykam się, latarka wypada mi z rąk i roztrzaskuje się z impetem o kamień. Dookoła zapada władcza ciemność. Wraz z nastaniem nocy każde drzewo wyciąga konary do nieba i staje się większe.

Sunę na oślep. Znam dróżkę, więc mogę sobie na to pozwolić.

Biegnę tak, jakbym chciała wypluć z siebie całą złość. Pragnę złapać każdym kolejnym oddechem podmuch wiatru pochodzący z wnętrza lasu. Zziębnięta i mokra docieram do przyjaciółek. Opierając się ramieniem o Lenę, próbuję się uspokoić i złapać regularny puls.

– Jaśka! A ty gdzie przepadłaś? Zaczynałyśmy się już martwić.

Jesteś całkowicie wycieńczona – podtrzymując mnie, pyta Lena.

– Zgubiłam latarkę, nic takiego. – Nogi mam jak z waty. Dawno nie ćwiczyłam, jestem flakiem chyba nie do uratowania.

– Żadne zmęczenie fizyczne nie osłabia człowieka tak jak psychiczne – po raz kolejny grzmie w mojej głowie słowa wilczycy. Tym razem jednak dźwięk jest wyraźny, niczym niestłumiony i dziki.

– Wszystko w porządku. Dziewczyny, idziemy dalej. Za tym zakrętem po lewej stronie, o tam, za polaną, jest kapliczka. Mam nadzieję, że mapa nie kłamie. Jeżeli tam coś jest, to znaczy, że trzeba

zająć się tą zagadką na poważnie. Za dużo zbiegów okoliczności pojawia się w moim życiu, abym miała je bagatelizować.

Wydzieliły mi się endorfiny w ilości większej, niż przewiduje norma. Mojego zapału nie jest w stanie wyciszyć nawet najstraszniejsza z czarnych nocy. Jestem energiczna, czuję jedność ze światem, jakąś nieopisaną witalną moc. Im jesteśmy bliżej zaznaczonego miejsca, tym większe ogarnia nas podniecenie i lęk. Blask latarki powoli zaczyna wydobywać kształt białej murowanej kapliczki osadzonej na czerwonej podmurówce. Wewnątrz tego bielonego wapnem domku, za szybką znajduje się otwór z drewnianą rzeźbą. Płacząca Matka Boska trzyma na kolanach zmarłego Chrystusa. Nad ich głowami wisi duży czarny pająk. Nasze światło sprawia, że przestaje wić swoją pajęczynę i zastyga w bezruchu. Oczyma wyobraźni widzę, jak rzuca mi się na twarz i wysysa krew, a potem za pomocą tkanki zawija mnie w kokon i umieszcza na szczycie najwyższego drzewa. Tam przyklejona do gałęzi nie mogę wydostać się na zewnątrz w obawie przed rychłym upadkiem.

Czworokątny święty słupek stoi na skraju lasu, tuż przy drodze. Pieta jest skierowana ku nadchodzącym przechodniom, a za jej plecami rysuje się ciemny zagajnik. Rozglądamy się uważnie, ale nie widzimy żadnych drzwi. Jak barbarzyńcy zaczynamy dotykać chropowatej i zimnej kapliczki, klucząc w tę i z powrotem. Przychodzi mi do głowy myśl, że wewnątrz musi być ukryty zakamarek.

– Pokaż mapę jeszcze raz! – krzyczy zdenerwowana Lena.–

Wyraźnie z niej wynika, że to jest tu! W tym miejscu!

– Zobacz, ale ta linia pod drzwiami wskazuje, że one są na jakiejś górze. A tu nie ma żadnej górki – odpalając papierosa, kwituje Zosia.

Biorę od nich latarkę i wiedzioną przeczuciem zaczynam bacznie obserwować teren. Granat nocy nie pomaga. Odchodzę na bok. Nie śmiem wejść do lasu. Znam te drogi jak własną kieszeń, ale noc sprawia, że wychodzą wszystkie uśpione demony. Leśne stwory ożywają, przybierają kolosalne rozmiary, a zwierzyna idzie na żerowiska. Niczego tu nie ma. Zupełna pustka. Zaczynam wątpić w tę dziwną mapę, więc wracam do towarzyszek. Nagle słyszę pohukiwanie sowy i trzask gałęzi. Ze strachu kolejna latarka wypada mi z rąk, do tego leśna kuna przebiega drogę. Znika tak samo szybko, jak się pojawiła. Dostrzegam, że latarka stacza się z wolna w dół. Podbiegam, aby ją chwycić, i uświadamiam sobie, że skoro się turla, to znaczy, że grunt jest nierówny i muszę stać na jakimś nasypie. Maszerując w kierunku dziewcząt, mam wrażenie, że wkładam w to większy wysiłek. Zaczynam się spieszyć.

– Słuchajcie, musimy wejść w las. Chyba stoimy na jakimś nasypie.

Im

głębiej  
w niego  
wejdziemy,  
tym  
większe  
prawdopodobieństwo dojścia na pagórek – mówię bardzo pewna siebie.

– Zwariowałaś? Ja tam nie wejdę! Nie ma szans! – utyskuje Zosia,  
odpalając kolejnego papierosa.

– To wracajcie do domu. Znam tę okolicę. Nie zabłądzą. Ten las  
nie jest gęsty, kończy się przy drodze prowadzącej do miasta. Najwyżej  
przejdę go wzdłuż.

Jak powiedziałam, tak robię. Energicznie wchodzę na poszycie  
leśne. Odgarniam pajęczyny z twarzy. Czuję na sobie każdą gałązkę.  
Stopy miękko zapadają się w glebę, co daje uczucie lekkości.

– Jaka ty jesteś uparta! Jaśmina! Przecież cię nie zostawimy! –  
wykrzykują zaskoczone sytuacją.

Uśmiecham się do siebie. Doskonale wiedziałam, że pójdą za mną.  
Nie wiem, po co to robię. Idę tam, gdzie popycha mnie niewidzialna  
ręka. Tym wysiłkiem chcę pokonać pewne ograniczenia powstałe

w mojej głowie przez lata. Muszę stworzyć system myślowy niezgodny z dotychczas przyjętym punktem widzenia. Choćbym miała podważyć własne teorie o życiu, rodzinie, wychowaniu, dekalogu. Przechodząc obok tych wszystkich drzew, dostrzegam siłę lasu. Moc, jaką zawiera w sobie, jest ogromna. Jest jak mózg, który nie usypia. Najważniejsze to opanować strach. Zawsze boimy się tego, czego nie znamy.

Wszędzie roztacza się zapach szyszek i wysuszonego mchu. Nie słyszę nic poza rozmową dziewcząt i chrzęstem gruchotanych gałązek. Co jakiś czas zatapiamy się w ciszy.

– Aaaaaaaaaaaaa... – krzyczę przerażona, spadając z wysokości mniej więcej półtora metra. Obezwładniona ciemnością upadam na suche liście. Jęk wydobywający się z mojego gardła przywołuje na myśl najokrutniejsze fale zbrodni. Prawa noga omsknęła się na nieznacznym urwisku i wpadłam do niewielkiego dołu. Tak jak przewidywałam, teren, na którym znajduje się las, jest położony na płytach tektonicznych albo podczas wojny żołnierze usypali tu ogromny wał obronny.

– Jaśka, żyjesz? Nic ci nie jest? – Struchlała Lena świeci mi w oczy latarką.

– Nogi mam całe, zęby chyba też wszystkie, najadłam się strachu i piachu. Zejdźcie do mnie, bo dostanę zawału – odpowiadam.



Z wyrywającym się z piersi sercem ciężko przetykam ślinę i robię trzy kroki w tył. Łapiemy się kurczowo za ręce. Trzymamy tak mocno, że aż dłonie robią się wilgotne. Naszym oczom ukazują się stare drewniane drzwi. Są ledwo widoczne. Mój upadek spowodował, że zjeżdżając tyłkiem po ziemi, osunęłam piach i ściółkę, którą były pokryte. Widzimy jedynie mosiężną, zardzewiałą klamkę przymocowaną do spróchniałych desek. Wyglądają dostojnie w otoczeniu paproci, porośnięte bluszczem. Rozum podpowiada, że jest to zwykła ziemianka, w której za dawnych lat przechowywano pożywienie.

Znaleziona mapa wskazuje na potrzebę magicznego scalenia ze sobą tych dwóch światów. Nie musimy się odzywać, aby wiedzieć, że w myślach każda zadaje sobie pytanie, która z nas ma tam wejść. Dobrze wiem jednak, że ten rodzaj inicjacji muszę przejść sama. Mam duszę na ramieniu, a spięte ciało nie chce współgrać z układem nerwowym, nogi odmawiają posłuszeństwa. Żadna z koleżanek nie chce dać kroku do przodu.

Migawka: siedzę przed telewizorem w zimowy wieczór i oglądam kolejny odcinek *Muminków*. Złośliwy chochlik zamknięty w drzewie od pięciuset lat próbuje nakłonić grupę przyjaciół do wypuszczenia go.

W zamian oferuje spełnienie wszystkich marzeń. Grupa śmiazków wtyka w szczelinę w drzewie słomkę, przez którą wydostaje się na zewnątrz

chmura dymu, czyli złośliwy duszek. Przekonały ich pycha i pazerność.

Czy mnie ktoś przekona? Zaoferuje coś w zamian? Mam się bać? Jestem pyszna? Nie. Igranie z magią świata jest niebezpieczne. Podobno w każdych drewnianych drzwiach ukryty jest duch strzegący swego miejsca.

– Zbyt duży podjęłaś wysiłek, aby zboczyć z tej drogi. Zrób wyrwę w duszy i dobierz odpowiedni klucz – wyje dzika podświadomość.

– Tak, mów do mnie nieustannie, chcę tego, przejmij kontrolę nad tą sytuacją. Mów, wilczyco! – przemawiam po raz pierwszy do swojego wyimaginowanego wyobrażenia.

– Jesteś słowiańskim symbolem wędrującej kobiety, silniejszej od mężczyzny, ponieważ posiadającej absolutny słuch i węch. Pierwotna siła ukształtowała wszechświat i kosmos. Nieznane galaktyki oferują miliony migoczących gwiazd. Spadłaś na ziemię, aby dowieść swego istnienia. Czarty nie opanowują tych, którzy podążają własnym krokiem, boją się mierzyć z potęgą samoświadomości. Harmonijna dusza łatwiej przewycięża pasy i kamienie. Naucz się, jak poznawać siebie – mówi wilczyca gdzieś wewnątrz mojego ciała.

Chwytam klamkę i pociągam do siebie. Drzwi się nie poruszają.

Robię to jeszcze raz, ale bez skutku. Wilczyca mówiła o jakimś kluczu?

Bez chwili zastanowienia z impetem kopię nogą w próchno.

Roztrzaskuje się, zostawiając w powietrzu nieznośny pył. Teraz spokojnie mogę wejść do środka. Przyświecam latarką, aby dokładniej obejrzyć to miejsce. Panuje w nim zupełna pustka. Na środku leżą skrawki szkła, zapewne po słoikach. Schylona ostrożnie idę w głąb.

Odgarniam butem pozostałości po zapasach. W powietrzu unosi się swąd zgnilizny, znowu robi mi się niedobrze.

– Jaśka, chodź już! W krzakach coś się rusza! Boże, wyłaź stamtąd! – krzyczą przerażone dziewczyny. – Chłopcy sami w domu, cholera, wszystko przez ten bimber!

Rozglądam się po wnętrzu. Na samym końcu ziemianki znajduje się mały tunel. Nie widać go dobrze. Nie chcę tam wchodzić, jedynie kieruję światło latarki i dostrzegam małe, zakurzone, tekturowe pudełko. Nie wsunę jednak ręki, aby po nie sięgnąć. Wtykam więc w wyłom nogę i energicznym ruchem wykopuję znalezisko. Podnoszę je i chowam do kieszeni bojówek.

– Jaśka, wyłaź! Cholera, ktoś tu idzie! Rozumiesz? Ktoś na nas świeci! – Zdenerwowane dziewczyny coraz bardziej ściszą głos.

– Nic tu nie ma! – krzyczę. – Kupa ziemi i jakiegoś stęchłego gówna.

Umorusana wychodzę na zewnątrz. Jest gorąco. Pot oblepia nasze ciała, a przerażenie daje się we znaki. W oddali rysuje się postać, która zmierza w naszym kierunku. Jedną ręką oświeca drogę, w drugiej trzyma jakiś duży przedmiot. Zaczynamy uciekać. Wtem dobiega nas wołanie:

– Kto tu jest? Wyłazić, bo pozastrzelam was wszystkich, gówniarze przekłęci!

To listonosz Mietek ze swoją dubeltówką. Faktycznie, ten las to jego ojcowizna.

– Panie Mietku! Niech pan nie strzela! To ja, sąsiadka! Jaśmina! – krzyczę z całych sił, w myślach błagając, aby nie otworzył ognia.

Nagle pan Mietek zapada się pod ziemię, wydając dobrze nam znany osobliwy krzyk:

– Aaaaaa!

Bez wątpienia wpadł do środka ziemianki. Zawaliła się pod jego ciężarem. Biegniemy do niego i staramy się go wygrzebać z ziemi, potem otrząsamy się wszyscy z emocji i wrażeń.

Lena snuje opowieść o tym, jak znalazłyśmy się w tym miejscu.

Kłamię, że dotarliśmy tu w poszukiwaniu gałęzi na ognisko, a pan

Mietek tak nas przestraszył, że zgubiłyśmy wszystkie ze strachu. Sąsiad

dziwi się, że zawędrowałyśmy aż tak daleko, ale daje się przekonać tym

argumentem. Lena życzy sobie wziąć co lepsze deski z połamanych

drzwi, bo, jak twierdzi, będzie musiała coś stworzyć po tej nocy.

Wspólnie i bezpiecznie wracamy do naszych domostw.

– Strachu napędziłyście co niemiara! Co wy tu robiłyście,

dziewczyny? Myślałem, że znowu kradną mi drzewo z lasu, a to wy? Co

wam do łbów strzeliło? O tej godzinie? Dochodzi już prawie północ!

Jakby wam ktoś nogi poprzekręcał, to może byście rozumu trochę

zjadły!

– Panie Mietku, znam ten las od małego – odzywam się

niewzruszona.

– Las znasz, ale ludzi nie – odpowiada tonem ojca karcącego córkę.

Wymachuje przy tym strzelbą. Wszyscy w okolicy wiedzą, że ten stary

sprzęt już nie odpala, a pan Mietek po prostu dostraja swoje ego do

własnych potrzeb. Stwarza pozory groźnego leśniczego na włościach.

Najśmieszniejszy jest w okresie letnim, kiedy zjeżdżają tutaj spragnieni

zieleni turyści. Wtedy dumnie jak paw przechadza się przed nimi na

plaży i w lesie, trzymając u boku groźnie wyglądającą broń. – Żona

ukwasiła mleko. Przyjdź, sąsiadko, jutro z rana, to na bóle głowy  
będziecie miały. A teraz do domu i w pielesze, to wam głupota przejdzie  
– mówi, odprowadzając nas pod sam dom.

Chłopcy śpią jak zabici. Kładziemy się do łóżek i zasypiamy jak  
niemowlęta. Brudne, szczęśliwe i głodne życia.

\* *Silva rerum* (łac.) – dawna księga rodzinna lub domowa zawierająca np. informacje o członkach rodziny, wydarzeniach w okolicy, dowcipy czy przepisy kulinarne.

Wstałam razem z kurami, czyli o piątej trzydzieści. Rozum  
odmawiał posłuszeństwa. W głowie bulgotała strawa wczorajszej nocy.  
Nieopisany ból i świst w prawym uchu towarzyszyły mi aż do samej  
łazienki. Weszłam pod prysznic. Zmyłam resztki nocnych emocji  
i odgruzowałam ciało, wcierając w nie waniliowy balsam oraz  
nakładając na twarz odpowiednią porcję kremu. Stałam naga i czysta  
przed lustrem. Kątem oka zauważyłam, że moje dotąd jędrne i młode  
pośladki są podatne na prawo grawitacji, czyli mam po prostu zwis.  
Byłam zaskoczona. Każdy z nas ma części ciała, które uważa za lepsze

od innych. W moim wypadku pośladki zawsze górowały nad wszystkim.

A tu proszę, jaka niespodzianka. Uświadomiłam sobie, że mam w końcu trzydzieści cztery lata i one z powodu swojego wieku mają prawo wisieć.

Ścisnęłam je w dłoniach i puszczałam, sprawdzając, na ile są do odratowania.

– Regularnie ćwicząc, nigdy się nie zestarzejesz. Twój duch pozwoli ci czuć się krzepką i zdrową. Problem jest w twojej głowie, a nie w ciele. Zorganizuj sobie czas, bo jest tylko twój.

– Boże! – wyjąkałam ze zdziwieniem, gdyż znowu to „coś” zawyło w mojej głowie. – Przecież nie jestem pijana...

Włożyłam czystą, zwiewną sukienkę. Rozczesałam włosy i mokrym pozwoliłam opaść na ramiona. Nie używałam suszarki, wolałam chodzić spać z jeszcze wilgotnymi. Dobrze o nie dbałam, uraczając je maseczkami z żółtek jaj kurzych bądź naparem z rozmarynu własnej roboty. Ta druga roślina jest zbawienna przy pielęgnowaniu słabych włosów. Zasadziłam ją w doniczce dwa lata temu. Nie lubi temperatur niższych niż minus trzy stopnie, do tego wydziela przyjemny, ciepły, śródziemnomorski zapach lata, chociaż niektórzy czują w tej woni gorycz jak smutek. Zdobí kuchnię. Stojąc przy oknie, osiąga już prawie metr wysokości!

Sporządzając napar, jedną łyżeczkę ziela zalewam połową szklanki wrzątku i zaparzam przez piętnaście minut. Moczę opuszki palców w roztworze i delikatnie masuję nimi skórę głowy.

Czasami

przygotowuję kąpiel ziołową. Zalewam wrzącą wodą garść ususzonego bądź jeszcze świeżego rozmarynu, czekam, aż woda ostygnie, i zanurzam się cała. Nadaje skórze jędrność, odkaża ją, a jednocześnie działa uspokajająco. Rozmaryn nie bez powodu był atrybutem bogini Afrodyty jako symbol miłości i płodności. Często jego gałązki wtykano w warkocze młodych dziewcząt. Tyle możemy nauczyć się od matki natury. Dała nam możliwość posiadania wiedzy o jej planach, dlaczego więc nie wykorzystujemy tego odpowiednio? Cały czas tylko praca, a jak już mamy chwilę, to dopada nas bożek leń i zamiast go przepędzić, pieczołowicie dopieszczamy, siedząc przed telewizorem.

Wkładam brudne ubrania do pralki i wyczuwam jakiś twardy przedmiot. To moje pudełko! Szybko wyciągam je z kieszeni spodni. Zapomniałam o tym magicznym przedmiocie, a przecież wczorajsze zdarzenia to nie był sen. Siadam na podłodze, przecieram dłońią wierzch



kartonika. Jest potwornie brudny. Biorę czystą ściereczkę i staram się oczyścić go tak, aby móc odczytać widniejący na nim napis.

Pudełko w kolorze brunatnym z powycieranymi brązowymi bokami wygląda na stare. Jednak nie rozsypuje się w rękach.

– *Vis Vitalis Tarot* – głośno czytam i wyjmuję karty z pudełka.

Wysypują się na kolana, kurząc całe pomieszczenie. Widnieją na nich przeróżne postaci i symbole. Wędrujący człowiek z zawiniątkiem w ręku, miecze, żółte kielichy, kobiety, coś na kształt diabła... Nie rozumiem ich znaczenia. Oglądam dokładniej pudełko. Na jego wewnętrznej stronie jest kolejny napis. Kieruję się w stronę okna i z trudem odczytuję: – *Per aspera ad astra*. – Na studiach nie byłam najlepsza z łaciny, a po latach nauki w szkole zapomniałam o niej całkowicie.

Niektóre karty mają poprzepalane rogi, inne całkowicie naderwane brzegi. Gdzieś tam pojawiają się plamy jakby z tłuszczu czy starości, a wyblakłe kolory dopełniają magicznej aury. Dookoła panuje cisza uspionego domu. Za oknem widać chmury, które co chwila zakrywają słońce, sprawiając, że mój wiejski świat migocze. Pędzą po niebie jak szalone – czułam przecież, że idzie na zmianę pogody.

Odnoszę wrażenie, jakby ktoś mnie wybrał spośród innych istot.

Przypadkowość pewnych sytuacji przybiera zadziwiające tempo. Zawsze mi mówiono, że mam parapsychologiczne zdolności oraz że moja intuicja wybiega znacznie przed rozum. Przespałam ten moment, ale wrócił do mnie teraz i tutaj. Ktoś mówi do mnie znakami wyrastającymi z pola życia. Mam wybór: mogę odłożyć je na półkę i udawać, że nic się nie wydarzyło, albo na przykład poznawać tajniki tarota i zgłębiać swoją przyszłość. Usłyszałam kiedyś, że stawiać świadomie tarota to jakby zaprosić diabła do domu. Wysyłasz pole magnetyczne do świata zamieszkanego przez demony, anioły i zaczynasz zwoływać je do siebie. To, czy nie zwariujesz, zależy tylko i wyłącznie od twojej psychiki, której musi niestety pilnować rozum. Jeżeli jest zbyt słaby, aby odierać ataki najeźdźców, mogą pojawić się ofiary.

– Prawdziwą sztuką jest wygrywać tą talią kart, którą otrzymało się na początku rozdania, a nie wyłożyć wcześniej wyciągnięte asy – przemawia wilczyca.

Powoli żołądek zaczyna przyklejać się do kręgosłupa, więc wkładam karty do pudełka. Niedbale wrzucam do torby i wychodzę czym prędzej w odwiedziny do pana Mietka. Wczoraj oferował zsiadłe mleko, dobre i to. Nim pozostali się obudzą, coś wymyślę. Ruda siedzi przed domem na wierzbie. Machając ogonem, bacznie mnie obserwuje. Dziwne, że nie zastałam jej w kuchni. A może przestraszyła się naszej nowej lokatorki? Drewniana Małgorzata pewnie została już odpowiednio

potraktowana pazurkami. Bunia kręci się wokół nóg, dziwnie poruszona poszczekuje. Wspólnie przemierzamy drogę do sąsiada. Na piachu są jeszcze widoczne wczorajsze ślady naszych stóp.

– Witam, panie Mietku! Ja po obiecanie mleko, bo nie mamy nic do jedzenia, a do miasta pojedę dopiero za kilka godzin – dukam, opierając się o płot.

– No, jak nic nie macie, to chodź, Jaśminko. Wioletka twaróg świeży urobiła, a że prosiaka cztery dni temu ubiliśmy, to i świeże mięsko jest. Wchodź, młoda, wchodź!

– Ale ja naprawdę nie chcę robić kłopotu.

– Jakiego kłopotu? Przecież wy jak nasze dzieci zza miedzy.

Swoich nie mamy, to wam damy, a co zostanie, sprzedam. Co dobre w świat rzucę, to ze zdwojoną mocą do mnie wróci. – Uśmiecha się, ukazując żółte zęby, ale nie ma to dla mnie znaczenia. Jego spracowane ręce oraz roziskrzone oczy świadczą o stanie ducha.

– A tak zapytam z ciekawości, czy pan wie coś może o moich dziadkach? Skąd tu przybyli, może babcia coś opowiadała? –

Badawczym spojrzeniem lustruję jego każdy ruch.

Z uwielbieniem kroi twaróg i mięso. Widać, że przykłada do tego ogromną wagę. Wyciąga pachnący zbożami okrągły chleb, zawija w ścierkę i wkłada do koszyka. Nie odpowiada na moje pytanie, celebrować chwilę obcowania z pokarmem. Okruchy sera zbiera z deski i zjada. Nieskrępowany, prawdziwy mazurski dobry duch zamieszkuje jego serce.

– A czemu mnie o to pytasz? – odpowiada zdziwiony. – Przecież masz rodziców, niech oni ci coś szepną. Ja byłem podrostkiem z mlekiem pod nosem. Jakieś strzępy historyjek mam w pamięci, ale i one już są zamazane. Rodziców pytaj, póki żyją. – Oblizuje łyżkę z dżemu malinowego.

– Tak, wiem, ale swoich zawsze najtrudniej jest o coś podpytać. Mam jakąś barierę, jakbym nie chciała się przed nimi uzewnętrzniać. Tu nie chodzi o brak więzów rodzinnych, ale o wstyd przed okazaniem głębszych emocji. – Wbijam wzrok w podłogę.

– Ze mną rozmawiasz, a z nimi nie? Sama sobie robisz krzywdę, bo niedługo ich zabraknie, tak jak kiedyś twojej babci.

Po tym zdaniu staję się jeszcze bardziej uważna, bo mówi tak, jakby wiedział o liście. A przecież skąd?

– Wiem tylko, że twój dziadek przywiózł ze sobą tutaj jakąś  
niezwykłą historię. To znaczy on był historią. Jego ojciec, czyli twój  
pradziadek, w 1930 roku został oskarżony o działalność rewolucyjną  
podczas wojny domowej w Rosji. Wysłano za nim do Grodna list  
gończy. W obawie przed rychłą śmiercią i pojmaniem najstarszego syna  
kazał trzynastoletniemu wówczas Frankowi uciekać do ciotki  
mieszkającej w Białymstoku. Twój dziadek dostał chleba, słoniny, rubli  
i dalej musiał radzić sobie sam. Wycieńczony kilkudniową wędrówką,  
będąc już przy samej granicy, schował się w krzakach na polu i zasnął.  
Nagle pod wieczór obudził go płacz. Otworzył oczy i zobaczył  
w niewielkiej odległości mężczyznę i kobietę, którzy kopali łopatą  
głęboki dół. Twój dziadek podszedł bliżej, aby im się przyjrzeć. Para  
zakopywała zwłoki chłopca. Trzęsąc się z rozpacz, zasypywali dół  
suchą, lipcową ziemią. Franek czując w nozdrzach pył, nie wytrzymał  
i kichnął. Hałas zwrócił na niego uwagę ludzi. Był głodny, umorusany  
i wystraszony. Nie miał siły uciekać. Kobieta z brudnymi od  
wykopywanej ziemi paznokciami podeszła do niego i dała mu wody.  
Pogłaskała go po głowie i zaczęła wypytywać, co robi sam w tak  
niebezpiecznym miejscu. Twój dziadek opowiedział jej swoje losy, po  
czym kobieta przytuliła go i obiecała pomoc. Poprzedniej nocy zmarł ich  
syn. Był chory i nikt nie potrafił postawić właściwej diagnozy. Chcieli  
przekroczyć granicę, by dotrzeć do pewnej znachorki mieszkającej  
w Polsce, gdyż w niej pokładali ostatnie okruchy nadziei. Niestety nie  
zdążyli. Przekraczając więc teraz linię graniczną, przedstawili

Franciszka jako własne dziecko i zawieźli tam, gdzie go oczekiwano. Jak by dzieje twojego rodu wyglądały, gdyby nie ten tragiczny zbieg okoliczności? Może i ciebie by tu nie było. Coraz to młodsze pokolenia nie znają swych drzew genealogicznych, więc cóż się dziwić, że korzeni nie mają.

Pan Mietek robi znak krzyża nad koszykiem i podając mi, stwierdza:

– Można zabić w człowieku duszę, ale nie można pozwolić jej odfrunąć.

Wataha wilków pędzi w mojej głowie. Są rozwścieczone i żądne wiedzy. Mój dziadek był z Białorusi, więc już teraz rozumiem, dlaczego w księdze jest tyle wschodnich znaczeń, słów i symboli. Może to on ją przywiózł i spisywał? Pewnie babcia kultywowała ten zwyczaj po jego śmierci. A może był czarownikiem, zielarzem? Dlaczego to kobiety parają się takimi zajęciami, a nie mężczyźni? Przecież oni też mają jakąś intuicję. Dziadek przebył taką drogę, aby się uratować, a ja? Nie muszę nigdzie uciekać, a stale marudzę.

Na ogół każdy pragnie wiedzieć, gdzie są jego korzenie, skąd się wywodzi. Jak nomadowie od tysięcy lat przemierzamy przestrzenie najróżniejszymi szlakami, szukając bezpiecznych miejsc do założenia

gniazda. To, co obecnie nazywamy kulturą, przekazywane było dawniej drogą ustną. A zanim człowiek wynalazł papier, gestykulował, opowiadał. Bez względu na rasę czy płeć uniwersalną potrzebą było dążenie do zachowania i przekazania potomnym historii swojego rodu lub pewnej sekwencji słów służącej zapamiętaniu najistotniejszych form magicznych, rytuałów. Dlaczego te myśli znowu do mnie powróciły?

Zadumana siedzę przy stole, popijając kefir. Pan Mietek jest prostym człowiekiem. Mimo że przesiąknął na wskroś ludową mądrością, nie boi się świata. Powierza mu cały swój inwentarz, ponieważ wierzy w to, co mówi, jest szczery i ufny. Wydaje mi się, że nie odnalazłby się w wielkim świecie. Ale tak właściwie co to jest ten wielki świat? Samochody, maszyny, urządzenia, drogie ubrania? Nie, to jest dusza. Wielka dusza zamieszkuje każdy wielki świat, bez względu na liczbę zer na koncie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak pokrętne mogą być losy ludzkie. Nurtowało mnie jeszcze jedno pytanie:

– A wie pan coś na temat tej kapliczki, obok której wczoraj się spotkaliśmy? Dlaczego ludzie akurat tam ją postawili?

– Kapliczka? Moje drogie dziecko, pamiętasz tę legendę o jabłoniach i niewiernym mężu?

Siada naprzeciwko mnie i zgarnia dłonią okruszyny chleba ze

stołu. Wsypuje do glinianej miseczki, zalewa maślanką i pije. Jak ksiądz celebrował moment pojednania z Chrystusem, tak on delektuje się każdą krztyną strawy. Ten gest jest tak naturalny, że aż niewiarygodny. Ze swoimi zmarszczkami, krzywymi zębami, spracowanymi dłońmi nie ma w sobie ani grama plastiku, nie jest nadmuchany jak balon powietrzem, wypchany trocinami. Żywa prawda. Ta prostota duszy obezwładnia mnie przy każdym spotkaniu.

– Najprawdopodobniej w tamtym miejscu mieszkała Wardęga.

Teraz znajduje się tam jej mogiła. Po śmierci ludzie zakopali ją za lasem, z dala od chrześcijańskiego cmentarza. Przebili serce osikowym kołkiem, jednak po tym zdarzeniu krowy i kozy w naszej wsi przestały dawać mleko. Mówiono, że duch Wardęgi wszystko wypija, a nasycony gania je po polach i straszy. Niemowlęta płakały po nocach, nie dając spać strudzonym rodzicom, dzwon w kościele sam wybijał północ.

Zawołano księdza. Początkowo chcieli ją wykopać i spalić, ale nikt nie podjął się tego zadania, więc z cegieł jej chatki postawiono w tamtym miejscu kapliczkę. Nawet można dopatrzeć się fundamentów, ale praktycznie już wszystko ziemią przykryte. Kiedy ksiądz ją błogosławił, krople święconej wody syczały i od razu zamieniały się w parę, w siwy dym, tak jakbyś gorącą kuchenkę poliała kranówką. Przestraszeni ludzie uciekali do kościoła. Jednak po tym zdarzeniu wszystko wróciło do normy. Społeczność odzyskała spokój.



Nie wierzę w to. Nie mogę wydusić z siebie żadnego słowa.

W końcu mówię tylko:

– Panie Mietku, jest pan jak chodząca encyklopedia. Powinien pan spisywać gdzieś te wszystkie informacje, żeby się nie rozproszyły, nie uciekły, żeby zostały dla potomnych.

– Pamiętaj, że przydrożne kapliczki więcej warte niż złoto kościołów – odpowiada, grożąc palcem. – A moje bajdurzenie? Eee, na co komu. Kto by tego chciał słuchać? Teraz tylko telefony, komputery, nie ma czasu na modlitwę, na nic nie ma czasu. Ja wolę płynąć swoim niezmaconym nurtem. Im jestem starszy, tym bardziej widzę źródło, z którego wypływam i do którego przyjdzie mi wpłynąć na nowo.

Zabieraj jedzonko i leć, bo twoi goście pewnie już głodni. A jak trzeba pomóc w obejściu, to mów. Teraz sama jesteś, cała wieś gada o tych śrubach w nodze. – Podaje mi piękny wiklinowy kosz wypełniony po brzegi jedzeniem.

Serdecznie

dziękuję

i wychodzę,

otumaniona

nowymi

informacjami. Przyspieszam kroku, przecież muszę jeszcze pojechać do

Joachima. Ruda dalej siedzi na wierzbie. Może chce przejąć od niej energię? Pamiętam, jak ją sadziłam. Staraliśmy się o dziecko, a w myśl staromazurskich wierzeń wierzba jest symbolem budzącego się życia. Drzewem płodności. Prawdziwe palmy wielkanocne powinny być wykonane właśnie z gałązek wierzbowych. W Niedzielę Palmową chłostało się i błogosławiło nimi zwierzęta wypędzane na łąki po raz pierwszy na wiosnę. Im więcej „bazich kotków” zostało zjedzonych przez bydło, tym większy urodzaj i dostatek miał panować w gospodarstwie w danym roku. Właśnie pod wierzbę zaganiano wszystkie zwierzęta, aby pod jej gałązkami nabrały mocy witalnej i rozrodczej. To drzewo ma bardzo silne pole energetyczne, którym leczono bezpłodność u kobiet, a ciężarne zносиły do niego prośby o szybki i szczęśliwy poród.

Wiem też, że drzewami opiekują się różne duchy, dlatego na ten gatunek trzeba uważać. W spróchniałych gnieźdzą się czarownice i chmurniki. Te drugie są szczególnie niebezpieczne, ponieważ schodzą na ziemię i wplatają się w zjawiska atmosferyczne. Kierują chmurami, potrafią zesłać na ziemię deszcz i grad. Najczęściej siedzą w duszach mężczyzn przepowiadających pogodę. Podobno przed burzą pochłaniało ich niebo i odbywali tam walki ze smokami powietrznymi, chroniąc przed nimi ziemię. Właśnie dlatego chmury burzowe często utożsamiane są ze złymi mocami.

Niebo nad moim domem przybiera granatowy odcień. Fale coraz szybciej biją o brzeg Wałpusza, tak jakby chciały wzbić się jak najwyżej. Ich szum współbrzmi z szelestem lasu. Te dwa światy działają na zasadzie symbiozy, każdy ma swój rewir, jedynym posłannikiem między nimi jest wiatr.

Migawka: mam sześć lat, słońce na ciemniejszym tle chyli się ku zachodowi. Rodzice wstawiają samochód dziadków do garażu w obawie przed uszkodzeniem. Ponad wzburzonym jeziorem widać w oddali przechodzącą burzę. U nas jeszcze nie pada. Słychać gromy. Są potężne. Obezwładniają całą okolicę. Wiedziona jakimś dziwnym dziecięcym instynktem otwieram furtkę i wychodzę poza ogrodzenie. Oczarowana potęgą przyrody wywołującą we mnie szacunek dla niej podążam nad brzeg jeziora. Czuję się jak atmosferyczna niewolnica, a zarazem królowa żywiołów. Maleńki embrion na mapie świata. Słyszę, jak ktoś śpiewa. Nie myślę, nie rozważam, po prostu czuję i nasłuchuję. Już z oddali zauważam drobne połyskujące świecidełka, wstążki zaczepione na trzcinach. Iskrzą się oświetlane co jakiś czas promieniem słońca. Przyciągają mnie jak magnes. Moczę sandały, zanurzam małe stópki, a groźne bałwany rozbijają się o moje kolana. Wyciągam rączki, aby schwycić jedną z fal, ale jest za daleko, więc robię krok w przód i woda zaczyna pokrywać mój tułów. Znowu nie mogę jej dosięgnąć. Nóżki zapadają się w muł. Ktoś śpiewa. Chwytam trzcinę, jakbym chciała się na niej podciągnąć, ale łamie się w moich paluszkach. Jestem cała

przemoczona, tymczasem śpiew jest coraz głośniejszy. Nogi grzęzną,  
jest zimno. Wstążki furkoczą poruszane silną bryzą. Śmieją się ze mnie.  
Jestem bezsilna, chcę krzyknąć, ale ktoś pozbawił mnie głosu. Jak we  
śnie.

Wtem zrywa się wichura, porywa złotka zawieszzone na sitowiu.  
Ktoś przedziera się przez szuwały. Nagle staje przede mną ogromny  
dziad z papierową twarzą. Jest biały jak mąka. W brodzie ma leśne  
igliwie, a w zmarszczkach smugi ziemi. Oczy żółte i wielkie, włosy siwe  
i splątane. Przez te kilkanaście sekund nie mam serca, stanęło osłupiałe.  
Uciekam szybciej, niż weszłam w topiel. Przed ogrodzeniem stoi babcia  
i nawołuje mnie. Zapłakana wpadam w jej ramiona i chowam się w nich  
jak w ciepłej pościeli. Odgarniając starczą ręką moje posklejane kosmyki  
włosów, wysłuchuje pacholącego bełkotu, po czym mówi:

– Topielica powiesiła świecidełka na oczerecie, w ten sposób  
chciała zwabić do swego królestwa nieostrożnych ludzi. Łatwo można ją  
rozniewać, jednak lubi psocić i topić. Śpiewem wabił cię jej mąż  
Wodnik. Gra w głębinach na rybich ościach. A ten dziad uratował ci  
życie. To Leszy. Demon lasu. Władca wszystkich zwierząt. Jego wzrost  
dostosowuje się do drzew, które go otaczają. Zakochał się w Topielicy  
i podczas burz chodzi nad brzegiem jeziora, myśląc, że ją zobaczy.  
Miałaś dużo szczęścia, że cię spotkał. Leszy wyczuwa w ludziach, jaki  
mają stosunek do przyrody. Wtedy albo im pomaga, albo ich karze.

Widocznie Topielica, łasa na jego zaloty, wypuściła cię z grzędawiska.

Pamiętaj, aby nigdy więcej nie robić takich głupot, bo to może się źle skończyć. Nie wszystko złoto, co się świeci! A teraz chodź się przebrać, żeby mama cię nie zobaczyła. Jutro skoro świt trzeba będzie podziękować Leszemu za ocalenie życia. Zaniesiemy do lasu tę trzcinę ze złotą tasiemką, którą trzymasz w ręku.

Faktycznie, z przerażenia zapomniałam, że przeniosłam cząstkę ich świata do swojego.

– Musisz podzielić się z królem lasu Topielicą – kontynuuje babcia. – W końcu ona ciebie wybrała. Jego nie może wciągnąć, choć bardzo tego pragnie. Gdyby to zrobiła, zachwiałaby wszelkimi prawami przyrody. – Bierze pasemko i chowa do kieszeni fartucha.

Nazajutrz kiedy stoję w środku lasu, silny wiatr porywa moją zdobycz i zanim zdążam włożyć ją w ziemię, szybuje wysoko i znika z pola widzenia.

Rozkładam śniadanie, wolno wyjmując smakołyki z kosza. Ile w nich ciepła i dobra – ot, zwyczajna sąsiedzka pomoc. W takich momentach staram się doceniać to, co mam, gdyż nigdy nie wiadomo, czy za rogiem nie czai się zła nowina, która zburzy, tak jak Zosi, cały dotychczasowy porządek. Ruda wspięła się po szafce i weszła

drewnianej Małgorzacie na głowę. Siedzi na krawędzi deski i spogląda na mnie. To jest widok nie do podrobienia. Płomiennoruda Małgorzata z moim kotem na głowie i tym namalowanym w rogu czarnulkiem.

Zbratały się. Kocica czuje, że ten obraz ma dla mnie duże znaczenie, inaczej już by go podrapała. Miedziany żywy kot i mahoniowa Anielica. Niech obie, jak nocni stróże, opiekują się mną i moimi przyjaciółmi, bo bez nich życie jest jak kruchy chleb. Nie nasycisz się.

– Cześć! – Wewnętrzny monolog zaburza Zosia, rozbijając ciszę panującą w kuchni. – Jaśka, przemyślałam propozycję zatrzymania się u ciebie. Zostanę, ale nie mogę tak siedzieć beczynnie. W poniedziałek, najdalej we wtorek, wracamy do Warszawy. Koleżanka z pracy dzwoniła. Mówiła, że ma trzypokojowe mieszkanie do wynajęcia. Jest stare, z lat siedemdziesiątych, jeszcze po jej dziadkach, ale jeżeli chcę, mogę się wprowadzić. Wysoki szary blok. Podobno trzeba zrobić tam porządek. W zamian za usunięcie mebli i niepotrzebnych gratów mogę tam pomieszkać bez płacenia czynszu przez kwartał. To dobra wiadomość, dlatego muszę kuć żelazo, póki gorące, dopóki mam urlop i chłopcy nie chodzą do szkoły. Jak będziesz dziś w szpitalu, zapytaj Joachima o ten samochód. Może jego kumple mają coś do sprzedania? I chciałabym, żebyś ze mną pojechała. Proszę. Pomożesz przy dzieciach. Zostaw Marysię u teściów do końca tego tygodnia. Lena ma jakiś plener, więc nie może ze mną pojechać. Wiem, że to głupia sytuacja, ale skoro mążonek w szpitalu, to i tak nie będziesz musiała się nim zajmować.

Proszę cię. Muszę wrócić po swoje rzeczy do Marka, nie dam rady sama.

Pomóż!

Najwidoczniej wiadomość o mieszkaniu ją uskrzydliła.

– Zosiu, postaram się, ale nie wiem, czy powinnam teraz wyjeżdżać. Przecież nie mogę tak zostawić Joachima.

– No tak. Matka Polka zawsze słucha mężunia, a nie samej siebie.

Obiadki ugotuje mu mamusia, a rany na chwilę obecną nie ty będziesz opatrywała, więc proszę cię o pomoc. Przecież to nie koniec świata!

– Zrób to, co chcesz zrobić – nawołuje z mojej podświadomości dziki instynkt, a ja słucham. Nie dyskutuję, nie walczę, nadstawiam uszu i ściszam w sobie ludzkie gadanie. Sama podejmuję decyzję.

– Jeżeli tylko teściowie się zgodzą zaopiekować Marysią, pojedę z tobą – obiecuję. – Ale wcześniej musisz porozmawiać z chłopcami o waszej obecnej sytuacji. Zawołaj ich na śniadanie, a potem wytłumacz, dlaczego nie będą mieszkali z ojcem. Dla nich to też jest duży cios.

Pamiętaj, że nie możesz zrobić nic wbrew sobie.

Po chwili wszyscy siedzimy w kuchni. Lena od rana czyści, impregnuje deski, więc przychodzi do nas cała umazana farbami.

Zaczynam tęsknić za moją córeczką. Ciekawe, co teraz robi.

Uwielbiam jej maleńkie paluszki rozgrzebujące jedzenie. Łyzeczka w prawej ręce, a lewa organoleptycznie sprawdzająca tworzywo, z którego jest wykonana. Przy tym każda paróweczka, każdy pomidorek czy serek pokrojony w kostkę są szybciotko personifikowane, zyskują ludzkie cechy. Mama serek, tata serek, no i oczywiście najmniejszy kawałek – dzidzia. Pokarmy, które ma na talerzu, stanowią jedną wielką rodzinę. Brakuje mi jej, ale nie mogę w tym wszystkim dać się zwariować i zapomnieć o sobie.

Spakowałam do wielkiej torby najpotrzebniejsze rzeczy Joachima.

Delikatnie umalowałam usta, oczy. Wychodzę z domu. Koty łaszą się w przedsionku, ocierając o nogi. Zaczyna kropić deszcz, a spragnione wody pola i łąki wchłaniają życiodajny płyn. Szutrówka przed domem paruje, unosi się nad nią lekka mgła. Wkładam sweter, bo zrobiło się znacznie zimniej. Wyjeżdżając z podwórka, odczuwam jakiś lęk.

Włączam radio, aby rozluźnić ciało. Nie można kierować, będąc spiętym. Wciskam pedał gazu i jadę drogą pośród znanego mi lasu.

Spokojne melodie płyną z radia, a wycieraczki nieustannie pracują.

Deszcz uderza coraz głośniejszą maskę samochodu. Nagle hamuję z impetem – gdyby nie pasy bezpieczeństwa, wylądowałabym z głową prosto w szybie. Przed autem przebiega szary wielki pies z niebotycznie długim ogonem. Droga hamowania przy prędkości osiemdziesięciu



kilometrów na godzinę wynosi trzydzieści jeden metrów. Omal go nie potraściłam. Psisko wskakuje w zarośla, a ja prawie żegnam się ze światem. Staję na poboczu, aby odetchnąć i uspokoić drżące ręce. Mogłam wpaść w poślizg, wylądować na drzewie, zniszczyć samochód!

A jak to nie był pies? Przecież to zwierzę swoją posturą przypominało... wilka? Skoro pojawił się jeden, to znaczy, że musi być ich tu więcej.

Przekręcając kluczyk w stacyjce, przypominam sobie niedawną audycję i kojarzę fakty. To nie był pies. Za długi pysk i ogon. Moja percepcja otaczającego mnie świata została w tej chwili całkowicie zdominowana przez wilki. Widzę i słyszę je wszędzie. Tworzę osobisty raj w ich otoczeniu, więc nie powinnam odbierać tych zwierząt jako wrogów. Może w poprzednim wcieleniu byłam wilkiem? A może po prostu dopada mnie schizofrenia, która podłoże ma właśnie w zaburzeniach jaźni?

Jestem zdrowa, prowadzę samochód, mam dom, męża, dziecko, rozmawiam z wilczycą. Ten ostatni komponent nie pasuje do całej reszty, ale od wczoraj jest szczególnie ważnym pierwiastkiem. Mam wrażenie, jakbym już gdzieś ją spotkała, jakby nie była mi obca.

Przypominam sobie, że archetyp dzikiej wilczycy przywoływany

jest prawie we wszystkich naukowych opracowaniach dotyczących analizy kobiecej osobowości. Ale skoro TO przemawia do mnie, dlaczego nieustannie wypieram ten sygnał? Bo nie pasuje do rzeczywistości? Jest bajką, wymysłem? Im częściej rozmawiam z wilczycą, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że nie jestem jej obojętna. To tak jak z religią. Żeby wierzyć, trzeba przyjąć słowo i zbudować solidny fundament. Wysoki filar należy wznosić bez przerwy. Zawierzyć.

Moje rozmyślania przerywa spiker radiowy, który przywołuje słowa znanego jogina i pisarza Jogiego Rama-Czaraki:

– Któż nie miał tego doznania, że coś już wcześniej odczuwał lub przeżył? Kto nie rozpoznał krajobrazu, który wcześniej widział? Kto nie spotkał kiedyś innego człowieka po raz pierwszy, który obudził w nim wspomnienia z przeszłości, jakie zaginęły we mgle dawno minionego czasu? Kto nigdy nie miał odczucia, że posiada w sobie prastarego ducha? Kto nie słuchał muzyki – czasem całych utworów – jakie by nie obudziły w nim wspomnień różnych wydarzeń, miejscowości, twarzy, głosów? Kto nie ujrzał kiedyś obrazów lub rzeźb, które wywołały w nim wspomnienia, że już je widział?

Te słowa dokładnie odzwierciedlają stan mojego ducha. Tak się czuję. Jakbym odkryła coś na nowo bądź obudziła do życia uśpiony

fragment osobowości.

Przysłuchując się audycji, niepostrzeżenie zauważam, że dojeżdżam już do Zabrodzia. Jeszcze chwila i będę w szpitalu. Stęskniłam się za mężem. Tyle lat już jesteśmy razem. To miłość czy przyzwyczajenie? Chyba jedno i drugie. Dookoła rozwody, a my nadal trwamy. W małżeństwie naprawdę są trudne chwile do przezwyciężenia, a przede wszystkim do przebaczenia. Szczególnie w sytuacjach kryzysowych, kiedy druga osoba leci w dół, a ty musisz ją wyciągnąć na powierzchnię i przy tym nie utonąć.

Jestem już na miejscu, parkuję. Biorę torbę z tylnego siedzenia. Znajoma pani w recepcji pierwsza woła „dzień dobry”. Podążam korytarzem do pokoju męża. Leży na łóżku zwrócony w moją stronę. Przeszczępnę próg. Od razu otwiera oczy. Siadam na krzeselku obok niego. Jest już po obchodzie.

– Cześć! Jak się czujesz? Dobrze spałeś? – szepczę, aby nie obudzić pozostałych chłopaków w sali. Po twarzy męża poznaję, że coś siedzi w jego głowie. Widzę to w oczach.

– Spałem jak dziecko, ale to pewnie po środkach przeciwbólowych. Noga boli i puchnie, ale na to nie mam wpływu. Będę tu leżał przez dwa tygodnie. Chyba zwariuję. Już nie mogę wytrzymać, a co dopiero mówić

o tygodniach. Od wypadku jeszcze się nie myłem. Nie mogę wstawać, zresztą i tak nie mam całkowitego czucia w nogach. – Mówiąc to, cały czas patrzy nie na mnie, tylko w ścianę, to znaczy czasami spogląda, ale jakby od niechcienia.

– Spokojnie, przecież jesteś świeżo po operacji, nie wrócisz do pełnej sprawności od razu. Ciesz się, że masz całą kość udową. Gdybyś zupełnie roztrzaskał nogę, leżałbyś na wyciągu, a o samodzielnym wstawaniu nie byłoby mowy. Mięśnie i ścięgna też są w jednym kawałku, więc nie jest tak źle. Głowa do góry! Masz pozdrowienia od dziewczyn, kazały cię ucałować.

Składając pocałunek na policzku Joachima, przez chwilę czuję jego zarost. Uwielbiam nieogolonych mężczyzn. Sprawiają wrażenie silnych, nieokiełznanych duchem i ciałem. Te nielubiane przez większość kobiet cechy atawistyczne na mnie działają w dwójnasób: podniecają i dają poczucie bezpieczeństwa. Wysoki wzrost, mocne owłosienie, szeroka żuchwa i długie ręce. Kryminolog i psychiatra Cesare Lambroso wysnuł pseudonaukową teorię, że rozwój tych cech u ludzi ma związek z ich niższą rasą, bo są one zazwyczaj przypisywane zbrodniarzom i przestępcom. Choć teraz już nikt w to nie wierzy, to jednak coś w tym jest. Dlaczego kobiety wolą zadawać się z drobnymi rzezimieszkami niż grzecznie ułożonymi chłopcami? Widząc takiego zarośniętego mężczyznę, od razu myślę, że jest dobrym kochankiem. Na pewno silny,

stanowczy i romantyczny, dopowiadam sama.

Chwytam Joachima za rękę. Jest duża i szorstka. Nigdy nie dbał o swoje ciało tak jak ja. Nieraz śmiałam się z niego, że mógłby zacząć używać kremów, ale stanowczo odmawiał, twierdząc, że skoro jest po trzydziestce, to ma prawo mieć zmarszczki. Krytykowałam go za to, ale czy tak naprawdę chciałabym, aby mój facet miał w łazience więcej kosmetyków ode mnie? Skoro jemu to niepotrzebne, to po co na siłę zmieniać czyjeś nawyki?

Gatunek faceta „trepowca” jest na wymarciu, myślę. Tego neologizmu użyłam po raz pierwszy, kiedy zakochałam się platonicznie w mężczyźnie, którego pasją były wędrowki po górach. Opowiadał mi, jak ważne jest dobranie odpowiednich butów, traperów, do wycieczek, a ja słuchając, odpływałam. No właśnie. Może gdyby Joachim miał odpowiedni ubiór, nie rozwaliłby tej nogi?

Podpierając się na łokciach, chce zmienić ułożenie. Ale nie może ruszyć nogami. Tylko syczy z bólu.

– Joachim, co jest? Nie mówisz mi wszystkiego. Przecież widzę, że udajesz. Powiedz mi, to będzie ci lżej – proszę, ale on milczy. Ponawiam próbę, lecz bez skutku. W końcu nie wytrzymuje i prawie płacząc, szepcze:

– Jak mogłem doprowadzić do takiej sytuacji? Ja, dorosły facet, przecież zawsze uważam! Jestem zły na siebie. Nie miałem odpowiedniego stroju, ale gdyby nie te wojskowe buty, gdybym pojechał w zwykłych adidasach, to już nie byłoby czego zbierać! Przecież z mojej stopy zostałyby miazga! Jak mogłem być taki głupi. Teraz już nie pojeżdżę ani na nartach, ani na motorze, ba... żebym chodzić normalnie zaczął, to będzie dobrze. Nic nie mogę zrobić! Przynoszą mi tu basen, a ja nawet załatwić się sam nie mogę. Jestem bezsilny, całkowicie bezsilny, i jeszcze ten ból. – Rozgoryczony, nawet nie może się wypłakać ani wykrzyknąć przez wzgląd na współtowarzyszy.

Podejrzewam, do czego zmierza, więc pytam:

– Masz czucie w swojej męskości? Skoro mówisz, że masz problem z załatwianiem... – Jestem dziesięć lat po ślubie, a nie wiem, jak mam się o „to” zapytać własnego męża. Jakaś bariera, brak odpowiedniego słownictwa? Muszę wyciągnąć z niego wszystkie informacje, które dusi w sobie, bo inaczej niczego się nie dowiem. I będę się martwić na zapas.

– Nie wiem – odpowiada cicho. – Czasami mam, czasami nie.

– Tym się martwisz?

– Też.

– Dostałeś znieczulenie w kręgosłup, podejrzewam, że to jest normalna sprawa, ale jak chcesz się upewnić, porozmawiaj z lekarzem albo z chłopakami z sali. Przecież to żaden wstyd. Domyślam się, że to największe zmartwienie każdego mężczyzny po wypadku. Masz czucie w palcach obu nóg?

– Mam – mruczy.

– No to nie ma tragedii. Zobacysz, że to tylko kwestia czasu.

Porozmawiaj z kimś. Nie możesz być taki oporny w kontaktach z ludźmi, bo ześwirujesz. Leżysz w sali, gdzie każdy z was jest połamany, każdy ma tu jakiś problem, więc nie zamykaj się w sobie. To nie ma sensu. – Widzę, że rozważa moje słowa.

Dlaczego mężczyźni są tacy oporni w rozmawianiu o swoich problemach i uczuciach? Wszystko trzeba z nich wyciągać siłą. Lęk przed tym, że odkryją się ze swoimi niedoskonałościami jest tak wielki, że rozmowa kojarzy im się z kapitulacją, a nie z możliwością rozwiązania problemu.

– Nie chcę z nikim rozmawiać. – Marszczy nerwowo brwi,

wygładzając fałdy na pościeli.

– No to zgnijesz w swoim bólu, a i tak niczego się nie dowiesz.

Chcesz, żebym poszła do lekarza prowadzącego i zapytała, czy to normalne?

– Nie, no co ty?! Zwariowałaś? Wstydu chcesz mi narobić? –  
prawie krzyczy.

– Jeżeli sam tego nie zrobisz, to z premedytacją narobię ci wstydu!  
Zachowujesz się jak nastolatek, który boi się zadawać niedyskretne  
pytania. A dorosłość upoważnia nas do tego, żeby zrywać z tematami  
tabu. Weź się w garść, chłopie, bo naprawdę tam pójde.

– Wiem, że masz rację. Sam to załatwię, nie jestem dzieckiem. Już  
mi trochę lepiej. – Uśmiecha się, a w oczach pojawia się drobna iskra  
nadziei i wdzięczności. – Lepiej powiedz, co u dziewczyn. Jedziesz teraz  
po Marysię? Pytała o mnie?

– Co u dziewczyn? – powtarzam, mając przed oczami wydarzenia  
wczorajszej nocy. – Marysia u dziadków miewa się znakomicie, więc  
nawet o mnie nie pyta, a u nas goście i cudze problemy. Miałam właśnie  
z tobą o tym porozmawiać. Zosię Marek zdradza i są przed sprawą  
rozdowową, więc trzeba jej jakoś pomóc. Została sama z chłopakami.



– No wiem, wiem, że ją zdradza.

– Co?! – myślałam, że się przesłyszałam, ale najwidoczniej nie. –

Skąd to wiesz? Nic mi nie powiedziałeś? Jak mogłeś? To jest poważna sprawa!

– Domyślałem się. Przecież to było widać. Pamiętasz, jak ostatnio u nich byliśmy na jej urodzinach? Znalazła wtedy w jego teczce nowiutką biżuterię, złote kolczyki. Nie zastanowiło cię, dlaczego sam jej nie dał prezentu w trakcie imprezy? To ona je odkryła na drugi dzień, kiedy wkładała mu kanapki do pracy. Nie pamiętasz?

Faktycznie, nie skojarzyłam tych faktów.

Jednak mężczyźni są bardziej logiczni niż kobiety, my wolimy widzieć tylko te „dobre elementy” składające się na naszą rzeczywistość albo obarczamy się winą. A przecież nie można usprawiedliwiać pewnych sytuacji do końca życia. Zosia widziała, że jej małżeństwo odbiega od normalnego, ale wypierała tę wiedzę ze świadomości.

Wczoraj mówiła, że co jakiś czas wpadała w panikę. Nie wiedziała, co ma zrobić ze swoim życiem, jak okiełznać to wszystko. Słowo, jakie najczęściej przychodziło jej do głowy, to „niedowierzenie”. Czuła, że to

banal, ale myślała, że wszyscy inni, tylko nie on. Nie Marek, bo przecież to JEJ Marek. Właśnie to podeptane zaufanie było najgorszym świadectwem zdrady. Teraz już wie, że w stałym związku zawsze są sygnały, że coś jest nie tak, tylko partnerzy nie chcą ich widzieć albo nie zwracają sobie nimi głowy. Na przykład brak codziennych rozmów. To znak nieustannego oddalania się.

– Proszę cię, załatw jej jakiś samochód. Coś chociaż na początek.

Znalazła nowe mieszkanie, chce się przeprowadzić, marzy, aby zacząć wszystko na nowo. No właśnie, i poprosiła mnie o pomoc. Chce, żebym z nią pojechała do Warszawy. Mam pomóc przy przeprowadzce i chłopcach.

– Kiedy masz tam jechać? Teraz? Przecież jestem połamany, zostawisz mnie tu?

Czuję, że to nie jest najlepszy pomysł. Nie mogę go tak zostawić, po co w ogóle to mówiłam? Muszę przeprosić przyjaciółkę. Jak by to wyglądało? Mąż w szpitalu, a ja w Warszawie. Wyrzuty sumienia do końca życia! Już mam powiedzieć, że rezygnuję, kiedy słyszę głos wilczycy:

– No i schemat, jak zwykle. On mówi, ty masz poczucie winy, zapominasz o sobie na rzecz innych. Siedzisz w domu, bo on tak chce,

bo tu jest twoje miejsce. Zostaniesz przy nim – źle, pojedziesz – jeszcze gorzej. Zrób to, co czujesz. Nie myśl o tym, co powiedzą inni.

– Słuchaj, mężu – odpowiadam. – W szpitalu za wiele ci nie pomogę. Bardziej potrzebna będę ci w domu, więc pozwól teraz pomóc innym. Marysia zostanie pod dobrą opieką, obiadki przywiozą ci i mamusia, i teściowa, nie masz na co narzekać. Codziennie ktoś do ciebie przychodzi, nie jesteś sam i nigdy nie byłeś. W tej chwili całkowicie sama została Zosia. Jestem zobowiązana jej pomóc, tym bardziej że mam wakacje. Wrócę za tydzień, bo muszę napisać plany wynikowe i mam radę pedagogiczną. Mamy telefony, będę przecież dzwoniła. Kocham cię całym sercem. – Uff... czemu tak trudno jest przekonać kogoś do swoich racji? A najtrudniej najbliższych nam ludzi.

Pierwszy raz w naszym małżeństwie postawiłam na swoim.

Argumentowałam, byłam stanowcza, nie spuszczałam oczu, nie zapomniałam o sobie. Mówiłam jak wilczyca. To ona pomogła mi przełamać barierę stworzoną z więzów rodzinnych. A może raczej ze stereotypów? Kobiety myślą, że trzeba wysłuchać męża po pracy, ubrać go, czyli opruć, pocieszyć po nieudanym dniu, utwierdzać w przekonaniu, że jest męski. Pal sześć męża! Przecież są dzieci! Ich nie można zostawić i wyjechać. Bo co? Bo umrą z głodu, jak nas nie będzie? Zarosną brudem? Będą za nami płakały? Małżonek się nimi nie zajmie? Oczywiście, że się zajmie – i sobą, i nimi – tylko trzeba od czasu do

czasu postawić na swoim. A ja przez te wszystkie lata ulegałam mężowi, nie chcąc się kłócić. Teraz chcę mieć prawo głosu, teraz, gdy wyje we mnie wilczyca. Chcę wyjść na aerobik raz w tygodniu albo z koleżanką na kawę. Przecież świat się nie zawali, jak wyjadę! Przecież pomagam mojej przyjaciółce, która Bóg raczy wiedzieć, co zrobi, kiedy nie będzie miała przy sobie pomocnej dłoni.

Tak właśnie myślałam. Zaczęłam mówić po wilczemu. I zdziwiłam się, słysząc odpowiedź Joachima:

– Może masz rację. Przecież w leżeniu mi nie pomożesz. Ale dzwoń do mnie. Zaraz ma przyjść Darek, poprosimy go, to pojedzie z tobą do Grześka, ma w autokomisie dobrego golfa czwórkę. Używany, ale do jazdy po mieście się nadaje. Do przeprowadzki i tak będzie musiała wynająć porządną przyczepkę. Może Grzesiek zgodzi się ją pożyczyć?

Nie wierzyłam, że się zgodził. Ale w ogóle co ja mówię? Przecież jestem odrębną jednostką ludzką i nikt nie może mi niczego kazać!

A jednak czasami czuję, jakby od męża zależały pewne decyzje.

Paradoks. Muszę to zmienić. Opuściłam sobie i wygląd, i życie towarzyskie.

Do sali wchodzi Darek. Wita się z nami. Kładzie Joachimowi na

łóżku pisma motoryzacyjne. Chwilę rozmawiam z nimi, ale okazuje się zaraz, że nie mamy już wspólnych tematów. Nie znam się na mechanice, widzę jednak, jaką mężowi sprawia ten temat przyjemność. Zostawiam ich samych pod pretekstem odwiedzenia szpitalnego sklepiku. Siadam na zaznajomionej ławeczce przed szpitalem. Jest cała mokra. Chwytam telefon i dzwonię do teściów. Zgodzili się zostać z Marysią. Dziś ją zabieram na Wałpusz, przywiozę we wtorek przed wyjazdem. Nie mam co ze sobą zrobić, więc wsiadam do samochodu, włączam radio i wyciągam z torebki pudełeczko odnalezione wczorajszej nocy.

Oglądam teraz uważniej czerwone karty. Przekładam z ręki do ręki, jedną po drugiej. Dotykam ich szorstkiego papieru. Ile mają w sobie tajemnic? Tylko one wiedzą, jak dużo skrywają łez, radości, przykrych wspomnień, o ilu sprawach milczą. Kto ich dotykał? Przecież ktoś je tam zostawił... A może zgubił? Ja też jestem jak kartka papieru, częściowo zapisana, ale jeszcze nieodkryta. Magiczna, ale przysypana kurzem. Każdy symbol jest we mnie, jest mną. Od Głupca po Śmierć.

W zależności od ich ułożenia wpatruję się w przyszłość. Stawiam codziennie kroki, stopy odmierzają linię aż po horyzont. Nie muszę wróżyć, żeby wierzyć, ale muszę podążać tą drogą, która jest we mnie. Nieustannie rozkładać, przekładać, nie bać się tasować, przegrywać i stawiać nowe rozdania. Różne są rodzaje talii tarota. Zdążyłam zapoznać się z tym frapującym mnie tematem. Tarot sycylijski,

marsylski, Ridera Waite'a i wiele, wiele innych. Zanim powstały ich setki, ktoś ustanowił jeden uniwersalny wzór.

Chcę  
sięgnąć  
ręką  
do  
schowka,  
aby  
wyjąć  
okulary  
przeciwsloneczne, i przez nieuwagę upuszczam wszystkie karty.  
Rozsypują się jak czerwone maki na lipcowym polu.

Migawka: jestem u babci na wakacjach w magicznej wiosce  
Chełchy. Wychodzę wieczorem do chlewu obejrzeć świnię. Karmię małe  
prosięta mlekiem przyniesionym w dzbanku. Moczę palec w bieluchnym  
płynie, a one łapczywie go zlizują. Wtem robi się przeciąg, zwierzęta  
przestają wydawać odgłosy. Patrzą na drewniane drzwi, w których  
ukazuje się postać anioła. Białe włosy rozwiewa wiatr, a wszędzie unosi  
się zapach wanilii. Zmierza w moją stronę. Dziwi mnie tylko, że nie  
emanuje żadnym blaskiem. Jest człowiekiem i płacze. Poza tym to ona.  
Im bliżej podchodzi, tym wyraźniej widzę, że ma stare, spracowane ręce.  
To moja babcia. Pewnie dziadek znowu zrobił awanturę. Ostatnim razem

poszło o miotłę. Nie mógł jej znaleźć, więc rzucał talerzami po wszystkich kątach, a jeden odłamek porcelany wpadł babci do oka. Od tamtej pory coraz częściej łzy spływają jej po policzkach. „Dlaczego tak płaczesz?”, pytam. „Żeby wypłakać ten okruch”, odpowiada.

Podchodzi do mnie.

– Szukam cię wszędzie! Dziecko, uprzedzaj, jak wychodzisz! Nie rób tak więcej!

– Babciu, dlaczego znowu płaczesz? Ten okruch jeszcze nie wypadł?

– Zapamiętaj to, co teraz powiem. Zrozumiesz, jak będziesz starsza, tylko obiecaj, że zapamiętasz aż po grób!

– Obiecuję! Babciu, nie płacz.

– Jeżeli ktoś podetnie ci skrzydła, leć dalej, jak czarownica na miotle. Jeżeli ktoś ukradnie miotłę, na drzwiach od szopy też się wzniesiesz. Tylko nie bój się i rób swoje!

Przypominam sobie to tu i teraz. Nie mogę się poddać. Może warto znów zacząć wierzyć, że czary istnieją? Może powinnam zrobić coś dla

siebie i na przykład wrócić do pisania? W końcu jak nie szopa, to może latający dywan? Trzeba ruszyć z miejsca, być jak rzeka, która poddaje się swojemu nurtowi i nieustannie płynie.

Muzyka z głośników wypełnia wnętrze samochodu, jest lekka jak piórko. Właśnie tak się czuję. Zbieram karty, na tym etapie nie próbuję zgłębić tajników Arkanów. Jak przed wielkimi wydarzeniami, o których jeszcze nie mamy pojęcia. Wilczyca przygotowuje mnie do wędrówki. Najpierw muszę oswoić myśli, dopiero później stworzyć kalambur życia.

Przesiedziałam tu prawie godzinę. Dobrze jest nie pędzić, poddać się chwili. Nie żałować czasu na nicnierobienie jak w piosence *Trudno mi się przyznać* Ani Dąbrowskiej: „Wiem, że lubię sama być (...) Nie muszę tłumaczyć się, że znów nie robię nic”. Uświadamiam sobie, że uzależniłam się od permanentnej pracy. Nie czytam książek, bo przecież trzeba: zmywać, prasować, gotować, sprawdzać klasówki, robić zakupy, nakarmić dziecko, wypielić ogródek, umyć psa, zmieść podłogę, odgruzować dom, zetrzeć kurze. I tak w kółko, a diabeł siedzi, patrzy i śmieje się, poganiając: sprzątaj! Dalej i więcej! Pracuj! Mocniej, efektywniej! Czuję się jak chomik na kołowrotku, a on stoi na górze, uderzając kopytami w takt bicia serca, odmierza czas pomiędzy jednym obiadem a drugim i syczy: taka twoja rola, zapracować się na śmierć! Stań przed Bramą Piotrową, paść na twarz i nie mieć siły na pertraktacje. Chcesz do nieba czy do piekła? – pyta niewzruszony



Mefisto. Twarz mam w mialkim gruncie. W gardle brak słów. Znów schodzę na ziemię, a Belzebub podtrzymuje mnie za ramiona. Daje szmatę do ręki i mówi: nie zapracowałeś na swoje odkupienie. Potulnie więc szoruję życie dalej. I tak czyszczę, aż jestem w stanie wytrzeć w nim dziurę, do której sama w końcu wpadam i przepadam... w próżni.

Pomiędzy ostatnim tchnieniem a pierwszym promieniem słońca wybiega do mnie wilczyca. Gdy rozpędza się na czterech potężnych łapach, ziemia drży i kłaniają się jej niebiosa. Przeskakuje każdy kamień, płot. Nie ma mapy, kompas jej niepotrzebny, zna drogę intuicyjnie, odbiera sygnały, które wypływają ze mnie. Zziajana, pędzi ile tchu w płucach, gotowa stracić życie z przemęczenia. Na swym grzbiecie niesie wojnę, wojowników, mądrość, poezję i magię. Wpada do domu nieproszona i rzuca się na Belzebuba. Ma kły, zadaje ból. Czy jej na to pozwolę? Mogę zamknąć przed nią drzwi. Tyle że ja już należę do jej stada. Niech mówią: „Zwariowała, odbiega od schematu”. Niech pytają: „Po co ci to?”. Odpowiem: „To dla mnie”.

Z zamyślenia budzi mnie poranne świergotanie gdzieś w chmurach, na gałęziach świata. Jakiś ptak beztrosko przemawia melodyjnym trelem, koi zmysły. Najdziwniejsze, że ptactwo może się obejść bez ludzi. My bez nich raczej nie. Bylibyśmy niczym dusza bez światła. Tym się różnimy. Człowiek nie jest potrzebny przyrodzie, ale bez niej ginie.

Wysiadam i podążam tą samą drogą do pokoju męża. Jako że Darek został podrzucony do Olsztyna przez kolegę, panowie ustalili, że z powrotem zabierze się ze mną. Wstąpimy po Zośkę i pojedziemy po samochód. W końcu za dwa dni mamy już we czwórkę przywitać Warszawę, z odmienionym życiem i nowym autem. Żegnam się czule z Joachimem i wychodzimy. Jedziemy w milczeniu, kiedy Darek nagle się odzywa:

– Jaśka, wiesz, że mogło paść na mnie, no, z tą nogą. Nie miałem na to wpływu, nie miej mi tego za złe. Ani mnie, ani jemu. To jest silniejsze od nas. Jak prowadzę, to czuję adrenalinę. Jestem wtedy wyzwolony. Nie myślę o problemach, dzieciach, braku pieniędzy na koncie. Czuję, że żyję. I ten strach połączony z całkowitym skupieniem...

– Nie wiem, Darek. Ja tego nigdy nie pojmem. Ale co ci przyszło do głowy z tym zabranianiem? Czy ja czegokolwiek kiedyś zabraniałam Joachimowi? Sami ponosicie konsekwencje swoich czynów. Gorzej, jeśli któryś z was się kiedyś zabije – odpowiadam wzburzona.

– Gdybyś zainteresowała się sportem albo czymś innym niż dom i praca, zrozumiałabyś, o czym mówię. A tak? Tylko możesz domniemywać, co mam na myśli.

Po tych słowach mam ochotę wysadzić go z samochodu, żeby  
wracał na piechotę. Nad nami znów wezbrały burzowe chmury i zaczyna  
padać  
deszcz.

Wycieraczki

chodzą

coraz

szybciej,

a moje

zdenerwowanie nie znajduje ujścia. Kolejny raz słyszę, że nie robię nic  
poza zajmowaniem się domem. Łatwo się mówi, gdy nie dźwiga się  
całego inwentarza na swoich barkach. Pieprzony dupek! Facet. Jak  
zwykle to tylko facet. Od dziś zacznę pisać, postanawiam. Mój nowy cel:  
kilka zdań dziennie, niech to będzie krótkie haiku, pamiętnik, niezgrabny  
wiersz, drobne opowiadanie. Mąż nie będzie miał obiadów  
i uprasowanych koszul. Pierdzielę to!

Nagle moje wzburzenie rozładowuje iście imponujący widok.

– Jaśka, zatrzymaj się na chwilę! Spójrz w niebo! – Wskazując coś  
palcem, Darek chwyta swój plecak z tylnego siedzenia i wyciąga aparat  
fotograficzny. Co prawda niewielkich rozmiarów, ale trzeba mu  
przyznać, że zdjęcia robi genialne. Podnosi taki raban, że nie mam  
wyjścia, muszę wcisnąć pedał hamowania.

Zatrzymujemy się obok zgliszczy po jakiejś starej fabryce albo dużym gospodarstwie. Gdzieś tam są widoczne fundamenty i sterczą kawałki ceglanych ścian. Stara budowla stoi na polu otoczonym drutem kolczastym. Wszystko zapuszczone do granic możliwości. Budynek bez dachu, jedynie z prostokątną konstrukcją o zapadającym się podłożu. Widać, że od lat nikt się nim nie zajmował. Z nieba sączą się krople. Unoszący się w powietrzu ozon połączony z wonią rosnącego niedaleko krzaku bzu przyprawiają o zawrót głowy.

Nad starym budynkiem wysoko na nieboskłonie unosi się tęcza, ale jej ramiona, o dziwo, nie dotykają ziemi! Wygląda jak ogromna, kolorowa, powietrzna aureola albo jakiś portal łączący ze sobą dwa różne światy. Wpatrzni z zachwytem w to zjawisko atmosferyczne, przechodzimy jakimś cudem bezpiecznie przez druty. Teraz wisi tuż nad naszymi głowami. Musi to być specjalny rodzaj tęczy. Pierwszy raz w życiu odnoszę wrażenie, jakby przez ten nieziemski otwór zaraz ktoś lub coś miało spaść na ziemię. Darek jak opętany robi zdjęcia, a ja przed oczami mam chińską boginię Nüwę, która wedle wierzeń latała niebo za pomocą siedmiu kamieni o różnych kolorach. Jej łata była tęcza. Nüwa obserwowała walkę pomiędzy bogami, w wyniku której rozpadowi uległ jeden ze słupów podtrzymujących ziemię. Bogini zaczarowała kamienie, roztopiając je w piecu, i naprawiła filar, jednak do tej pory jest on krótszy od pozostałych i dlatego większość rzek w Chinach płynie

w jednym kierunku: południowo-wschodnim.

Według chińskich wierzeń to właśnie ona, kobieta, jest stwórcą świata, gdyż w tym samym piecu wypalała z glinianych figurek ludzi. Figurki trzymane w zbyt wysokiej temperaturze dały ciemny kolor skóry, w zbyt niskiej – biały, a idealny poziom temperatury odpowiadał idealnemu kolorowi – żółtemu, czyli Chińczykom. Ile różnorodnych kultur, tyle wielorakich teorii na temat powstania świata. Ale jedno jest pewne: wszyscy jesteśmy z tej samej gliny, z ziemi. Bez niej nie ma życia, powietrza, domów, jest tylko pustka.

W tym momencie słyszymy dźwięk. Pomruk dobiegający z drugiej strony budynku. Jakby coś charczało i wyło zarazem. Darek w dalszym ciągu robi zdjęcia, ale mnie ogarnia niepokój. Charczenie przybiera na sile. Patrzę w kierunku, z którego dobiega, i ku własnemu zdziwieniu dostrzegam, że zza gruzowiska po zwalonej ścianie wychodzi jelonek. Darek ostrożnie zbliża się do mnie i chwyta za ramię.

– Nie ruszaj się, on może być wściekły!

Jest mały. Waży nie więcej niż trzydzieści kilogramów. Po bokach na jego brązowym futrze widnieją białe plamy, które wskazują na to, że jest jeszcze młody. Z głowy, z pnia wyrasta poroże. Dwie niewielkie szpice bez żadnych rozwidleń. Wygląda na miłe stworzenie, gdy jednak

postanawiamy się wycofać, rusza w naszym kierunku. Zatrzymujemy się i on też staje. Znow próbujemy uciec z placu, stawiając ostrożnie kroki w tył. Nasz współtowarzysz robi dokładnie to samo, tyle że konsekwentnie posuwa się do przodu. Zlani zimnym potem nie wiemy, co zrobić. To zdarzenie bynajmniej nas nie bawi, ponieważ teraz jelonek przyjmuje postawę do ataku i kieruje w naszą stronę swoje małe poroże. Schyla łeb ku ziemi, po czym prychając, rusza na nas. Darek naprędce oddaje mi aparat i chowa mnie za siebie. Natychmiast zdejmuję plecak, chwytając go w obie ręce i trzymając przed sobą jak tarczę obronną.

Zwierzę coraz szybciej biegnie w naszym kierunku. Oboje wiemy, że plecak nas nie uratuje przed nim. Chwila napięcia rośnie. Darkowi pot spływa z czoła, jest skupiony jak nigdy dotąd, a ja za jego plecami nie wiem, co robić. Trwa to kilka sekund. Jellonek naciera na nas jak oszalały. Oczami wyobraźni widzę wypatroszony Darkowy brzuch i jego wnętrzności leżące na trawie. Ale nim rogi jelonka uderzą w plecak, raptem Darek chwytając go za nie! Teraz siłują się obaj. Zwierzę próbuje dosięgnąć Darka, a ten mocno trzyma je za poroże. Scena jak z filmu, przyprawia o kolejny zawrót głowy. Walka nadciągającej cywilizacji z prawdziwą naturą. Dwóch młodych gniewnych. Kto wygra? Silniejszy.

– Jaśka, uciekaj! Uciekaj, póki go trzymam! – wykrzykuje kolega mojego męża.

Początkowo myślę, że muszę zatrzymać jakiś samochód na drodze, ale to może trwać całą wieczność, ponieważ szosa nie jest zbyt uczęszczana. Trzeba działać od razu, tylko jak? Stoję jak słup soli, nie potrafiąc niczego wymyślić.

– Masz rozum, więc go użyj! Tym różnicie się od zwierząt, że pomimo osłabionego instynktu macie niezbadany mózg! – Głos wilczej matki każe trzeźwo myśleć.

Muszę unieruchomić zwierzę. Ale jak? Nie mam noża, a nawet gdybym go miała, to przecież nie poderżnę mu gardła! Aparat? I co z tego? Rozglądam się po okolicy. Przy najbliższym słupie telegraficznym leży drut kolczasty. Na wysokości mojego pasa ogrodzenie jest przerwane.

– Darek! Kieruj go w stronę ogrodzenia! Tu do mnie! Zwiążemy go! Wytrzymaj jeszcze trochę! – drę się wniebogłosy.

Resztkami sił próbuje pociągnąć zwierzę w stronę płotu. Trzymając mocno zaciśnięte pięści na porożu, walczy jak Bolesław Chrobry podczas starcia z niedźwiedziem. Do mnie należy rozplątanie zardzewiałego drutu. Gdy podchodzą bliżej, chwytam metal i obwiązuję jelonka. Dwa razy szyję i raz prawą nogę. Teraz stoję w jednej linii z Darkiem. Jelonek jeszcze się szarpie, ale czując zaciskający się pręt,

zaczyna pokornieć. Druk się napręża i stanowi coś w rodzaju smyczy.

Darek powoli rozluźnia zaciśnięte dłonie. Cofamy się, patrząc zwierzęciu w oczy. Stoi wściekłe, z krwawiącymi ranami, ale rozumie, że przegrało. Po przejściu bezpiecznie przez ogrodzenie padamy na trawę. Jesteśmy tak zaaferowani całym zdarzeniem, że nie zauważamy nadjeżdżającego samochodu. Widocznie ktoś przejeżdżając tędy, zawiadomił straż leśną. Jakiś mężczyzna ubrany na zielono podąża w naszym kierunku.

– Czuję się jak kamień, całe ciało mi jeszcze dygocze z wysiłku.

Nie wstanę stąd, muszę poleżeć, głowa mi pulsuje i zaraz eksploduje – mówi Darek.

Leśniczy przykrywa go kocem, sprawdza tętno i każe leżeć.

Opatruje moje rany na rękach. Opowiadam mu o całym zajściu.

– Czy ma pani teraz menstruację? – pyta leśniczy, jak gdyby to było najnormalniejsze pytanie pod słońcem.

– A jakie to ma znaczenie? – dziwię się.

– Duże. Jelenie mają rykowiska w połowie września, ale czasami zdarza się, że już zaczynają pod koniec sierpnia. Podejrzewam, że



potraktował panią jak potencjalną łanię, a tego pana jak zagrożenie.

Jeżeli jest pani w trakcie menstruacji, to jeszcze bardziej mogła pobudzić jego zmysły. Pewnie nie był w stanie wyjść przez ten płot. Możemy się domyślać, że jest głodny, zły i zbliża się pora godów, dlatego tak się stało. Następnym razem musicie go wystraszyć. Zwierzęta boją się osobników większych od siebie. Zobaczcie, co ja teraz zrobię. Będę musiał go jakoś wyplątać i opatrzyć mu rany, więc go uśpię.

Leśniczy ma ze sobą mały pistolet z nabojami kształtem przypominającymi strzykawki. Podchodzi do jelonka i wymachując rękami, głośno krzyczy. Wygląda komicznie. W odpowiedniej odległości strzela w bok zwierzęcia, kuca, czeka chwilę i wraca do nas.

– Niech zaśnie głęboko. Pamiętajcie, żeby w ten sposób straszyć inne duże zwierzęta: byki, krowy, łosie. Różne sytuacje się zdarzają w życiu. A teraz proszę, żeby pan już wstał, zabierzemy jelonka na przyczepę. Wy musicie pojechać do szpitala i się zbadać. Mógł was czymś zarazić. Musicie przyjąć szczepionkę na wściekliznę.

Zaszokowana całą historią wstaję, otrzepuję się i dopiero wtedy zauważam, jaka jestem brudna. Leśniczy wystawia nam jakieś kwitki, wymieniamy się numerami telefonów. On jedzie w swoją stronę, my w swoją. Nawet nie wiem, komu dziękować za wezwanie pomocy. Nie znam numeru do nadleśnictwa, pamiętam tylko numer policji oraz 112.

Darek rozkłada sobie fotel i zasypia, a ja dzielnie prowadzę. Zawracamy.

Bliżej mamy do szpitala w Olsztynie, w którym leży Joachim.

Już na miejscu uzyskujemy natychmiastową pomoc, ale nie kierujemy się w kolejne odwiedziny do mojego męża. Nie chcę go denerwować, poza tym czas goni jak szalony. W drodze powrotnej podjeżdżamy po Zosię i najszybciej jak się da po samochód. Dla kobiety kupno auta jest rzeczą łatwiejszą niż zakup ubrań czy butów. Darek powiedział, że wóz jest w porządku, więc na co czekać? Zośka wyklada pieniądze i odjeżdżamy zadowoleni.

Jest szczęśliwa, bo to jej pierwsza poważna decyzja od dłuższego czasu. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale kiedy kobieta zaczyna sama jeździć samochodem, to wreszcie czuje się wolna. Dla mężczyzny to normalny stan rzeczy. Kobieta przełamuje wtedy barierę wstydu, strachu, zależności. Nie czuje się stłamszona, może decydować. Auto naprawdę pozwala wyrwać się z czterech kątów.

W nocy budzi mnie dziwny sen. Widziałam w nim kobietę, która chodziła po lesie i przysiadła przy każdym drzewie. Wstawała i szła dalej. Nie wiem, czy miała jakiś cel, ale emanował z niej spokój. Mamrotała pod nosem, tłumacząc coś drzewom. Nie widziałam jej twarzy, tylko plecy i długie ciemne włosy. Zapalam nocną lampkę, patrzę na moje dłonie i przypominam sobie wczorajsze wydarzenia. Nie mogę już zasnąć. Obgryzając paznokcie, chwytam długopis, podbieram Marysi kartkę papieru i zaczynam pisać. Przychodzi mi to z trudem – niewiarygodne, że ja, polonistka, mam problem z opisywaniem uczuć. Nie potrafię przelać ich na papier. Czyżbym wstydziła się samej siebie? Nie znam własnego wewnętrznego świata?

– Im więcej napiszesz, tym łatwiej będzie ci do tego wracać. Im więcej słów, tym głębsza znajomość duchowości. Mądry mistrz ma stworzyć potężniejszego od siebie ucznia – nawołuje wilczyca z pokładów podświadomości. Opisuję sen, zamykam oczy i udaję się do innej krainy.

Marysia budzi mnie stukotem drewnianych klocków. Chwytam za telefon, żeby zadzwonić do szpitala. Pani z recepcji utwierdza mnie w przekonaniu, że wyniki mam dobre, nie zaraziłam się żadnym świństwem. Choć miałam pozytywne przeczucia co do tej sprawy, to jednak dopiero teraz kamień spada mi z serca. Moja mała dziewczynka

gramoli się na mnie, spragniona piesszczot i uśmiechów. Przez okna  
wdzierają się do pokoju zapachy lasu i życiodajne promienie słońca. Jak  
dobrze mieć swój mały świat i małe problemy. Czasami nie doceniamy  
tego, ile dobra nas otacza. Nie chciałabym mieszkać gdzie indziej.  
Cierpię na mazurską chorobę duszy. Nie potrafiłabym już żyć bez tego  
miejsca, bez przestrzeni, jaką dają codziennie pola i jeziora. Mazury  
mnie wychowały i choćbym zachłysnęła się przez moment życiem  
w wielkim świecie, to i tak zawsze będę pamiętała, kto był moim  
pierwszym nauczycielem. Mazury nauczyły mnie, jak radzić sobie ze  
smaganiem wiatrów i upalnym słońcem, pokazały, czym kierować się  
w życiu: przestworem duszy.

– Dziewczyny! Szybko chodźcie na dół! Zobaczcie, co  
namalowałam! Zośka, rusz się, to na twoją nową drogę życia! – Lena  
rozdiera przenikliwym głosem utopijną wiejską ciszę. Biorę Marysię  
na rękę. Ściągam jej nocną pieluchę. Niech ciało pooddycha  
powietrzem. Schodzę po chłopców. Z ich pokoju dobiegają odgłosy  
bijatyki i kłótni.

Cały czas okładają się pięściami, ale z tym nie można walczyć.

Miejmy nadzieję, że jak podrosną, to im przejdzie. Rozdzielam ich z wielkim trudem, tłumacząc, że nie mogą się tak traktować, bo przemoc rodzi przemoc. Nie rozumieją. Wyganiam ich z pomieszczenia, dając jednemu i drugiemu po kopniaku w tyłek na rozgonienie głupoty.

Jeszcze na schodach starszy pcha młodszego brata i omal nie spadają ze stopni. Nie poradziłabym sobie z wychowaniem takich łobuzów. Jednak natura dobrze wie, jaką latorośl jesteśmy w stanie wychować. Maleńkie embriony czują odpowiedni przepływ energii z matczynego organizmu.

Wystarcza jedna groźba ich rodzicielki i stają w szeregu. Prawie jak w wojsku. Do końca dnia zero słodyczy i komputera. Ja na przydzielaniu kar jeszcze się nie znam. Mam chyba zbyt słaby charakter. Zośka nigdy im nie odpuszcza, ja zawsze machnę ręką. Wystarczy, że przeproszą pokornie.

Zimne powietrze zakamarków garażu atakuje nasze nozdrza przyzwyczajone do ciepła nadchodzącego dnia. Anielica stoi oparta o rządęk opon ułożonych tutaj wcześniej przez mojego męża. Stoimy nieruchomo i wpatrujemy się w jej przesłanie. Marysia wyciąga ręce i chce jej dotykać. W zamian za chwilę spokoju dostaje od Leny żółtą farbę, a ja onieśmielona widokiem nie przejmuję się tym, że za moment będę musiała urządzić dziecku porządne mycie.

– Na tej desce widzicie przede wszystkim piękno i delikatność, ale musicie wiedzieć, że pod płaszczyzną każdej zmysłowości kryje się łakoma bezwzględność – prawi Lena. – Jaśmina już otrzymała swoją opiekunkę, teraz ty, Zosiu, musisz przyjąć swoją do serca. Malowałam ją z myślą o tobie, bo to nie jest zwykły obraz. Pod tą Anielicą jest ukryta modliszka. Drapieżna i żądna odwetu, schowana pod płachtą subtelności. Zauważcie, że podobnie jak owad ma ręce wzniesione do modlitwy i złożone jak nasze życie – stąd wywodzi się przecież jej nazwa. Módl się o własny spokój i o nic więcej. Drapieżność przyjdzie nieproszona. Smukłe ciało, duże oczy, mocno wydłużony odwłok, skrzydła schowane po to, aby je rozwinąć. Obecnie jest w stanie spoczynku, ale po jakimś czasie rozłoży je, aby móc odfrunąć. Niektóre gatunki mają ubarwienie mimetyczne, upodabniające je do kwiatów, pośród których wyczekują swych ofiar. W moich obrazach staram się pokazać również ten element. Dostrzegają go tylko ci, którym jest potrzebny. Wraz z tą deską wyniesioną z lasu przekazuję ci, Zosiu, moc i niezależność. W końcu powstała z drzewi, które swą starość przerodziły w kwintesencję prawdziwej kobiecości. Starość przekuta w młodość, dumę i zachwyt. Ty też musisz narodzić się na nowo. Filozof Gaston Bachelard powiedział, że „kiedy myśl śpi, czuwają obrazy” – deska będzie czuwała nad twoim życiem.

Zosia płacze. Chłopcy przytulili się do niej, trzymając kurczowo maminej piżamy. Na swój sposób rozumieją te słowa. Dzieci czasami są bardziej dorosłe niż my, a na pewno więcej widzą. Starszy Piotruś bierze mamę za rękę i mówi:

– Teraz ja będę twoim mężczyzną. Mimo że nie będziemy mieszkali z tatą, ktoś musi cię ochronić. – Jego słowa jak na dziesięciolatka są wzruszające, czuje się prawdziwym facetem, ale w niedorosłym jeszcze ciele.

– Kocham was, kocham was wszystkich i to jest najważniejsze. Reszta sama się powoli ułoży. Dziękuję, Lena – kończy Zosia.

Odstawiamy Anielicę, aby trochę wyschła. Rozkładamy wspólnie śniadanie na ławie pod jabłonką. Piotrek z Wojtkiem wyblągali pozwolenie na kąpiel w jeziorze, więc najedzeni i szczęśliwi idziemy całą piątką nad brzeg. Lena oczywiście musi malować, dlatego zostaje w domu. Zachłannie nakłada każdą farbę, miesza kolory, nie boi się eksperymentować. Jej nieustanny rozwój i pasja tworzenia udzielają się innym.

Dzień płynie powoli. Uwielbiam taki stan: nigdzie się nie spieszyć.

Po prostu trwam. Postanawiamy, że dziś zrobimy zakupy, żeby nie tracić czasu w Warszawie, a jutro z samego rana wyruszymy. Czekam na spakowanie małej, popołudniowy wyjazd do męża i odgruzowanie domu.

Leniwe i senne Szczytno jest miasteczkiem bajkowym. Życie jego mieszkańców toczy się własnym niepowtarzalnym rytmem. Każdy ma swoje sprawy, problemy. Parkujemy na placu Juranda, tuż przed wielkim ratuszem. Piotrek chwytając Marysię za rączkę i od razu biegną po lody.

Udajemy się najpierw na długi spacer wzdłuż Jeziora Domowego Dużego, gdzie zostały niedawno wytyczone trasa rowerowa oraz specjalny chodnik do spacerowania. Przemierzając ten szlak, zauważamy coraz więcej wodnych staruszek – łódek, o które nikt nie dba. Jedynie zima była dla nich łaskawa, skoro zmroziła wszelkie robactwo pałaszujące drewniane wnętrza, zatrzymując tym samym czas. Marysia zasypia w wózku, chłopcy łamią gałęzie z okolicznych drzew i udają, że łowią ryby. Ile w naszym życiu jest takich chwil, kiedy spędzamy czas na niczym? Mój umysł nie pamięta o obowiązkach domowych, o szkole, do której niebawem będzie trzeba wracać. Jestem tu i teraz. Zachłannie spoglądam słońcu prosto w jego migotliwą twarz. Robię bilans dnia: noga Joachima goi się dobrze, jelonek jest pod opieką leśniczego, a dzieci pod naszą.



– Bo twoja dusza wypływa z wnętrza wilczej skóry. To wilczyca jest w tobie i nieustannie nadaje ci pierwotny rytm – słyszę ją ponownie.

Wiatr rozwiewa mi włosy, a jej – sierść. Ona jest spokojna i podąża tuż przy mojej nodze. Niepotrzebna nam smycz, tylko instynkt. Muszę ją karmić i nie pozwolić jej uciec. Liże moje rany, otula ciałem, daje ciepło. Jest.

– W jaki sposób osiągasz swoją harmonię? Wydajesz się szczęśliwa pomimo problemów... – poprawiając kwiecistą sukienkę, pyta Zosia.

– Zaczęłam nazywać to, co mnie boli. Jak w tej piosence Osieckiej *Nazywaj rzeczy po imieniu, a zmienią się w oka mgnieniu. Żeby walczyć z bólem, muszę zgłębić wiedzę na temat jego unicestwienia. Tak jak lekarz, który zanim zacznie leczyć, musi postawić odpowiednią diagnozę, aby dobrać leki. Wtedy dopiero można przystąpić do kuracji. Nazwij swój ból i stwórz do niego antonim. Ja tak robiłam: marazm – hobby, ból głowy – duża dawka snu, brzydkie ciało – sport i tak dalej. Od razu nie postawisz się na równe nogi, ale musisz od czegoś zacząć. Co cię najbardziej teraz boli?*

– Zdrada.

– Antonimem zdrady jest lojalność, oddanie, stałość wobec siebie.

Najpierw musisz sama sobie poświęcić uwagę, aby mógł się tobą  
zaopiekować odpowiedni mężczyzna.

– Ale ja nie chcę teraz żadnego faceta! Chcę spokoju!

– Widzisz? Sama wiesz, co jest dla ciebie najlepsze. Twoje życie  
wygląda jak groźna burza, więc chcesz spokoju. Stwórz sobie ten stan,

a powoli

rozwiążą

się

wszystkie

problemy.

Nie

wchodź

w siedmiomilowe buty, bo nie przeskoczysz od razu do innej bajki. Włóż

trzewiki i wydrepcz krok po kroku swoją drogę. Jedyne ratunek jest

właśnie w tym, że od czasu do czasu wykolei się nam los. A teraz chodź,

pójdziemy do Eli. Ona ma eliksiry na niepogodę ducha.

Kierujemy się do placu. Podjeżdżamy samochodem pod dobrze

nam znany market. W jego wnętrzu jeszcze przed kasami znajdują się

sklepiki z gazetami i upominkami. Przy wyrobach cukierniczych

w niewielkim kąciku stoi kobietka przypominająca wróżkę i sprzedaje

ludziom wspomnienia zakłete w płatkach herbaty. Niejeden klient tego molocha konsumpcji przeżywa szok kulturowy, widząc i czując zapach tego stoiska. Odbiega ono od przyjętych norm sklepowych. Kupujący, zaopatrując się w herbaty najróżniejszego gatunku, otrzymuje od sprzedawczyni gratis skrawki szczęścia. Zabiera do domu nie tylko susz, dzięki któremu na chwilę może usiąść, odpocząć, delektować się jego nieopisanym smakiem, ale też sporą dawkę pozytywnej energii i wiedzy na temat leczniczych właściwości naparów.

Ela jest dobrem społecznym. Powinna otrzymać dożywotnie, nieodpłatne lokum od burmistrz miasta w celu stworzenia w nim swego indywidualnego herbacianego świata, gdyż bez niej Szczytno nie byłoby tak magicznym miejscem. Zanim wejdzie się do sklepu, czuć w powietrzu zapachy: wanilii, cynamonu, hibiskusa, migdałów, miodu, cytryny. To niecodzienne zjawisko nosi nazwę Pyszna Szafa. Wszystkie herbaty rozłożone są w jednakowych pięknych pojemnikach na drewnianych półkach ogromnego regału. Efekt piorunujący. Ela w kąciaku jak grom z jasnego nieba pośród tylu namnożonych komercyjnych produktów dyskretnie przypomina, że życie samo w sobie jest celem.

Dzieciaki kręcą się niemiłosiernie, jak zwykle błagając o zakupienie „czegoś”. Nie chodzi o konkretną rzecz, tylko o sam fakt wydania pieniędzy. Odchodzą od nas na dość bezpieczną odległość

i popadają w niełaskę pani sprzedającej najróżniejsze rodzaje żelków.

– Witaj, Elu! Jak zwykle wyglądasz kwitnąco! Dziś mamy duży problem: potrzebujemy mikstury na niepogodę ducha.

Zosia obserwuje moją koleżankę z dużym zainteresowaniem.

– Oczywiście mam najlepszy na świecie antydepresant. Został stworzony przez matkę naturę z pomocą maleńkich zwierzątek. Ludzie cały czas niszczą przyrodę, nie zdając sobie sprawy z tego, że bez niej nic nie istnieje. Faszujemy się sami lekami albo chodzimy do lekarzy, nie znajdując odpowiednich farmaceutyków. To, co naprawdę daje ukojenie, jest blisko, tylko tego nie zauważamy. Z czym macie problem?

Niestrawność?

– Elu, problem mamy z życiem. Istnieje na to jakieś panaceum?

Sprzedawczyni wybucha gromkim śmiechem, po czym odpowiada bez zastanowienia:

– Szczęście zawsze jest obecne w naszym życiu, przeszkodą jest brak jego wizji. To jest najlepszy medykament, a do tego jeśli zaczniecie spożywać w miarę regularnie pyłek kwiatowy produkowany przez pszczoły, efekt gwarantowany. Na swoich półkach oprócz herbat mam

również wyroby tych owadów oraz najlepsze produkty z naszej pasieki  
Leśny Dwór. Ech... żeby człowiek wiedział, ile ma dobra, zgłupiałby  
z radości.

– A co to jest ten pyłek kwiatowy? Wiem, że miód ma dużo  
właściwości zdrowotnych, ale pyłek...?

– Jaśmino, pyłek kwiatowy to męskie komórki rozrodcze  
uzyskiwane przez kwiaty. Aby rośliny dały nam owoce, konieczne jest  
przedostanie się pyłku z pylników na słupek, w dalszej kolejności  
dopiero następuje zapłodnienie zarodka rośliny. Jest to podstawowy  
pokarm pszczół. Pszczoły przenoszą go z kwiatów do ula, w odpowiedni  
sposób konserwują, i jest. Miód to karma energetyczna, a pyłek to nic  
innego jak zbiór witamin, niezbędnych suplementów naszej egzystencji.  
Reguluje on gospodarkę hormonalną. Szczególnie kobiety pragnące  
potomstwa powinny go spożywać. Ma właściwości odżywcze,  
odtruwające, antyalergiczne, antydepresyjne, antybiotyczne, poprawia  
trawienie – jest po prostu eliksirem życia.

Zamarłam  
z wrażenia.

Jak  
mało  
wiem

o świecie.

Tyle

dobrodziejstwa, a ja zaczynam dopiero się w nim poruszać, po omacku, jak dziecko. Tyle lat w uśpieniu.

– Popijcie te drobne kuleczki naparem z mięty. Ugasicie pragnienie i od razu poczujecie się zdrowsze. Ale nic nie jest lepszym remedium od pozytywnego myślenia!

Ela jest naszą mazurską czarownicą. Kto ją pozna, nie potrafi później przejść obojętnie obok jej sklepiku. Otwiera stoisko około dziesiątej. Ludzie robiąc zakupy w markecie, często przynoszą jej prezenty. Od wafelków w czekoladzie po obrazy olejne. Powinna zorganizować jakieś warsztaty z ziołolecznictwa i duszoterapii. Jest niesamowita. Dziękujemy jej za wiedzę. Otrzymałyśmy starannie zapakowany pyłek i ruszamy dalej.

W drodze powrotnej pokazujemy dzieciakom rzeźby mazurskich pofajdoków. Małe stworki przypominające karły bądź krasnoludki zdobią całe miasto. Mają swój pierwowzór historyczny, gdyż kiedyś na Warmii i Mazurach określano tak psotnika oraz sowizdrzała, czyli roztrzepanego młodego mężczyznę, który uwielbiał dokuczać i figlować. Figurki przyjmują fantastyczne kształty. Jedna przypomina uciekającego więźnia i stoi tuż przy zakładzie karnym, inna ujeżdża świnię w parku,

a jeszcze inna jak amerek strzela z łuku do zakochanych na moło Jeziora Domowego Dużego.

Opowiadam im również o tym, że Szczytno zostało założone przez Galindów. To plemię bałtyckie próbowano schrystianizować w X wieku, udało się to jednak dopiero w XIV wieku Zakonowi Krzyżackiemu.

Swoją samodzielność kulturową zachowali jedynie Litwini i Łotysze.

Wśród tutejszych mieszkańców krąży legenda, jakoby pewien rybak mieszkający na wyspie nad jeziorem Niegocin, czyli Jeziorem Miłości, przepisał cały majątek swej najpiękniejszej i najmądrzejszej trzynastej córce. Galindia miała zaopiekować się dobytkiem, jednak zakochała się w chłopcu z łądu. Spotykała się z nim ukradkiem codziennie o tej samej porze. Ojciec, przeciwny jej związkowi, poradził się czarownicy. Ta pod osłoną nocy przyjęła postać Galindii i wcześniej udała się na spotkanie. Młodzieniec pocałował ją i od razu przemienił się w żabę. Kiedy na miejsce przybyła dziewczyna, zastała stado rechoczących żab, ale wśród nich była jedna, która miała najdonioślejszy głos. Galindia wzięła ją na rękę i po jej oczach rozpoznała ukochanego. Z przerażenia zastygła w bezruchu i jako posąg trwa tak aż do dziś. Obecnie jedynie w Giżycku można podziwiać fontannę z dwójką tych legendarnych postaci.

W ten ospały od słońca dzień czuję jedność ze światem legend słowiańskich, mazurskich, warmińskich. Otaczają mnie zewsząd duchy przaprzodków, dzięki którym mogę tutaj być i żyć. Właśnie w tym

niejsu odczuwam irracjonalny efekt motyla, naukowo nazywany chaosem deterministycznym. Polega on na tym, że trzepot skrzydeł motyla na przykład w Japonii może mieć wpływ na późniejsze trzęsienie ziemi choćby w Indiach. Matematyk i meteorolog Edward Lorenz doszedł do tego wniosku, pracując nad komputerowym obliczaniem prognoz pogody. Nie potrafię analizować algorytmów matematycznych, ale wiem, że naszym życiem poniekąd rządzi los. Próbuję wytłumaczyć Zosi, że zdrada jej męża przyczyni się do zmian na lepsze. Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu. To, że w pewnym momencie jakaś dziewczyna zatrzepotała swymi skrzydłami, przeistaczając się w jego kochankę, ma głębszy sens, tylko zbyt mało czasu minęło, abyśmy mogły go odkryć. Ja stworzyłam sobie na Mazurach swój własny raj. Galindowie, pofajdoki, wiejskie życie to są wyznaczniki mojej psychiki. Jestem tym, kim jestem, i dobrze mi z tym.

– Pamiętaj o swych praojcach, nie pozwól im zginąć w odmętach nieznówważonego świata, a poprowadzą cię tam, gdzie jest ukryty twój spokój. – Słucham wilczycy z wielką uwagą. Zapisuję w kajecie te myśli. Stała się już mną. Nie wyobrażam sobie bez niej życia.

Pakujemy się do samochodu i jedziemy z całą dzieciarnią do Joachima. Sprawiamy mu radość. Powoli wraca do siebie. Niesprawną ma tylko nogę. Jego wcześniejsze obawy zostały rozwiane przez lekarzy. Problemy były spowodowane znieczuleniem, ot wszystko. Koledzy z sali



również przez to przechodzili. Widzę, że zapoznał się z nimi i ma wreszcie z kim porozmawiać. Chłopcy nie mogą napatrzeć się na jego bandaż. Są podekscytowani. Starszy mówi, że też tak chce! O kuriozum życia! Młodemu chłopcom zawsze imponował waleczny i połamany Rocky Balboa. Ale żeby do tego stopnia? Marysia pcha się tatusiowi na brzuch. Rączkami obejmuje jego twarz. Jest rozkoszna, taka niewinna, jak anioł. Zauważa rurkę podłączoną do ręki Joachima:

– Tatu, a to cio?

– Przez tę rurkę dostaję witaminy, żebym wyzdrowiał i mógł wrócić do domu.

– A cio to witaminy?

Joachim drapie się po głowie i jednym tchem wyrzuca:

– To jest takie jedzonko dla taty. Tędy płynie obiadek.

Marysia robi wielkie oczy i z niedowierzaniem powtarza:

„Obiadek?”. Dotyka kroplówki i mocno ją gryzie. Mamy niezły ubaw.

Pomyślała, że skoro obiadek, to i ona może spróbować. Odrywam ją od urządzenia i tłumaczę, że tego się nie je.

– Jak obiadek, to je! – wykrzykuje.

Nie udaje się jej niczego wyjaśnić, powoli wpada w histerię.

Najwyraźniej jest głodna i zmęczona. Mnie również zaczynają kiszki marsza grać. Gdy do sali wjeżdża pani z posiłkiem, żegnamy się i wycofujemy.

W samochodzie

wyciągamy

kabanosy

z naszych

termoaktywnych toreb, dzieciaki pałaszują jak oszalałe. Spokojnie wracamy na Wałpusz.

Kolejny raz mijam te same drzewa, łąki, pola. Jak dobrze, że w naszym życiu są chwile powtarzalności. Bywają przerywane kataklizmami, ale jeżeli mamy do czego wracać, to nie jesteśmy jak drzewo wyrwane z korzeniami. Mamy jeszcze szansę na powtórne narodziny. Pewna stałość jest potrzebna. Powtarzalność rytuałów, świąt, wolnych niedziel pozwala na wytchnienie i zwolnienie tempa. Nie wierzę tym, którzy mówią, że rytmiczność życia jest nużąca. Z jednej strony nie można popaść w marazm, z drugiej – brak współistnienia z tym, co nieugięte i niewzruszone, powoduje jakiś wewnętrzny rozstrój. Stwarzam swój świat obrazów, zamykam go w sobie i on nie wykracza poza sferę wyobrażeń i fantazji.

Wszystko, co robimy, jest próbą wyjaśnienia sensu istnienia, a my,

kobiety,

drażymy

ten

sens

ciągle

od

nowa,

nie

ustając

w poszukiwaniach. Jak dobrze być kobietą. Pielęgnować siebie

i otoczenie. Stereotypy społeczne mówią, że my możemy popełniać

błędy, a mężczyźni powinni być nieugięci jak stal. A przecież pierwszą

formą panowania nad światem był matriarchat. Większość bóstw

plodności to przecież kobiety. W starożytnej Grecji najpierw byli Gaja

i Uranos, a dopiero później Zeus.

Zachciewa mi się szamanić. Czuję energię płynącą z zewnątrz.

W tym momencie jestem jedną wielką kulą energetyczną i chcę

rozdawać promieniowanie wszystkim, szczególnie mojej przyjaciółce,

która przechodzi najgorszy okres w życiu. Patrzę na nią kątem oka.

Udaje, że jest dobrze, ale myślami błądzi gdzie indziej. Dopóki nie

wyjaśni sprawy z mężem, nie będzie spokojna. Najpierw jednak musi się

niezależnić. Łatwiej płakać w poduszkę, nie będąc ocenianą przez ludzi napotkanych w swojej dzielnicy. W małych miejscowościach plotki szybko się rozchodzą, w Warszawie będzie bardziej anonimowa. Przez ten czas musi załatać dziury w swoim płaszczu. Przecież pod jego połami będą chowały się dzieci, więc lepiej, żeby nie zmokły. Z tego też powodu kobiety mają w sobie więcej siły. Muszą tylko ładować akumulatory, a prądem jest odrobina szamaństwa.

Dziś w ramach obiadu zrobimy ognisko, postanawiam. A później posiedzimy przy trzaskających płomieniach w ciszy i zadumie. Po powrocie wyciągam żeliwny kociołek, chłopcy w tym czasie rozpalają drewno. Garnuszek wykładam liśćmi kapusty, na nich kładę warstwę talarków z ziemniaków. Następnie warzywa. Powinny być świeże, ale z braku czasu sięgam po mrożonki. Kolejną warstwą jest drobno skrojony boczek oraz wędlina. Posypuję to wiórkami masła i powtarzam czynność, tak aby uzyskać minimum trzy piętra. Oczywiście każdą warstwę solę i pieprzę wedle uznania. Ostatnią koniecznie muszą być ziemniaki otulone liśćmi kapusty. Przykrywam szczelnie pokrywą – wszystkie składniki powinny dusić się we własnej parze. Stawiam na ogniu w taki sposób, by garnek nie ginął w płomieniach. Czekamy około dwóch godzin. Dla zabicia głodu podsmażamy białą kielbasę w ognisku, ale nie najadamy się do syta, wszak najlepsze zostawia się na koniec.

Bacnym okiem cały czas obserwuję Marysię. Biega po ogrodzie

jak szalona i krzyczy, że ma skrzydła. W jej ulubionej bajce o maleńkich konikach niektóre z nich mają zdolność latania. Czasami podbiega do mnie i beztróska pyta: „Mama, a ty masz skrzydła?”. Zawsze odpowiadam, że mam największe i najmocniejsze. Podbudowuje mnie jej beztróska. Mam wrażenie, że wraz z dorosłością zaczęłam obumierać. Córka dodaje mi piór, abym mogła załatać te najbardziej wyszarpane miejsca. Przychodzi do mnie wtedy, gdy jestem najbardziej racjonalna, odrywa od przyziemności, każe patrzeć w chmury.

– A co tak pięknie pachnie, sąsiadko? – słyszę zza płotu znajomy głos pana Mietka.

– A kociołek z ogniska! Zapraszamy do nas! Na razie tylko kiełbaska! – krzyczę wesoło.

– Nie będę przeszkadzał. Takie młode towarzystwo, nie potrzeba starych dziadów.

– Z panem to i na koniec świata, niech pan nie gada głupot! Proszę przejść od strony jeziora. Tam jest niedokończony płot, stoją tylko drewniane belki, śmiało można wejść na podwórze.

Zosia kroi cebulkę i kładzie główki czosnku na grillu zawieszonym nad ogniskiem. Trzęsą się jej ręce. Myśli o Marku, widzę to. Cały czas

rozgrywa w głowie pojedynek słowny, układając scenariusz ich pierwszej rozmowy.

– Panie Mietku, proszę przejść dołem. Tak będzie łatwiej, na górze deski są nieco połamane, można sobie ubranie rozerwać.

Ale listonosz, chcąc nam zaimponować, nie słucha mojej rady.

Przekłada nogę przez górny drąg, zaczepia spodniami o dużą drzazgę, rozdzierając je lekko, i upada na ziemię.

– No przecież mówiłam, żeby dołem!

– Gdybym wiedział, że się wypierdolę, tobym przecie usiadł! –

Grozi mi palcem, otrzepując ubranie z trawy. Chłopcy ryczą ze śmiechu, słysząc przekleństwo, a Zosia lekko uśmiecha się pod nosem. Kiedyś pewnie zwróciłaby stanowczo uwagę panu Mietkowi. Dziś jest już inna. Nie trzyma pod kloszem dzieci, bardziej zwraca się ku sobie.

Nawet nie zauważyłam, kiedy Marysia zasnęła na moich kolanach.

Uwielbia wpatrywać się w ognisko. Miałam ją porządnie wykąpać przed jutrzejszym wyjazdem, ale kładę do łóżeczka w mundurku. Niech śpi i śni. Nastawiam elektryczną niańkę i schodzę do moich gości. Pan Mietek cały czas opowiada dowcipy, próbuje rozbawić Zosię, ale nie jest to łatwe. Widzi, że mojej przyjaciółce coś leży na sercu. Podaję im

zimne piwo, chłopcy opijają się coca-colą. Wyciągamy kociołek.

Jedzenie jest idealnie upieczone, wygląda na to, że mam już w tym wprawę.

– Jedzenie z ognia smakuje zupełnie inaczej niż te ze sklepowych półek. Jest przesiąknięte dymem, duchami drzew i duszami naszych praojców poległych na tej ziemi. – Pan Mietek kieruje te słowa do Zosi. Chyba próbuje uderzyć w inny ton. Chce pomóc. – Codziennie w pewien sposób zmartwychwstajemy. Najlepiej widać ten proces na przykładzie dzieci. Prochy zmarłych mieszają się z ziemią, napędzają życiodajnie rośliny, a my, nie zdając sobie z tego sprawy, karmimy się nimi. Matka rodzi dziecko, staje się coraz starsza, umiera. Jej dzieci rodzą swoje i tak świat drepce do przodu. Czasu cofnąć nie można, ale zawsze jest nadzieja na przyszłość.

Z każdym zdaniem coraz uważniej wsłuchujemy się w jego słowa.

Słońce zaczyna już oświetlać inną półkulę ziemi, a my uspokajamy się pod wpływem trzasku palącego się drewna. Przychodzi zapracowana Lena, niosąc koce. Wygląda jak paleta farb. Wszędzie umorusana. Noc zapowiada się na zimniejszą od poprzednich. Chłopcy wkładają kije w żar,  
a potem  
machając  
nimi

w ciemnościach,

rozrywają

pomarańczową łuną granat nieba. Kreślą koła. Czarują nasz świat.

– Kiedyś wspólnie z rodzicami w Święto Dziadów, czyli nasze

Zaduszki, rozpalaliśmy ogromne ognisko, aby dusze zmarłych zobaczyły

nas z nieba, i modliliśmy się za nie.

Sąsiad rozpoczyna kolejną ze swych niesamowitych opowieści.

Teraz już nawet chłopcy siadają i wpatrują się w niego badawczo.

– Były to indywidualne modlitwy. Każdy z nas kierował je do

swoich opiekunów i prosił o uwolnienie od złych powiązań rodzinnych.

Ja wierzę, że energia przodków przechodzi na nas właśnie poprzez

życiodajną ziemię. Dziedziczymy przecież po praojcach choroby, to

dłaczego nie mielibyśmy i losu? Na przykład poprzez ściąganie na siebie

kłopotów, które wlokły się za nimi. Chyba nawet udowodniono

naukowo, że jeżeli w którymś pokoleniu pojawił się problem, który nie

został rozwiązany, a jedynie zepchnięty na drugi plan, to może on

wracać do naszych dzieci. Zwróćcie uwagę, jak wiele w życiu zależy od

harmonii bądź jej braku w relacjach z naszymi rodzicami. Musimy się

wewnętrznie pogodzić z pewnymi problemami, aby się właśnie ich

pozbyć. Może to głupie, ale ja w to wierzyłem jako dziecko i wierzę jako

dorosły człowiek. Co jakiś czas siadałem przed ogniskiem lub nawet



przed zwykłą świeczką i wpatrując się w płomień, prosiłem przodków, aby wspólnie ze mną wypełnili luki w mojej linii genealogicznej.

Analizowałem życie swoich męskich poprzedników i wypowiadając własne imię oraz nazwisko, dodawałem, że spalam i odcinam negatywną energię nierozwiązanych spraw moich ojców. Wraz z ogniem spalam problemy finansowe, zdrady małżeńskie, brak szacunku, miłości i tak dalej. Wydaje się to śmieszne i irracjonalne, ale wszystko, co przynosi człowiekowi ulgę i spokój, jest dobrem uzasadnionym. Po jakimś czasie zaczynałem do tych trudności dodawać te z życia codziennego i coraz częściej powtarzać jak mantrę. Już nawet bez świeczki. Pomagało. Zła energia opuszczała mnie z każdym dniem.

Zamilkł.

Trwamy długo w ciszy, wpatrzeni w języki ognia. Nie muszę pytać, aby wiedzieć, że każdy z nas załatwia teraz swoje sprawy. Nawet chłopcy kontemplują. Zamykam oczy i czuję, jak nogi wrastają mi w ziemię, a żar buchający od drewna pieści twarz. Jestem jak jądro ziemi, czyli lawa. Czasami zamieniam się w wulkan i wtedy wybucham nieskończoną ilością myśli, marzeń, słów, pragnień.

Wśluchuję się w puls serca, w niczym nieprzyspieszone miarowe tętno. Maleńka pompka przetaczająca krew. Podobno w Kanadzie potrafią wwiercić się w ziemię na głębokość trzydziestu trzech

kilometrów i pobierać z jej ośrodka energię. Wtłaczają do wnętrza wodę, a wypuszczana para wodna służy do napędu turbin. W ten sposób można zaprzestać budowania elektrowni atomowych. Ale czy możemy aż tak ingerować w ziemię? Penetrować ją bez pytania? A jak by to było, gdyby wywiercić dziurę w sercu i czerpać z niego siły witalne? Po jakimś czasie uschłabym, umarła.

W tym momencie ktoś dorzuca do ognia ogromne kłoc drewna i w jednej chwili nasz spokój zostaje zachwiany. To Lena, łamiąc jedną ze swych desek, podsycy już dość okazały płomień.

– Co ty wyprawiasz? Dopiero zaczęłaś ją malować! – Wyrwana z transu Zosia próbuje ją powstrzymać.

– A wiesz, ile już ma na sobie warstw? Trzy! Zupełnie mi nie wyszła! Jestem piekielnie zmęczona.

– Jakich warstw? – dopytuję.

– No jakich, jakich...! Normalnych! Jak nie wyjdzie mi pierwszy szkic twarzy, to zamalowuję deskę i rysuję następny. Mogę tak kilka razy! Ale w takiej sytuacji nigdy nie wyjdzie mi niepowtarzalne dzieło, bo już od pierwszego szkicu moja wyobraźnia jest spaczona tym pierwszym wizerunkiem. Rozumiesz? I jak tak kilka razy powtarzam, to

czuję, jakby drewno nie chciało nakładać na siebie kolejnej maski, więc odcinam je i palę. Może pan Mietek ma rację. Może w drzewach są jakieś duchy, a moja deska nie chciała być Anielicą? Może ona właśnie chciała świętego spokoju? Niech płonie i przywróci mi wenę, bo dłużej nie wytrzymam!

Pan Mietek, podziwiając całe zajście, lekko przestraszony wstaje, dziękuje i kieruje się w stronę domu. Na odchodne dodaje:

– Widzę, że już zrozumieliście. Mogę spokojnie iść spać. Jutro czeka na mnie kolejna torba listów. A ty, Jaśka, o dziadku nie zapominaj, bo i tak on do ciebie wróci. Lepiej, żebyś się nie przestraszyła. Zasyń tę dziurę, w którą możesz wpaść.

Chyba jestem bardziej wystraszona od niego. Znowu mi o czymś przypomniał. Nie próbuję go zatrzymać. Wygląda jak Leśny Dziad, kiedy tak odchodzi w mrok z uśmiechem na twarzy. Zwykły niezwykły człowiek, sąsiad. Dopijając piwo, rozmyślałam nad tym, co powiedział. Dziewczyny w ferworze dysputy na temat współczesnej sztuki prawie się kłóć, ale w końcu dochodzą do porozumienia. Ogień jest dobrym mediatorem – cichną i chowają się pod jeden, wspólny koc. Chyba w tym zgiełku nie usłyszały ostatnich słów pana Mietka. Mnie przeszywa zimny dreszcz, bo przecież mam karty, których symboliki w ogóle nie znam.

Gdy mamy się już zbierać, słyszę trzask gałęzi. Początkowo myślę, że to szyszki strzelają w ogień, jednak odgłos staje się coraz wyraźniejszy. Dochodzi z miejsca, w którym mam niedokończony płot. Podejrzewam, że to pan Mietek wrócił, ale moja Bunia zaczyna warczeć, wpatrując się w ciemny zagajnik.

– Chodźmy już stąd! Szybciej! – szepcze Zosia.

Ale ja przestaję się bać. Wsłuchuję się w siebie. Biorę długi, gruby kij, polewam go wódką, wsadzam w ognisko i robię pochodnię.

– Jaśka! Zdurniałaś! Nie idź tam! A jeśli to jakiś wygłodniały pies?! – krzyczy przyjaciółka.

Chwilowo chcę zaniechać pomysłu, jednak gdy do naszych uszu dobiega pisk przeradzający się w skowyt, chwytam Bunię za obrozę i ostrożnie, krok za krokiem, oświetlając drogę, idę w stronę płotu. Trwa to całą wieczność. Coś szamocze się w rogu. Gdy jestem już niedaleko, w mroku błyskają zielone ślepia. Podchodzę jeszcze bliżej, myśląc, że to mój kot pogryziony przez jakiegoś wrednego kundla. Ogień pochodni oświetla nocnego intruza. Bunia kuli ogon. Nie poznaję jej. Zawsze szczeka na tych, których nie zna. Dotyczy to również zwierząt. Teraz po prostu się boi. Kuląc uszy, kładzie się na ziemi.

Z półmroku, patrząc wprost na mnie szarozielonymi oczyma,  
wyłania się pies. Rozpoznaję, że jest to wilk. Drżąc ze strachu, biję się  
w pierś, że tu przylazłam. Wilk może przecież mnie zabić! Jednak coś  
każe mi zostać na miejscu. Spojrzenie zwierzęcia przeszywa mnie od  
środka. Wilczyca w moich myślach mówi słowami Bułhakowa:

– Jeżeli chodzi o oczy, tu nie ma mowy o pomyłce ani z bliska, ani  
z daleka. Oczy to coś niezwykłego, niczym barometr. Widać wszystko:  
kto ma wielką pustynię zamiast duszy, kto ni z tego, ni z owego może  
kopnąć czubkiem buta między żebra, a kto się boi. Takiego właśnie  
lękliwego gnojka miło jest ugryźć w łydkę. Boisz się, to masz za swoje.  
Jeśli się boisz, widocznie masz powody\*\*.

W tym momencie myślę o wszystkim i o niczym. Jestem jak  
człowiek zaklęty w inną postać. Po dłuższej chwili zauważam, że z jej  
tylnej łapy sączy się krew. Jak gdyby nigdy nic zwierzę kładzie się na  
trawie, niczym Bunia. Wielki jęzor zwisa z pyska, a ślina kapie na łapy.  
Wygląda na bardzo zmęczoną. Kiedy mój pies wstaje, nasza  
przeciwniczka podnosi się i zaczyna warczeć. Jednak nie trwa to długo,  
gdyż znowu opada na ziemię. Jest wynędzniała. Pod sierścią delikatnie  
zarysowują się żebra.

Powoli wycofuję się, zwrócona cały czas w jej kierunku.

Adrenalina nie opuszcza mnie ani na chwilę. Zabieram kielbasę z ogniska i już chcę do niej iść, gdy Lena chwyta mnie za rękaw.

– Dziewczyno, co ty wyprawiasz? Co tam jest? Nie dokarmiaj tego psa – zgłupiałaś?

– To nie pies! To wilczyca! Jest ranna i głodna.

– Co? Wilczyca tutaj? To tym bardziej musimy uciekać! Nie puszcze cię! Zdurniałaś!

Trzyma mnie za rękę, a ja próbuję się wyrwać za wszelką cenę.

Pochodnia upada na ziemię. A strach nie pozwala racjonalnie myśleć.

Mam przed oczami długi szary pysk i oczy.

– Musisz zacząć być mną, wyostrz zmysły, poddaj się dzikiemu światu. Jedni przybierają postać lwa, inni byków, ryb, świń, a nawet małp. Ty jesteś w mojej skórze – mówi do mnie wilczyca.

– Jaśka, nie możesz jej dokarmiać, bo ona się zniewoli, rozumiesz?! – wykrzykuje Lena.

– Ludzie też żyją w niewoli! – odpowiadam stanowczo, wbijając sztylecik w źrenice oczu.

– Ona może mieć wściekliznę!

– Kurwa, czy wszystko w życiu musi mieć wściekliznę? Zostaw mnie! Puszczaj, bo cię ugryzę! – Wyszarpuję się z jej rąk.

Podchodzę do zagajnika, ale nie tak blisko jak wcześniej. Rzucam kielbasę w mrok i się wycofuję. Uciekamy do domu, chłopcy już dawno z niedowierzaniem patrzą na nas z okien. Pędzę do Marysi. Śpi jak aniołek. Dziewczyny zamykają dom. Wypijamy po rozchodniaku i obie idą do swoich pokoi. Jeszcze przez chwilę patrzę z kuchennego okna na dogasające ognisko. Zwierzę powinno podejść i zjeść wszystko, co zostawiłyśmy przy ogniu. W popłochu przecież nikt nie myślał o zbieraniu naczyń i pożywienia. Jednak nic się nie wydarza.

Tak bardzo chcę ją zobaczyć znowu. To ona – moja wilcza matka, stróż nocny, anioł, przewidzenie! Pokazała mi się i zniknęła. Musiałam ją dokarmić, żeby nie zdechła. Mam nadzieję, że wylizze swoją ranę. Jak dobrze być durną. Wypijam jeszcze jeden kieliszek. Nic się nie dzieje.

Idę na górę, chwytam za pióro i znów zaczynam pisać. Jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd. To nie jest rodzaj szczęścia domowego, przyziemnego. Czuję, jakby moja dusza odbywała spacer na innym poziomie, tym, o którym zapomniałam przeszło dziesięć lat temu. Chcę krzyżeć z radości, ale mój krzyk przeradza się w plątaninę znaków

wypływających spod pióra. Zapisuję niezapisaną tablicę, jaką jestem, miłością do siebie i świata. Taki proces zachodzi bez udziału mężczyzny. Tylko ja i nikt więcej.

Gdy się budzę, od razu biegnę na dwór. Pozostawione jedzenie jest nietknięte. Podchodzę do miejsca, w którym wczoraj się spotkałyśmy oko w oko. Zostały jedynie drobne ślady krwi na wygniecionej trawie. Kładę na niej rękę. Jak matka gładzi pościel przed ułożeniem swej pociechy, tak ja teraz dotykam ujarzmionej trawy. Chwytam źdźbła w dwa palce, chcę ją poczuć. Być nią. Dostrzegam jedynie kawałki wyliniałej sierści. Zbieram je, nie myśląc o chorobach i zarazkach. Wącham. Ktoś z boku mógłby pomyśleć, że zwariowałam. Chcę być kretynką, matką, dzikuską, szamanką, lwicą, gołębicą, piechurem, czarownicą, zielarką, polonistką, humanistką. Chcę być dziwna, niepokładana. Chcę być wolna! I jedynie ja sama mogę sobie tę wolność dać. Ona jest w głowie, tylko i wyłącznie w głowie.

Przed domem czeka na mnie Bunia. Chcę ją pogłaskać, ale odsuwa się ode mnie. Kuli tak jak wczoraj. Czuję, że pieszczota, jaką mogę ją obdarzyć, nie jest tylko zwykłym ludzkim dobrodziejstwem, ten zapach nie jest mój. Wracam do swojej sypialni, nerwowo szukam medalionu z otwieranym dnem. Piękny srebrny wisior podarowała mi mama na Pierwszą Komunię Świętą. Kiedyś dumnie nosiłam w nim mikroskopijne zdjęcia rodziców, potem wkładałam do niego rzęsy narzeczonego.



Z upływem lat chyba wyparowały. Teraz wsadzam do środka sierść.

Zamykam medalion i wieszam na szyi. Myję ręce. Ogarniam Marysię.

Schodzimy do kuchni, gdzie Lena przygotowuje śniadanie. Dołącza do nas reszta brygady. Chłopcy nie mogą uwierzyć, że karmiłam wilka. Dla nich jestem bohaterką, dla moich przyjaciółek – nieodpowiedzialną matką. Tym różnią się dorośli od dzieci. Pakujemy się do dwóch samochodów. Lena wraca już dziś do Janowa, my jedziemy na podbój Warszawy. Psy zostają na podwórku. Pan Mietek na zmianę z teściami ma je dokarmiać. Zanim skierujemy się w stronę Warszawy, podjeżdżamy pod dom sąsiada, który właśnie wychodzi do pracy.

– Panie Mietku, mam jeszcze jedną prośbę. Niech pan późnym popołudniem rzuci kawał mięsa pod płot. Tam, gdzie wczoraj pan się przewrócił. Widziałam tam zagłodzonego psa. Małutki był, ale jaki piękny. Może wróci.

– Dobrze, jedź już spokojnie, niech cię głowa nie boli. Przypilnuję jak trza.

– Dziękuję – wypowiadam z niesłychaną radością.

Jedziemy najpierw do Szczytna. Oddając teściom Marysię, wręczam im klucze od domu i samochodu. Łzy kręcą się w oczach, w końcu na tydzień rozstaję się z córką. Nie lubię ckliwych pożegnań.

Mała za mną nie płacze, więc zawracam, wygodnie sadowię się w fotelu i ruszamy.

Już przed Markami daje się odczuć rychłe spotkanie ze stolicą. Na przystawkę podają nam czterokilometrowy korek.auta nie poruszają się w żadną stronę, po prostu stoimy. Zośce powoli puszczają nerwy. Nigdy nie doświadczyłam agresji wywołanej takim trwonieniem czasu na drodze. U nas takich postojów nie ma, a jeżeli już są, to chwilowe. Po prawie czterdziestu minutach znajdujemy się przy wjeździe. Ogrom budynków, neonów, zabudowań przeraża. Oglądam to pędzące miasto zza szyby i wydaje mi się, że oprócz sklepów, betonu i spieszących się ludzi nie ma tu nic ciekawego. Co pięć minut słysząc dźwięk klaksonów, a sygnały pędzących karetek przyprawiają o dreszcze.

Zatrzymujemy się przed przejściem dla pieszych. Na uliczną zebnę wylewa się tłum. Ostatnio widziałam taki gwar podczas pielgrzymki na Jasną Górę. Uderza mnie nieustanny hałas wywoływany maszynią ludzkich oczekiwań. Oni wszyscy pędzą, aby spełniać swoje marzenia, osiągać cele. Ja wolę myśleć o przyszłości w spokoju, bez zbędnych urządzeń. Mam wrażenie, że w tym mieście ludzie napędzają własne skryte fantazje jedynie za pomocą samochodów i nóg. U nas jest zupełnie inaczej – najwydajniej marzymy, nie spiesząc się nigdzie, kontemplując w ciszy. Tu cały czas jest karnawał i jarmark.

W mniejszych miejscowościach dni świąteczne mają za zadanie odwrócić na kilka chwil istniejący porządek. Na dożynkach wójtowie i burmistrzowie stają się błaznami, a drobne pijaczki – filozofami godnymi Kanta. Wszechobecna groteska wywraca świat tylko po to, aby po pewnym czasie przywrócić ład. Jak podczas juwenaliów stajemy się tymi, którymi nie dane było nam się urodzić, ale do których stołków nieustannie dążymy. W jednym rowie mogą wylądować i burmistrz, i żul. Wtedy wszyscy są równi. Ci poddani codziennej ocenie opinii publicznej mogą się napić i pobawić, a łobuzów traktuje się łagodnie. Jest przesąd, że im więcej i mocniej ludzie tańczą, tym wyżej wzrasta zboże. Po wyleczeniu moralnego kaca błazenada zostaje porzucona na rzecz powszedniości. A tu? Mam wrażenie, że cała stolica skarnawalizowała swój światopogląd. Jak u Bachtina – powaga miesza się ze śmiechem, a mądrość z głupotą.

Ci ludzie nie mówią sobie „stop”. Ich jarmarczne przebrania są codziennym strojem, nie zdejmują ich nawet w domach. W święta nie odpoczywają, tylko pędzą na zakupy. Nie można spotkać się w parku, ponieważ jest ich tu niewiele, a jeżeli już są, to zawsze przeludnione. Najwygodniejsze miejsce stanowi galeria handlowa, a w niej karnawał trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Łatwiej jest zachować twarz pod przykryciem kolorowej maski. Ale nie ma czemu się dziwić – w wielkim mieście jest jak w amazońskiej dżungli. Oplatają zewsząd liany, nad głowami syczą węże, więc ludzie stroją się w pióra, aby to wszystko

odstraszyć.

Dojeżdżamy na miejsce. Zośka parkuje przed szarym długim blokiem. Jest zupełnie inaczej niż na jej dotychczasowym zamkniętym osiedlu. Wjeżdżamy na dziewiąte piętro windą pamiętającą Gierka. Przekręcamy klucz i wchodzimy. Witają nas socjalistyczne tapety i masa kurzu na bibelotach.

– O matko! – to pierwsze Zosine słowa w nowym mieszkaniu.

Chłopcom nie robi to żadnej różnicy, są zachwyceni. Od razu przeszukują stare szafy w poszukiwaniu cennych skarbów.

– Zośka, trzeba tu jedynie posprzątać. Wywalić niepotrzebne rzeczy. Z czasem urządzisz się po swojemu. Wolisz żyć w pałacu i być poddaną króla czy sama rządzić w swoim królestwie? Stwórz sobie tu własny świat. Kryształy i złoto nie są do tego potrzebne, wystarczą ręce

– mówię szybko, widząc zdruzgotanie malujące się na jej twarzy.

– Mów do mnie tak jeszcze. Wiem, że masz rację, jednak początki zawsze są najgorsze. Muszę od razu jechać do Marka po swoje rzeczy, ale bez chłopców. Nie wiem, czy on tam w ogóle będzie, a jeżeli tak, to z kim... Wolę, żeby dzieciaki nie słyszały naszej wymiany zdań.

– Zosia – odzywam się łagodnym tonem, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Przecież ja właśnie po to tu jestem. Żeby pomóc. Nie musisz mi się tłumaczyć. Wszystkim, ale nie mnie. Zrobię obiad. Zanim weźmiemy się do pracy, musimy przecież czymś wypełnić żołądki.

Kiedy już wychodzi, pierwsze, co robię, to stawiam deskę Leny w widocznym miejscu, czyli na parapecie w dużym pokoju. Najadam się pyłku kwiatowego i nawet jeśli to placebo, czuję się po nim znacznie lepiej. Jakby świat stał się bardziej przyjazny niż dotychczas.

Mieszkanie składa się z trzech pokoi. W każdym piętrzy się niebotyczna liczba starych książek. Co z nimi zrobić? Przecież ich nie wyrzucimy. Pozycje są isticie frapujące: Gombrowicz, Mickiewicz, Nałkowska, Tołstoj, Sołżenicyn, Nabokow... Gdy mięso dochodzi w piekarniku, opróżniam dużą szafę wypełniającą dwumetrową wnękę w przedpokoju i załadowuję do niej co wartościowsze pozycje.

W niektórych z nich znajdują się bony na zakupy, listy, a nawet dolary. Książki to nie tylko źródło wiedzy, ale też przechowalnia pamięci. Ja do swoich wkładałam listy od chłopaków, pieniądze.

Obecnie suszę kwiaty, prostuję znaczki. Były i są nie tylko makulaturą, lecz także skarbnicą jeszcze tłęcego się życia. Nawet ich starczy zapach przywołuje obrazy dzieciństwa. Nie lubię, kiedy książki są wymuskane i gładkie. Jeżeli mają chropowaty papier i są wymięte, znaczy to, że

przeszły przez wiele rąk i serc. Dlaczego głównym celem hitlerowskich bombardowań były biblioteki? Ano właśnie dlatego, aby zniszczyć polską kulturę.

Otwieram wszystkie okna. Wysokość przyprawia o zawrót głowy, a przelatujący dość nisko samolot sprawia, że o mało nie dostaję palpacji serca.

– Ha, ha, ha, niech ciocia się nie boi! Tu całkiem niedaleko jest lotnisko – informuje mnie Piotruś.

A ja dalej tkwię w miejscu, bojąc się poruszyć. To niesamowite.

Ptaki tak nie hałasują jak samolot, a przecież latają. Człowiek miał zawsze potrzebę bycia bogiem. Gonił tajemniczy cień, chwycił się jego stóp. Dlatego wynalazł samoloty. A może ja po prostu nie rozumiem tego żeliwnego mechanizmu na dwóch skrzydłach? Pewnie dlatego wywołuje we mnie lęk. Ale kto nie lęka się Boga? Chyba tylko głupiec. Cywilizacja jest jak On, tyle że nie wyznacza nagród i kar, pędzi jak szalona na pohybel niedowiarkom takim jak ja.

Kiedy obiad zaczyna głośno skwierczeć i jeszcze mocniej pachnieć, siadamy do stołu. Chłopcy jak wygłodniałe koty połykają kawałki kurczaka w całości, a mnie chce się śmiać. Ręce i twarze mamy umazane od tłuszczu. Wtem otwierają się drzwi wejściowe i przeciąg

sprawia, że okno w dużym pokoju otwiera się na oścież. Anielica spada z łoskotem na podłogę, wzbijając tumany kurzu, a przed nami stoją zapłakana Zośka i on.

– Cześć, jestem Władek. Kolega waszej mamy. Panowie, pomóżcie nam, bo sami nie wniesiemy tych mebli.

Wycieram zabrudzoną twarz, szybko biegnę umyć ręce i witam się z nowym przybyszem. Jego dłoń jest duża i ciężka, a brwi chyba ma jeszcze bardziej zrosnięte niż mój mąż. Pierwsze, na co zwracam uwagę, to wbrew pozorom nie oczy, tylko cholernie długie ręce, zresztą wprost proporcjonalne do całego ciała. Mężczyzna musi mierzyć chyba ze dwa metry. Wysoki Tatar z jasnymi oczami. Nawet trochę podobny do Joachima, z tym że ma dość korpulentne ciało, ale wysportowane. Nie ocieka tłuszczem, przeciwnie, jest zbitą masą, jak bokser. Wstawia stoliczek do pokoju i schodzi na dół.

– A ten to kto? – pytam Zosię.

– Mój kumpel z pracy, właśnie odwiózł żonę na lotnisko i całkiem przypadkiem się spotkaliśmy, no to od razu wzięłam go do roboty.

Będzie dla niego obiad?

– Spokojnie, starczy dla wszystkich.

Kiedy wraca z kolejną dostawą pakunków, częstuję go kurczakiem.

Opowiada co nieco o sobie. Okazuje się, że ma dwóch synów w podobnym wieku co chłopcy Zosi, prowadzi szkolenia oraz zajmuje się doradztwem personalnym.

– A co u Marka? – pytam przyjaciółkę, kiedy jesteśmy same w kuchni.

– Powiedział, że dobrze, że się wyniosłam z dziećmi, bo za dużo od niego wymagałam. I że ogólnie premii ostatnio w pracy nie dostał, więc nie mam co liczyć na alimenty. Rozumiesz?

– Nie.

– Tyle lat żyłam z nim pod jednym dachem, a nie wiedziałam, z kim mieszkam. Nienawidzę go! Przecież dzieci nie interesuje, czy mam pieniądze. Ja muszę je mieć! Muszę mieć na chleb, a co dopiero mówić o ich zainteresowaniach, a ten skurwysyn złotówki mi żałuje. Co ja gadam! Przecież on swoim dzieciom zabiera te pieniądze, nie mnie! – gorzko płacze.

Władek w tym czasie zagania dzieciaki do układania kolejnych stert książek.



– Na razie masz jakieś oszczędności, ale nie możesz mu odpuścić.

Zośka, napij się. – Podaję jej wódkę, remedium na każdą bolączkę.

Wlewa w siebie za jednym razem. – Damy radę, zobaczysz. Za trzy lata

będiesz się z tego śmiała. Obiecuję! – W moich żyłach buzuje gorąca

krew. – Rozumiem: zdrada, ale pieniądze? Przecież to jego dzieci!

Łajdak!

A gdyby mój mąż odwalił taki numer? Nawet nie chcę o tym

myśleć.

Robota pali się w rękach. Piotrek i Wojtek wybierają swoje pokoje.

Dwa oddzielne. Podejrzewam, że właśnie dlatego sprzątają w nich

z takim zapałem. Co jakiś czas pytają mamę, dlaczego nie mieszkają

z tatą. Zośka mądrze im odpowiada, bez zbędnych kłamstw, że czasami

rodzice muszą pomieszkać osobno, żeby się nie kłócili jeszcze bardziej,

i że wspólnie podjęli taką decyzję, ale że ojciec ich bardzo mocno kocha

i często będzie do nich przyjeżdżał, zresztą oni do niego też. Młodszy

dzielnie znosi tę sytuację, ale Piotruś cały czas powtarza, że tęskni za

tatą. Zośkę to doprowadza do milczącej furii. Zagryza zęby i odpowiada,

że też za nim tęskni, ale tak w życiu bywa. W głębi duszy kładzie się

krzyżem na posadzce w kościele i wyjął głośno, zadaje to samo pytanie:

dlaczego ja? Ja też nie mogę tego zrozumieć.

Spośród trojga dorosłych w tym mieszkaniu tylko Władek nie pije alkoholu. Lekko szumi mi w głowie, więc pewnie dlatego z niespotykaną u siebie złością kieruję zarzut do płci przeciwnej:

– Czy wy wszyscy jesteście tacy sami? Dlaczego nie umiecie być wierni? O co w tym wszystkim chodzi?

– Jacy my? To, że Markowi odbiło, nie znaczy, że cały ród męski ma być skazany na wieczne potępienie. Jak w małżeństwie pojawiają się jakieś luki, od razu znajduje się ktoś, kto pragnie je wypełnić. A zdrada? Wiesz chyba, że dochodzi do niej z powodu jakiegoś zaniedbania. Oczywiście są skrajne przypadki, ale kij zawsze ma dwa końce – ze stoickim spokojem odpowiada Władek.

– No to wytłumacz mi, gdzie jest w tym wszystkim Bóg. Oni mają dwoje dzieci! Dlaczego to spotkało moją przyjaciółkę? Gdybym urodziła się podczas wojny, nie przeżyłabym ani jednego dnia, patrząc na krzywdę najbardziej niewinnych istot.

– Widzę, że ty też buntujesz się nie z wyboru, a raczej pod wpływem niezrozumienia tematu – mówi tak, jakby chciał udowodnić swoją wyższość. – Zadam ci tylko jedno pytanie: lepiej jest w życiu grać i nie znając rozwiązania, czasem przegrywać, czy poznać rozwiązanie, a tym samym unieważnić grę?

– Libera? – Patrzę na niego oniemiała, bo te słowa niedawno przeczytałam w jednym z arcydzieł mojego mistrza Antoniego Libery.

– Nie, moja droga, zwykły *Hamlet*. – I nalewa mi kolejny kieliszek.

– Czytasz Szekspira? – pytam z niedowierzaniem.

– Nie. Zapamiętuję jedynie to, co najważniejsze. A z małżeństwem jest jak z książkami: nie ocenia się ich po okładce. Najgorsze w nim jest to, że czyjeś musi być zawsze na wierzchu. Niestety, albo ja mam rację – a jako facet zawsze chcę ją mieć – albo ona. I jak któreś, zapewne to mądrzejsze, nie skapituluje, to dochodzi do kłótni. Ale w ten sposób ludzie uzupełniają się jak połówki księżyca, tyle że prawdziwa pełnia jest tylko raz w miesiącu. A na co dzień? Ktoś musi zjeść większą część tego tortu.

– Masz rację, ale wiesz, oni nie mieli żadnych wspólnych zainteresowań, tylko praca i praca.

– A ty masz z mężem wspólne zainteresowania? – pyta bezpośrednio.

– Ja? – Na moje nieszczęście muszę się chwilę zastanowić. Nie

zdążam jeszcze odpowiedzieć, a on już bombarduje mnie swoją inteligencją.

– Widzisz... sama musisz się zastanowić. Pytanie: czy lepiej jest się dobierać, będąc dwoma zupełnie innymi pierwiastkami, a tym samym uzupełniać swoje braki, czy dzielić ze sobą każdą minutę, nadając na tych samych falach?

– Nie wiem. Moim zdaniem pierwszy wariant wygrywa.

– Moim też. – Uśmiecha się i znowu napełnia kieliszek, a ja piję z jego ręki jak młoda kotka. Tym bardziej że wie, czym koić babskie smutki. Wcześniej poszedł do sklepu po wódkę. Przyniósł orzechową, nalał dwie trzecie kieliszka alkoholu i jedną trzecią mleka. Powstał z tego bajeczny likier. Zwał go monciakiem, na pochwałę ulubionych deserów mlecznych swoich dzieci. Jogurcików Monte.

– Czemu nie nosisz obrączki? – To nietaktowne z mojej strony, ale skoro jest taki porządniczy, to niech się tłumaczy pijanej kobiecie.

– No... zgubiłem. Poważnie, zgubiłem i jakoś szkoda nam było pieniędzy na zakup nowej.

– I twoja żona nie protestuje? Ja bym od razu swojemu mężowi

drugą zakupiła.

– A co to zmienia? Albo ma się zaufanie, albo nie – odpowiada niewzruszony.

– Ja tak nie uważam. Jeżeli facet nie nosi obrączki, a ma rodzinę, to znaczy, że podsyca swoje fantazje ziarnem kłamstwa. Obrączka to pewien znak i kiedy normalna kobieta widzi ją na twoim palcu, nie podchodzi bliżej. Ty jej nie nosisz, więc pozwalasz kobietom na fantazjowanie na twój temat.

– A jak jest w twoim wypadku?

– Przecież noszę obrączkę.

– Skoro rozprawiasz na temat mojej, to znaczy, że już fantazjujesz?

– śmieje się w głos.

– Ja? Co ci w ogóle przyszło do głowy? – Oburzona wstaje i idę do łazienki.

Zośka łapie mnie w progu.

– Jaśka, a co wy tak gadacie? Nie mów, że wpadł ci w oko.

– Ty też coś próbujesz mi wmówić? Daj spokój! Buc jakiś z tego

Władka – szepczę, żeby nie słyszał.

– No, ale wy już dwie i pół godziny rozmawiacie. Nawet nie zauważyliście, kiedy powiedziałam, że idę spać.

I wtedy dopiero spoglądam na zegarek. Zośka ma rację. Jest już grubo po dwudziestej drugiej. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że dalej chce mi się z nim rozmawiać. Uświadomił mi pewne sprawy, których wcześniej w swoim małżeństwie nie dostrzegałam. Niedobrze, lepiej niech już idzie. Żegnamy się, właściwie to go delikatnie wypraszam. Wychodząc, rzuca jeszcze pytanie:

– Dlaczego nie można rozmawiać, kiedy tak bardzo się tego chce?

– Nie wiem – to moja jedyna odpowiedź.

Nad ranem mam sen. Ostatnio dość często do mnie przychodzą, gdy wpadam w objęcia Morfeusza. Cieszę się, bo jak nie śniłam, miałam wrażenie, że moja dusza gdzieś ulatywała i nie chciała wrócić. Ale ten dzisiejszy sen jest straszny. Boję się w nim samej siebie, gdyż pod postacią nocnej mary przychodzi do mnie Władek. Całuje nad kieliszkiem wczorajszej wódki. Nie pamiętam żadnych innych

szczegółów, tylko jego ciepły i zachłanny język. Nic nie mówi, ot tak, po prostu opiera się łokciami o stół, nachyla nade mną i skrada mi pocałunek. Nagle znajdujemy się na środku polany. Wokoło panuje mrok i przejmująca cisza. Kiedy wstaję od stołu, czuję pod bosą stopą zimny grunt; przerażona dostrzegam, że otacza nas metalowa siatka, na której głowami w dół zawieszono są lisy. Jeden obok drugiego. Nie potrafię stwierdzić, czy to prawdziwe zwierzęta, czy wypchane. Nagle czuję, że jeden z nich gryzie mnie w kostkę. Machinalnie odrzucam go potężnym wykopem, ale zaraz pojawia się następny i następny. W końcu dają mi spokój. Najgorsze jest to, że zanim je dostrzegam, nie bronię się przed pocałunkiem Władka. Czuję, że powinnam od razu trzasnąć go w policzek, ale czekam, aż się obudzę. To, co mnie najbardziej ujmuję, to namiętność, którą mi okazuje, i strach pomieszany z dozą szaleństwa, kiedy obserwuję tajemniczą siatkę. Dawno tak się nie czułam, a tym bardziej we śnie! Koszmar. Mam kaca moralnego, chociaż nic złego nie zrobiłam.

– To są fantazje, coś, czym karmiłaś się codziennie w dzieciństwie.

A dziś? Wykluczyłaś się ze współżycia z kimkolwiek i czymkolwiek.

Najbardziej niewinne urojenie przychodzi we śnie, bo z rzeczywistości zostało wyrzucone. – Nie opuszcza mnie ani na krok. Czworonożna matka.

Ogarniam odbicie w lustrze, klepię się kilka razy w policzki i bez

zastanawiania zabieram do pracy. Zośka śpi dość długo, co mocno mnie niepokoi. Wchodzę do pokoju, sprawdzam, czy oddycha, i pod groźbą kary śmierci nie pozwalam dzieciakom jej budzić. Sen jest najlepszym przyjacielem zdrowia. Poświęcam sobie piętnaście minut na poranną kawę. Już się nauczyłam, że jak nie mam czasu na jej wypicie, to cały dzień jestem zła. Nie wynika to z egoizmu, tylko z potrzeby obcowania z samym sobą. Delektuję się tą chwilą niczym największym życiowym upojeniem. Kiedyś robiłam wszystko w biegu – byłam pewna, że tak powinno być. Skoro wszyscy żyją w takim rytmie, to znaczy, że nie odbiegam od normy. Od kiedy jednak zaczęłam rozmawiać z wilczycą, mam wrażenie, że spowolniła wskazówki zegara, a upływające minuty boją się jej głosu. Nie słyszę już tak często tykających pałeczek będących rozkaźnikami życia.

– Ciociu, myślisz, że rodzice wrócą do siebie? – Za uchylonymi drzwiami dostrzegam młodszego krasnala. Jest lekko zaspany, a jego potargane włosy przypominają mi, że muszę zadzwonić do męża.

– Wojtusi, nie wiem. Różnie nam się życie układa. Nawet jeżeli do siebie nie wrócą, pamiętaj, że kochać cię będą zawsze tak samo. – Zaskoczył mnie swoim pytaniem.

– Wolałem, jak byli razem. Wtedy mama nie płakała.



– Posłuchaj mnie bardzo uważnie. Mama płacze, bo tak samo jak wy jest smutna z powodu tej sytuacji, ale to, że zamieszkaliście oddzielnie, było wspólną decyzją rodziców. I mamy, i taty. Nie ma w tym niczyjej winy. Czasami w życiu dzieją się rzeczy, których zupełnie nie rozumiemy. Trzeba po prostu je przeczekać i już.

– Ale ty z wujkiem mieszkacie razem.

– Ale nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy będziemy tak mieszkać do końca życia.

– To po co z nim jesteś, skoro nie jesteś tego pewna?

– Bo go kocham.

– A mama nie kocha już taty?

– Mama i tata się lubią, ale to niestety za mało, żeby ze sobą mieszkać.

– To znaczy, że kiedyś się kochali, a teraz już nie?

– Teraz ich miłość jest w was. Wy jesteście ich sensem życia. Ale samo lubienie się to za mało, żeby dzielić z kimś pokój czy mieszkanie.

Oni was potrzebują.

– A siebie już nie?

– Potrzebują kochać was cały czas po równo, tak samo. Lepiej jest mieszkać osobno niż słuchać, jak się rodzice kłócą. Przynajmniej ja bym tak wolała.

– Ja też. A teraz zrób mi kanapki, ciociu, dobra?

– Dobra! – Odetchnęłam z ulgą, bo zapędził mnie w kozi róg, a ja nie wiem, jak z niego wybrnąć.

Jak takiemu dziecku wytłumaczyć, że rodzice się nie kochają i dla jego dobra lepiej będzie, żeby nie wiedziało z jakiego powodu? Nie jestem dobrym krętaczem, ale kanapki robię najlepsze na świecie. Siada obok mnie i myśli. Zapewne nad tym, co mu powiedziałam. W tym momencie pojawia się moja przyjaciółka i oznajmia, że jedzie na chwilę do starego mieszkania. Chłopcy błagają ją, żeby zabrała ich ze sobą, ale bez zastanowienia klika w komputer, włączając jakąś grę, i ucina temat.

– Zośka, nie możesz ich tak przekupywać cały czas. Rozmawiaj z nimi. Oni tego potrzebują, czy nie widzisz? Nie są głupi. To tylko nam, dorosłym, się wydaje, że nic nie rozumieją.

– Przecież dobrze o tym wiem, ale muszę takie rzeczy ustalać z nim (ostatnio wypowiada się o mężu bezosobowo), bo jak będzie tam ta dziwka, to co im powiem?

Niestety w tej kwestii ma rację.

– Jestem po to, żeby pomagać, nie chcę się wtrącać, ale nie możesz z powodu tego, że się rozchodzicie, pozwalać chłopcom na wszystko. Wiem, że chcesz im to wynagrodzić, ale wleżą ci na głowę, jak tak dalej pójdzie.

– Jaśka, ja teraz nie myślę o ich wychowaniu, tylko o tym, jak przetrwać i nie rzucić się z balkonu, rozumiesz? Resztę zlewam. Wysłałam z założenia, że martwiąc się o wszystko, nie załatwię nawet najmniejszej sprawy. Teraz przeprowadzam dom, potem zajmę się chłopcami i szkołą, a rozwód sam się rozwiąże. Mam taką nadzieję. – Trzaska drzwiami tak głośno, że echo odbija się od ścian.

Wracam do przerwanych czynności. Puszczam jeden z ulubionych kawałków Tiny Turner i zabieram się do porządkowania kolejnych ton książek. Kiedy zaparzam drugą kawę, orientuję się, że jest już dość późno, a Zośki nadal nie ma. Moje obawy rozwiewa dźwięk domofonu. Nie podnosząc słuchawki, naciskam odpowiedni guzik otwierający drzwi

na dole. Szoruję właśnie szafkę pod zlewem, czyli to miejsce, w którym zawsze jest brudno, gdy słyszę nad sobą męski głos:

– Jak minęła pierwsza noc w nowym mieszkaniu?

Przestraszona szybko podnoszę się z tej arcyniewygodnej pozycji, uderzając głową o blat.

– Co ty tu robisz? Nie mogłeś zapukać? Zośki nie ma!

Przestraszyłeś mnie.

Nie patrząc na nowo poznanego mężczyznę, ruszam do toalety

wylać brudną wodę z wiadra. Nie ma o co zapytać, tylko o noc, myślę.

Mam wrażenie, że wie, jaki miałam sen. Dopiero drugą myślą jest ta, że muszę tragicznie wyglądać w tych brudnych ciuchach.

– Przyjechałem odebrać żonę z lotniska, ale jej samolot spóźni się około trzech godzin, więc nie było sensu, żebym jechał do domu.

Pomyślałem, że zobaczę, co u was.

– U nas całkiem dobrze. Poza tym, że mam potwornego kaca, a jak wiesz, na kaca najlepsza jest praca.

Jestem na niego zła, ale logicznie rzecz ujmując, nie mam na co.

Sama katuję się wewnątrz nocnymi przewidzieniami. Kiedy tylko nasze oczy się spotykają, od razu spuszczam wzrok. Wstydzę się, ale z jakiego powodu? Nie wiem, jak to nazwać. Krępuje mnie sama jego obecność. Rozmawiając ze mną, często przekracza psychologicznie dopuszczalną odległość półtora metra, która powinna dzielić nieznajomych. Po jej przejściu odbiorca odczuwa dyskomfort wynikający z naruszenia bezpiecznej granicy. On powinien o tym wiedzieć, przecież jest wykwalifikowanym trenerem. Dlaczego to robi? Nie muszę się długo nad tym zastanawiać, bo zanim zdążę zaproponować mu kawę, w progu staje Zośka, o dziwo, z Markiem. Chłopcy rzucają się w jego ramiona, porzuciwszy komputer. Moja przyjaciółka tkwi niewzruszona. Wypłowiiałym wzrokiem patrzy w dal.

– Chłopcy, chcemy wspólnie z mamą z wami porozmawiać –  
odzywa się Marek.

Rozumiem, o co chodzi. Nie mamy wyjścia, musimy z Władkiem jak najszybciej opuścić mieszkanie. Wkładam na siebie to, co mam pod ręką, biorę torebkę i kieruję się do drzwi, a on podąża za mną.

– Słuchaj, może pójdziemy na kawę? Znam niedaleko przyjazną kawiarnię. I tak nie mamy co robić – mówi, jakby znał moje myśli. Zgadza się. Nawet nie mam jak odmówić, zresztą jestem ciekawa, jakie miejsca preferuje ten warszawiak.

Już samo wejście do lokalu przykuwa uwagę. Wielkie drewniane drzwi z mosiężnymi klamkami. W brązowych oknach kremowe zasłony, gdzieś rustykalne zazdrostki, a w środku istna magia: stoły przyozdobione ręcznie haftowanymi serwetami, na parapetach żywe, przepiękne kwiaty. Skrzypiąca podłoga nie musi być pokryta tanimi kafelkami – odpowiednio wycyklinowana wygląda jak z przedwojennej słomianej chaty. Na ścianach i kredensach mienią się filiżanki, kubeczki, filigranowe postaci, przeróżnej maści instrumenty. Ten pachli targ spowity jest nutką migdałowej kawy. Zapach mielonych ziaren wiruje nad sufitem, a łuskane migdały szelestem przypominają tłuczoną maź marcepanu.

Siadamy przy oknie. Za szybą jest inny świat – jarmark Bachtina.

A we mnie ciepło, radość, niepokój. Kiedy Władek zamawia kawę, bezkarnie podziwiam jego posturę. Przypomina oswojonego ogiera, pod którym chciałaby spocząć każda klacz. Skąd we mnie te myśli?! Coraz mocniej zaskakuję samą siebie. Gdy podchodzi do stolika, bezwiednie zaciskam nogi. Ręce kulę na kolanach. Dopiero po kilku minutach rozmowy zauważam, że spinam wszystkie mięśnie, i wtedy je rozluźniam. Tak zachowują się najczęściej ludzie zestresowani. A ja czemu tak zrobiłam?

Z ogromną pasją opowiada o swoich dzieciach. Ale kiedy słyszę

w głośnikach muzykę, odrywam od niego wzrok i całą sobą wsłuchuję się w dźwięki. Płyną wolno, a jednocześnie utwór nabiera tempa.

Delikatne włosie muska struny skrzypiec, wydając melodyjne trzaski rodem z czarciego pieca. Wiolonczela, fleciki, cymbały, altówka, basy, bęben. Nie towarzyszy im żaden tekst. Różnorodność brzmienia sama w sobie nim jest. Chętnie nawinęłabym ją na szpulę, a potem utkała z niej odzienie tak cienkie, że prawie niewidoczne. A później uciekłabym na łąki przywitać świt.

Zamykam oczy. Migawka: Noc Kupały otula zmierzch, a my we trzy szaleńczo tańczymy przy ognisku wśród innych mazurskich dziewcząt. Mamy na głowach wcześniej uplecione wianki z kwiatów i ziół. Transkapela przygrywa, a ja słyszę, jak echo niesie nuty po jeziorze wprost do nieba. Liście kołyszają się w rytm muzyki, zgromadzony tłum podziwia ubrane w biel dziewczęta. Jest nas około czterdziestu. Mamy w dłoniach pochodnie, a na nogach uplecione sandały. Te, które wstydziły się wziąć udział w tym projekcie, z ogromną zazdrością patrzą na nas i biją się w pierś, nie potrafiąc odgadnąć, dlaczego nieśmiałość nie pozwoliła im wydobyć się ze swych kokonów. Dla nas przedział wiekowy nie jest ważny, my, kobiety, jednoczymy się ze światem.

W tę noc dostałam od natury energię na całe życie. Dlatego zjawiała się wilczyca, która składa moją duszę na nowo. Przypomina tamte

chwile, tamtą muzykę, słowa, które kochałam, a które gdzieś po drodze zgubiłam. Jest kapłanką. To ona oddziela realny świat od duchowego, stoi na straży i nawołuje, gdy zbaczam z drogi.

Po kilku minutach wracam do rzeczywistości, a Transkapela dalej pieści moje zmysły. To zespół, który towarzyszył mi od dzieciństwa. Dlaczego słyszę jego muzykę właśnie w tym momencie? Gdybyśmy poszli do innego lokalu, nie uchwyciłabym folkowych dźwięków z obszaru Karpat i Mazur. Są niesamowici, jakby wyszli prosto z głębi ziemi.

– Hej, Jaśka, wszystko w porządku?

– Tak. Przepraszam, ale ta muzyka onieśmieliła mnie całkowicie.

Znam ten zespół, nawet niektórych członków osobiście. Całkowicie o nich zapomniałam. Lubisz takie dźwięki?

– No pewnie! Coś z pogranicza etnofolku. Od razu mam przed oczami moich dziadków. Tak mocno się zamyśliłaś tylko dlatego, że porwała cię muzyka? – pyta z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Wiem, że to głupio wygląda, ale trzeba łapać w życiu takie chwile, bo mogą się nie powtórzyć, dlatego od pewnego czasu słucham swojego wewnętrznego głosu i nad resztą się nie



zastanawiam.

– Jesteś niesamowita...

Niechcący kopie pod stolikiem w moją nogę, a mnie przenika dreszcz. Od stóp po czubek głowy. Czymś takim raczyłam się jako

nastolatka,

kiedy

moja

platoniczna

klasowa

miłość

zupełnie

przypadkiem obijała się o mnie na szkolnym korytarzu. On szedł dalej,

a ja byłam całkowicie pochłonięta tym wydarzeniem. Wpadałam

w dziurę bez dna i topiłam się w fantazjach.

– Dlaczego tak mówisz? Nie wstyd ci? Przecież masz żonę. Czego

tu szukasz, nie kochasz jej? – rzucam ostro.

– Pewnie, że kocham, ale z tobą to coś innego. Od wczoraj mam

wrażenie, że znam cię nie od dziś. I to uczucie, które wywołujesz we

mnie... Do tej pory żyłem dobrze i godnie, a młodość zostawiłem

w zamierzchłych czasach. Ale kiedy z twych ust wyszły pierwsze zdania,

poczułem się, jakbym uciekł z lekcji.

– Ha, ha, ha... cóż za porównanie!

– No tak! Nie ma się z czego śmiać. Przez ostatnie kilkanaście lat to wrażenie było mi zupełnie obce. Ot tak, po prostu otworzyłaś szufladę, w której schowałem czasy liceum, i do tego jeszcze dorzuciłaś brak tabu w rozmowie o małżeństwie. Jesteś prawdziwa. A ja nieustannie szukam prawdy. Gdzie bym nie pojechał, kogo nie szkolił, z kim nie rozmawiał, oni wszyscy czegoś chcą, żądają wręcz od życia złotych gór. Moja żona wiecznie narzeka, że nie ma na nic czasu, ale po prostu nie potrafi nim gospodarować. A ty wczoraj powiedziałaś, że jak mąż cię wkurzy, to jesteś w stanie rozebrać wcześniej przygotowane dla niego kanapki do pracy, wyjmując ser i szynkę, i pozostawić jedynie rozciętą bułkę, która udaje, że jest kanapką. Moja żona nigdy by tak nie zrobiła. Marudzi, że jej się nie chce, ale i tak je robi, taka ciepła klucha się z niej zrobiła.

Śmieję się głośno. Wiem, że nie powinnam tak się przed nim otwierać, ale to mnie łechcze. Podsyca moją kobiecość? Sprawia wrażenie, że mu się podobam? Ja, matka Polka, która niedawno wyszła z połogu, i do tego zwykła nauczycielka z prowincji? Czuję się przy nim atrakcyjna, inteligentna. Słucha, co do niego mówię. Nie odpowiada machinalnie, tylko się zastanawia. Parafrazuje, jest metaforą i alegorią.

– Klucha kluchą, ale w końcu to twoja żona. Myślisz, że byłaby zadowolona, słysząc naszą rozmowę? – pytam, znając odpowiedź.

– Na pewno nie.

– To dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? – Nie potrafię zrozumieć, o co mu chodzi. Chce mieć panienkę na wieczór? Nie wygląda na takiego.

– Słuchaj, pytasz mnie o to kolejny raz, więc jeszcze raz powtórzę, że chcę z tobą rozmawiać. Prowadzić konwersację, nic więcej.

Kołacze mi w głowie cytaty ze *Sponsoringu*, filmu Małgorzaty Szumowskiej. Dokładnie moment, w którym jedna z prostytutek mówi, iż myślała, że będą ją rznąli na wszystkie strony. A oni? Chcieli najpierw rozmawiać. Czuję się jak na wstępie jakiejś gry, wsiąkam w nią. Z drugiej strony coś drapie za uchem i szepcze: tak się nie robi, albo w lewo, albo w prawo.

– Władek, mój mąż dzwoni, zaraz wracam.

– Ok.

Wstając od stolika, wciągam brzuch i prostuję sylwetkę.

Ukradkiem spoglądam na siebie w lustrze stojącym naprzeciwko nas.

Ładna byłam. Ładna jestem. Czemu tego do tej pory nie widziałam?

– Cześć, Miśku! Co u ciebie? Jak się czujesz? – zagaduję

z rozrzewnieniem do telefonu.

– Co u mnie? No wiesz, jakbyś nie wyjechała, wiedziałabyś.

– Słucham? Dlaczego jesteś taki niemiły? Przecież dobrze wiesz,

po co tu jestem.

– No tak, koleżaneczki najważniejsze.

– Słuchaj, dzwonisz tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć? Nie

zrobiłam nic złego. Joachim, do cholery, wszystko mieliśmy ustalone.

Nie mogę być całe życie twoją służącą.

– No, ale mogłabyś częściej dzwonić. Co, już wielki świat ci

zaszumiał w głowie? Lepiej wróc na wioskę, to zaczniesz się

zachowywać jak żona.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi! A twoim zdaniem jak zachowuje

się żona? Siedzi w garach i zamartwia się mężuniem? Czemu taki jesteś?

Chłopie, uspokój się! W klatce mnie nie zamkniesz! A jeżeli to zrobisz, wyfrunę! Nie mogę cały czas telefonować, bo mam bardzo dużo pracy przy chłopcach i w nowym mieszkaniu.

– Tylko zostaw sobie siły na powrót, bo mną też trzeba będzie się zająć. – I się rozłącza.

Nie wierzę, że to wszystko powiedział. Rozumiem, że z nudów i bezsilności przychodzą mu do głowy różne historie, ale sprowadzać mnie do roli służącej to już lekka przesada! Nie będę go niańczyć! Całe życie mu poświęcam, a w zamian słyszę takie rzeczy? Co ja takiego zrobiłam?

Nie mam najmniejszych skrupułów, żeby dostojnym krokiem wrócić do stolika i podbijać swoją wartość, widząc uznanie w oczach innego mężczyzny. I tak niedługo ruszam do domu, a flirt jeszcze nikomu nie zaszkodził. Mam wrażenie, że małżonek nieświadomie robi wszystko, abym przestała być jego kobietą. Zaledwie przed chwilą miałam wyrzuty sumienia, ale teraz? Z pokerową twarzą wracam do rozmowy:

– Myślisz, że można wypalić się w związku? Czy to jest tylko kwestia prozy życia, obowiązków, problemów, stresu? Zawsze byłam idealistką. Uważasz, że można znów mieć czysty umysł, niczym nieskażony? Byłam czysta, kiedy miałam szesnaście lat, po dwudziestym trzecim roku życia zaczęłam się wewnątrznie brudzić. Duchowo nie mam sobie nic do zarzucenia, jestem nieskazitelna, ale zanieczyszcza mnie życie, to, którym chciałabym podążać. Za dobrze jestem wychowana, czasami wydaje mi się, że to uniemożliwia mi prawdziwe bycie.

Władek, o dziwo, mnie rozumie:

– Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś zrzucał winę za swoje dotychczasowe życie na rodziców w związku z tym, że za dobrze go wychowali. Problem jest w prozie życia, bo to, co jest niezwykle, permanentnie zużywane staje się codziennością. Podejrzewam, że właśnie dlatego tu jesteśmy. Oglądałaś *Salę samobójców*?

– Tak. Byłam na tym w kinie ze swoją klasą.

– Film, jak zapewne zauważyłaś, należy do gatunku średnich, ale jest w nim taka scena, jak chłopak idzie korytarzem z rozpiętymi spodniami i pistoletem w kieszeni bluzy. Pamiętam, że sam taki byłem. Potrzebowałem tego pistoletu, żeby wystraszyć wszystkich dookoła, gdy

kisłem się w niezrozumieniu i odrzuceniu. Odkąd wyciągnąłem ten pistolet, stałem się swój, gdzieś tak od ostatniej klasy szkoły średniej. To było świetne uczucie! Być wreszcie sobą, chrzanić wszystko i wszystkich. Pamiętam, że wszystko stało się obojętne, nawet życie. Za krótkie, żeby je wciąż marnotrawić. I z tego buntu pojawili się Jim Morrison oraz inni idole. Ja się pojawiłem! A dzisiaj mam wrażenie, że mi to odświeżasz, jesteś takim pistoletem w kieszeni, dlatego tu jestem, dlatego ty tu jesteś. Nie zadawaj wiecznie pytań, tylko bądź.

– Nie dam ci nic więcej poza rozmową. – Poruszona jego słowami kokieteryjnie trzepoczę rzęsami.

– Ale ja niczego innego nie chcę. Szczerze mogę powiedzieć, że jestem trochę zauroczony twoją osobą, bo masz głębokie wnętrze, wsłuchujesz się w innych, a przede wszystkim w siebie, i to sprawia, że przeżywasz. Nie jesteś bierna. Chciałbym, żebyś pozwoliła mi wsłuchiwać się w szept twoich myśli, bo ty właśnie szepczesz do mnie... Jakbyś chciała milczeć, ale ci to nie wychodzi, bo jednak nieustannie mówisz, i sama tego chcesz.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Ma rację. Faktycznie nie chcę tej relacji, ponieważ zaczyna mi się powoli podobać. Z jednej strony, mam ochotę roześmiać się warszawskiemu bajerantowi w twarz, z drugiej – dalej tu siedzę. Może słodzi zbyt mocno, ale zawija ten cukier

w najpiękniejsze z możliwych pozłotek. Jego słowa płyną jak melodia, rozplywam się w nich jak w maleńkim obłoczku.

– Kim jest twoja żona? – pytam bez najmniejszego zażenowania.

– Gosia robi to samo co ja, z tym że jest coachem. A ściślej, zajmuje się coachingiem.

– Kim? – Pierwszy raz spotykam się z takim określeniem.

– To jest taki jakby trener, nauczyciel, do którego zgłaszają się osoby w trudnych sytuacjach życiowych. Chcą wykorzystać swój potencjał, ale nie wiedzą, jak to zrobić. Ona zadaje im przeważnie pytania, próbuje wejść w ich skórę i pomóc w osiągnięciu zamierzonego celu. Są różne rodzaje coachingu: osobisty, biznesowy, zespołowy.

– Czyli ona jest po prostu wykwalifikowanym przyjacielem za pieniądze? W mojej wsi to przyjaciele spełniają takie funkcje. Pomagają wyjść z dołka. Jeden mówi, żeby się nie poddawać, drugi krytykuje, a na przykładzie trzeciego uczę się, jak być liderem grupy nastolatków, których uczę. Ty chyba sobie ze mnie żartujesz?

– Ależ skąd! Jest taki zawód! Poważnie. Ona ma naprawdę specjalistyczną wiedzę z różnych dziedzin. Skończyła zarządzanie



zasobami ludzkimi i psychologię, potem jeszcze zrobiła kilka podypłomówek.

– To kiedy macie czas na wychowywanie dzieci?

– Ustalamy swój czas pracy w Outlooku. To taki program do odbierania poczty e-mailowej w komputerze. Nawet jeśli się nie widzimy przez tydzień, to jak go włączę, rejestruję, kiedy mam się zająć dziećmi. Łatwiej jest żyć, jak się dobrze zorganizuje czas.

– Wiesz, przerażasz mnie. To ja już wolę być zwykłą nauczycielką z prowincji niż kupować przyjaciół.

– Ale to nie jest tak do końca. Ona tylko pomaga ludziom dostrzec ich potencjał i podpowiada, gdzie mają braki. Podaje im odpowiednią literaturę i najczęściej udaje się jej doprowadzić ich do celu.

– Mam wrażenie, że taki zawód został stworzony na potrzeby ludzi, którzy nie mają czasu na przyjaźń, na to, żeby usiąść i z kimś pogadać. Trudniej jest utrzymać przy sobie dobrego kumpla, kiedy się go krytykuje, osądza z własnego punktu widzenia. Wiesz, że chcesz dla niego jak najlepiej, ale ta szczerość może spowodować niechcianą kłótnię. A w takim wypadku klient płaci i wie, że będzie udobruchany. Kwestia kasy, niczego więcej.

– To nieprawda! – oburza się moimi słowami. Myślę, że chyba przegięłam, w końcu to jego żona. – Po prostu chcemy, aby nasze dzieci miały za co żyć i nie martwiły się, tak jak ja kiedyś, czy mają buty na zimę! To jest bardzo dobry zawód i wykonują go najczęściej ludzie empatyczni.

– Ok, ale skoro opiera się głównie na rozmowach, pytaniach i motywowaniu, to po co tu siedzisz? Porozmawiaj ze swoją żoną.

– Słuchaj, jeżeli masz zamiar cały czas się tak biczować, to ja nie chcę sprawiać ci przykrości. Czy robimy coś złego? Sama wiesz, co czujesz, więc odpowiedz sobie na to pytanie. Ktoś dał nam wolną wolę, więc mamy wybór i możemy wyjść.

– Widzisz, ale wolna wola najczęściej pojawia się w starciu z grzechem, przychodzi w momencie jakiegoś problemu. Wola picia alkoholu, palenia papierosów, wagarowania, kłamstwa...

– Nie próbuj mi wmówić, że chcąc dobra, zło czynię. Albo że robiąc wreszcie coś, w co wierzę i cholernie się temu poświęcam, nie powinienem tego robić. Wolno mi, bo mówimy o wolnej woli. Wolno, bo jesteśmy stworzeni dla dobra. Obojętnie, co by miało ono oznaczać – to sumienie ocenia. Dla mnie w tej sytuacji sumieniem jest sztuka:

czysta, piękna sztuka mówienia, pisania, szacunku dla osoby, na której ci zależy. Nie rytuał, nie kierat codzienny, tylko myśl o tym, że ludzie dookoła tworzą świat niestety niedoskonały, więc możemy chociaż spróbować stworzyć namiastkę nieba na ziemi. Amen.

I nagle rozbrzmiewa telefon. Jego żona. Władek nie pyta mnie o nic więcej. Ja, oszołomiona poetyckim wyznaniem, milczę. Wygląda na to, że decyzja należy do mnie. Wychodzimy z lokalu, on podwozi mnie pod blok Zosi i znika. Stoję przed budynkiem, pozorując, że szukam czegoś w torebce, a tak naprawdę ukradkiem patrzę, jak odjeżdża. Nogi mam jak z kamienia. W sercu poruszenie. Co ja mówię: poruszenie. Żar się we mnie rozpala! Po wejściu do domu dopadam do komputera, loguję się do Facebooka, odszukuję go i wysyłając zaproszenie do grona znajomych, piszę:

*Zapraszam do siebie*

*na*

*rozkosznych słów połamanie,*

*wieczną rozterkę,*

*zrozumienie,*

*na łez otarcie.*

*Pisz do mnie,*

*bo pragnę tych słów jak z winnego kielicha*

*krwi,*

*niech mnie ukrzyżują,*

*biczują,*

*koronę cierniową nakładają,*

*uplotłam ją dziś*

*– ja – zagubiona owca.*

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów napisałam pseudowiersz!

Słowa wypadały ze mnie same, nie były podkreścone alkoholem, nęczone,

podsypane sztucznym uśmiechem. To ja: prawdziwa, namiętna, lekko

zdenerwowana, rozbudzona niepewnością jutra. Moje doznania

intensyfikuje powiew

świeżości. Będąc licealistką, codziennie

odkrywałam nowe lądy istnienia, teraz on próbuje zamienić mnie

w złoto. Jedyłą, niepowtarzalną quasi-córę Koryntu.

Wracam do swych obowiązków odmieniona. Energię, która mnie

przepelnia, pożytkuję jak zwykle na sprzątanie. Zośka próbuje się

dowiedzieć, gdzie byłam, ale wolę trzymać język za zębami. Dziękuję

mi za to, że wyszliśmy. Gdybyśmy zostali, rozmowa dotycząca

obecnego życia jej i męża na pewno nie potoczyłaby się tak jak

w czterech pustych ścianach. Bez świadków jest więcej emocji. Marek

przywiózł jej trochę pieniędzy. Całe pięćset złotych. Wyśmiała go, ale dobre i to. Na cały miesiąc, dla dwójki dorastających chłopców – jak to mówią moi uczniowie: „Ale żal”. Przynajmniej przy dzieciakach robił wrażenie dobrego ojca.

– Jak stanął w drzwiach taki odświętnie ubrany, coś ścisnęło mi gardło. Bo on już nie mój. Ale jak podszedł bliżej, to pod przykrywką drogiej wody toaletowej wyczułam smród wczorajszej popitki alkoholowej. Taki charakterystyczny kwaśny zapach skóry. Nawet wiedząc, że przyjedzie do chłopców, musiał się napić – mówi Zocha.

– Był pijany? – Słuchając przyjaciółki, sprawdzam wiadomości w komputerze. W głębi duszy modlę się, aby Władek odpisał. Ale komputer milczy.

– Nie. Wczoraj musiał coś wypić. Alkoholicy z biegiem czasu nie wyczuwają tego smrodu. Pod białą koszulą nie ukryje wszystkich swoich łągarstw, wyjdą nawet porami skóry.

Wbijając  
wzrok  
w ekran,  
zaczynam  
chyba

żebrać

o zainteresowanie Władka. Nachodzą mnie wyrzuty sumienia: z jednej strony wstyd, że piszę wierszem do żonatego faceta, z drugiej pytanie, czy pokazałabym tę poezję mężowi. Zośka coś wyczuwa, bo nie skupiam już całej uwagi na tym, co mówi. Czas płynie smętnie, zaczynam nerwowo chodzić od okna do okna, nosi mnie. To taki stan wibrującej dziwnej mocy witalnej ogarniającej cały organizm. Czuję ją przede wszystkim w mięśniach. Muszę wyjść. Pod pretekstem wizyty w osiedlowym sklepiku zbiegam schodami z dziewiątego piętra i zaczynam wędrować szarymi chodnikami, rozmyślając nad wszystkim, co mnie do tej pory spotkało. Nie mogę się skupić. Moje myśli zagłusza warkot samochodów. Szukam miejsca do schronienia, potrzebuję natychmiastowej ciszy. Zauważam kościół. Podążam w jego kierunku – mój wewnętrzny świat dopomina się natychmiastowego azylu.

Już przy drzwiach odurza mnie piorunujący zapach kadzideł.

Momentalnie ogłuszają percepcję. W tej sekundzie znajduję upragnione ukojenie. Przychodzi jednak z zewnątrz. Przeszłam ze strefy

A (ziemskiego napięcia) do strefy B (centrum świętego spokoju). Ale coś się zmieniło, już nie jest tak jak kiedyś, gdy bezgranicznie ufałam opowieściom o walecznych apostołach i przejściu przez morze. Kiedy zaczęły się pytania, na które rodzice nie znali odpowiedzi, pojawiło się zwątpienie w życie niebieskie. Mam przyływy wiary w absolut, ale nie w ortodoksyjną wizję Kościoła. Lubię chodzić do kościoła, gdy jest

pusto, bez wiernych. Jestem ja i On. Czuję, że jest.

Dlaczego nie modłę się w domu? Bo tu jest cisza, a w niej najlepiej się myśli. Niemniej coś stale ciągnie mnie i całą rzeszę innych ludzi do sfery transcendentalnej. Dające się we znaki codzienne zmęczenie nie jest w stanie przytłumić tego głosu. Interesuje mnie tylko labirynt własnych myśli. Idę mechanicznie. Oglądam sceny z ukrzyżowania Chrystusa. Męcą. Boję się ich. Na ołtarzu znów widnieje postać uśmierconego króla. Patrzę na jego niehumanitarnie wykrzywioną twarz. Dlaczego nikt się nie cieszy z powodu zmartwychwstania, tylko wiecznie powracają żal i lament za grzech? Nieustanny strach przed piekłem i nieposzanowaniem ciała. Rozumiem istotę dziesięciu przykazań, ale mam wrażenie, że całe piękno wiary przerodziło się w jedno wielkie umartwianie i martyrologię. Dziennikarka Beata Pawlikowska celnie ujęła to słowami: „Dlaczego ludzie nie pozwolą zejść Jezusowi z krzyża?”. No właśnie, dlaczego?

Myślę o wszystkim. Wbijam wzrok w orędownika cierpienia i z niewyobrażalnym bólem błagam go o pomoc. Żeby mnie wyswobodził z kajdan, które niedługo zatrzasną się na przegubach dłoni, żeby dla mojego dobra wyplenił z mózgu Władka. Jaka jestem żarliwa, ile próśb przepływa przez moje ciało. Boże, dodaj mi siłę, bym wyrwała z głowy tego mężczyznę i postawiła obok jak chmurę, żeby nie był namacalny, materialny. Boże, obłok z niego uczyni, mgłę! Albo daj mi



tyle sił, bym mogła nieustannie mówić „nie”!

– Dał ktoś pragnienia żar – odzywa się wilczyca.

Otak, niby nic. Ni mało, ni dużo, pragnienie czynienia zła i dobra.

Czuję się jak w jaskini Platona. Człowiek widzi w niej jedynie ciemność. Nie może wdrapać się na skały, z których dociera do niego promień. To światło zabiłoby. Oślepiło. Są tacy, którym się udaje, wtedy wariują. Ten blask otacza ich, mami. Im więcej rozmów z nim, tym większy żar, obawa, że zaczniesz dostrzegać coraz więcej światła. Drobne płomienie iluminacji.

– Boże, czemu milczysz? Ty milczysz, a wilczyca odpowiada?!

Czerń i biel, łzy i krew, wizje, mamidła, dziwadła. I jeszcze do tego te moje wiecznie spierzchnięte ręce i usta. W dłonie wcieram krem, lecz nie pomaga. W usta wazelinę z migdałów. Popękały od modlitw i ciepła. Z mamrotania, próśb, zaklęć wypowiedzianych jednym tchem: „Boże, zabierz ode mnie tego faceta!”.

Z mocnym postanowieniem poprawy i pokutą zadaną przez samą siebie kieruję się do wyjścia. Silniejsza, mądrzejsza, pewna siebie. O pierwszej w nocy sprawdzam skrzynkę odbiorczą, ale jest pusta.

Szukam ukojenia w masochistycznych myślach o własnej głupocie,  
wręcz dziewczęcej naiwności. Coś, co się jeszcze nie zaczęło, już zostało  
zawieszane. Zawsze byłam w gorącej wodzie kąpana, ale teraz  
wyglądałam się na całego. Pewnie to przeczytał i wyśmiał. A jak powie  
Zośce? Przecież oni razem pracują. Boże, zlituj się nade mną, szybciej  
stąd wyjadę, niż myślałam!

Dziś jestem jak postać z mojego ulubionego obrazu Leny. Tego  
w różnych odcieniach nieba. W tej chwili bohaterce nie widać oczu,  
ukrywają się pod płachtą rozumu rozebranego do naga. Wplątałam się  
w pajęczynę utkaną z marzeń. Jak rybia łuska świecę pod taflą, nie mogę  
wyjść na powierzchnię, ponieważ skrzela nie są przystosowane do  
ziemskiego powietrza. A jeżeli gdzieś poniżej mam ukryty syreni ogon?  
Co wtedy? Czy zacznę pływać bez opamiętania na przekór wszystkim?  
Szyja jest łącznikiem pomiędzy światem realnym a przestrzenią ducha.  
Jej pełne odsłonięcie świadczy o autonomiczności połączonej z brakiem  
powściągliwości. Kolor stroju jak szafir, błyszcząca skamielina.

\*\* M. Bułhakow, *Psie serce*, Warszawa 1989, s. 6.

Dzień jak co dzień. Śniadanie, chłopcy, sprzątanie, natłok spraw i myśli, telefony do Joachima, Marysi, przyjaciół i strach. Zosia jest w pracy, mój komputer w letargu, nie odzywa się ani jednym gorszącym słowem wiadomości od Władka. Ja, wariatka utkana z papieru, niedługo zrobię z siebie samolot i puszcze z okna, niech frunie. Co mi odbiło, do jasnej ciasnej? Gdzie ja miałam rozum? Wolałabym prosto w twarz usłyszeć, jak bardzo się wygłupiłam, niż pielęgnować to nieustanne milczenie. Wraca Zośka!

– Cześć! – Nie patrząc na mnie, idzie do łazienki.

– Hej! Jak tam w pracy? – pytam, drapiąc się po przedramieniu.

– Nawał roboty. Nie chcę na razie o tym myśleć. Musiałam podpisać kilka papierków, a zeszyły ponad trzy godziny. Zawsze tak jest. Nawet z urlopu muszą mnie ściągać. Jakby nie wiedzieli, co się w moim życiu dzieje! Władek kazał cię pozdrowić!

Nie odpowiadam. Udaję, że nie dosłyszałam, i wychodzę na balkon. Dupek jeden, kazał pozdrowić! Specjalnie to zrobił. Wiedział, że Zośka mi przekaze. Ale musi mieć chłopaczyna zabawę! Otwieram się przed nim, a w zamian otrzymuję ignorancję. Ta sytuacja rozprasza mnie

kolosalnie, więc staram się pozbyć rozterek, a najlepszym na to sposobem jest zanurzenie się w odmętach kuchennych.

Raptem przypominam sobie film *Czekolada* Lasse Halströma.

Władek pachnie jak słodki deser, więc postanawiam go zjeść, a tym samym ujarzmić. Sfrustrowana i nierozumiana – w końcu nie mam się przed kim wygadać! – robię zakupy i zakasuję rękawy. W niewielkim garnku roztopiam 175 gramów czekolady deserowej ze 175 gramami masła (nie używam margaryny, dobre składniki są jak dobre kalorie: im więcej w nich prawdy, tym bardziej smakowite). W tym czasie ubijam sztywną puszystą maź z czterech żółtek i 100 gramów cukru pudru.

Kiedy masa wystygła, dodaję ją do wcześniej ubitych jaj. Delikatnie mieszam w jedną stronę. Nie wiem, czy ten zabobon sprawia, że ciasta wychodzą, ale tak uczyła mnie babcia, więc kultywuję tradycję.

Przesiewam sześć łyżek mąki pszennej z połową łyżeczki proszku do pieczenia i jedną czwartą łyżeczki sody. Sito sprawia, że mąka staje się bardziej pulchna. Do jej zakamarków zakrada się śladowa ilość powietrza, dzięki której wypieki lepiej rosną. To wszystko dodaję do masy i wsypuję 125 gramów mielonych migdałów. Cały czas rozrabiam.

Gdy powstaje odpowiednio gęsty produkt, zabieram się do ubijania czterech białek razem z 25 gramami cukru. Niestety, Zośka zapomniała przywieźć robot kuchenny, więc radzę sobie trzepaczką. Nie jest łatwo, ale tłukąc w plastikową miskę, tak naprawdę tłukę w głowę Władka i sprawia mi to ogromną przyjemność. Po dwóch minutach zbrodni piana

jest gotowa. Najdelikatniej jak tylko potrafię, łączę ze sobą wszystkie masy. Dodaję śladowe ilości olejku waniliowego. Te dwa ulubione zapachy: migdał i wanilia, wspianale się ze sobą komponują. Kto by pomyślał, że w tym wszystkim jest on. Wkładam ciasto do formy. Piekę czterdzieści minut w temperaturze stu dziewięćdziesięciu stopni. Moja nienawiść też przybiera postać buchającego gorącą parą piekarnika.

Siedzę na małym taborecie i patrzę, jak ciasto rośnie. Ten proces zachodzi na moich oczach, ale jest jakby niewidoczny. Nie potrafię stwierdzić, ile milimetrów urosło przez ostatnie dziesięć minut, ale z perspektywy czasu zmieniło swoją objętość. Myślę o tym, że to ludzie i zdarzenia nas kształtują. Jak z tym ciastem – nie zauważamy zmian zachodzących w nas codziennie, ale po kilku miesiącach czy latach można już stwierdzić, czy jest się innym człowiekiem. Na przykład podobają się nam inne zapachy, a te, których używaliśmy do tej pory, nudzą. Muzyka też jest inna, ale w dalszym ciągu to ona, podobnie jak poezja, kołysze nas w kolebce życia. Jest w stałej symbiozie z wiatrem. Niewidzialną ręką porusza kołyską, aby utulić, wyciszyć.

Kiedy nerwy się uspokajają, a ciasto wylewa z blaszki, wyciągam je z ciepła. Zaczyna opadać. Stawiam na parapecie i zaczynam rozrabiać polewę. Do rondelka wsypuję trzy czubate łyżki cukru pudru, trzy łyżki gorącej wody, dwie łyżki kakao i masła. Roztapiają się na wolnym ogniu, a zapach miesza się z wonią migdałowego ciasta. Ten aromat jest lekki, kudłaty jak puszysty ogonek króliczka, a przy tym zniewala zmysłowością brunatnej czekolady. Konsystencja spływa z łyżki jak roztopione lody, jednostajnie i po królewsku. Słyszę przy tym dźwięk kleiku uderzającego o taflę pozostałej, z wolna stygnącej czekolady. To delikatne mlaskanie, ledwie słyszalne cmokanie, jak ślina ociekająca z namiętnego pocałunku. Słodycz podniebienia, niebezpieczna miłość. Dodaję do rondelka jeszcze pół kostki masła. Bez tego produktu ani rusz. Oblewam wypiek cudnym musem. Teraz trzeba poczekać, aż wszystko wystygnie.

– Jak cudownie pachnie! Jaśka, ty masz prawdziwy dar do gotowania! – sugeruje Zosia, zwabiona erupcją zapachów unoszących się w mieszkaniu.

– Nie do gotowania, tylko do pieczenia – od razu ją poprawiam.

– No tak, wiesz przecież, jaka ze mnie kucharka. Ale tu jest gorąco! W tamtym mieszkaniu mieliśmy klimatyzację, a tu? Nie mam kasy na taki rarytas, poza tym to nie moje, tylko wynajęte – mówi ze

smutkiem na twarzy.

– Wiesz co, Zocha? Wkurzasz mnie już tym marudzeniem! Weź się w garść i przestań tak gadać. Niczego tym nie zmienisz. Przecież tu nie jest tak źle. Na pewno na dziewiątym piętrze jesteś bliżej nieba niż ziemi. Wyjrzyj za okno. Zobacz, jak pięknie zachodzi słońce, widać horyzont. Tutaj masz widok na kawał dobrej przestrzeni. A tam? I co z tego, że nowe osiedle? Z każdego okna widziałaś bloki i mieszkania sąsiadów. Skończ już z myśleniem o przedmiotach, a zacznij dostrzegać to, co masz wokoło.

– No to daj mi kawał ciasta z mlekiem. Jesteś boska, Jaśka!  
Wszystko, co mówisz, jest takie ważne. Jeszcze raz dziękuję, że przyjechałaś.

– Przestań dziękować i zacznij w końcu czytać porządne książki.  
Czytanie jest jak terapia, to książki nauczyły mnie, jak patrzeć na świat, one i inni ludzie, więc nie skupiaj się jedynie na sobie. Tylko będąc na dnie, człowiek staje się prawdziwie wolnym. A nasze życie? Jest jak powieść bez końca. Zośka, muszę odsapnąć, idę się położyć.

Chyba nawet nie słyszy moich ostatnich zdań, bo znowu ktoś do niej dzwoni. Kroję sobie kawałek ciasta i idę do pokoju. Potrzebuję ciszy. Dotrzymanie towarzystwa dwóm roslým chłopakom wykańcza.

Włączam zbrodnicze narzędzie cywilizacji. Komputer długo się ładuje, ale nie tracę już cierpliwości. Ciastoterapia leczy. Wpisuję hasło i omal się nie krztuszę kawałkiem migdała penetrującego krtań. Czytam i coraz bardziej otwieram oczy ze zdumienia, a kąciki ust układają się w dziecienny wyrazie.

*Pragniesz słów jedynie? Czy słowa są w stanie coś zmienić?*

*Odpowiedzieć i uleczyć? Nie mam, Jaśminko, takich cudów w ustach.*

*Mam szczerość – to wszystko. Szczerze Ci więc mówię, że Cię lubię.*

*Baaardzo! Tymczasem bijesz się ze swymi myślami tak mocno, że aż mi wstyd za samego siebie, że mogłem doprowadzić Cię do takiego stanu.*

*Żal mi Twego straconego czasu, ale to tylko świadczy o tym, jak wrażliwą masz duszę, jak łakniesz świata innego od realnych kastracji.*

*Cieszę się, że odpisałaś, i przepraszam za moje milczenie, ale żona i dzieciaki mnie zaabsorbowały. Nikt nigdy nie napisał do mnie wiersza.*

*Poczułem się wyróżniony. Dostłownie jak księżę z bajki! Ujmujesz mnie tym, że nie chcesz twierdzić, że my jesteśmy tutaj, a realny świat to inna sprawa. Wiesz, że nie da się tego połączyć, ale nie da się też żyć bez namiastki porozumienia, jaką już stworzyliśmy, a wydaje mi się, że to kawał porządnej relacji. Ze swojej strony mogę obiecać, że przez myśl mi nie przeszło, abym chciał skrzywdzić Ciebie lub Twoich bliskich.*

*Odnajduję w Tobie pęd, coś co mnie nakręca do działania, więc powiedz,*



*jak mógłbym uczynić z tej energii zło? Biczować się z tego powodu?*

*Zazdroszczę Ci samokrytyki, którą pokazałaś w wierszu. Pewnie, że jesteśmy chodzącymi niedoskonałościami, możemy upadać, ale krocząc po dobre, upada się inaczej. Wiesz dlaczego? Bo upadasz w „ramiona” tej drugiej, wyjątkowej osoby. Ja na przykład w Twoje...*

*Dzięki Tobie zacząłem pisać! Obudziłaś dawno uśpione emocje, więc niech tak zostanie, niech sztuka dalej pisze się sama. Minęło zaledwie kilka dni, a ja czuję nieodpartą potrzebę tworzenia. Może uznasz, że jestem głupcem, ale wczoraj wieczorem wymyśliłem, że jesteś Papieżycą, taką jak w talii tarota! Nie śmieję się! Masz władzę, ja mogę być jedynie Twym poddanym. Wiedz, że od Ciebie zależy wszystko. Gdy tylko zechcesz – zniknę.*

*Papieżycą dzielnie trzyma berło i jest mądra, a przede wszystkim marzy. Przed kobietami, które nie boją się tego robić, jak wrota otwierają się przeróżne możliwości. Jesteś jak hierofantka, masz swoją filozofię dramatu życiowego, ale nie boisz się mówić, o czym myślisz. Papieżycą jest opiekunką kobiet i ich życia seksualnego oraz macierzyństwa.*

*Jej*

*znakiem*

*rozpoznawczym*

*jest*

*odrobina*

*zarozumiałości. Pisz do mnie.*

*Wladek*

To, co przeczytałam, jest jak sen, który właśnie się skończył, jak melodia moich potrzeb. Czuję się tak, jakby ktoś głośno wypowiadał moje myśli. I ta zachłanna Papieżyca! Ach! Chcę być Papieżycą, Arcykapłanką! Automatycznie wpisuję w wyszukiwarkę znaczenie tego symbolu, w dalszym ciągu nie mogąc uwierzyć, że na świecie jest ktoś, kto zna mój umysł na wylot. A przynajmniej wszystko na to wskazuje. Porównanie do Papieżycy wywołało dreszcz zachwytu.

Papieżyca jest intuicją i podążaniem za głosem swojego serca.

Oznacza człowieka, któremu nie są obce cudze problemy. Nigdy nie odkrywa przed bliskimi całej prawdy o sobie, jest tajemnicą.

Fascynujące! Ale zaraz, zaraz... czy on po prostu nie potrzebuje jakiegoś bodźca do działania? Przecież ja jestem człowiekiem, a krew nie woda. Gdybym chciała czegoś więcej, to co wtedy? Czar pryśnie? Może tylko chce mnie wykorzystać? A jeśli się zakocham? Wiem, że do tego nie

dojdzie, ale gdyby tak się stało? Co wtedy?

Szaleją we mnie dwie siły: mazurski czworonożny dziki duch i Papieżyca. Współgrają ze sobą. Uzupełniają się idealnie! Wiem, że Władek jest dostępny na Facebooku. Postanawiam odpisać. Zbadać teren. A jeżeli jest cyberpsychopatą? Moja koleżanka tkwiła kiedyś w takiej relacji. Mężczyźnie przez rok udawało się ukrywać przed nią swoje „internetowe związki”, rozmawiał z różnymi dziewczętami na czatach, upajał się nimi, nawet miał kilka folderów z nazwami ich imion, a w nich zdjęcia swoich wybranek. Dla mnie to obrzydliwe. Ale czy nie robię się taka sama? Z wielkim trudem wykrzesuję wiadomość:

*Władku! To miłe, co piszesz, ale mam wrażenie, że robisz ze mnie jedynie swoje natchnienie. Nie zasłaniaj się sztuką. A gdyby Papieżyca miała nogi, piersi, ręce, usta, ciało? Przecież ona nie jest dziewczynką. Widzę, że zacząłeś sam mnie stwarzać. Tak, mam władzę. Widzisz we mnie środek twórczy, ot wszystko. Lepiej więc zniknąć.*

*Jaśmina*

Nie muszę długo czekać, żeby się odezwał. Wyskakuje przede mną maleńki kwadracik, w którym jest CyberWładek. Rozpoczyna dialog:

– Oj, Jaśka, Jaśka, co cię dzisiaj uduchało? Ale masz świętą rację, że potrzebuję ciebie, Twoich słów, a przede wszystkim wrażliwości.

Chłonę to wszystko, ponieważ mi cholernie zależy na tej relacji.

Natchnienie? Jaki miałoby sens bez tej, która stwarza?

– Bajer wychodzi, więc łaknę. Zmień scenariusz. Wszystkie mężatki tak wyrywasz?

– Wszystkie Jaśminy, a jak wiesz, nie jest to zbyt popularne imię.

Pięknie zresztą. Coś, co napisałem, zabrzmiało pewnie tak, jak nie chciałem. Mam nadzieję, że... A co ja tam mieć mogę? Nic nie mogę.

Żadnych przecież do Ciebie praw. Ale wiedz, że rządzisz. Nic, co napisaliśmy do siebie i wypowiedzieliśmy, nie jest mi obojętne. Czytaj mnie, jeśli chcesz poznać prawdę. Kiedy Cię obraziłem?

– Brzmisz jak Casanova, nie wiem, czego ode mnie chcesz, zapewne weny twórczej, inspiracji Ci brakuje, a tak się złożyło, że mamy taki sam pogląd na świat naszego dzieciństwa. Mnie też brakuje tych dwóch czynników. Naprawdę nie widzisz niczego złego w tym, co piszemy? Co robimy? Daj do przeczytania swojej żonie, ciekawe, jak

*zareaguje. Sztuka sztuką, a życie życiem.*

*– Nadal nie rozumiem, co jest złego w tym, że próbuję zrozumieć Twoje rozterki. Pisałem powyżej, że doceniam, iż tego nie olewasz i rozumiesz, co jest złe. Sam oceniam, że jestem w tej sytuacji gorszą stroną, ale czy to jest powód do pisania o mnie „Casanova”? Nie rozumiem. Komunikacja bez słowa denerwuje, ponieważ nie mogę wyrazić wszystkiego, co czuję, i przebić się przez ten wyzuty z wszelkich emocji internetowy świat. Pieprzony emotikon mi nie wystarcza, bo znam tylko jeden. A chciałbym Ci powiedzieć o wiele więcej. To wszystko boli, mówisz nie tak, jak się spodziewałem. Jestem jednak daleki od użalania się nad sobą. Wyobraź sobie, że odwzajemniam o wiele więcej, niż Ci się wydaje, czuję o wiele więcej, niż tu czytasz, boli o wiele bardziej, niż myślisz. Masz rację, że życie życiem, sztuka sztuką, a my jesteśmy zmyśleni.*

*– Jestem człowiekiem i nic co ludzkie nie jest mi obce. Nadal potrzebuję naszych rozmów. Tylko niech zostają między nami.*

*– Całkowicie przestaję Cię rozumieć. Odnoszę wrażenie, że masz wiele twarzy, kiedy siedzieliśmy sam na sam, widziałem Cię całkiem*

*inaczej. Nie rezygnuj tak łatwo. Jeżeli klawiatura się pieprzy, to nie jest znak, że zmieniam zdanie. Ale nie mogę wyjść z podziwu, jakim cudem obrażasz się o słowa, które powinny Cię dowartościować. Czy jest racjonalny powód? Chciałem Cię docenić za szczerłość i mocny kręgosłup moralny, a dostałem niemiłosiernie w pysk. Jak widzisz, Papieżyca w Tobie ma się dobrze.*

*– Władek, już Ci mówiłam, że jestem trudna w życiu. Nie pisz, że mnie nie rozumiesz, bo wydaje mi się, że jesteś jedyną osobą, która rozumie moje urojenia. Narodziłam się na nowo ze świadomością, że jest ktoś, kto jak Iwaszkiewicz rozumie legendy dzieciństwa. Nie pisz więc, że żal, że czas stracony...*

Robię króciutką pauzę. Piszę, że zaraz wracam. Kotłują się we mnie moralna dekadencja i erotyczne wyuzdanie. Pragnę go. Może nie ciała, a słów. Pieści nimi, całuje, w jego ustach mają zupełnie inną moc. Transcendentną, metafizyczną. Jest jak ja, tylko w męskim wydaniu. I jeszcze ta Papieżyca! Obezwładniła mnie! Nie chcę już protestować. Jest mi z nim zbyt dobrze. Odpisuję natychmiast:

*– Przepraszam. Już chyba zrozumiałam. To demony wytłumaczyły mi potrzebę Twojej obecności w moim życiu. Bądź nadal, niech sztuka*

*sama się pisze, z sumieniem też się pojednam, potrzeba mi tylko czasu.*

*W tej chwili ono skrobie, ale im dłużej rozmawiam z Tobą, tym większe mam wrażenie, że się jednamy.*

*– Nigdy nie zrozumieję kobiecej przewrotności! Boże uchwaj, i tak źle, i tak niedobrze. Najważniejsze, że wróciłaś do siebie, do nas!*

*Wierzysz w los? W przeznaczenie? W to, że ktoś układa nasze karty i już wszystko jest przesądzone?*

*Karty! Znowu sobie o nich przypominam. Przecież mam je cały czas przy sobie. Może powróżyć? Może on się zna na tarocie, skoro wspomniał o losie?*

*– Uważam, że los każdy z nas układa sobie sam. Jedni obserwują uważnie świat, rozpoznają znaki, inni nie chcą w ogóle na to zwracać uwagi, zasłaniając się racjonalnością. Wierzysz, że karty mogą przepowiedzieć przyszłość? – pytam.*

*– Nie. Akurat takie znaki są mi zupełnie obce, ale wcale się nie dziwię tym, którzy z nich korzystają. Na studiach miałem do*

przeanalizowania mnóstwo tez Freuda i Junga. Podobno ten drugi badał osoby korzystające z porad wróżbitów i wysnuł teorię, że odczytywanie kart jest jak badanie osobowości poprzez rozpoznawanie symboliki ukrytej w plamach z atramentu. Psycholodzy często pokazują pacjentom kartoniki z czarnymi kleksami i pytają. Ludzie widzą w nich archetypy, które mają w podświadomości, symbole wytworzone przez ich mózg, a nagromadzone po różnych przejściach. Z tarotem podobno jest tak samo. Wróżka rozkłada karty i tłumaczy ich znaczenie, ale jest ono uniwersalne. Rozumiesz? To osoba pytająca sama w głębi duszy odpowiada na swoje pytania. Poznaje w ten sposób własną psychikę, wyciąga z jej zakamarków prawdy istotne tylko dla niej. Wizerunki na kartonikach stymulują do przeszukiwania znaków schowanych w odmętach własnej osobowości. A rozkład kart? Dlaczego wyciągamy tę, a nie inną? To zupełny przypadek.

– Nigdy nie spotkałam się z taką teorią. Całe życie myślałam, że to forma zabawy, nawet pewien absurd. Ale pięknie to ująłeś! A wiesz, ja znalazłam takie karty u siebie na Mazurach, w starej ziemiance. Mam je nawet przy sobie. Ale nie umiem się nimi posługiwać. Nigdy nie mam czasu, żeby się zainteresować tarotem. A wyglądają fantastycznie!

– Jaśmina! Czemu nie bierzesz się do roboty?! Postaw mi tarota



*dla zabawy, ha, ha, ha... Kurczę, dzieciaki znowu się tłuką, muszę pomóc  
żonie. Odezwę się niebawem. Nie wiem, czy zdążę jeszcze dziś, ale jutro  
wieczorem będę miał chwilę. Pamiętaj o naszej rozmowie, nie usypiaj  
Papieżycy! Ćwicz tarota, bądź moją niespełnioną Kapłanką! Pa!*

Kiedy sięgam po torebkę, dotykam metalowej sprzączki i czuję  
lekkie kopnięcie prądu. Aż wzdycham ze zdumienia. Cofam rękę, ale po  
chwili znów wykonuję ten sam gest. Wyciągam z wnętrza maleńkie  
pudełeczko. Rozkładam karty, obserwuję je uważnie, w końcu mam  
czas. Wirują przede mną najróżniejszych maści symbole. Elementy  
duchowej percepcji, niematerialnej rzeczywistości, martwa natura, na  
pozór zwyczajne przedmioty, zwierzęta. Przypuszczam, że jest to tarot  
marsylski, czyli jedna z najstarszych kabał, ale skąd mam wiedzieć, czy  
to prawda? Liczę najpierw wszystkie karty. Jest ich siedemdziesiąt  
siedem. Zaczynam wpisywać w Google słowa kojarzące się z moją talią.  
Wreszcie trafiam na stronę poświęconą Helenie Starowieyskiej. Nigdy  
o niej nie słyszałam, ale pisze o magii w sposób iście frapujący. Chłonę  
każde zdanie i każdy wyraz. Obrazy, które opisuje, pasują do moich kart.  
Utwierdzam się tylko w tym przekonaniu. Na odwrocie znajduję  
francuskie nazewnictwo kart: *Le Bateleur, Le Pendu, La Lune*.

Czytam z całkowitym oddaniem, jak tasować tarota, przekładać,  
o czym myśleć, aby karty chciały odpowiadać na pytania. Układ „w

krzyż” w tej chwili wydaje się najprostszy, więc postępuję zgodnie z instrukcją. Zajmuję się tylko Arkanami Wielkimi. Co prawda nie wiem, na czym one polegają, ale potrafię już oddzielić te znaczące dwadzieścia dwie karty od pozostałych pięćdziesięciu sześciu. Ale zaraz, pięćdziesiąt sześć plus dwadzieścia dwie daje siedemdziesiąt osiem. O ile dobrze pamiętam, mam ich siedemdziesiąt siedem... Więc jednej brakuje? Zliczam ponownie i faktycznie jednej brakuje. Myślę sobie: trudno, przecież to tylko gra, na dodatek dziecinna. Ciekawość rezultatu jest jednak silniejsza niż myśl o początkach igrania z czarnoksięstwem, więc zaczynam rozkładać.

Delikatnie, jakbym obcowała z kruchym szkłem, najpierw kładę pierwszą kartę po mojej lewej ręce, następnie drugą po przeciwległej stronie, trzecią nieco ponad pozostałymi i czwartą poniżej wszystkich. Zdenerwowanie opanowuje moje ręce. Stają się ciężkie, jakby nie moje. Czuję każdą żyłę, krew pulsującą na ich przegubach, jak po męczącym dniu. Dłonie matki Polki odmawiają współpracy. Może ciśnienie skoczyło mi z wrażenia? Muszę zadać pytanie, gdyż rozkład w krzyż celtycki stosuje się w celu uzyskania jednoznacznej odpowiedzi. Pewnie zabrzmiałoby to infantylnie w ustach dojrzałej kobiety, ale chcę wiedzieć, czy Władek to tylko chwilowa fascynacja, czy coś więcej. Przecież coś do niego czuję, jakąś więź...

Narodzin zła należy upatrywać chyba tam, gdzie ktoś prowokuje

nas do jego czynienia. Zło nie przychodzi samo, nie bierze się znikąd. Jest dialogiem. Interakcja między katem a ofiarą nie istnieje, a między uwodzającym a wabioną pojawia się nic pojednania. Wydaje mi się, że problem zdradzających jest permanentny. Wynika z braku pogłębiania miłości, z braku czasu dla dwojga. To problem nieobecności przejawiającej się w każdej formie: w seksie, w rozmowie, w pracy, w prozie życia. A ja? Przecież jestem stuprocentową kobietą! Na wszystkie bóstwa, czarty, ogary, wiedźmy i tajemne moce przysięgam, że będę kobietą aż do końca swojego życia! Nawet w trumnie chcę mieć pomalowane paznokcie!

Odsłaniam powoli karty. Pierwszą z nich jest Wisielec. Patrzy mi w oczy człowiek, a może raczej stwór, zawieszony na prawej nodze głową w dół. Ma ciemne oczy, długie uszy, ręce trzyma za sobą skrzyżowane jak stopy. Nic nie rozumiem, więc sięgam po tłumaczenie. Postać symbolizuje pokutę? Dla mnie? Ale za co? Czytam dogłębniej. Jest to karta blokady i zahamowania we wszystkich działaniach duchowych i materialnych. Jednak to opóźnienie ma mieć dobry wpływ na rzeczywistość, gdyż pozwala w pełni rozkwitnąć planom. Mówi o karze i poświęceniu, bowiem za wszystko trzeba w życiu płacić.

– Nic się nie zgadza. Nigdy w życiu nikomu nie wyrządziłam krzywdy!

Nie zastanawiając się długo, odsłaniam następną kartę.

Głupiec, niekonsekwencja. Aby na nowo odkryć swojego wewnętrznego ducha, ziemskie istoty muszą odkupić własne grzechy poprzez wędrówkę ciała niebieskiego na kolejnych stopniach ewolucji.

Czytam w *Tarocie marsylskim* Heleny Starowieyskiej: „Karta ta oznaczona liczbą 0 lub XXII dopełni swe znaczenie dopiero wówczas, gdy człowiek osiągnie pełnię osobowości i harmonię wszystkich elementów duszy symbolizowaną przez kartę Świat. Oznacza też, że koniec każdej drogi jest początkiem następnej, a prawdziwa droga duchowa nie kończy się nigdy...”\*\*\*.

Ile w tym jest wiary, nadziei. Te słowa jak dobry miód wypełniają smakiem skrywaną od lat tajemnicę świata! Czytam, że kresem podróży Głupca jest dojście do upragnionego celu, a po drodze spotykają go przeróżne historie. Najczęściej jego udziałem są te niechlubne, bo jest łatwowierny. Przez to cierpi, ale nieustannie poszukuje, nie poddaje się i nawet gdy spadną mu buty, kroczy boso.

– To tak jak ja! Jest taki jak ja? – zdumiewam się. Poprzednia pokuta dopadła mnie, skoro dopiero od niedawna rozmawiam z wilczycą. Wcześniej byłam jak gęsty szlam. Bez wyrazu, emocji, bez chęci zmian.

Rozważania przerywa szalejący za oknem wiatr. Nie wstając z łóżka, spoglądam za szybę. Istne tornado. Widzę z góry korony drzew bestialsko szamotane porywami wichru. Zauważam chwiejące się lampy uliczne i znaki drogowe, które wskazują na ogrom jego siły. Nie podoba mi się ten obraz. Zawsze odczuwałam respekt przed szalejącą naturą, ale jeszcze pół godziny temu nic nie wskazywało na taką zmianę. A może to ja i mój tarot spowodowaliśmy takie poruszenie? Z niedowierzania otwieram szerzej oczy. Nie zauważyłam, kiedy przestałam mrugać, i z tej hibernacji zaczęły się szklić.

– Nie, to niemożliwe! To zwykła zmiana pogody i tyle.

Odsłaniam dalej.

Diabeł, fatum. Przerazona odczytuję słowo po słowie z interpretacji w internecie, ale nie zdążam zapamiętać opisu, gdyż w tym momencie z przeraźliwym impetem otwiera się okno. Przeciąg rozwiewa wszystkie karty. Zaczynają wirować wokół mnie. Chowam głowę między kolana, zaciskam ręce. W szkole uczyłam się o latających piorunach, które mogą wpaść do pomieszczenia przez szczelinę w oknie. Ile było w tym prawdy? Nie wiem. Strach napływa do gardła, czuję, jak małżowiny uszne stają się gorące. Wiatr na szczęście szaleje jedynie przez chwilę. Dla mnie to jednak wieczność. Następuje cisza. Całe ciało dygocze. Nie wiem, czy podnieść głowę. Boję się. A jeśli przede mną stoi diabeł

wywołany tarotem? A jeśli chce ze mną zawrzeć pakt jak z panem

Twardowskim? Nie, no co ja wygaduję. Jestem za stara na bajdurzenie.

Podnoszę głowę. Nikogo nie ma, jesteście tylko ja i rozsypane karty.

Wszystkie się pomieszały, nie wiem, która była czwarta. Wracam do opisu trzeciej.

Diabeł. Metaforycznie jest nim dąb. Silny i mocny, który pewnego dnia zostaje roztrzaskany i spalony przez błyskawicę. Wbrew pozorom nie można się bać tej karty. Mówi o rebelii i buncie podnoszonym w imię podążania za doskonałością. Uświadamiam sobie, że człowiek poddaje się pokusom przecinania więzów moralnych i kroczy za instynktem. Staje się w ten sposób niezależny. W centralnym punkcie karty widnieje postać diabła, który podnosi prawą dłoń. Ma skrzydła, ale nie przypominają ptasich czy motyli, wyglądają raczej, jakby były żywcem ściągnięte z nietoperza. Po jego lewej stronie stoi nagi mężczyzna, po prawej – kobieta. Na szyjach mają obroże i przypięte do nich smycze. Są przywiązani do stóp Belzebuba.

Nie mam zielonego pojęcia, jak to zinterpretować. Czy to dobrze, czy źle, że wyciągnęłam Diabła? Strach powoli opada, wiatr cichnie.

Karty nie odpowiedziały na moje pytanie. Może po prostu nie chcą ze mną współpracować? Może robię coś nie tak? Może mam zablokowany umysł i nie mogę się na nie otworzyć?

– Ciekawe czemu? – słyszę znów głos wilczycy. – Bez brakującego ogniwa nie stworzysz całości.

Faktycznie! Przecież brakuje mi jednego elementu. Czy karty mówią prawdę, skoro są niekompletne? Ale czym załatać ten brak?

Wpisuję w wyszukiwarce zdanie: „Czy można wróżyć bez jednej karty?”. Odpowiedzi są jednoznaczne. Nie można wróżyć bez kompletnego zbioru, ale tarociści piszą również, że najlepszą kabałą jest ta, którą samemu się zrobi, więc owy brak można załatać samoróbką.

Zaczynam dochodzić, której karty nie posiadam. Wydrukowuję spis wszystkich Arkanów. Oglądając własne, powtarzające się wykreślam. *Les Deniers, Valet De..., Cavalier De...* Brakująca karta to *La Papesse*, Papieżyca, Kapłanka... Omal nie mdleję z wrażenia. To niewiarygodne, przecież Władek mnie tak nazwał! To on pierwszy wypowiedział te magiczne słowa, on mnie stworzył w swojej wyobraźni! Nie mogę wytrzymać, natychmiast muszę podzielić się z nim tym odkryciem. Znowu loguję się do mojego konta na Facebooku, ale Władek mnie ubiegł – w skrzynce już czeka wiadomość od niego:

*bo kartka strony ma dwie*

*chcesz nazywać grę w pozory*

*jeden świat doceniać bardziej niż drugi*

*tworzyć system braku wartości*

*tylko kto nadaje tę kolejność*

*ja powierzam się twojej opiece*

*zachowuj mi w nadmiarze*

*troskę o głowy zaniedbanie*

*stan nieważkości ducha*

*Papieżycą zostań i rozpal*



*ogniska domowego nieporządek*

*istnieje coś takiego jak porozumienie*

*gdy przez skórę w dreszczach dochodzisz*

*w miejsce wskazanego spotkania*

*otwierasz się do środka*

*pożądaj tego wejścia*

*pustym spojrzeniem wypełniam*

*i szczerze zatykam braki zamyślenia*

*którymi organizuję przestrzeń*

*najłatwiej byłoby się przeprowadzić w rodzinne strony*

*nie tęskniąc dłużej z braku decydowania*

*na planecie czerwonej żarem*

*zmysłów nie trawią wątpliwości*

*wyłączam więc świat po fragmencie*

*aż do kompletnej lekkości*

*rozpuszczamy się w podwójnych jaźniach*

*w grzechach po uszy*

*tkwimy*

Siedzę osłupiała. Odpowiadamy sobie wierszem na wiersz.

Literacko, poetycko, przepięknie. Ile w tym prawdy? To raczej zastępcza rzeczywistość, dlatego kusi bardziej niż namacalny świat. Chcę mu wszystko napisać, ale po co, skoro możemy się zobaczyć... Proponuję spotkanie i czekam na wiadomość. Zbieram karty. Nie chcę kolejny raz wróżyć. Nie mam już na to siły. Zасыpiam wyczerpana, ale szczęśliwa, pogodna. Zapominam o bożym świecie, o dziecku, mężu. Taka przygoda zdarza się raz na sto lat.

Pierwsza rzecz, o której myślę nazajutrz po przebudzeniu, to komputer. Podłączam go do zasilania, ponieważ od wczorajszych harców rozładowała się bateria. To, co czytam na Facebooku, nie sprawia mi jednak radości. Władek wyjeżdża na czterodniowe szkolenie do Katowic. Nie ma więc szans na spotkanie. Wraca w dniu, w którym ja będę wyjeżdżała do domu. Szybko wpadamy na inny pomysł. Spotkamy się na dworcu autobusowym. Na koniec Władek proponuje mi cztery dni bez niego, ale za to z książką *Listy na wyczerpanym papierze*.

Z korespondencją Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory. Jak to

ujmuje: „Taka mała namiastka nas niespełnionych”.

To wszystko nie wydaje mi się normalne. Nic z tego, co się do tej pory wydarzyło, nie ma sensownego wytłumaczenia. To chyba brak mojej wiejskiej codzienności i odległość sprawiają, że dopuszczam jakiegoś obcego faceta do siebie i swoich myśli. Muszę jak najszybciej dosztukować kartę i nauczyć się stawiać tarota! Problem w tym, że nie umiem rysować.

Lena! Ona mi pomoże. Wybiorę któryś z jej portretów i wydrukuję.

Tak! Z niezwykłym zapałem przerzucam albumy z jej pracami w internecie, ale mam już pewien typ. Nazwałam ją Nefretete, w tłumaczeniu „piękna, która nadchodzi”. Pierwsza i jedyna królowa Egiptu charakteryzująca się nadzwyczajną szlachetnością i niespotykaną urodą. Urodziła sześć córek i mimo to zachowała niespotykaną krasę i powab. Stanowiła starożytny kanon piękna. Wygląda jak egipski piasek spalony słońcem, oślepiające złoto pustyni. Jak dojrzałe kłosa żyta na polu. Przypomina mi pszczołę, piękną i niedostępną, tą, bez której nie ma plonów ani smaków lata. Na ukojenie zmysłów przynosi miód.

Najcenniejszy składnik naturalnych słodczy. Helena Starowieyska napisała, że żółty kolor jest panem wszystkich bóstw solarnych. Oznacza najwyższe wartości. Kiedyś przysłaniały się nim kobiety zamężne oraz

matki. Miał na celu wzbudzać poważanie. Jednak z biegiem lat, pod wpływem nieustannie pędzącej cywilizacji, nastąpiła całkowita zmiana jego znaczenia. Możemy wmieszać w jego ton nutę zdrady, wyniosłości i zimna.

Pojawia się również biel. Symbol inicjacji, chrztu, Pierwszej Komunii Świętej, dziewictwa. Kolor debutantek we wszystkich rolach świata:

kochanek,

nałożnic,

świętych.

Barwa

radości

i zmartwychwstania. Jednak niegdyś, w prapoczątkach chrześcijaństwa, oznaczała żałobę – tak jest do dziś w Japonii. Jak magnolia rozkwitająca w kwietniu. Na krótko kusi słodyczą, lecz wystarczająco, aby zwabić.

Upadając, zmienia się w czerń. Odchodzi, by narodzić się na nowo w żyznej ziemi. Bez tych energii nie ma świata.

Taka jest moja zimna i wyniosła Papieżyca. Tej karcie nie można się oprzeć. Jest symbolem kobiecości, która zaczyna i kończy się jedynie w snach. To w świecie snu jest namacalna, częstokroć próbuje przenieść się z nieboskłonu na ziemię. Na jakiś czas przygasa, ale za każdym razem, kiedy zostaje splugawiona ciężarem życia, wie, że musi iść dalej,

choćby na czterech łapach. Kobiecość trzeba nieustannie pielęgnować, żeby nie zgasła, żeby nie stała się tylko snem.

Wygląda idealnie. Przyklejam ją do sztywnej tektury, ale tu pojawia się kolejny problem, ponieważ widać, że jest inna i nie pasuje do talii. Decyduję, że będę rozkładała wachlarz kart przed pytającym, ale ten będzie musiał zamknąć oczy, zanim zaczniesz losować. Dziś postanawiam zrobić sobie „dzień wewnętrzny”, czyli więcej dla siebie, a mniej dla innych. Zażywam poranną dawkę pyłku kwiatowego, zjadam delikatne śniadanie i wyruszam po książkę Osieckiej i Przybory. Nieustannie rozmyślam o wczorajszym wieczorze. Jak to możliwe, żeby w tym samym czasie pojawiły się tak zaskakujące zdarzenia? Na pograniczu jawy i snu, prawdy i zmyślenia. Rzeczywiście, świat nie jest jednoznaczny i czasem potrzeba magii, żeby go objaśniać. Zrobił się cholernie pojemny dzięki temu mężczyźnie. Chłonę wszystko, co subtelne i natchnione.

Osiecka i Przybora. Jak celnie wpasowaliśmy nasz świat w ich schemat. Ja i Władek, para zakochanych głupców. On – starszy, przystojny pan z żoną i dziećmi, ona – młoda, spragniona uniesień artystka, poetka. „A najbardziej kocham twoje uszy”, pisywał do niej, często kończąc tym zwrotem list. Ich uczucie trwało dwa lata. Bez tego związku nie byłoby kilkudziesięciu piosenek, w rytm których kochają się lub płaczą żarliwi. Siedząc w „naszej kawiarni”, bez opamiętania

pochłaniam wzrokiem kartkę po kartce. Dzwoni do mnie mąż, ale nie odbieram. Celebрую tę chwilę z najwyższą świętością. „Tęsknię do Ciebie przez stół, przy którym siedzimy, tęsknię z fotela na fotel obok, w teatrze czy w kinie, tęsknię z Pragi na Kępcę, z łóżka, w którym leżę...”\*\*\*\* – prostota tego zdania uderza mnie miłością, którą mam na wyciągnięcie ręki. A ja? Za kim teraz tęsknię? Za Marysią i jej rączkami lepkiemi od rozpuszczonej czekolady, za głosem wibrującym w uszach, trzeszczącym jak drewniana podłoga i szorstkim jak zimowe powietrze o poranku. Pragnę rozpalać się jak knot i nie gasnąć, płonąć wieczyście i obejmować tym ogniem całą ziemię. Z popiołów rozniecił się żar pożądania. Chcę o tym pisać. Nie mogę go mieć, więc chociaż przeleję spiekotę pragnień na papier.

Pod wpływem miłosnych uniesień będących udziałem autorów *Listów...* zaczynam tworzyć własne historie. Fantazyjne urojenia.

Wstydzę się myśleć o seksie, a co dopiero uczynić go tematem moich zapisków, jednak wilczyca daje o sobie znać, bowiem sięgam po notes i poddaję się tej chwili:

*Usłyszała gdzieś w oddali szelest, potem kroki. Najpierw ciche, w miarę upływu czasu jednak coraz głośniejsze. Szedł do niej. Miała jeszcze nadzieję, że to sąsiad zmierza do pokoju obok. W myślach gorączkowo odmawiała różaniec: „Boże, nie, to nie on, proszę, to nie on...”. Nagłe pukanie do drzwi odbiło się głośnym echem w jej sercu.*

*Odpowiedziała po pensjonarsku „proszę!”. Więcej słów nie wydobyla z ust. Wszedł dostojnie, miarowo i bez zastanowienia przekręcił klucz w drzwiach. Zgrzyt zamka rozszedł się po całym pustym hotelu. W ilu pokojach kryją się takie historie? Hotelowe łóżka nie mają swoich właścicieli, są anonimowe jak ściany, od których odbijają się dźwięki uniesień.*

*Nie rozmawiali ze sobą w ogóle. To było zbędne. Znali lepiej siebie niż własnych małżonków. Uczyli się swojej roli wystarczająco długo, aby teraz móc trwać przez wieczność w milczeniu. Wystarczyło jedno długie, przenikliwe spojrzenie i na myśl przychodziły wszystkie zdania, dzięki szepty, z którymi oddawali się sobie co noc w swych wyimaginowanych światach. Rozbierał ją wzrokiem, czekał, aż wykona jakiś gest, ruch, który będzie pozwoleniem. Miała na sobie purpurową sukienkę.*

*Powiedziała mu kiedyś, że metaforą seksu jest właśnie ta sukienka.*

*Odslania nogi i zachęca do wejścia. Najpierw rodzi tajemnicę skrytości, potem potrzebę zastanowienia się nad tym, co się pod nią znajduje. Co zakrywa? Wszystkie te miejsca, które są niewidoczne, a najbardziej pożądane.*

*Patrzyła mu w oczy, kiedy nagle na jej twarzy pojawił się uśmiech.*

*Nie czuła strachu. Uczucie, które zaczęło jej towarzyszyć, bardziej*



*przypominało podniecenie pomieszane z ekscytacją. Drobną gęsia skórka wystąpiła na przegubach dłoni. Podeszedł do niej. Nieoczekiwanie, bez najdrobniejszego słowa. Ukląkł i powoli zaczął muskać ustami jej gładkie kolana. Jego ręce dotykały tydek i pieściły te miejsca, o których prawie wszyscy kochankowie zapominają. Drobną linią oddzielającą mięsień łydki od uda, zgięcie pod kolanem, które delikatnie pieszczono daje rozkosz promieniującą aż do łona. Zamknęła oczy, powoli rozchylając nogi. Ręce zacisnęły się na zimnej pościeli. Palce zeszywniały od nadmiaru emocji. Wyczuwając gorący oddech po wewnętrznej stronie ud, przeniosła dłonie na jego głowę...*

Skończywszy pisać, szybko chowam notes, chcąc w ten sposób zagłuszyć apetyt na więcej. Jedną rzecz dość mocno mnie niepokoi: brak mi słów opisujących doświadczenie erotyczne. Czyżbym to ja była uboga w takowe słownictwo, czy to temat tabu dla wielu Polaków i dlatego w naszym języku brakuje odpowiednich określeń? Gdybym położyła przed dowolnie wybranymi kobietami kartkę i ołówek, prosząc, aby opisały akt seksualny, czy umiałyby to zrobić? Zapewne odwróciłyby wzrok i zarzuciły mi głupotę.

Zamawiam jeszcze jedną kawę. Nie chcę stąd wychodzić.

W dzisiejszych

czasach człowiek traci zdolność

przeczuwania

najważniejszych momentów swojego życia. Ja rozpoznaję w tej chwili wiatr dobrych zmian. Chwytam więc szczęście w żagle i nie mam zamiaru zbaczać z obranego kursu. Zmieniam jedynie rodzaj lektury. Przerzucam się na kawiarniane, kolorowe pisma, które leżą nieopodal. Pierwszy artykuł, który otwieram, mówi o tym, że pragnienia rodzą się z powodu braku pieniędzy, zdrowia, szacunku i miłości. A pragnienie posiadania drugiego człowieka? Zastanawiam się. Wolność rodzi zachwyty, pustka zasiewa zło, miłość rodzi miłość. Nie mogę dłużej czekać. Loguję się do jednego z komputerów, w które wyposażony jest lokal, i piszę:

*Drogi Władku,*

*Listy na wyczerpanym papierze są genialne. Sięgnęłam po nie jak po rozmowę z Tobą albo wspomnienie czasów, które zostały dawno pogrzebane. Frapująca jest ta rozgrywka o serce. Odległe, lecz kochające. To wręcz walka z góry skazana na porażkę. Ale za to jak wytrwała i pełna oryginalnych pomysłów, zdań, prawdziwej namiętności. Brakowało mi dawno zapomnianych, leniwych dni, kiedy upajałam się wierszami i muzyką. Marzę o spokoju i ciepłych dłoniach, o czasie, który nie będzie tak szybko biegł. Pisz, co u Ciebie, a i o telefonie do małżonki zadbaj. Opiekuj się nią, dwóch synów ci dała...*

*Tulę – nielegalnie*

Zdążam dopić kawę, porozmyślać. Wyciągam karty, ale nie chcę wróżyć. Po prostu pragnę mieć je przy sobie, na widoku. Stają się ważnym gościem w moim domu.

Władek odpisuje natychmiast:

*Hej!*

*Właśnie mam przerwę i nie mogłem wytrzymać, musiałem zajrzeć do poczty, zresztą ustawiłem sobie w telefonie powiadomienia, gdy przychodzą wiadomości od Ciebie. Fakt, że Cię nie ma i być nie może, że Cię zmyślam i wymyślam, nieudolnie komentując Twoje teksty, jest niesamowity. Jest coś tragicznego w tym naszym „zmyśleniu” i coś zbawiennego, jak w telenoweli. To nasze „osobno” mi pomaga, bo zawsze jest się w takiej sytuacji o krok od ideału i spełnienia. Wszystko, co wymyślisz, czemu nadasz sens, może być tylko i wyłącznie w Twojej głowie. Jak wyzwanie sztuki. Lubię być Twoim „nielegalnym”, jak rozkażesz, tak piszę, a ostatnio i czytam. A wszystko to między myślami.*

*Zgadnij o kim?*

*Tulę – nielegalnie*

Bez chwili namysłu rozpoczynam konwersację na czacie:

*– Władku, widocznie to „osobno” jest nam potrzebne jak masło do chleba, wyraźniej smakuje. Czytając Twoje listy, czuję się, jakby ktoś oblał mnie benzyną i podpałił. Potrafisz wydobyć mój dawno uspiiony seksapil. Nie wiem, jak to robisz. Może to za sprawą komplementów? Ale tak właśnie przy Tobie się czuję. Piękna fizycznie i duchowo. Nie chcę, żeby zabrzmiało to jak narcyzm, ale uwierz mi, to jest najlepszy komplement, jaki mężczyzna może usłyszeć od kobiety. Dziękuję Ci za nasze „zmyślenie”. Ile w tym łgarstwa? Czas pokaże. Całuję w czołko, rzecz jasna!*

*– Całowanie w czołko nie jest nielegalne! Mam nadzieję. A zresztą może i jest. Pieprzą mi się już wszystkie te moralne wskazania. Czuję się, jakbyś miała tam u siebie jakąś kukielkę, w którą wbijasz igły, ponieważ u mnie to mniej więcej tak wygląda, że zaczynam myśleć o Tobie i to boli, bo samo myślenie nie wystarcza. To walenie głową w mur, którego*

*nie da się przebić. Cieszę się niezmiernie z powodu Twojego seksapilu.*

*Naprawdę! Dziwię się, że budzi się dopiero teraz. Jest w Tobie coś*

*takiego ludowego, pierwotnego, magicznego.*

*– Nie mam żadnej laleczki! Chociaż kiedyś bawiłam się w takie*

*rzeczy. Chyba mam jakiś kryzys... Boże, jak ja bym chciała się przed*

*kimś wygadać i w końcu poczuć w sobie harmonię! Mój moralny*

*kaganiec zdaje się już dawno się rozwiązał – chciałabym żyć pełnią życia*

*– a trzyma mnie na uwięzi poza wiernej mężatki. Radzę sobie z tym*

*całkiem dobrze, tylko żeby mi się jeszcze moi najbliżsi nie wpięprzali*

*w to radzenie. I ciągle się boję, co powiedzą mama, teściowa, mąż. A ich*

*nieustanna krytyka moich decyzji furkocze mi w głowie: „Zwariowałaś?*

*Tak nie można! Do lekarza z dzieckiem? Poczekaj, za wcześnie, doby*

*jeszcze nie ma... Załóż jej czapkę. Nie założysz? Przecież się przezięb.*

*A obiad? Jak to nie masz siły na robienie obiadu? Śmieci nie*

*wyniosłaś?”. Czuję się jak Józio z Ferdydurke: maska na twarz i do*

*boju. Wieczne udawanie. Męczy mnie to.*

*Tulę mocno*

Plotą się nam te zdania, wplatają w prozę życia jak czerwone

wstążki w warkocze. Staję się jaśniejsza, bardziej świadoma siebie.

Zamiast chować głowę w piasek, prostuję plecy i wypinam pierś. Oczy rozbłyskują jak gwiazdy, a włosy jak komety, poruszane wiatrem falują i lśnią. Zmieniam się, ale wiem, że to tylko na chwilę. A może przypuszczam, że na dłużej i dlatego daję się wciągnąć w te rozgrywki?

Coraz częściej stawiam tarota i tęsknię do mojej wsi, do domu, do gniazda. Tylko co zrobić z tym rozdwojeniem? Zabrać ze sobą czy tu zostawić? Jak ja będę z Władkiem rozmawiać? W domu mamy tylko jeden komputer. Korzystam z niego z mężem. Joachim nie jest na Facebooku, więc na mojej stronie dłużyć nie będzie. Jednak pokój z komputerem dzielimy oboje, przecież to nasza sypialnia... Co ja zrobię po powrocie?

\*\*\* H. Starowieyska, *Tarot marsylski*, Łódź 1993, s. 78.

\*\*\*\* A. Osiecka, J. Przybora, *Listy na wyczerpanym papierze*, Warszawa 2009, s. 106.

Idę z torbą podróżną na ramieniu, a myśli jak sfora warczących psów kotłują się pomiędzy jednym przystankiem a drugim. Wywróżyłam

Zosi szczęście nieprzysłonięte kłamstwem. Powiedziałam, że karty znalazłam na strychu. Wolałam pewne tajemnice zachować wyłącznie dla siebie. Idę i udaję, że nic się nie dzieje, jednak ręce pocą się nadmiernie, a mózg nie odbiera bodźców z zewnątrz, przestaję nawet rejestrować odgłosy ulicy. Na co mi to? Po co mi to? Ciekawe, czy Władek będzie czekał...

Zaczyna padać. Ławica skrzydlatych kropli rosi moją twarz, a najbardziej się boję tego, żeby makijaż się nie rozmazał. Im bliżej znajduję się dworca, tym większe przerażenie szczypie w kark. Obawa, trwoga i lęk przed mężczyzną, który był marzeniem, a stał się realnym wcieleniem. Jak smakuje ten lęk? Dziecięcą rozpaczą za łakociami, których brak ma być karą. Jaki to rodzaj strachu? Podniecający. Nie mam poczucia czasu, upływające minuty są jak wieczność.

Deszcz przybiera na sile. Wbiegając pod dach przystanku autobusowego, nadeptuję na niewielki umorusany zeszyt. Mam na stopach nowe buty, więc z przekleństwem na ustach od razu kieruję wzrok w dół. Podnoszę książeczkę. Okładka jest doszczętnie przemoczona, wytarta i rozmyta. Nie mogę odczytać, kto jest autorem tomiku poezji. Czekając na autobus, zaczynam przeglądać stronicę. Im dłużej czytam, tym bardziej czuję, że to o mnie. O nas wszystkich, które dziergają na szydełkach życia nicią z zaplątanego motka włóczki. Najbardziej porusza mnie fragment o wierzbie, która odchodzi jak

niemowa, a żegna ją tylko topór i pacierz puchacza.

Nie chcę być jak to drzewo: zapomniana, pozostawiona sama sobie z płomykiem dogasającej dziecięcej fantazji. A niestety czuję, że bez gestów wskazujących na brak uwielbienia obumieram. Władek skazuje mnie na wieczne potępienie, a ja kroczę w wybrukowanym piekle do miejsc przeklętych. Nie chcę być blada jak to drzewo, biała do szpiku kości, niewidoczna dla męża. Nie chcę płakać nad moim jeziorem, w którym pływają liście i rzęsy. Boję się, żebym nie utonęła. Nie chcę tak żyć.

Kiedy wysiadam na miejscu, oblewa mnie strach i gdyby punktem docelowym nie był dworzec autobusowy, to chyba bym uciekła. Ale przecież muszę wrócić do domu. Nie mam wyjścia. Nawet jeśli ominę główne wejście i pójdę od razu na peron, to przecież po jakimś czasie on może mnie szukać, a nogi na pewno przyprowadzą go na mój postój. I co ja mu wtedy powiem? Widzę go już z daleka, a raczej jego plecy. Trzęsę się jak osika na wietrze. Zimne ręce w sierpniowy dzień są na pewno oznaką niepokoju.

A co, jeżeli nie będziemy umieli ze sobą normalnie rozmawiać?

Jeżeli wstyd przysłoni nam siebie? Przecież wypłynęło z klawiatury tyle cierpkich słów, za które powinnam siedzieć w więzieniu. A co, jeśli księżę zamieni się w żebraka? Czar pryśnie jak za dotknięciem



czarodziejskiej różdżki...

W gardle mam kulę z wyrzutów sumienia, uniemożliwia mi ona swobodne wysławianie. Staję w przeciwległym kącie hali dworca i nie jestem w stanie się stamtąd ruszyć. Jakby ktoś przykleił mi nogi do brudnych kafelków. Cucą mnie czyjeś zęby wbite w mój pośladek. Gdyby nie wilcze przypomnienie, stałabym tak chyba do rana. Biorę trzy głębokie wdechy i podchodzę do Władka.

– Cześć – mówię, wbijając wzrok w podłogę.

– Witaj, Papieżyco! Jak się czujesz? Mam nadzieję, że sumienie zostawiłaś w domu.

– Niestety, siedzi na ramieniu, więc uważaj, co mówisz, bo ono też słyszy.

– Chce ci się wracać do domu?

Odnajdujemy dość przyjazną knajpkę z włoskimi kanapkami.

Zamawiamy dwie kawy i chowamy się w cieniu sztucznych drzewek wstawionych na potrzeby wystroju lokalu.

– Pewnie, że tak. Stęskniłam się za mazurskim słońcem. Spiekota

tego miasta jest zupełnie inna niż ta moja. Poza tym tęsknię za córką.

Macierzyństwo to gorzki kawałek chleba, ale jak patrzę w jej oczy, to czuję, jakbym obcowała z cudem. Mój mały sobowtór. To jest pierwiastek nas samych.

– Masz rację, ja też się mocno za swoimi dziećmiakami stęskniłem.

Te wieczne wyjazdy, walizki, pakowanie, jestem już chyba na to za stary. Mam dla nich mało czasu, powinienem przejść na spokojniejszy tryb życia, ale co zrobić? Trzeba z czegoś żyć. Z żoną też coś nie mogę się ostatnimi czasy dogadać. Mam wrażenie, że robi wszystko, aby mnie sprowokować do jakiegoś niecnego występku. Ciągłe łapie za słówka, jest nieprzystępna, wszystko, o co poprosi, robię źle. Uczucie do dzieci jest zupełnie inne.

– I nawet jak się ludzie schodzą/rozchodzą, a miłość się zmienia:

wygasa/narasta, to miłość do dziecka jest czymś niesamowitym. To jak idealna sztuka powiązana z idealnym życiem. Można przestać kochać męża, żonę, ale nie dziecko. Jest dobrze, póki ono kocha nas tak samo. Nie narzekaj na żonę. Przejdzie jej. Jednym uchem wpuszczaj, drugim wypuszczaj. Jest bardzo ważna w twoim życiu.

– Ty stajesz się coraz ważniejsza – rzuca namiętnie, wycierając kąćki ust.

– Dlatego chcę już wracać do domu, chociaż boję się, że znowu zapadnę w zimowy sen, opatulona ciepłem ścian. Nie stanę na równe nogi, kiedy powinnam, a z braku sił i czasu wpadnę w bardzo dobrze mi znany schemat.

– Mama Papieżyca. Obudzę ją w tobie, gdy tylko dasz mi możliwość. Przyjedź jeszcze do Zośki, a wtedy zabiorę cię w nielegalne miejsca, gdzie będziemy rozmawiać nielegalnie, tak jak teraz. A potem powiemy sobie, że to wszystko było legalnie piękne, może złe, ale za to prawdziwe. Dlatego nie zapadaj, Papieżyco, w sen.

– Twoja bezpośredniość mnie onieśmiela.

– Czy ciebie jest coś w stanie onieśmielić? Jaśka, daj spokój, tyle nocy mamy przegadanych. Jeżeli chcesz, mogę się usunąć, nie chcę robić kłopotu. Wystarczy jedno twoje słowo, musisz tylko tego chcieć.

– Ale ja nie będę miała czasu, Władek, zrozum. Mam pracę i małe dziecko.

– Ja też i co...? Daj sobie pomóc, możesz nas oboje uleczyć, tylko pozwól.

– Mamisz doskonale i masz w sobie jakiś babski pierwiastek, bo za

dużo rozumiesz.

– Ciebie tylko rozumiem. Ale masz rację z tym pierwiastkiem kobiecym we mnie. Wiesz, siedziałem nad twoimi mailami, wertowałem je słowo po słowie, wszystkie te symbole i skojarzenia. Cała się rodziś przede mną, nieskrępowana. Dlatego daj sobie czas i pozwól na pieszczotę słów. A gary? Sprzątanie? Dom? Nawet nie wiesz, jak ci współczuję. Chciałbym mieć siłę, aby pomóc, ale wiem, że nic nie zmienię. Faktycznie czyni się z was, kobiet, czarownice, ale w tym złym znaczeniu tego słowa. Nie przyrządzacie w wielkich kotłach magicznych wywarów, tylko gotujecie obiad dla swych niewdzięcznych jaskiniowców. Nie latacie na miotłach, bo nie dość, że podcięto wam niebiańskie skrzydła, to jeszcze zamieniono latający wehikuł na przyrząd

do sprzątanía domu. Jedno się nie zmieniło: wciąż życie na marginesie, narażone na stos pogardy, gdy tylko uda się wam dojść do czegoś istotnego. Jak wariatki, otkaczałki, walczyście, aby nie patrzono na was jak na dziką zwierzynę, którą należy najpierw długo ścigać, potem szybko konsumować, uzyskując w ten sposób plemienny status. Już zawsze będziecie skazane na czarowanie w kuchni. I nikt nie będzie się dziwił. Możesz to jednak zamienić w sztukę, a przynajmniej romans ze sztuką. I dobrze o tym wiesz, świetnie sobie radzisz, ręk nie załamujesz!

– Pięknie to ująłeś! Lubię gotować, ale kiedy ktoś to docenia, a nie kiedy wiem, że muszę to robić z obowiązku. Gdyby była między mną a Joachimem jakaś współpraca na zasadzie zamiany ról, byłoby dużo łatwiej. A tak ja się drę, on nie rozumie dlaczego, a z lenistwa nie pomoże, bo już się przyzwyczał, że wszystko jest na mojej głowie. A jak sam ma coś zrobić, to tyle się przy tym nagada, namarudzi, że wolę tego nie słuchać, tylko zakasać rękawy i sama ogarnąć.

– I tu popełniasz duży błąd, ponieważ sama go odsuwasz od obowiązków. Musisz przeboleć kilka tygodni tego zrzędenia, a potem on się przyzwyczai.

– Jak zwykle trafiłeś w samo sedno, sęk w tym, że mi się już nie chce starać i prosić. Rozumiesz, o czym mówię? Wiem, że powinniśmy częściej rozmawiać, dyskutować o tym, co nas boli, ale mnie się już nie

chce. Nie widzę w tym sensu.

– Mnie w to graj, takie zniechęcenie sprzyja nawiązywaniu nowych znajomości. Musisz sama siebie zapytać, czego chcesz. Być z nim, odejść? Może potrzebujesz romansu albo zmiany pracy?

– Władek, ja nie zmienię pracy, jestem nauczycielką, poza tym nic innego nie umiem robić.

– Jesteś mądra, piękna, przebojowa. Potrafisz docenić to, co już osiągnęłaś, i nie boisz się mówić, że chcesz od życia więcej. To jest najważniejsze. W tym musisz widzieć sens.

Dotyka mojej dłoni. Zamyka niewielką piąstkę w swojej ręce, a potem opuszką wskazującego palca zaczyna gładzić śródreczę. Nie uciekam. Czuję mrowienie w całym ciele, a banda niesfornych motyli wiruje w podbrzuszu. Trzepoczą skrzydłami w takt tylko sobie znanej melodii, muskając wszystkie organy wewnętrzne. Najbardziej odczuwa to dolna partia przy rozwidleniu pomiędzy nogami. Niewielki skurcz u nasady łona, permanentnie rosnący w siłę. Czuję, jak nabrzmiwiają moje piersi, jak stają się dojrzałe niczym owoce. Z powodu niespotykanego dotąd podniecenia stają się wiotka jak pnącze w amazońskiej dżungli, a zarazem twarda i mocna jak skała. To stan narastającej ochoty na seks. Tylko nie rozumiem, czemu nie mogę się na

Władka rzucić. Tu, na stoliku dworcowego baru! Nawet w myślach nie mogę tego zrobić, bo jestem mężatką?

Płonę, jestem jak rozżarzony węgiel, ale przecież tę intensywność powinnam zachować dla męża. Nie mogę tak dłużej, bo się spalę na popiół, a Joachim rozdmucha mnie we wszystkie strony świata i nie poukładam się do końca. Zwariuję! Nie mogę, a chcę. Moralnie niepoprawna, a czysta jak święte niepokalanie. Opętana żądzą seksu, a na co dzień obcująca z cielesnym zapomnieniem. Coś jest nie tak? Wilczyca drapie mnie w plecy, podszczypuje zębiskami, liże małżowiny uszne.

– A co z twoim tarotem? – kontynuuje Władek. – Umiesz się nim bawić? Przecież miałaś mi powróżyć.

Nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jaką ulgę sprawiają mi jego słowa. Budzę się z odrętwienia. Szybkim ruchem uwalniam się z uścisku i wykładam karty na stół.

– Nie znam tłumaczenia wszystkich kart, ale na kim miałabym próbować jak nie na tobie? Zamknij oczy i wylosuj siedem Arkanów. Jednak zanim to zrobisz, proszę, żebyś pomyślał nad pytaniem, na które talia ma pomóc odpowiedzieć. Rozłóż je w trójkątnym układzie. Już pomyślałeś?

Mam wrażenie, że wszyscy ludzie w barze na nas patrzą jak na dwójkę wariatów. Jesteśmy niczym bohaterowie kreskówek, którzy trafili nie do tej bajki co trzeba. Zaczynam wróżyć.

Obecna sytuacja: Cesarz. Pokazuje człowieka ustabilizowanego, o umiarkowanych emocjach, sprawiedliwego. Oznacza osobę, która dąży do celu i jako jedyna jest w stanie przeciwstawić się Diabłu. Jest to karta materialna, określa nasze prawa i daje siłę w sferze duchowości oraz finansowego zapotrzebowania. Jest uosobieniem odwagi.

As Monet. Odnosi się do materialnego sukcesu i spełnienia marzeń.

Podpowiada, że przystępując do jakiegoś przedsięwzięcia, warto poprosić o pomoc ludzi, którzy już byli w takim położeniu. Symbolizuje gwałtowną potrzebę hedonizmu. Zapowiada powodzenie w każdej sferze materii i miłości.

Najbliższa przyszłość: Król Mieczy. Człowiek drobiazgowy.

Niełatwo go zadowolić. Koncentruje się jedynie na sobie i własnych przyjemnościach. Jest sprytny i przebiegły. Należy na niego uważać, gdyż może wpędzić w kłopoty.

Dwójka Buław. Podpowiada, że należy umiejętnie rozkładać energię, która w nas drzemie, zachęca do kierowania się rozsądkiem,



a nie sercem.

Kolejna karta: Król Monet . Zmienia mój nastrój. Mimo że wszystkie karty wcześniej potasowałam i sprawdziłam, odwracałam je w jednym kierunku, ku lewej ręce. Mimo skupienia i zaangażowania ta karta jest odwrócona. Władek widzi ją do góry nogami. Szybko zmieniam jej położenie, wyjaśniając, że to nie ma znaczenia.

Tarociści różnie to interpretują. Starowieyska napisała, że karty nie mogą być odwrócone, gdyż symbolizowałyby świat śmierci zamiast życia i tarot wtedy nie przyniósłby żadnej sensownej odpowiedzi na nasze pytania. Znowu odnoszę wrażenie, że coś jest nie tak z talią. Jakby los nie chciał, żebym wróżyła. Dziwne, że całość oscyluje wokół sfery materialnej. Może Władek ma kłopoty finansowe albo gdzie indziej pokłada nadzieję na osiągnięcie sukcesu?

Teraz ostatnia karta.

Po ujrzeniu obrazka jakaś nieopisana siła wbija mnie w siedzenie, a źrenice łykając promienie światła, zmniejszają się do wilczych rozmiarów.

Podsumowaniem talii są Kochankowie. Karta przeciwna jest dzieciom, doszukuje się bezpłodności, usunięcia ciąży bądź poronienia.

Głównym czynnikiem wywołującego zła jest emocjonalne wahanie.

Brak podjęcia decyzji, niemożność rozwiązania zagadki bez wcześniejszego wtajemniczenia w prądy życia, w instynkt. Wszystko, co w tej symbolice przeciwstawia się cnotcie, jest o wiele atrakcyjniejsze niż prawda. Rozerwanie na części. Niewierność i różnego rodzaju komplikacje targające życiem pytającego.

Nie chcę już nic mówić, tarot robi to za mnie. Gula nerwów staje mi w gardle. Spoglądam na zegarek, w myślach błagając, aby wskazówki usytuowały się na odpowiednich cyfrach. Pospiesznie zbieram rzeczy ze stolika.

– Muszę już iść. Władek, przepraszam, nawet nie zauważyłam, kiedy minął ten czas.

– W dobrym towarzystwie czas szybko mija. Mogę cię odprowadzić na peron?

– No pewnie.

– A ułożenie kart? Uważasz, że było dobre? – pyta, podnosząc prawą brew do góry.

– Karty ogólnie były przychylne, ale to ty zadawałeś pytanie, więc

sam znasz odpowiedź.

Wstając od stolika, bierze walizkę, drugą ręką łapie moją dłoń.

Pyta, czy tak może. Zdenerwowana nie protestuję. Idziemy jak dwoje zakochanych, tylko mierzi mnie obrączka, połyskuje, odbijając słońce.

Wiem, że jestem bezpieczna, otulona anonimowością miasta i przez to pozbawiona wstydu. Moralny kaganiec został zerwany doszczętnie.

Władek przyciąga mnie do siebie i całkowicie zaskakując, całuje.

Upajam się jego śliną, coraz głębiej wchodzi językiem w moje usta.

Jedną rękę kładzie mi na biodrze, drugą gładzi twarz, odgarniając splątane włosy.

A wszystko we mnie krzyczy: chcę jeszcze! I wyje poruszone miękkością doznania: Nie przestawaj! Sterczące piersi falują pod splotem ciał. I tylko wilcza matka szepcze na ucho znany od dzieciństwa refren:

*Nie mówcie,*

*Jeżeli nie potraficie odróżnić cierpienia od bólu,*

*Smaku spadających łez o różnej porze,*

*Jeżeli nie czujecie wieszającego się serca na nitkach żył*

*w chwilach najstraszliwszych,*

*Jeżeli nie wierzycie, że krew rozpala się do czerwoności szalu*

*w płomieniach myślenia,*

*To nie mówcie,*

*Że jesteście właścicielami własnego życia.*

Wiem, że się poddam błogości nadchodzącej chwili, tylko jak  
potem spojrzeć mężowi w twarz? Czy potrafię być aż taka bezwzględna?

A może odległość zabije pożądanie? To rozwiązanie byłoby  
najdogodniejsze. Wsiadając do autobusu, jestem dygoczącą z rozkoszy

nastolatką, która czerwonymi policzkami i rozmazaną na ustach szminką pokazuje wszystkim dookoła, jaka jest szczęśliwa. Obywa się bez wzruszeń, jadę jedynie z roziskrzonymi oczami i wyuzdanymi myślami, niepewna, bardziej odmieniona i nowoczesna. Niech się dzieje, co chce, niech stracę głowę dla niego – poddaję się losowi. Takie uczucie przeżywają nieliczni.

Czy prawda jest grzechem? Czy miłość jest jedynie zauroczeniem?

Czy ja nie jestem tego warta? Przestałam być wzorem moralnym, chciałabym, żeby Władek był blisko. Czasami mam wrażenie, że życie to sen, a to, co odbywa się we śnie, jest dopiero prawdziwym życiem. Co dalej? Opuszczam miasto wiecznych świateł, które teraz ma jego twarz.

Zostawiam tu część siebie.

Przede mną siedzą dwie kobiety na oko blisko sześćdziesiątki

i cały czas dyskutują. Jedna z nich mówi:

– Ech, gdyby Krzysztof jeszcze żył, gdybym mogła cofnąć czas, pobiegnę za nim na koniec świata. Kto by przypuszczał, że straci życie? To było tak dawno. Leży na Powązkach, a ja nie zdążyłam mu wszystkiego wykrzyczeć. Lepiej żałować tego, co się zrobiło, niż tego, czego się nie zrobiło. Nigdy więcej nie popełniłam tego błędu z żadnym mężczyzną. Tylko czemu człowiek uczy się podejmować decyzje dopiero po fakcie?

Głęboko utkwiała mi w pamięci ich rozmowa. Nie powinnam podслуchiwać, ale się inaczej nie dało. Kobiety są pomarszczone, z bagażem doświadczeń, a młodsze ode mnie duchem. Życie ulatuje nam między palcami. A my? Za mało kochamy, zbyt wielu rzeczy się boimy, zbyt dużo uwagi poświęcamy temu, co jeszcze się nie wydarzyło, zamiast skupić się na tym, co jest dziś. Przemijam, a drzewo zostaje, przemijam, a ziemia dalej kwitnie, przemijam – błędzę, przemijam – mam dla kogo żyć, przemijam bez historii, przemijam bez mapy, przemijam nieświadomie, budując od nowa tożsamość. Mam wrażenie, że dusza utkana jest ze światła. Im więcej we mnie radości, tym bardziej świecę na czerwono, im mniej jej, tym coraz wyraźniej przypominam szarą kartkę papieru, w której dziurę potrafi wywiercić każdy.

Całą drogę myślę o Władku i o mężu, który jest przecież bardzo chory. Jak wyuzdana dziwka śmieję się do odbicia w szybie. Druga ja. Dzikie wcielenie pierwotnego instynktu, z twarzą rozmazaną pomiędzy uciekającymi drzewami. Wilczyca siedzi na moich kolanach, głaszcze ją pod włos. Tak lubi najbardziej. Cięży coraz mocniej, ale nie jestem w stanie zrzucić jej z nóg. Sierścią ogrzewa jak nikt dotąd, pilnuje, żebym nie uciekła z drogi przeznaczenia. Bez niej różnorodność postrzegania świata byłaby niemożliwa.

Marysię odbieram rumianą i pachnącą. Rzuca się na mnie z takim

impetem, że nie mogę pohamować łez wzruszenia. Duża, opalona, zdrowa! Moja dziewczynka. Na Wałpusz podwozi nas teściowa. Dom stoi piękny i niewzruszony, niczym kwiat na Piotrowej skale. Psy ujadają nieziemsko. Marysia klaszcze w ręczki i wchodzi im na grzbiety.

Miejsce przeznaczone dla leśnej wilczycy jest wydeptane. To znak, że przychodzi i wacha swoje terytorium. Szybko zmieniam pościel. Teraz pachnie czystością. Rzeczy suszone na słońcu mają zupełnie inny zapach niż te z domowych pomieszczeń. Nawet kiedy wyjmuję je z bieliźniarki po długim czasie, wydzielają aromat świata, pachną zdrowiem. Czuję niesamowity spokój, który burzy telefon od męża. Deklaruje, jak bardzo mnie kocha i że nie może doczekać się jutrzejszego powrotu do domu.

Tęsknię za nim. Obawiałam się, że nie wrócę już do porządku dziennego. Wmawiałam sobie, że jestem złą żoną, niegodną matką.

Dlaczego martwiłam się czymś, co jeszcze nie nastąpiło? Opanował mnie lęk przed nieznanym, jednak teraz kumuluje się we mnie radość.

Marysia bawi się swoimi zabawkami, ogląda je ze wszystkich stron. Widocznie już o niektórych zapomniała. Najlepszy sposób na nowe zabawki? Schować i wyciągnąć po tygodniu używane. Prawda znana i stara jak świat. Uśpiwszy ją, dopadam do komputera i wyskrobuję kolejny mail do Władka:

*Ja już prawie rozpakowana, chwila wytchnienia przy klawiaturze.*

*Zastanawiam się, czemu nie spotkaliśmy się wcześniej. Czuję z Tobą*

*jakąś więź. Nie wiem, jak to określić. Zastanawiam się również, dlaczego poznaliśmy się akurat teraz i jaki jest tego cel. Masz skumulowane w sobie różne światy, które dopasowują się do moich. Dużo kolegów, mężczyzn przewinęło się przez moje dotychczasowe życie, ale do żadnego z nich nie czułam „zmyślenia”. Bo my przecież jesteśmy zmyśleni. Niby razem, a jednak osobno. Może tęsknimy do tych samych światów? Nie wiem.*

*Bałam się wczorajszego spotkania. Że czar pryśnie, że nie będziemy mogli spojrzeć sobie w oczy, że rozmowa nie będzie rozmową, a jedynie przytakiwaniem i nieludzkim bełkotem. Było inaczej. Mam nadzieję, że zostawię jakiś ślad w Twoim życiu. Z niecierpliwością czekam na kolejne spotkanie. Będzie jeszcze bardziej szczere, bo już przekroczyliśmy pewną granicę. Stoimy za nią, za rozumem pożegnaniem.*

*Tulę – nielegalnie, dwulicowo*

Nie czekam, aż odpisze. Widzę, że jest dostępny. Zabieram się do kolejnego z rzędu erotyku. Pisanie w moim notesie coraz lepiej mi idzie. Skoro nie mogę tego przeżywać w rzeczywistości, to niech moja wyobraźnia skorzysta. Skąd się wzięło to bezbożne tworzenie?



Chcę krzyknąć, a nie mogę. Dusząc się, wybieram taką formę samoobrony. Piszę, żeby nie zwariować, żeby uwolnić się od nerwicy. Freud miał rację chyba pod każdym względem. Pisarz jest dzieckiem zamkniętym w wymyślonym świecie fantazji. Kiedy dziecko się bawi, zachowuje się jak pisarz i tworzy własną rzeczywistość. Człowiek dorosły przestaje się bawić, rezygnuje z tego procesu na rzecz czegoś innego: pracy, obowiązków, domu. Jednak raz zaznanej przyjemności trudno się całkowicie wyrzec. Dorastając, przestajemy pokładać ufność w przedmiotach, ale zamiast się bawić, zaczynamy fantazjować. To o tym mówimy, że pewne zdarzenia są jak sny na jawie.

Dzieci bawią się, nie kryjąc tego. Dojrzały człowiek fantazjuje, bo się wstydzi. Dzieckiem kieruje pragnienie bycia dorosłym, a już od pełnoletnich osób oczekuje się, że przestaną być jak dzieci. Paradoks życia. Fantazjowanie? Jest dziecinne, niedozwolone, naganne. Dlaczego obecnie co druga osoba chodzi do psychologa albo psychoterapeuty? Głównym elementem wszelakich terapii duszy jest wyznawanie przed lekarzem swoich fantazji, snów i marzeń. Eureka! Gdyby każdy człowiek wiedział, jak wyleczyć się z problemów dnia powszedniego, gdyby chciał zrozumieć siebie! Przecież to proste jak spuszczenie wody w klozecie! Zająć się własnymi potrzebami i marzyć. Stąd bierze się zdrowe tworzywo istnienia. A pragnienia są przeróżne, w zależności od płci. Te ambicjonalne mają najczęściej mężczyźni, a erotyczne – kobiety.

Ta druga sfera dominuje dlatego, że całą naszą ambicję pochłania dążenie do miłości. Nie unikniemy tego, tak zaprogramowała nas natura, możemy jedynie starać się przenieść ją na inne niż dom pole zainteresowań. Kiedy fantazje nasilają się, a nie mają ujścia w hobby (Dlaczego mężczyźni uwielbiają sporty ekstremalne? Bo ich odprężają i się wtedy wyładowują! Czują się po nich jak kobiety po najlepszym zabiegu spa), ludzie popadają w choroby psychiczne i nerwice. Jeżeli sens naszych marzeń sennych jest całkowicie niezrozumiały, to znaczy, że w nocy budzą się w nas pragnienia, które ukrywamy nawet przed samymi sobą. W dzień są one stłumione i zepchnięte w podświadomość.

O, wielki Zygmuncie z niemieckim rodowodem, daj się lubić, ulecz ludzkość! Im więcej czytam, tym jestem głupsza, bo zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele prawd do odkrycia jest jeszcze przede mną. Gdybym nie czytała, umarłabym za życia. Ile takich osób chodzi po świecie? Miliony!

Raniutko przychodzi sąsiad, aby złożyć sprawozdanie dotyczące leśnego psa. Już wiem, że codziennie wieczorem zakrada się, aby się najeść, i ucieka. Dziś ja przejmę rolę karmicielki. Szybciutko włączam komputer i sprawdzam wiadomości. Władek nie zawodzi, zresztą jak zawsze. Mail z wczoraj:

*Jaśminko!*

*Dzisiejszej Ciebie długo nie zapomnę. Uwierz, że chciałbym Cię żegnać całą wieczność. Gdy tak patrzyłem na Ciebie, przypominałem sobie, jaką jesteś cholernie atrakcyjną kobietą. Piękną i inteligentną. Twój czar nie prysł, a rozbłysł jedynie. Czarowna jesteś piekielnie. Nie zapominaj o mnie, odzywaj się. Przytulam najmocniej, jak tylko mogę. To wszystko takie niepełne. Ale gdy sobie pomyślę, jak by to było, gdyby zdarzyło się naprawdę, wydaje mi się, że banda motyli rozwaliliby nas od środka. Nie wiem, czy byłbym w stanie to znieść. Nie bez powodu ktoś łączył rozkosz seksualną ze śmiercią. Za dużo myślę, zbyt mocno czuję. Jaki to ma piekielnie realny sens. To nie jest złe, to nie jest grzeszne, to tajemnica, która w nas drzemie. Wszystko układa się w jedno. Cała układanka, coraz mniej zmyślona.*

*Władek*

Odpowiadam natychmiast, podsycając rozmowę na czacie:

*– Ja piękna? Władek, dajże spokój! Jestem umordowana tą Zosią przeprowadzką. Całkiem nieźle wyglądam, jak jestem wyspana i wypoczęta, a tak to tylko okruchy po mojej dawnej urodzie pielęgnuję,*

*bo już mi nic innego nie pozostało. Ale dziękuję, miłe to bardzo. Dawno nie słuchałam komplementów. Uwierz. Dziś teściowie przywożą mi męża, postanowiliśmy, że nie będę pchała się do szpitala z dzieckiem. Nie wiem, czy będę wieczorem na Facebooku, ale się postaram. Zaczynam ciężki okres, bo za kilka dni już pierwszy września, więc mam masę papierów do wypełnienia, radę pedagogiczną na głowie, no i dom, który będę musiała teraz sama odgruzować. Joachim musi się wyleczyć, przez kilka miesięcy nie będzie mógł chodzić, a ja będę toczyć w sercu walkę ze sobą. Nie dzwoń do mnie i nie wysyłaj SMS-ów. Proszę, uszanuj to. Nasz jedyny kontakt obecnie to komputer, OK? Nie chcę, żeby przez przypadek to wszystko ujrzało światło dzienne, a zależy mi na relacji z Tobą. Nie wiem, jak będę zachowywała się w stosunku do męża, przecież zrobiliśmy coś, czego nie powinniśmy. Chcemy w tym trwać, a nie możemy. Nie umiem już nie myśleć o Tobie, rozganasz mrok. Haiku poranne dla Ciebie:*

*Popruło się życie*

*na troje*

*Zdążam zaparzyć ulubioną herbatę, gdy już otrzymuję odpowiedź:*

*– Współczuję Ci. Chciałbym pomóc, ale nie mam jak. Może chociaż kawy Ci zrobię? Razem ją zrobmy i wypijmy wirtualnie. Chcesz? Jeśli chodzi o tę walkę, to zawsze jest o co walczyć. Każdy z nas ma swoją prywatną niepodległość i jest sens walczyć o nią, zmagać się. Dużo Ci o tym pisałem, ale żeby pozostać sobą, trzeba najpierw dostać po głowie, spalić się ze wstydu i psychicznie zamordować. Nie zamęczam Cię swoimi zmartwieniami, bo własnych masz dosyć, jednak wiedz, że jestem blisko. Naprawdę czuję Ciebie i chcę pomóc. Może wytrzymam z tym telefonem, ale jak się napiję, nie ręczę za siebie. Rozmazuje się rzeczywistość, w której Ciebie brak.*

Rozmawiamy długo. Pochłania cały mój wolny czas, który powinnam poświęcić na coś pożyteczniejszego. Włączam małej bajki tylko po to, aby nasycić się nim dłużej i mieć chwilę spokoju. Herbatę odstawiam na bok, teraz wspólnie przyrządzamy kawę i spożywamy nad klawiaturą. Chce połączyć się ze mną przez wideoczat, ale nie jestem na to gotowa. W mój mózg butami wbija się mąż. W końcu rozłączamy się na trzy, cztery, bo każda inna forma nie jest skuteczna.

Jak zwykle zaczynam sprzątać, to jest najlepsze na wszelkie dolegliwości. Wtedy wydaje mi się, że mam nad czymś kontrolę, chociaż nad brudem. U mnie za oknem wszędzie drzewa, u niego lampy i neony.

Otoczona błogą ciszą i bezgraniczną pieśczołą czworonogów, jestem  
w swoim raju.

Zbliża

się

godzina

powrotu

Joachima.

Wyczekuję

go

z utęsknieniem, chodząc od okna do okna. To, co przeżyłam

z Władkiem,

wydaje

się

w tym

momencie

absurdalnym

nieporozumieniem i wymyśloną historią. Co chwila w ręce wcieram

kokosowy krem. Ulubiony. Nie wiem, czy jest skuteczny – pewnie są

lepsze i droższe – ale ten pieści zmysły zapachem. Osoby palące

w chwili odpalenia papierosa doznają błogiego relaksu. Ja wybieram

inną formę uzależnienia. Pielęgnację dłoni. Na paznokcie nie mam

czasu, ale gdy wmasuję krem w skórę, to czuję, jak uwalniają się duże

pokłady endorfin.

Przyjeżdżają punktualnie. Wybiegam naprzeciw i rzucam się  
mężowi na szyję, głęboko wtulając w znane ramiona. Jestem ostrożna,  
gdyż stoi na jednej nodze, która i tak strasznie spuchła. Pomagamy wejść  
Joachimowi do domu. Od razu kładzie się na łóżku. Kilka poduszek  
wsuwam pod jego chorą stopę, tak aby cały czas znajdowała się w górze.  
Marysia natychmiast gramoli się tacie na brzuch. Najpiękniejszy widok  
świata. Ojciec bawiący się z dzieckiem. Każda matka doznaje błogiego  
zadowolenia, kiedy widzi taki obrazek w swoim domu.

Tak bardzo go kocham, tyle już przeżyliśmy burz i nawałnic,  
a mimo to trwamy nieprzerwanie. Jestem dwulicową suką. Nie wiem,  
czemu to robię.

Muszę przygotować jakiś posiłek. Oczywiście nie mam nic  
pożywnego na obiad. Na moich półkach zawsze znajdzie się coś  
słodkiego, ale o lodówce zapominam. Współczuję ludziom, którzy żyją  
dla jedzenia, a nie jedzą po to, aby żyć. Umyślam, żeby zrobić kielbasę  
w piwie! Mięso wkładam do wrzącego trunku i gotuję około piętnastu  
minut. Po wyjęciu kielbasy do wywaru dodaję jedną dużą cebulę i gotuję  
przez kolejne dziesięć minut. Otrzymany sos przecieram z razowym  
chlebem, następnie dodaję łyżeczkę śmietany (lub dwie, według smaku)  
i sok z wyciśniętej cytryny. Takim bulionem polewam pokrojoną  
kielbasę i podaję z ziemniakami, które posypuję świeżym koperkiem. Do

tego zsiadłe mleko prosto od pana Mietka. Całe serce wkładam w tę prostą potrawę, a jej specyficzny smak mam na czubku języka. Joachim, przyzwyczajony do głodowych porcji podawanych w szpitalu, nie może wyjść z zachwytu.

– Jak ja się za wami stęskniłem, za tobą i małą. Jesteście takie piękne i moje. Tylko moje. Jak Bóg chce upomnieć człowieka, to zsyła na niego chorobę. W pewnych wypadkach oczywiście – dodaje szybko.  
– Tyle miałem czasu na przemyślenia. Jesteście dla mnie najważniejsze.

Mocno wzruszają mnie jego słowa. Może dobrze, że zdarzył się ten wypadek i Joachim przemyślał kilka spraw? A ja? Kłamca, kłamca, kłamca. On nigdy by mnie nie zdradził. Po posiłku prosi o pomoc w przestawieniu komputera. Upieram się, żeby zostawił go w takim położeniu, w jakim jest. Usprawiedliwiam się masą papierów, które muszę wypełnić na jutrzejszą radę. Jednak mąż w ogóle nie słucha. Musi oglądać filmy w komputerze, no bo co innego ma do roboty? Przecież nie może się ruszać. Jak będę chciała skorzystać, mam sobie dostawić krzeselko z drugiej strony, przekręcić monitor i już. Oblewa mnie gorący pot, a wzburzenie sięga zenitu, ale nie mogę dać po sobie poznać, że coś jest nie tak. Do tej pory nigdy nie toczyliśmy walki o to urządzenie. Nie miałabym o nic pretensji, gdyby mąż nie był tak agresywny i stanowczy w swoim postanowieniu. Jak despotyczny tyran: „Ma być tak i już”, „Bo ja chcę”, „Jestem poszkodowany, więc mogę”. Moje potrzeby w ogóle



się nie liczą. Jak każda kobieta, która za wszelką cenę chce uniknąć kłótni, kapituluję. Nie mogę uwierzyć, że w tak krótkim czasie jego nastrój diametralnie się zmienia.

Stoliczek z monitorem stawiam przy łóżku. Podłączeniem całej masy kabli zajmuje się mąż, a ja pod płachtą uśmiechów przysługujących nabożnym pielęgniarkom usługuję mu jak mogę.

Zaczyna oglądać. Wychodzę z sypialni zaniepokojona, bo dociera do mnie, że tak będzie wyglądało następne pół roku. Siadam w kuchni, żeby uspokoić nerwy i odpocząć. Wtedy słyszę:

– Jaśka, przynieś mi wodę!

Zanoszę. Po pół godzinie docierają do mnie kolejne polecenia:

– Jaśka, mamy coś słodkiego? Przynieś inną poduszkę, bo ta jest wymięta. Możesz znaleźć moją ładowarkę do telefonu? A widziałaś gdzie słuchawki od kompa? Zrób mi kanapki. Jaśka! Maryśka płacze, nie słyszysz? Idź do niej. Jaśka, wieczorem wpadnie Darek, zrób nam coś do jedzenia. Jaśka, przynieś mi sól, jak zwykle nie doprawiałaś. Gdzie jest moja druga kula? Muszę iść do łazienki! Gdzie są papiery od samochodu? Niedługo trzeba zrobić przegląd. Uprałaś moje koszulki? Znowu nie mam się w co przebrać! Jaśka, chodź na chwilę!

Zbliża się wieczór, a ja latam od jednego pokoju do drugiego, od Marysi do męża i z powrotem. Kiedy dom cichnie, a panowie zajmują się sobą, siadam na ławce zgarbiona ze zmęczenia. W krzakach coś się porusza. Przyszła!

Chwytam kielbasę z obiadu i rzucam w znany kąt. Cichutko podchodzę i patrzę, jak moja wilczyca je. Dostojna i niewzruszona. Przybrała na wadze, a sierść połyskuje w zachodzącym słońcu. Sprawia, że uśmiech gości na mojej twarzy. Stoję od niej w odległości piętnastu metrów. Przykucam, żeby być na jej poziomie. Nie chcę podziwiać jej z góry. Równie szybko jak się pojawiła, tak znika, nie przejmując się moim towarzystwem. Znowu siadam na ławce przy ognisku. Kijem rozgrzebuję popiół. Dobiegają mnie śmiechy z pokoju, w którym pali się światło. Mój mąż i jego kolega. Łzy płyną ze zmęczenia i samotności.

Mam kryzys, wiem, że nie ma ludzi idealnych. Niestety ja stworzyłam sobie idealną wizję świata. Wiem, jak chciałabym, żeby było, ale nie zawsze tak wychodzi. Jeżeli coś się mija z tą utopią, to jest cholernie przykro. Nie wiem, co zrobić, jestem w obcym świecie i czuję się odosobniona. Człowiek jest sam całe życie – doszłam już do takiego wniosku, mając kilkanaście lat. To zdanie utkwilo w mojej głowie i co jakiś czas powraca, jak wilczyca. Małżeństwo to trudna instytucja.

Wszyscy o tym uprzedzają, jednak każdemu się wydaje, że z nim będzie inaczej. I masz ci los, zawsze jest tak samo. Człowiek łatwo zapomina

o podstawie, od której wszystko się zaczęło. Było pięknie, romantycznie, tajemniczo. A może raczej w głowach nam się przewracało od manifestów nawiedzonych feministek i chciałybyśmy zjeść ciastko i mieć ciastko?

Idę do chłopaków. Przecież ja też mam im wiele do opowiedzenia.

Ludzie muszą przebywać razem, żeby zacieśniać więzi. Uciekanie do obcych pokoi nie przynosi żadnego efektu. Siadam przy nich i zaczynam opowiadać o chłopakach Zośki i Warszawie. Po kilku minutach przestają słuchać, zajęci grą na konsoli. Darek obsługuje pedały, a Joachim trzyma kierownicę, mają ubaw po pachy. Ja na fotelu, znowu samotna.

Obserwuję ich pochłoniętych grą i jestem przerażona sytuacją.

– Jaśminko, kochanie, przynieś nam jeszcze kilka kanapeczek, proszę – odzywa się małżonek z miną kota błagającego o litość. – Tylko nie zapomnij o majonezie – dodaje.

Kiedy smaruję masłem pajdy chleba w kuchni, opanowuje mnie stoicki spokój. Nie czuję zażenowania tą sytuacją. Przecież mam Władka.

– Biedny mężu, sam robisz sobie krzywdę – głośno myślę.

– Dziękuję, kochana jesteś! – mówi zachwycony, gdy zanoszę

kanapki, i szybko chwyta za konsolę.

Wychodzę w poszukiwaniu telefonu, a może raczej mężczyzny?

Wybijam na klawiaturze znany na pamięć numer.

– Witaj, piękna! Łamiesz zasady? Przecież mieliśmy unikać telefonów, sama tak chciałaś – z ironicznym przekąsem mówi Władek. Chropowatość jego głosu sprawia, że unoszę się na chwilę na różowej chmurce wprost do nieba. Czuję ciepło, zrozumienie, bezpieczeństwo i miłość. Moją miłość do niego.

– Smutno mi się zrobiło, więc dzwonię. Tęsknię za tobą, wiesz? Bardzo. – Nie wstydzę się tych słów, może dlatego, że jest daleko i nie muszę patrzeć mu w twarz.

– Przecież masz dziś już męża, zajmij się nim odpowiednio, przyda się trochę rozrywki po takiej przerwie.

– Daj spokój, nie dobijaj. Zamiast mnie do łóżka, to kolegę na gry komputerowe zaprosił. Ja jestem tylko od robienia kanapek.

– No wiesz, powiedziałbym, że mi przykro, ale byłoby to kłamstwem. Takie sytuacje sprawiają, że moje notowania rosną. – Po jego głosie wyczuwam, że czekał na ten sygnał. – Pamiętaj, że masz

mnie. Choć jestem daleko, to wiedz, że chętnie ogrzałbym twoje  
zmarznięte serce. A mąż? No cóż, cieszy mnie to, że cię ignoruje. Zasilaj  
się tym naszym „zmyśleniem” i obiecaj mi, że będziesz dzwoniła  
z każdym problemem, a ja w miarę możliwości cię wysłucham.  
Zaczynamy i kończymy się w swoich snach, Jaśmino. Nie przestawaj  
marzyć.

Jak bardzo chciałam usłyszeć takie słowa, tylko ja wiem!

– Obiecuję! Obiecuję! Przytul mnie dziś wieczorem mocno.

Pomyśl, jak moglibyśmy się spotkać. Nie mam teraz dostępu do  
komputera, chyba muszę kupić nowy, bo ta sytuacja mnie paraliżuje.

Piszemy tę naszą poezję codziennie, a ja chciałabym więcej. Władek,  
masz dwa telefony, w tym jeden służbowy. Jak będę mogła, to będę  
dzwoniła na służbowy.

– Przecież wiesz, że możesz mi ufać. Nie chcę rozbić twojego  
ułożonego życia, nie o to tu chodzi. Przysięgam, że nie zadzwonię i nic  
nie napiszę, ale musisz mi coś obiecać.

– Co takiego?

– Że będziesz pisała do mnie SMS-y. Ja nie odpiszę, ale muszę  
codziennie wiedzieć, że o mnie myślisz.

– Obiecuję! – wykrzykuje z niespotykaną radością.

– Muszę kończyć, żona idzie. Trzymaj się, pa! – Trzask, nieostrożnie wciśnięty klawisz, pauza, długa cisza.

Po tej rozmowie czuję się, jakbym latała bez piór. Ten układ wydaje mi się idealny. Mam się przed kim wypowiadać, ale nikt mnie nie ocenia i nie rozgrzesza, a do tego czuję, że mój intelekt i ciało są pożądane na każdym kroku. Obojętność męża potęguje nadchodzącą fascynację, mózg otwiera się na różnorodne bodźce. Odbieram całe otoczenie pełniej i mocniej. Boję się tego rozdwojenia.

I co? I los nieproszony pcha mnie ku Władkowi. Potrafi rozbudzić we mnie to, co uśpione. Jest jak bohater książki *Uwodziciel* Zbyszka Nienackiego. Biada tym mężom, którzy widzą w swoich kobietach tylko i wyłącznie żony. W końcu znajdzie się intruz, który pokaże im, jaką mają siłę władania. Będą Papieżycami, wilczycami. Boskim wcieleniem Nefretete, ognistą kulą, Damą Kameliową, dziewczyną z okładki „Playboya”. Tylko jeden mężczyzna na świecie zdjął ze mnie te wszystkie maski, aby dojrzeć sedno. Tylko jeden rozmową przeistoczył mnie w pełną wyniosłości i dumy kobietę. Tyle lat w uśpieniu, a przecież każdy dzień należy do mnie, jest w moich rękach!

Uwodzenie jak rajski wąż oplata kolana w kierunku podbrzusza,  
wędruje nieznaną ścieżką słów. Rozkoszne podekscytowanie pozwala na  
wyciągnięcie pistoletu i oddanie celnych strzałów. Nigdy się nie poddam  
i nie przestanę walczyć o siebie! Niektórym kobietom mężczyźni  
zabierają samoświadomość. A co najistotniejsze, to oni stają się ich  
światopoglądem. Walczyłam z tym, dlatego pojawili się wilcza matka  
i on. Jak dobrze być sobą w otchłani podwójnych dusz!

Moje samopoczucie zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni, gdy  
wchodząc do domu, mijam się na ganku z Darkiem. Dziwnie na mnie  
patrzy. Stał chyba zbyt daleko, aby mógł coś usłyszeć? Rozmawiamy  
chwilę  
o niczym,  
wymieniamy  
uśmiechy  
i się  
rozchodzimy.

Niewiarygodne, że najmniej do powiedzenia mamy ludziom  
z najbliższego otoczenia.

Znowu w przypiływie radości chcę porozmawiać z Joachimem, ale  
już śpi. Patrzę na niego, stojąc w drzwiach. Pochrapuje w łóżku. Nie  
zdjął nawet noszonych od rana skarpet. Wokół panuje chaos  
elektronicznych urządzeń, których nazw nawet nie pamiętam. Okruchy

chleba na pościeli. Nie lubię tego. Jak mam się tu położyć? Zresztą nie ma dla mnie miejsca. Kiedy Joachima nie było, miałam mniej do sprzątnia. Niestety, tak wygląda rzeczywistość. Będąc sama, potrafię ułożyć każdy szczegół dnia i wieczorem nie mam czego sprzątać, więc zajmuję się sobą. Mam dość sił, aby przygotować się do rady pedagogicznej, ale patrząc na zgliszcza jego osobowości, odechciewa mi się

wszystkiego.

Będę  
impro wizowała,  
trudno.

Całe  
życie  
przygotowywałam dokładnie papierologię, więc jeśli raz odpuszczę, nic się nie stanie.

Przygotowuję kąpiel. Muszę się oczyścić. Do gorącej wody wrzucam cztery opakowania sody i pół kilograma soli. Kiedy już wszystko się rozpuszcza, zanurzam się w tym wywarze z kieliszkiem wina w dłoni. Uwielbiam takie chwile. Celebрую je niczym największą świętość. Ja i cisza. Ja i nic więcej, ja i myśli. Słyszę, jak po każdym łyku wino zaczyna bulgotać w żołądku. Mimochodem spoglądam na swoje łono, ale przysłania je piana, potem obiektem mojego zainteresowania stają się uda, są jędrne i opalone. Wynurzam z wody



łydki i podziwiam ich smukłość. Wszystko wydaje się takie, jak być  
powinno. Nie jestem idealnie szczupła, ale moim atutem jest jędrność  
umysłu,  
która  
przeradza  
się  
w piękno  
ciała.

Największym  
dobrodziejstwem kobiety są witalność, ruchliwość, inteligencja.

Wzmoczone zaangażowanie w dbanie o siebie. Nie mam w szafie tysięcy  
najmodniejszych ubrań, ale to, co kupuję, dokładnie selekcjonuję.

Najczęściej wybieram rzeczy w kilku odcieniach tego samego koloru.

Beże, szarości, pastele, w mojej garderobie pojawia się również biel. Po  
jakimś czasie wszystko, po co sięgam, pasuje do siebie. Sukienki do  
bluzek, spodnie do swetrów. Mam koleżanki nauczycielki, które  
hipnotyzują swoją skromnością. Nie noszą wyszukanych fryzur i złotych  
kolii na szyjach, ale patrząc w ich oczy, widać, że mają szacunek dla  
siebie i swoich ciał. Nie każda z nich jest w idealnym związku  
z idealnym partnerem, jednak dzięki temu, że dbają o swój wygląd  
i sprawność fizyczną, nie opuszcza ich pogoda ducha.

Dobrze mi. Tak po prostu rozpływam się w gorącej wodzie. Dawno  
nie kąpałam się w jeziorze, muszę i o ten pierwiastek zjednoczenia

z naturą zadbać. Zamykam oczy, kolejny łyk chłodnego wina masuje podniebienie. Po wszystkim mam wrażenie, że cały brud świata zmyłam właśnie w tamtej chwili. Ścielę sobie w dużym pokoju, nie mam ochoty grzęznąć w drobinkach zeschniętego chleba. Wychodzę jeszcze na ganek. Księżyc mieni się na granatowym niebie. Gdzieniegdzie poprzez krzaki i trzcinę widzę, jak połyskuje w jeziorze. Jestem boginką tego miejsca. Wiatr pieści moją skórę, powodując dreszcze zimna, a ja chcę zobaczyć w mroku coś, czego nie ma. Jakiś fantastyczny stwór mógłby przyjść i pogłaskać mnie po głowie, na przykład elf trzepoczący skrzydłami, wsłuchujący się w magiczny śpiew rusałek. Marzę, żeby zjednoczyć się z bajkowym, wyimaginowanym światem. Przejść po dnie butelki, zobaczyć, co kryje się w mrocznym odbiciu lustra. Wysuwam kły jak wilczyca i wkraczam w ciemną noc. W świat, który pokazuje tylko część prawdy. Naszą przestrzeń oddechu.

A w tym wszystkim Władek. Dużo myśli o nim. Oddycham nim.

Gdybym mogła oddzielić od świata realnego Papieżycę i Władka, a pozostawić w tej prozie jedynie mamę Jaśminę, byłoby pięknie, ale ja ot, po prostu, musiałam się zakochać w żonatym facecie. Powinniśmy istnieć w całkiem innym świecie: prywatnym legalnym, prawdziwym. A tak się dusimy, zagryzamy wargi i nie chcemy nawet myśleć o tym, co by się stało, gdybyśmy dali się ponieść „zmyśleniu”. Chociaż może i wiemy? I dlatego szepczemy w nasze monitory. Czasem robimy to perwersyjnie cicho i nielegalnie.

Wstaję skoro świt, nie mogę spać nieprzygotowana do pracy. To

nauczycielska

choroba,

a może

raczej

choroba

tych,

którym

odpowiedzialność za to, co czynią, przysłania wszystko inne. Zaczynam

drukować stare plany wynikowe, które zamierzam oddać. Dyrektorka się

nie zorientuje.

– Zgaś monitor, nie mogę spać – z oburzeniem odzywa się

małżonek.

– Jadę dziś do pracy, muszę wydrukować dokumentację. Idź do

innego pokoju – odpowiadam, uderzając kartkami o biurko.

– Nie mogę chodzić, zapomniałaś?

– Ale możesz się chyba przemieszczać? Słuchaj, mnie dziś

wieczorem będzie potrzebny komputer, za trzy dni zaczynam szkołę,

więc lepiej, żebyś wybrał inny pokój do odpoczynku.

– O nie! Mam tu wszystkie swoje gry i konsole, nie będę tego przenosić, poza tym sama dobrze wiesz, że nasze łóżko ma najlepszy materac, a ja nigdzie indziej nie zasnę – warczy śpiący królewicz.

– No to trzeba coś z tym zrobić. Przecież nie zawałę pracy tylko dlatego, że ty musisz grać na komputerze albo że cię światło razi. Wczoraj już nie chciałam nic mówić, ale nawet nie zapytałeś mnie o zdanie, czy Darek może do nas przyjść.

– Mam cię pytać o zdanie, czy mój najlepszy kolega może przyjść do mojego domu? – Ze zdziwienia podnosi się na łóżku, poprawiając poduszki pod nogami.

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi. Miałam się przygotować do pracy i nici z tego wyszły, bo ty grałeś. Nawet nie zapytałeś, czy będzie mi potrzebny komputer, a potem zamelinowaliście się w sypialni. Nie chciałam już wam zwracać uwagi, ale musisz liczyć się również z moimi potrzebami. Rozumiem, że jest ci teraz ciężko, że chcesz czymś się zająć, ale mamy tylko jeden komputer, więc musimy się nim dzielić.

– Jakoś nigdy nie mieliśmy z tym problemu.

– No bo do tej pory nie miałaś połamanej nogi! To chyba

oczywiste. Normalnie już byłbyś w warsztacie, a ja zajęłabym się papierami.

– A, czyli o to ci chodzi: że jestem nierobem, tak? – złośliwie intonując, podsumowuje. – Znowu masz jakieś pretensje. Każdy mógł się połamać, nawet ty, więc nie obarczaj mnie za wszystko winą!

– Joachim, ale ja nic takiego nie powiedziałam! Nie chciałam cię urazić. Jesteś chory, musisz leżeć, chcesz się czymś zająć, więc sobie graj, ale słuchaj, co do ciebie mówię, bo nie zawalę pracy tylko dlatego, że nie mam dostępu do komputera. Jest inne rozwiązanie: musimy kupić jeszcze jeden. Ten, który mamy, i tak nie jest w pełni sprawny.

– Chyba zwariowałaś! Skąd weźmiesz na to pieniądze? Przecież teraz tylko ty zarabiasz. Darek wczoraj powiedział, że będzie dawał mi jakiś procent z obrotu, ale muszą zatrudnić nowego chłopaka, bo się nie wyrabiają. W takiej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na nowy wydatek.

– Weźmiemy z oszczędności, trudno. Po to ludzie mają oszczędności, żeby z nich korzystać.

– Bez sensu. Jak będziesz chciała robić te swoje papierzyska, to mi powiedz, przeniosę się gdzie indziej.

– Joachim, ale ja w nocy też będę korzystać z komputera, bo zaczęłam pisać opowiadania, wiesz, tak w ramach hobby. Mam zamiar je doszlifować i wysłać na konkurs literacki, więc trochę czasu mi to zajmie.

– Co? Jakie opowiadania? No, rzeczywiście nie masz czym się zajmować... Dziewczyno, jest tyle do roboty w domu, a ty książki będziesz pisać? To ja już się nie dziwię, dlaczego ciągle marudzisz, że jest bałagan – wybucha gromkim śmiechem.

Mam wrażenie, że cały dom trzęsie się w posadach, a wraz z Joachimem śmieją się bogowie, krzycząc mi do ucha: „Patrzcie no, kurka stroszy piórka, ha, ha, ha, do garów, kobieto, do pielienia, ha, ha, ha...”. Joachim nie może się opanować, a ja zrównuję się kolorem twarzy ze ścianą. Blednę z przerażenia i wściekłości. Dlaczego on się ze mnie śmieje? Mam prawo do marzeń, przecież lepiej robić cokolwiek, niż tępo gapić się w telewizor.

Dalsza rozmowa prowadzi donikąd. Nie ma najmniejszego sensu.

On swoje, ja swoje. Kto ma rację? Nie wiem. Może wczoraj powinnam zwrócić mu uwagę... Ale wtedy też byłoby gadanie, że dopiero co wrócił, a ja znowu się czepiam. Nie potrafię się z nim porozumieć. Jest mi potrzebny komputer i już.

Zabieram dziecko, ogarniam zwierzęta, zażywam pyłek kwiatowy – przecież jestem czarownicą, do tego seksowną, więc muszę odżywiać się jak na czarownicę przystało. Nie bacząc na kaśliwe uwagi męża, jadę do pracy.

Na radzie pedagogicznej jak zwykle panuje jedna wielka szamotanina i poruszenie. Niedługo przyjdzie czas wybrać nową dyrekcję. Dziewczyny kłócą się o pierdoły, jakby własnego życia nie miały. Jedna ma więcej godzin pracy niż inna i już jest gadanie za plecami. Przecież cały świat jest tak zbudowany, że jak masz chody, tam gdzie trzeba, to od razu dostajesz więcej nadgodzin i pieniędzy. Czasami mam wrażenie, że młodzież jest dojrzalsza od nauczycieli. Młodzi mają cele, ideały, walczą o kogoś lub o coś. Dyrekcji do końca roku zostały jakieś resztki z funduszy unijnych, więc wymyśliła, że spożytkujemy je na wycieczki dla klas maturalnych. Jakbym miała mało problemów, jeszcze to mi doszło. Z kim ja dziecko zostawię? A kto będzie latał przy mężu?

Biorę głęboki oddech i gryzę się w język. Wszystkie koleżanki marudzą, usłyszawszy o tym pomysle. Nikt nie bierze pod uwagę tego, że my na taką wycieczkę poświęcamy swój prywatny czas, za który nikt nam dodatkowo nie zapłaci. Poza tym nie śpimy w nocy, bo maturzyści mają różne dziwne pomysły. Rodzice są tak roszczeniowi, że oczekują

wyrozumiałości tylko z naszej strony. Oczywiście narzekają, gdy nie ma wycieczek, i nawet piszą skargi, ale nie daj Boże, żeby jakiś chłopaczek po wypiciu piwa, zgrywając się przed publicznością, wlaź na latarnię albo słup telegraficzny i spadając, połamał nogi. Wtedy już są pretensje do nas, że nie upilnowaliśmy dzieciaka. A jak mamy upilnować? No jak? Zamknąć w pokoju na klucz i zabić okna dechami? Kiedyś sprawdzałyśmy każdy plecak z osobna, czy młodzież nie wzięła ze sobą alkoholu. Po powrocie usłyszałyśmy skargę o „naruszeniu prywatności”.

W ciężę też można zajść na wycieczce. Panowie potrafią po balkonach chodzić, byle zaspokoić swoją chuć. A za to już można nawet pójść do więzienia. Są sytuacje, kiedy potrzebna jest ingerencja.

Przykład dziewczynki z III c. Wychowawczyni, niczym Sherlock Holmes, doszła, skąd wzięły się u tej uczennicy marazm i początki depresji. Okazało się, że chłopiec z klasy ją molestował i obrzucał wulgarnymi słowami. Kiedy jego ojciec został poproszony na rozmowę, nauczycielka usłyszała od niego: „Jak suka nie da, to pies nie weźmie. Rozumie pani?”. I jak z takim palantem rozmawiać? Współczuję jego żonie. Zamiast dojrzeć wady w wychowaniu dziecka, upatruje się winy w nauczycielu.

Dziękuję bardzo za szkolne wycieczki. Ale jak już mam koniecznie wybrać termin, to lepiej teraz, gdy jest jeszcze ciepło. Gwoli wyjaśnień: uwielbiam młodych ludzi. Kiedy jeżdżę ze swoim kołem teatralnym,



wiem, z kim mam do czynienia, bo w zajęcia pozalekcyjne inwestują jedynie te dzieciaki, które mają większe ambicje niż przeciętni uczniowie. Dlatego im ufam. Czuć wtedy klimat ogniska, gitary, rozmów. Tworzą się nawet przyjaźnie. Niezastąpione chwile dla podstarzałej nauczycielki, taki eliksir młodości. I niepotrzebne wówczas żadne kremy na zmarszczki, wystarczy upajać się mądrym pięknem drzemiącym w nastolatkach. Kiedyś wszyscy byliśmy młodzi i o coś ważnego nam w życiu chodziło. Teraz ideały leżą na bruku. Dlaczego? Piramida Masłowa? Brak wigoru? Strach przed ludźmi? Brutalność świata?

Kiedy odbieram Marysię od teściów, w dalszym ciągu rozmyślam o swoich młodzińczych fascynacjach. Zostały chyba całkowicie pogrzebane. Robię zakupy, parkuję samochód, myję usraną pupę dziecka, wstawiam pranie, sprzątam po Buni, bo najadła się trawy i zwróciła na schody, gotuję obiad, karmię dziecko, podaję mężowi posiłek, zmywam naczynia, nastawiam zupę, bawię się z córką – w tym czasie trzy razy w akcie hysterii kładzie się na podłodze – podlewam rośliny. Myjąc na dobranoc Marysię, zdążam ogarnąć (bo nie nazwę tego sprzątnięciem) łazienkę i wysłuchać przez telefon lamentów Zosi. Mała na koniec wysypuje pięć kilogramów proszku na podłogę. Gdy już leży w łóżeczku, niepostrzeżenie wychodzę z pokoju, myśląc, że śpi, ale po dziesięciu minutach dobiega mnie krzyk męża:

– Marysia zwymiotowała!

Będąc przekonaną, że udusiła się we własnych rzygowinach, wpadam do pokoju. Odbiło się jej na tyle skutecznie, że po raz drugi muszę ją umyć. Szoruję więc jej zęby (dwuletniemu dziecku!), szybko czyszczę materac, myję podłogę, zmieniam pościel i się przebieram, bo już zdążyłam pobrudzić się wymiocinami. Po trzydziestu minutach wiercenia mała zasypia, więc wstawiam kolejne pranie. Padam na fotel. Nagle słyszę:

– Jaśka! Zrób mi kolację!

I co? Nie zrobię?

Wstaję, robię, podaję.

– Joachim, nie mam siły. Idź do innego pokoju, muszę spojrzeć na konspekty lekcji. Jestem nieprzygotowana do szkoły – mówię, ocierając pot z czoła.

– Daj spokój. O tej godzinie będziesz pracować? Idź lepiej spać.

– Nie zdążę z materiałami, oddaj mi klawiaturę.

– No dobra, masz. – Z wielkim wyrzutem podaje mi plastikowe cacko, zakopuje się w pościeli i odwraca plecami.

– Joachim, nie dam rady tak dłużej. Musimy kupić nowy komputer, bo się nie rozerwiemy. Wtedy kiedy ja mam odrobinę czasu, ty zajmujesz ten pokój i jest problem. Musimy kupić laptop. Co o tym myślisz? – pytam ścian, ponieważ mążonek jedynie pochrapuje.

Gapię się tępo w monitor. Nie widzę w nim nic oprócz migających kropeczek. Nie mam siły ani na Władka, ani na męża, ani na dziecko, ani na życie, dopóki nie czytam:

*Wiem jak wygląda kartka papieru*

*Którą odwracasz bez końca*

*Gapię się wciąż po raz ostatni*

*Wylączam i włączam*

*Zamknij się wreszcie*

*Bo oczu nie mogę oderwać*

*Odmierzam odległość od słowa do słowa*

*Dewiacyjnie pocieram gdy piszesz*

*Jedyny kontakt*

*Spacja – linijką lub tempomatem*

*Serca nie starcza by znieść taką prędkość*

*Tym bardziej poskromić*

*Dostojnie i zabójczo zerkam*

*Na oślep w tę urobioną przestrzeń*

*Maczamy w niej palce ciepłe czekaniem*

*Staram wyciszyć Ciebie w sobie*

*Żebyś nie niosła powodów*

*I tak wkroczyły czasem w materialną nicość*

*Gdy end wypowiedz tam zawrócę*

*Gdzie parzy słońce zmyślane*

*Naprawdę jesteś tylko Ty i wiersze*

*Przecież to żadna poezja a trafia*

*Spełnieniem w każdej linijce*

*Nieważne jak nazwą: wpisem postem statusem*

*Przewracasz mój wszechświat na głowę*

*Mimo wszystko zamknij się*

*Krzyżykiem w prawym rogu*

*Bo mówią że nierealność jest trująca*

*Przestajesz myśleć jeść istnieć*

*Brzmi jak litania gdy jedno słowo*

*Wertuję by znaczyć zaczęło*

*Odmieniam przez wszystkie znane przypadki*

*Układam jedyny scenariusz*

*Wychodzi telenowela*

*O więcej nie proszę składając w rękach*

*Mieszcząc na małej kartce*

*Którą oglądam mantrycznie w ciemności*

*Najlepiej z brzmiących imię*

*Zamknij się*

*W mojej skrzywionej pamięci*

*Zgarnij do siebie*



Pierwszy dzwonek po wakacjach. Dzieciaki opalone, uśmiechnięte, zadowolone z życia. Nie wiedzą, co je czeka, kiedy zastanawiają się nad wyborem przedmiotów maturalnych, studiów. Najpiękniejszy wiek. Dziewczęta rozkwitają jak pączki i stają się kobietami. Kocham ich wesołe buzie i głowy pełne pomysłów. Wbrew pozorom młodzież poznała już smak życia, ciężki ojców, skargi matek, a mimo to ma w sobie odwagę, którą ja pragnęłabym osiąść na nowo. Choć powinni, nie muszą być jeszcze odpowiedzialni. Chciałabym ich przestrzec przed życiem, ale jak? Nie da się. Póki nie doświadczą go na własnej skórze, nie przyspieszę biegu wydarzeń. Pierwsze, co im daję, to rozpiszę z wytycznymi maturalnymi, spis lektur, zagadnienia, terminy przyszłych klasówek. Jedna z uczennic ma na sobie przepiękny T-shirt z wizerunkiem wilka. Od razu przykuwa moją uwagę.

– Aniu, a skąd ty wytrzasnęłaś taką piękną bluzkę? – pytam z aprobatą.

– Sama ją zrobiłam. W wakacje jeździłam do Olsztyna na kurs szwalniczy, pokazali mi tam, jak się odbija rysunki na materiale. Dużo z tym roboty – ta jako jedyna mi wyszła.

– Jest świetna, naprawdę! I sama namalowałaś tego wilka?

– Tak.

– W takim razie gratuluję, robi piorunujące wrażenie.

Dochodzę do wniosku, że mnie już by się nie chciało bawić w takie rzeczy, chociaż niejedną poszwę na pościel uszyłam. Opowiadam młodzieży o planowanej wycieczce, którą chcę odbyć jak najszybciej. Ryczą z zadowolenia, omal nie przewracając ławek. Padają różne propozycje, największym uznaniem cieszą się jednak biwak i rejs. To drugie od razu odrzucam, mimo że w klasie jest aż dwóch sterników. Boję się z nimi płynąć. W pewnym momencie Ania podnosi rękę do góry i cichutko zabiera głos:

– A może moglibyśmy... to znaczy bardziej mówię w swoim imieniu, bo mnie to interesuje... nie wiem jak klasę... ale może zabrałaby nas pani na wycieczkę do pani Leny? Cenię ją jako malarkę i artystkę, zresztą połowa klasy zna jej twórczość. Bardzo chciałabym zobaczyć jej warsztat. Może udzieliłaby nam jakichś lekcji? Poza tym biwak nad Bugiem mógłby okazać się rajem. Sama pani dobrze wie, że to jedyna okazja, żeby tam pojechać.

– Aniu, to nie jest dobry pomysł. Lena to prawdziwa artystka, potrzebuje spokoju i natchnienia, a chmara nastolatków z pewnością wybiłaby ją z rytmu. Poza tym nie ma szans, żeby u niej zamieszkać. Na dziki biwak nie wyrażam zgody. A nawet gdyby Lena się zgodziła, to co

ja powiem pani dyrektor? Że gdzie jedziemy? Do mojej koleżanki?

Mogłabym dostać naganę albo wylecieć ze szkoły. Nie ma mowy.

Potrzebni są nam jeszcze inni opiekunowie.

Moja odpowiedź sprawia, że dzieciaki spuszczaają głowy. Są smutne i zawiedzione. Nagle z tyłu sali dobiega:

– Kurwa, zawsze tak jest, że jak już chcemy zobaczyć coś interesującego, coś, co nas kręci, to, kurwa, nigdy się nie zgadzają, tylko ciągną nas po jakichś jebanych Wilczych Szańcach!

– Kto to powiedział?! – warczę oburzona chamstwem.

W odpowiedzi słyszę tylko ciszę. – Jeszcze raz pytam, kto to powiedział!

– Wszyscy siedzą jak zamurowani. Skrobią długopisami po ławkach albo miętola okładki książek. Jestem czerwona z wściekłości.

Nagle wstaje Robert.

– Ja to powiedziałem, proszę pani.

– Wiesz, że nie znoszę braku szacunku, tym bardziej dla osób starszych. Za plecami gadaj sobie, co chcesz, ale u mnie na lekcji absolutnie nie zgadzam się na takie traktowanie! Zrozumiałeś?!

– Nie, proszę pani, właśnie nic nie rozumiem. Gdybym normalnie to powiedział, bez przekleństw, na pewno by pani nie usłyszała albo raczej nie chciała usłyszeć. Wszyscy panią lubimy i nie boimy się z panią rozmawiać, jednak nie zmienia to faktu, że każdy inny nauczyciel nas olewa. Nauczyciele mają swoje racje, ale my jesteśmy z zupełnie innego pokolenia niż oni. Kto ma nas czymś zainteresować? Rodzice? Oni wiecznie nie mają czasu albo są zmęczeni. Wszędzie trąbią, że z młodzieżą nie można się dogadać, ale jak już ktoś z nas coś powie, pokaże, że się czymś interesuje, to od razu jest spychany na margines. Dla większości z nas szkolne wycieczki są jedynymi, na jakie jeździmy. Pani nawet nie spróbowała porozmawiać z dyrektorką! Żeby czegoś chcieć, trzeba się o to najpierw postarać. To gdzie w końcu pojedziemy? Do Ostrej Bramy? Szlakiem Orlich Gniazd? A może Oświęcim? Mamy swoje marzenia i chcemy je spełniać. Ania się odważyła zapytać, a pani od razu mówi, że nie wypali, że się nie uda. A może właśnie się uda? A panią kiedyś ktoś czymś zainteresował? Dlaczego pani uczy polskiego, a nie maluje obrazów?

Wykrzykuje na mnie całą swoją złość. Nie mam za co go besztuć.

Zadał mi proste pytania. W poprawny i kulturalny sposób. W klasie wszyscy na chwilę przestają oddychać, słysząc tylko bzyczenie muchy pod sufitem. (Dlaczego muchy krążą zawsze pod lampami? Najczęściej kreśląc koła w powietrzu?). Robert wytrąca mnie z równowagi. Sekundy mijają, a ja nic nie odpowiadam, czuję natomiast, że mój autorytet jako

wychowawcy i nauczyciela maleje. Teraz ja krążę, ale nad podłogą, pod ławkami, wiruję pomiędzy butami uczniów. Atmosferę rozładowuje

Łukasz:

– Pewnie zapowie na jutro klajbę\*\*\*\*\*.

Cała klasa wybucha śmiechem. A mnie niestety ktoś wreszcie coś uświadamia. Podchodzę do tablicy, siadam za biurkiem i milczę.

Zauważają, że coś jest nie tak. Bez mojej interwencji cichną. Teraz dwadzieścia siedem dusz, łącznie ze mną, czeka na ścięcie. Nasze głowy i ręce ściśnięte w dybach, nie mogą się poruszać. Czekamy na przyjście kata, żeby rozciął tę parną ciemność.

– No dobrze, to jakie macie propozycje nienaruszające prywatności pani Leny? – odzywam się. – Skorzystamy z jej lekcji, które postaram się załatwić, ale muszę przedstawić konkretny plan wycieczki pani dyrektor.

– Szkołka jeździecka! – proponuje od razu Ania. – Przecież w Janowie Podlaskim jest stadnina koni, zresztą najstynniejsza w całej Polsce. Weźmiemy przewodnika, może lekcje jazdy i zajdziemy do pani Leny. Na pewno można się tam gdzieś przekimać. Przecież to nie Warszawa.

Zaskakuje mnie bystrością swojego umysłu. Mnie nie chce się myśleć i kombinować. Pozostali od razu podchwytyją temat, którym są całkowicie zafascynowani. Z tej drogi nie ma ucieczki.

– Dobrze. Pójdę do pani dyrektor, a wy jak chcecie jechać, szukajcie wśród nauczycieli i rodziców jeszcze dwóch albo trzech opiekunów. Ja mam na jutro pracę domową, wy też, więc proszę się wywiązać.

Chcę jeszcze porozmawiać z Robertem przy całej klasie, bo wyszło na to, że miał rację. Ja tu jestem wychowawcą i powinnam przynajmniej wstawić mu uwagę, lecz w porę rozbrzmiewa dzwonek. Wybiegają jak młode żrebaki na polanę. Pozostaje po nich tylko kurz. To moja ostatnia lekcja. W głowie jak echo dzwonu odbija się miarowo złota myśl: „A panią kiedyś ktoś czymś zainteresował? Dlaczego pani uczy polskiego, a nie maluje obrazów?”.

Migawka: nastoletnia ja chwytam za pióro i wiedziona tajemnym instynktem kreślę coś niestrudzenie na kartce papieru. Nazajutrz zanoszę do redakcji i oddaję w ręce portiera. Na kopercie widnieje napis „Na konkurs”. Po tygodniu z gazety dowiaduję się, że autor o pseudonimie Burczyk zdobył pierwszą nagrodę w kategorii proza literacka za pracę na temat miłosnego maja. Jurorzy jednogłośnie zdecydowali o tym miejscu na podium, gdyż autor miał najciekawszy pomysł na przedstawienie

uczucia zakochania w perspektywie wybuchu kosmicznego.

Chcę krzyczeć z radości, że to ja, ja, ja! Ale do głowy napływają myśli, co powiedzą inni. Przecież się uzewnętrzniłam, obnażyłam swoje serce. Opanowuje mnie strach przed upublicznieniem, ale jestem spokojna, przecież to tylko pseudonim, nikt nie skrytykuje, nikt nie wyśmiej. Nikt i nic...

Zanim dojeżdżam do domu, wstępuję do sklepu ze sprzętem elektronicznym. Mówię sprzedawcy, że potrzebuję niewielkiego komputera przenośnego, służącego jedynie do wysyłania maili i pisania książek. Wybieram notebooka. Chcę iść po gotówkę, ale mężczyzna przekonuje mnie do rat bez odsetek. Korzystam z propozycji. Spłata będzie trwała osiem miesięcy. Moja szkoła – moja praca, moje pieniądze – moja rata. Po drodze zajeżdżam do szwagra i proszę go o wgranie wszystkich niezbędnych programów. Zajmuje mu to godzinę.

Uświadamia mnie, że aby komputer odbierał sygnał, muszę zakupić ruter (nie miałam o tym zielonego pojęcia, nawet moi uczniowie by to wiedzieli), więc bez chwili namysłu umawiam się telefonicznie z odpowiednią firmą od razu na dziś. Gdy wracam do domu, nie dziwi mnie, że mąż śpi przed telewizorem. Monterzy szybko się zjawiają, załatwiają sprawę i po bólu. Kasa to nie wszystko. Trzeba jeszcze mieć głowę na karku i chcieć podejmować decyzje. Jestem z siebie dumna, choć ten wydatek nie był uzgodniony, a powinien. Trudno.

Uprzątam kuchnię, rozkładam na środku kocyk dziecku i taszcze wszystkie zabawki, jakie ma. Wysypuję klocki i parząc ziółka, patrzę, jak Marysia się bawi. Potem zasiadam do nowego komputera i zaczynam korygować błędy w swoich erotykach. Jedno z moich ulubionych czasopism ogłosiło konkurs na opowiadania o dowolnej tematyce, do tego uczestnik ma obowiązek dołączyć konspekt autorskiej książki, w której główne skrzypce będą grać podróz i namiętność. Gatunek dowolny. Nagrodą jest wydanie własnej publikacji w ciągu roku od podpisania umowy. Redaguję teksty i podpisuję się pod nimi całą sobą, porzucając anonimowość. Klikam magiczny przycisk „enter”. Poszło. Sprawdzam, czy mąż dalej śpi, i wyskrobuję mail do Władka. Tęskni mi się do niego, więc uderzam w zabójczo pożądlive tony.

*Hej!*

*Możesz napisać do mnie list? Swoje dwa wiersze, te dla mnie?*

*Moje najbardziej ulubione. Jeden przepisałam i noszę w portfelu. Do mojego domu bezpośrednio nie wysyłaj, nie chcę kusić losu. Zrozum, pragnę delektować się Tobą jak najdłużej. Piszesz „zgnij do siebie”, aż mi się ciepło robi, ale nie wiem, czy będę miała kiedyś tyle odwagi, aby Cię zgnąć, mieć, wchłonąć, być... nie wiem. Uwierz mi, że pragnę tego, może to jest wyimaginowane, ale przecież już się widzieliśmy i czar*



*nie prysł! Żebyś źle nie zrozumiał: gdybym dziś się dowiedziała, że został mi tydzień życia, zrobiłabym to bez najmniejszego wahania. Chciałabym, wierz mi! Z drugiej strony, mam rodzinę i powinnam być dla niej jak filar, na którym opierają się miłość i zaufanie. Dwie kobiety są we mnie, dwie jakże różne. Kocham je tak samo!*

*Działasz na mnie jak lep na muchy. Kleję się do Ciebie jak do miodu – spijać bym go chciała z Twoich ust. Obudziła się we mnie Papieżyca. Mam nadzieję, że to wszystko samo się rozwiąże. Trwajmy w tym. Takich mężczyzn jak Ty nie ma na świecie wielu. Kobiety to wyczuwają. Zawsze chce się mieć to, czego jest mało. Za mało złota, diamentów, bursztynów. Myślisz, że gdyby klejnoty leżały na ziemi jak kamienie, to byłyby tak drogocenne? Z ludźmi jest podobnie. Fajni faceci od razu są zajęci, a jak kobieta z przeszłością i mężczyzna po przejściach się spotkają, też ich ciągnie do tego, czego im w dotychczasowym życiu brakowało. Tobie być może brakowało czułości. Takiej lubieżnej, zmysłowej i do tego pruderyjnej kobiety jak w wierszach Wojaczka. Kropkę nad „i” postawił sentyment do dzieciństwa, identyczny wręcz.*

*Czekam na maila od Ciebie, dłuży mi się czas, ale dziś nie zasnę, dopóki nie odpiszesz. Nie wiem, jak Cię sklasyfikować: przyjaciel, kochanek, zagrożenie? Czuję, że Cię chcę, chcę być w Twoim umyśle,*

*penetrować mózg i serce, rozplynąć się w Tobie. Nie wiem, czy powyżej  
pisałam o seksie, czy o rozmowie – nie potrafię tego określić. Jesteś moją  
intuicją, wszystko o mnie wiesz. Całuję krwiożerczo, w gryzam się wręcz  
w Ciebie! Pisz! Aha, kupiłam dziś notebook (ciekawe, co na to  
Joachim?), no i wysłałam w końcu coś na konkurs prozatorski. A to  
wszystko dzięki Tobie, bo obudziłaś Śpiącą Królową. Po wyjściu  
z trumny była już inna, była Papieżycą i miała moc kobiety, a nie  
pacholęcia niewinnego.*

*Całuję*

Po kilku minutach dostaję wiadomość.

*Pisz? Więc piszę. Chciałbym, żeby to był ostatni tydzień świata.*

*Żeby nie żałować, żeby się odważyć. Marzę o Tobie, o tym idealnym  
połączeniu. Nawet nie o seks tutaj chodzi, ale o bliskość, zrozumienie  
i pełną akceptację. Ja pragnę! Nie wiem czego, ale wiem, że z Tobą  
i przy Tobie. Najpiękniejsze w kobietach jest to, kiedy mężczyzna może  
obserwować, że dzięki niemu przestają być dobrze wychowane. Cieszę  
się z Twoich małych sukcesów, bo są one spoiwem kawałków duszy.*

*Całuję gorąco, lubieżnie i nielegalnie wkradam się w Twoje myśli nocą.*

*Za dużo słodzenia, muszę coś zostawić na jutro, mam sieczkę w pracy,*

*a ty, luba ma, pisz!*

Mam ochotę na dalszą pieśczętę słów, ale Marysia zaczyna już dawać o sobie znać. Nie lubię tego wyłączania wtyczki, wyrzucania z matriksa, walenia obuchem w łeb. Klik i już go nie ma. Nic nie ma. Jak każda kura domowa zabieram się do obiadu. O, jak mi się nie chce odmierzać znowu czasu od kotleta do pomidorowej z ryżem. Gdy mnie życie do tego zmusza, to nie cierpię gotować, a kiedy mam odrobinę czasu i wolny umysł, aromaty mieszają się, przenikają, a dom pięknieje w oczach. To dzięki kobietom jest przytulnie i miło.

Co jakiś czas chodzę do Joachima sprawdzać, czy żyje. Nie rusza go nic: ani moje walenie garnkami, ani pisk i wrzask dziecka.

Wieczorem przysypiam na chwilę z Marysią w łóżku, a kiedy wstaję, on dalej śpi, na powrót więc zasiadam do komputera. Wymieniamy się z Władkiem czułością, gdy nagle do sypialni wchodzi mąż.

W okamgnieniu, nie dając po sobie nic poznać, klikam na „wyloguj”, jednak notebook cały czas mieli. Bezlitosne kółeczko obraca się bez końca, a Joachim podchodzi coraz bliżej.

– Co to jest? – Przecierając zaspane oczy, poprawia rękę na kuli.

Z każdym jego krokiem temperatura mojego ciała wzrasta. Magiczny pierścień nadal obraca się w jedną stronę.

– Dostałam w pracy trzynastkę i postanowiłam kupić komputer.

Nie jesteśmy w stanie korzystać z jednego. – Już jest na wyciągnięcie ręki, kiedy kółeczko znika. Uff...

Joachim z niedowierzaniem chwyta laptop w ręce i ogląda.

– Ale jak to? Ile na to wydałaś? Przecież to jest jakieś małe gównno, a nie komputer. Dlaczego nie uzgodniłaś tego ze mną?

– Jeżeli chcesz ze mną normalnie rozmawiać, to, proszę cię, zmień

ton, odnosz się do mnie z szacunkiem i nie przeklinaj. – Nie mogę pojąć, skąd w ostatnich dniach wzięła się u niego ta złość. Ta niechęć do mnie i całego świata.

– „Gówno” to nie przekleństwo – odpowiada stanowczo. – Jutro pójdziesz i go oddasz, nie będziemy marnować pieniędzy na twoje zachcianki.

– Chyba zwariowałaś! Nie oddam go! Poza tym weź pod uwagę to, że ja do tego domu też przynoszę pieniądze i mam prawo je wydawać. Tłumaczyłam ci przez ostatnie dwa dni, że jest mi potrzebny laptop do pracy, ale w ogóle nie słuchałeś tego, co do ciebie mówię. Gdyby Marysia chodziła do przedszkola i zaczęła z niego przynosić takie słownictwo jak twoje, to też uważałbyś, że to nie przekleństwo? – powoli podnoszę głos.

– Nie odwracaj kota ogonem. Zdenerwowałaś mnie, dlatego tak powiedziałem. Nigdy niczego ci nie zabraniałem, ale teraz po prostu przegięłaś. Jaśka, a jak ja bym sobie kupił strój na motor za tysiąc pięćset złotych i nic ci o tym nie powiedział? Jakbyś się czuła?

– Ale mnie komputer jest potrzebny do pracy, a nie do jakiejś jazdy! – wykrzykuję poirytowana.

– Gdybym miał odpowiednie ubranie, nie leżałbym teraz

z połamaną nogą!

– Gdybyś dał sobie z tym spokój, to w ogóle nie byłoby problemu.

Jazdą na motorze nie zarobisz na życie! A ja nie mam na czym pisać

konspektów, poza tym dobrze wiesz, że piszę książkę, więc daj mi już

spokój!

Zwijam cały sprzęt i wychodząc z pokoju, omal nie przewracam

się, zawadziwszy o kabel ładowarki.

– Kurwa, ale z ciebie idiotka! Z kim ja się ożeniłem? Puścisz nas

z torbami, jak tak dalej pójdzie! – krzyczy cały czerwony na twarzy,

machając rękami.

Zatrzymuję się przy drzwiach, nie mogę uwierzyć w to, co

usłyszałam. Łzy kręcą się w oczach, a w sercu dźwięczą wmawiane od

dzieciństwa słowa. Odwracam się i patrząc w jego pałające wściekłością

oczy, mówię:

– Żyj tak, aby nikt przez ciebie nie płakał.

Wychodzę. Joachim trzaska drzwiami, a ja zaszywam się tam,

gdzie moje miejsce, czyli w kuchni. Jeszcze przez chwilę pochlipuję, łzy

jak wielkie, smutne ziarna grochu odbijają się od drewnianego stołu.

Dlaczego takich tekstów nie słyszałam przed ślubem? Co sprawia, że ludzie zaczynają się wyzywać? Nie czują do siebie żadnego szacunku, a przecież właśnie szacunek powinno się w małżeństwie pielęgnować najbardziej. Jak można żyć pod jednym dachem z kimś, jednocześnie go znieważając? Czuję, że w moim małżeństwie został przekroczony Rubikon. Teraz, kiedy pojawi się kolejny problem, będę bała się mówić, co tak naprawdę myślę, z obawy, że znowu zostanę zwymyślana. Jak rozmawiać z mężem, do którego nie ma się zaufania? Jak robić to przy małym dziecku? Mam zagryzać zęby i udawać, że wszystko jest w porządku? Akceptować to, że on nie zna innego słownictwa na określenie stanu swoich uczuć? A jak zacznie w ten sposób wysławiać się przy Marysi? Po pewnym czasie dojdzie do tego, że zaczniemy się bić albo rzucać w siebie nożami. On nakręca mnie, ja jego i cała maszyna się napędza. Nie może tak być! Nie zniosę tego dłużej! Chociażby dlatego, że jestem kobietą, należy mi się szacunek! No i matką jego dziecka!

*No pasarán! No pasarán!* – krzyczą we mnie rozwścieczone matki wszystkich wojennych dzieci od Guerniki po francuskie winnice. *No pasarán!* Nikt nie będzie umniejszał mojego poczucia wartości! *No pasarán!* To nie przejdzie. Nie przejdą wyzwiska, nie pozwolę, by stały się codziennością, nie wkradną się, aby zbezczęścić spokój mojego domu! Żołnierze brutalnych słów coraz częściej zabierają do niewoli

czystość i szacunek. Nie wpuszczę ich tu, choćby kopano pode mną tunele od Alcatraz po szczycieński areszt. *No pasarán!* – krzyczy dusza zdeterminowana utrzymać swoją pozycję w walce. Brzydzę się tym!

Im więcej zła, tym mocniej w nie obrastam, a potem gniję w tym mule i już nawet nie słyszę własnych próśb. Byliśmy oboje zdenerwowani, wszystko można sobie wybaczyć. Jeżeli jednak mój świat dobrych emocji zostanie zatruty przez walczących na słowa, podniosę białą flagę, aby uratować swój makrokosmos.

Rozmawiam chwilę z Władkiem, od kilku dni jest na każde moje zawołanie. Podobno u niego w szale złości rzuca się talerzami. Rozbawił mnie tym i uspokoił. Na pocieszenie przesłał link do piosenki Katarzyny Groniec *Sztuczny miód* z tekstem Agnieszki Osieckiej – znowu zaczynam płakać, ale tym razem są to łzy oczyszczenia. Nalewam kieliszek cytrynówki, zamykam oczy i poddaję się melodii:

*Możesz pić z byle kim, byle gdzie!*

*W byle Krym, w byle Rzym – proszę Cię!*

*Mam co palić, nie muszę wciąż jeść, nie potrzeba mi...*



*Zresztą... Pal sześć!*

*Możesz nie dać mi grosza na dom, tylko proszę Cię,*

*proszę – zmień ton!*

*Możesz bredzić... Pleść bzdury... Androny...*

*Tylko błagam Cię: nie mów, nie mów,*

*tylko nie mów do mnie jak do żony*

*Bo to wszystko nie tak, nie tak, nie tak,*

*no, a jeśli, jeżeli nie tak, nie tak,*

*nie to, no to po co nam było w to gnać,*

*tamto rwać, iść pod prąd, pod wiatr,*

*gniazdo więc niby ptak, no – jeżeli ma być nie tak?*

*Słowa jak sztuczny miód, ersac, cholera, nie życie,*

*miał być raj, miał być cud i ćwiartka na popicie,*

*a to wszystko nie tak, nie tak, nie to, a jeżeli, a jeśli – nie to,*

*no to o co, u diabła, nam szło?*

*Możesz iść, dokąd chcesz, wiesz, gdzie drzwi,*

*w byle ziąb, w byle deszcz, w byle sny...*

*Ja na kłamstwie się znam tak jak ty,*

*sztucznym miodem karmieni – to my.*

*Znamy lata trwoźniejsze niż dzwon.*

*Tylko proszę – ten ton... ten ton.*

*Wygadujcie, panowie, androny, tylko błagam*

*– nie mówcie, nie mówcie już do nas jak do żony.*

*Bo to wszystko nie tak, nie tak, nie tak,*

*a jeżeli, a jeśli – nie to, no to o co, u diabła, nam szło?*

*... O szkło?*

Wiem, że jako ta mądrzejsza powinnam iść na górę i spokojnie porozmawiać z Joachimem, nie wierzę, że śpi po tym wszystkim. Jednak nie chce mi się. Wolę zostać i upić się z Władkiem. A może to właśnie ten cybermężczyzna jest jak sztuczny miód? Wilczyca ogrzewa zmarznięte stopy, a ja telefonuję do Leny.

– No cześć, co tak późno dzwonisz? Ja właśnie kończę dzieło mojego życia, ech, jak dobrze mieć spokój – stwierdza.

– A ja właśnie w sprawie zakłócenia tego porządku. Mam wycieczkę klasową do stadniny. Dzieciaki się uparły. Marzą, żeby zobaczyć twoją pracownię i szykują się na kilka lekcji rysunku.

– Toś wymyśliła! Ale dobra, czego się nie robi dla przyjaciół! Powiedz tylko kiedy, bo ostatnio mam napięty grafik. Za trzy tygodnie jestem wolna. Pasuje?

– Pewnie, że pasuje! Lena, jesteś kochana, oni by mnie chyba ukamienowali, gdybym tego nie załatwiła. Przyjedziemy na weekend, od piątku do niedzieli.

– To, koleżanko, raczej nie odpoczniesz. A tak w ogóle, jak stoi sprawa zagadki twojego dziadka i księgi?

– Nie wiem. Nic nie zrobiłam w tym kierunku, nie mam ostatnio głowy do takich pierdół. Joachim mnie wkurza, nie mogę z nim wytrzymać.

– Ha, ha, ha! – śmieje się żarliwie. – Znajdź sobie kochanka, to jest remedium na wszystko. Im bardziej się zaangażujesz, tym z dnia na dzień będziesz mocniej nadskakiwać ślubnemu, żeby zagłuszyć sumienie.

– Bardzo śmieszne, wiesz? Tylko gdzie go znaleźć? – kłamię jak z nut, przerażona. Wychodzi mi to coraz lepiej.

– Rozejrzyj się dookoła. Otwórz się na ludzi. Dobra, muszę kończyć, bo farba mi gęstnieje. Jesteśmy umówione, pa!

– Pa!

Rzeczywiście, nie miała mi czego doradzić. Snuję się po kuchni jak kot po dachu. Nie mam co ze sobą zrobić. Wyglądam przez okno. Jabłoń jeszcze zielona, ale ułamana gałąź nie wypuściła pędów. Uschła. Księżyc oświetla dom i podwórko niczym nocna latarnia. Zagląda do wnętrza mieszkania. Marzę, jak za dawnych lat, żeby zobaczyć na jego tle lecącą czarownicę na miotle. Mogłaby być ta z *Muminków* – babcia Alicji. Nagle przypominam sobie o wilczycy. Przecież nie dałam jej nic do zjedzenia! Wybudzam się z marzeń lekko przerażona. Ona mi zaufała, a ja jak młoda matka w roztargnieniu zapomniałam o swym nowo narodzonym dziecku.

Chwytam kawał szynki z lodówki i nieco odurzona alkoholem wybiegam z domu. Podchodząc do zagajnika, nie widzę jej. Pewnie znudzona i wygłodniała uciekła. Zaczynam mówić sama do siebie, mając nadzieję, że mnie usłyszy:

– Wilczyco, chodź do mnie, nie opuściłam cię, po prostu zapomniałam. Dzikusko moja, wróć.

Wylatuje mi z głowy klótnia z mężem, teraz liczy się tylko ona.

Nie mogę sobie darować tego zaniedbania. Wilczyca może już do mnie nie wrócić!

Nagle rozchylają się krzewy i dostojnie, jak na prawdziwą królową przystało, wychodzi ona. Ma przekrwione oczy, język jej zwisa, musiała biec, skoro łąpczywie chwyta powietrze. Rzucam jej mięso. Wącha, ale nie zjada. Stoi w miejscu, nieporuszona.

– Może chce ci się pić? – pytam, ale ona milczy. – Poczekaj na mnie, przyniosę ci, nie uciekaj.

Nalewam do starej doniczki wody z węża ogrodowego i jej zanoszę. Nie spuszcza ze mnie wzroku. Jest spragniona, zachłannie wypija wszystko, aż do ostatniej kropli. Robi mi się zimno. Gdy mówię, że muszę już iść, zaczyna się nerwowo kręcić i piszczeć. Nie wiem, o co jej chodzi. Co chwila znika w zaroślach, by znowu się pojawić. I to popiskiwanie. Może chce mi coś pokazać? Robię dwa kroki w jej kierunku, potem kolejne. Gdy jestem tuż przy niej, nagle znika. Odgarniam ręką gałęzie. Stoi za nimi i mnie woła. Idę za nią.

Pod stopami czuję mech i leśne igliwie. Od jeziora zalatuje zgnilizną. Gdzieś niedaleko drzewa muszą płakać, skoro wyczuwam żywicę. Mój własny demiurg przestał pytać – wokół jest cisza. Wilczyca zaczyna coraz szybciej stąpać, jakby się gdzieś spieszyła. Cały czas odwraca pysk, sprawdzając, czy jestem. Czasami tracę ją z oczu. Las przestaje być zielony, staje się czarny jak węgiel, tylko gdzieś pomiędzy drzewami w świetle księżyca połyskuje biały ogon. Biegnę na oślep.

Boję się, żeby w coś nie uderzyć, ale z precyzją leśnego zwierza omijam wszystkie przeszkody. Czuję się jak wariatka, dziki strach opanowuje moją duszę. Włosy szarpane gałęziami łaskoczą twarz, a ja gnam co tchu, byle jej nie zgubić. Ale co to? Tam, w oddali. Jakaś kobieta? Ktoś tu idzie? Nie, chyba się zatrzymała. Stoi i patrzy.

Nieruchomieję, a wtedy ona znika. Teraz najważniejsze, żeby mnie nie zobaczyła. Kto to, u diabła, jest? Czarownica? Jakiś pomyleniec? Przecież jestem niedaleko mojego domu. Czemu jej wcześniej nie widziałam? O Boże! Co to za dźwięk? Skowyt? Wilki wyją?! One tu naprawdę żyją, w nielicznych stadach, ale są! Mam niedobre przeczucia, muszę uciekać. Niech wilczyca tu zostanie, jej i tak nic nie zrobią.

Ale jakaś siła każe mi tu zostać i chłonąć zapach lasu. Uwielbiam czuć się niepewnie, jakbym była częścią jakiejś gry. Idę i nie wiem, co znajdę za zakrętem. Może mnie dobry Pan zabije? Może napotkam złota wór? A może to los? Czasami nie ma się wpływu na to, co nas spotyka. Po prostu tak ma być. Jeżeli mogę spojrzeć sobie w lustrze prosto w oczy bez wstydu i lęku, to znaczy, że nie mam nic do zarzucenia własnemu ja. Tak miało być.

Ona znów tam stoi. Ta dziwna kobieta. Boję się. Naprawdę się boję. Jednak nie uciekam. Czuję neodpartą pokusę obserwacji jej naturalnego, dzikiego instynktu, wariactwa, obłądu. Ma w sobie siłę,



która napędza galaktyki do przemierzania lat świetlnych, i uśmiech  
Kobiety Lasu. Widać, że jest szczęśliwa. Kiedyś spalono by ją na stosie.  
A ona? Wariatka jeszcze tańczy. Jak w piosence. Podziwiając jej opalone  
lico, ciemne długie włosy (nie wiem, jaki ma kolor oczu, bo nie dane jest  
mi stać z nią twarzą w twarz), niemal słyszę ten tekst: „Taką to by na  
stos, na co jej marny los, dajcie, chłopcy, ten kagańczyk, warkocz jej  
płonie już, dookoła złoty kurz, a wariatka jeszcze tańczy”\*\*\*\*\*.

Jak dobrze mi w tym chaosie namiętnych leśnych zawirowań  
duszy. Nie mówię nic, do nikogo, nie ma samochodów, gwizdów,  
hałasu, jestem tylko JA! Tu, wraz z wiejską wariatką, mogę zapytać  
siebie, kim jestem. Na co żyć? Czuję zapach spoconych wilczych skór.  
Może pragną jej braterstwa? Może ona jest ich orędownikiem i jedynym  
zapomnieniem? Nie wiem. Napotkam kiedyś rozwiązanie tej zagadki.  
Jestem tego pewna, tylko muszę chcieć! Najważniejsze to nie poddać się  
i robić swoje. Na los nie mamy wpływu, na swój umysł – owszem!

Nadal ją obserwuję. Coś w dole porusza krzewy. Trzask łamanych  
gałęzi przyprawia mnie o ciarki na skórze. Idą! Całą watahą! Wyją!  
Hélčne Grimaud pisała, że wraz z końcem starych wieków, w których  
wierzono w tajemnicze postaci takie jak nimfy i jednorożce, ludzie  
zamknęli ostatnie drzwi raju i wyrzucili do nich klucz. Odeszły od nas...  
Jedynie przeklęte wilki zostały i przy świetle księżyca starają się  
przywołać je na powrót. Pewnie widzą w tej wariatce swoje bóstwo.

Zbliżają się. Są piękne! Niesamowite! Podążają do kobiety. Widać, że już kiedyś się spotkały. Obwąchują ją. Sprawdzają, czy to ta sama.

Dziewczyna klęka, siada na trawie. Łaszą się do niej tylko dwa osobniki, reszta czeka. Ona głaszcze je po twardej sierści, głęboko patrząc im w oczy. Ciekawe, co to oznacza.

Te zwierzęta na ogół boją się ludzi, mogą zrobić krzywdę w chwili zagrożenia. To, co widzę, jest niesamowite. Takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę, tak jest tylko w bajkach! Moja dobra gwiazda świeci nade mną, jestem nasycona spokojem. Dobrze mi tu, w tym ciemniejszym, szarzielonym lesie. Przed oczami mam widok niczym z powieści *fantasy*, ale jakoś mnie to nie dziwi. Wariatka ma przy lewym uchu długą czerwoną bliznę. Zwierzęta liżą to miejsce... może ją leczą? Jeszcze raz ona i stado patrzą na siebie, po czym odchodzą. Każde w swoim kierunku. Miesiąc temu nie uwierzyłabym w to wszystko, ale teraz? Wilczyca znowu stoi przy mnie. Liże łydki i kroczy ze mną, prowadząc w odwrotną stronę. Przed płotem znika, czmycha w kierunku jeziora.

Takie sytuacje przywracają mi chęć do życia, odradzają jako kobietę. Wtedy wiem, o czym myślę, czego naprawdę pragnę. Dopiero teraz rozumiem, że dokonałam tego, o czym mówiła Clarissa Pinkola

Estés:

zostać

przy

irracjonalnych

stworzeniach

to

jakby

zaaklimatyzować się wśród potężnych dzikich mocy kobiecej psychiki.

Z wielkim spokojem serca idę spać. Już mnie nic nie dziwi, już nie.

Rano przygotowuję na kolanie konspekt wycieczki i próbuję

przeanalizować, czy to, co mnie wczoraj spotkało, nie było przypadkiem

snem. Zawożę Marysię do teściów i jadę do szkoły. Dyrekcja, o dziwo,

pozytywnie rozpatruje nasz wniosek i w dziewięćdziesięciu procentach

finansuje

wycieczkę

z unijnych

funduszy.

Dzieciaki

załatwiły

opiekunów.

Zostaję

nawet

pochwalona

za

zaangażowanie

i zorganizowanie wszystkiego w trybie natychmiastowym (a przecież to nie był mój pomysł!). Im wcześniej, tym lepiej, bo nastolatki mają matury i muszą się uczyć, a pieniądze wydać trzeba. Wszystko idzie po naszej myśli.

Kiedy wracam do domu, na podłodze w kuchni zastaję ogromną doniczkę z magnolią. To drzewko, o którym marzyłam od dawna.

Joachim wie, że nie lubię ciętych kwiatów. Zamiast nich wolę dostawać trwałe prezenty. Kwiaty po kilku dniach więdną, a rośliny w doniczkach pozostają czasami na lata. Mąż okazuje skruchę i przeprosza za wczorajsze zachowanie. Na początku nie chcę się złamać. Mam zamiar podąsać się jeszcze choć jeden dzień, ale przechodzi mi od razu, gdy tylko zostaję przekupiona. Przytula mnie bardzo mocno. Przylegam do niego całą sobą i jest mi dobrze, jednak gdzieś z tyłu głowy krążą myśli o Władku. Czy on też w taki sposób by to zrobił? Choć nie chcę, mam przed oczami jego twarz. Już nic nie będzie takie jak kiedyś. Jestem już inna, naznaczona. A może w lesie zobaczyłam siebie? Swoje drugie oblicze dzikuski z blizną – ze skazą zdrady? Obcowałam z wilkami jak z oswojoną watahą psów. Na ogół jestem dobrą matką, żoną, cenionym pedagogiem, ale jaka jestem naprawdę, kiedy pozbawi się mnie maski kulturowej? Gdybym mogła przenieść się do krainy, w której człowiek ma tyle pieniędzy, ile mu potrzeba, i nie musi walczyć o byt, gdybym nie wiedziała, co to znaczy odpowiedzialność małżeńska i rodzicielska, gdybym nie chorowała, kim wtedy chciałabym być? Do której z bajek

najchętniej przeniosłabym się bez bagażu doświadczeń i demonów przeszłości?

Z letargu cuci mnie mąż długim pocałunkiem. Zaparzył pyszną kawę i schłodził wino. Przygotowuję lekką przekąskę w postaci pasty z ciecierzycy zwanej humusem. Jest ona bardzo popularna w kuchni arabskiej oraz żydowskiej. Przepis pochodzi z samego Libanu. Gotuję cieciorkę tak, żeby była miękka, dodaję do niej czosnek, sezam, dwie albo trzy łyżki oliwy z oliwek, sok z cytryny i odrobinę soli. Wszystko razem blenduję i gotowe. Najlepiej smakuje z chlebkiem pita bądź naszymi mazurskimi podpłomykami, ale ja bardzo ją lubię z chlebem drwala bądź razowym. Przygotowanie zajmuje dwadzieścia minut, a niepowtarzalny smak humusu pieści podniebienie na długo.

Siadamy na dworze. Joachim stawia na stole wazon z polnymi kwiatami. Musiał śmiesznie wyglądać, zbierając je. W jednym ręku kula, w drugim kwiaty. Patrzy na mnie z zachwytem. Marysia biega wokół nas, tańcząc i śpiewając. Jednym słowem, sielanka wiejskiego domu wśród zapachu maków, mieczyków, traw, ziół i kwitnących drzew.

Jeździmy na wycieczki do Egiptu czy na Hawaje, a nie doceniamy tego, co tuż obok nas rozsiała natura. Po co udawać, że w hotelowym pokoju jest lepiej niż na własnej ziemi? Jestem łowcą instynktów i zapachów, szukam ich wśród brudnych miast i dusz. Wydobywam je

z zagłębień skalnych. Mam w sobie moc i nikt nie może mi jej zabrać. Ja sama ustanawiam swoje prawdy, kierując się intuicją nadprzyrodzonych matek. Nauczyłam się leczyć swoje rany pośród drzew i żywiołów.

Kiedyś zamykałam się w różnych jamach i jaskiniach, bo dopiero w samotności byłam w stanie uzdrowić ciało, ale czas, który tam spędzałam, sprawiał, że po wyjściu na powierzchnię miałam coraz bardziej zgarbione plecy i coraz częściej nie patrzyłam ludziom w oczy, a jedynie w piach.

Jak pijawka przyczepiałam się do tych, którzy nosili w sobie dobrą energię, a po pewnym czasie uzależniałam się od nich. W momencie kiedy znikali, znikala również moja radość. Szukałam innych, ale ich nie było. Przebywając w głębokim dole, który sama pod sobą wykopałam, w końcu zrozumiałam, że to ja sama muszę osiąść moc i żywotność, żeby ktoś dostrzegł ten blask nawet z najciemniejszego lasu.

Zrozumiałam, że mam wpływ na to, co mnie otacza, z czym i z kim jest mi dobrze. Zaczęłam pielęgnować dom, sadzić kwiaty, powoli opiekować się swoim organizmem. Bo na to, w jakiej on jest kondycji, mają wpływ również przedmioty, które zachwycają wzrok, poprawiają nastrój. Ja sama jestem swoim najlepszym przyjacielem. Jednak wśród tej sielanki i pozytywnych wibracji płynących z chmur coś jest nie tak. W głowie jak boląca drzazga tkwi Władek.

Zastanawiam się, co teraz robi. Nam obojgu nie starczyłoby czasu

na mgnienie. Potrzebowalibyśmy wieczności, zresztą nie wiadomo, czy wystarczającej dla zaspokojenia ciekawości. Chodzi zwłaszcza o bunt. Zastanawia mnie, dlaczego mamy w sobie mniej lub bardziej uświadomioną chęć łamania prawa, skręcania na boczny tor, uciekania od oficjalnie przyjętych zasad. Dlaczego tradycja podpowiada nam więcej niż własne serce, odczucia i ideały? Oczywiście można założyć, że poukładana rzeczywistość jest lepsza i prawdziwsza, bardziej cywilizowana, można by rzec: schludniejsza i ludzka. Dlaczego jednak nie spróbować wbić w ten obrazek szpili, odrobiny fantazji i szaleństwa, dlaczego przez chwilę nie być niegrzecznym? Czasami potrzeba nam porządnego kopniaka od podstarzałego mędrca zajmującego się tym światem, który jako jedyny posiadał wiedzę o dobru i złu, początku i końcu każdej wolności. Myślę za dużo jak na tę chwilę.

Po lekkiej kolacji wiem, że kiedy położę dziecko, mąż będzie chciał się kochać. Mam ochotę na seks, ale czy z nim? Muszę spróbować. To będzie pierwszy raz od wypadku i wtargnięcia innego mężczyzny w moje życie. Jestem zmęczona po całym dniu, jednak niepewność we własnym zachowaniu irytuje mnie bardziej. Czy umiem jeszcze kochać się z mężem? Gdy mnie dotyka, myślę o Władku. Jest mi dobrze, ale co chwila przypominam sobie tego drugiego. Dopóki nie zaspokoję ciekawości, nie zaznam nasycenia.

Dni mijają jak szalone.

Rozmawiamy z Władkiem na wszystkie tematy. Nie ma tabu, jest tylko śmiech i szczerłość. Mąż wraca na swoją kanapę, a ja do laptopa.

Trawy uginają się pod ciężarem wiatru. Codziennie przemierzam dawno zapomniane ścieżki. Stopy wilgotnieją od porannej rosy, a włosy pachną słońcem i wolnością. Natura jest tłem dla życia. Przychodzi mi na myśl, że to właśnie na tym tle, na którym widzimy swoje odbicie, czujemy się najlepiej. Jedni dostrzegają je w tafli wody, inni w szklach sklepowych witryn. To ja wybieram, w którym zwierciadle chcę się przeglądać.

Będąc z Marysią na naszym wiejskim placu zabaw, wykopuję głęboki dół w piaskownicy. Znajdujemy pośród fal piasku włoski orzech. Nie jest on jednak tylko orzechem. Pomiędzy dwiema łupinami wyraźnie widać kielkujące nasiono. Jego kłacz do połowy wyszło na słońcu, ale dolna część jest żywa, zielonkaworóżowa. Nie wygląda atrakcyjnie.

Najpierw chcę je wyrzucić. Kiedy jednak wykonuję zamach ręką, umysł robi „stop”. Rozglądam się dookoła i widzę jedynie ubity piach.

Mnóstwo stóp wbija się w niego co dzień. Pustynia bez widocznej oazy.

A jednak w tych niegodnych warunkach wykiełkował orzech. Szarpany, przerzucany, kopany – przeżył. Jakimś cudem uchował się i wyrósł.

Wiadomo, że nie przetrwa tutaj, mimo to ma w sobie tyle siły, aby wzbic się do słońca.



To niesamowite. Skąd mógł wiedzieć, że wpadnie w ręce mazurskiej czarownicy? Wkładamy go do etui od okularów, celowo, żeby przypadkiem nie złamać pręcika. Po powrocie do domu dostaje swoją doniczkę i świeżą ziemię. Po dwóch tygodniach zaczyna piąć się do nieba. Patrzy listkami w błękit i chce jeszcze więcej. Korzenie niczym stopy człowieka przypominają o tym, że nie może wzlecieć. W mojej kuchni rośnie teraz włoski orzech. Drzewko szczęścia nie z tego świata.

\*\*\*\*\* Klajba – w slangu uczniowskim klasówka.

\*\*\*\*\* A. Osiecka, *Wariatka tańczy*.

– Jedziesz już?!

– Wychodzę z domu, nie mogę gadać teraz przez telefon, spieszę się.

– Poczekaj, Jaśmina! Weź książkę! Obiecuję, że ją tu przytąszysz,

blagam!

– Nie! Jest za ciężka, daj mi spokój, po co mi to?

– Proszę, dla mnie. Potrzebna mi inspiracja. Ona jest magiczna, rozumiesz?

– Nie i koniec. Jak przyjedziesz, sama ją sobie weźmiesz!

– A ja na lekcje dla dzieciaków się zgodziłam, za darmo!

– No dobra.

Upycham książkę na dno torby, rwąc przy tym kilka kartek.

Wysyłam SMS-a do Władka, żegnam męża i jadę do szkoły. Po lekcjach wsiadamy do autobusu i jedziemy prosto do Janowa Podlaskiego.

Kiedy

docieramy

na

Lubelszczyznę,

krajobraz

ulega

przeistoczeniu. Jest podobnie jak na Mazurach, ale inaczej. Mroczne lasy nie dotykają szorstkością igieł, ale skupione na rozdawaniu ciepła wypełniają jak włóczka lniany kosz. Pomimo wrześniowej szarugi oczyszcą jeszcze zielone liście. Te tereny – dawniej należące do Podlasia – są niesamowite. Wszędzie widać przyrodę niezagarniętą dłonią człowieka. Kiedyś mówiono, że na Podlasiu żyją dzicy ludzie, ponieważ dzięki wysokim murom z drzew i krzewów najpóźniej przebiła się tu nowoczesność. Sama natura broniła się przed najezdami siekier i pił karczujących lasy. Tu kończy się świat i wszystkie duchy oraz demony odpoczywają w odmętach szumiącego Bugu bądź siedzą na wysokich dębach. Nieostroźnie iść samemu w las. Tutaj wszędzie czają się rosyjscy przemytnicy, ludzie zwożą paliwo. Na prawie każdym podwórku widać ślady rozlanej ropy. Właśnie to miejsce ukochał sam diabeł.

Ludzie zamieszkujący te ziemie posiadli parapsychologiczne moce, a od bioenergoterapeutów aż się roi. Mazurskie czarownice są na wymarciu, podlaskie szeptuchy mają się dobrze. Nadal leczą i są poważane.

Kocham miejsca, w których ulatuję jak w niewidzialną przestrzeń. To tutaj moja dusza robi piesze wędrówki, przysiada na kamieniu i zbiera jagody dla czarta. Ten tygiel kulturowy oszałamia świadków życia. Każdy tu jest nauczony gościnności, ale takiej własnej,

spontanicznej. Mazurzy są jak ryby pływające pod taflą wody. Piękni, ale nieufni. Przyzwyczajeni do nurkowania i pływania mamy w sobie skrzel. Osnuci jesteśmy deszczem i wodą. Na wschodnich terenach Polski człowiek był przyzwyczajony w większym stopniu do polowań. Więcej tu rzek niż jezior, w związku z tym i podłoże życia jest bardziej kamieniste, a w rękach zamiast haczyków i wędek zobaczyć można topór i sierp.

Pamiętam swoje wrażenia z wejścia na Górę Uszeczną. Została tam zbudowana pierwsza cerkiew w Mielniku. Ludzie gadali, że była cała ze złota. W tamtych czasach każde popie oczy spoglądały na nią z zawiścią. Pewnego dnia było w jej wnętrzu tyle osób, że na święte duchy zabrakło miejsca. Latały nad ich głowami, mówiąc, że więcej ludzie grzeszą miast się modlić. Cerkiew w końcu nie wytrzymała. Nie była w stanie udźwignąć tylu bezwstydników i się zapadła. Od tego czasu mówi się, że pod tą ziemią mieszkają istoty bezcielesne, które nie mogą znaleźć drogi do nieba. Wielu podróżnych przykładło ucho do murawy, chcąc usłyszeć ich wołania, pieśni, ale bezskutecznie. Tylko dzieci z policzkiem przyciśniętym do ziemi niekiedy pytają, gdzie jest ten kościół, w którym tak pięknie biją dzwony.

W Janowie wita nas odrestaurowana dziewiętnastowieczna brama.

Po wyjściu z autokaru dzieciaki rozpraszają się i zaczynają podziwiać konie. Jaki błysk w oku, ile zyskują wiary w siebie! Nie tylko słowa

leczą złamane psychiki, ale i miejsca. Konie są tymi zwierzętami, które dzikie i nieujarzmione zachowały tajemnicę stepów i czar wielkich przestworzy. Podziwiając ich spocone skóry i rozwiane grzywy, mam ochotę wskoczyć na oklep i pognać na skraj świata, tam, gdzie słońce styka się z ziemią.

Jak to jest z tą miłością, że tak szybko odchodzi, a zamiast niej pojawia się inny szczep winny? Może gonimy to, co jest dla nas nieosiągalne, zamiast skupić się na tym, co najważniejsze? Kiedy ktoś zabiera mi wolność i stara się zamknąć ją w słoiku, momentalnie robię się agresywna. Jak te zwierzęta. Pozbawione wybiegu, zamykają się w sobie i marnieją, bez przestrzeni biją łbami w betonowe boksy.

Wieś leży kilka kilometrów od Bugu, gdzie przebiega granica z Białorusią. Z każdego zakątka rozciąga się widok aż po horyzont. Tu nie ma miejsc zalanych betonem, a jeżeli są, to wystarczy podnieść głowę wyżej, żeby zobaczyć pobliski las czy park.

Nasz gościniec hotelowy nosi nazwę Wygoda i znajduje się na terenie stadniny. Obiekt nie jest tak urodziwy jak stare stajnie czy wybiegi, ale ma w sobie duszę, która została zaklęta w ludziach tam pracujących. Pamiętam, jak pierwszy raz przyjechałam do Leny. Było to latem. Przywiozła mnie tu i gdy wysiadałam z samochodu, nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdyż cały budynek był porośnięty dzikim

winem. Dziś mieni się przeróżnymi odcieniami czerwieni, żółci i brązu i wolno obumiera, przygotowując się na nadchodzącą zimę. Widok iście imponujący. Wśród chłodu zwiastującego zmianę pory roku na swych liściach gości ciepło promieni słonecznych.

Tu jest moja strefa powolnego życia. Za każdym razem, gdy odwiedzam to miejsce, mam nieodpartą wrażenie, że duch gościńca każe mi diametralnie zwolnić tempo. Inni opiekunowie również są zachwyceni i nie mogą wyjść z podziwu, oglądając obiekt.

Kiedy otrzymuję klucze od pokoju, natychmiast po wejściu otwieram na oścież stare, lecz zadbane, drewniane drzwi balkonowe. Jakbym przechodziła tajnymi wrotami do innego świata, tego bardziej uduchowionego i ukierunkowanego na samouświadomienie. Balkon, zbity z drewnianych bali, porośły winnymi gronami, wydziela kilka zapachów. Zgnilizna mchów jest tu okraszona słodką wonią owoców winorośli. Tak bardzo chciałabym, żeby Władek też mógł to zobaczyć. Abyśmy spleceni jak krzew wsłuchiwali się w muzykę Grechuty. Zamykam oczy, słyszę ptasi świergot, a gdzieś w oddali tłuczone talerze i zgiełk przygotowań do obiadu.

Tutaj czas nie jest odmierzany w minutach. Moja koleżanka poetka Małgosia Gutowska uważa, że czas janowski liczy się podobnie jak kazimierski. W tych strefach wskazane jest się spóźniać. Jeżeli umawiam

się z kimś na szesnastą, to wiadomo, że nie zdążę, bo zawsze jest coś, co przykuje moją uwagę na dłużej i po prostu zapomnę o pędzących sekundach. Wszystkie spotkania autorskie i kulturalne nie odbywają się punktualnie. Duchy tych obszarów spowalniają telefony komórkowe, zegarki, a co najważniejsze, myślenie. Dlatego większość kobiet z tych ziem pozbawiona jest zmarszczek. Wyglądają na dużo młodsze, a metryka dla nich to jedynie zwykły dokument, nic więcej.

Na obiad podają nam pierogi z soczewicą. Z tego dania słynie gościniec Wygoda. Przygotowane z najwyższą starannością i smakiem, pieści zmysły. W niewielkiej jadalni, wśród starych mahoniowych mebli, zielonego wystroju i świeżych kwiatów w wazonach, dopełniam rytuału duchowego poczęcia. Na ścianach batik i makatki. Kraina wiecznej szczęśliwości.

Po obiedzie Lena załatwia nam najlepszego pilota wycieczek, jedną ze swych tutejszych koleżanek, Marzenę Grabowską. Zbieram dzieciaków i ruszamy do pierwszego wybiegu. Oczywiście zapominam, że Janów ma swój czas, więc czekamy na Marzenę jakieś dwadzieścia minut. Kiedy się zjawia, poraża mnie swoją urodą. Szczupła sylwetka i niebotycznie długi, aż do pasa, warkocz. Kobieta jest jak magnes, przyciąga jasnoniebieskimi oczami. Przychodzi mi do głowy, że jest jedną z nas: szamanek, czarownic, szeptuch, jedną z wielu *husky girl*, które mają dar zjednywania słowa. Gdy tylko otwiera usta, wypada

z nich lawina zdań stanowiących przekaz naocznych świadków kilkakrotnego rozpadu stadniny oraz jej powojennej odbudowy. Z wiarą w to, co głosi, Marzena opowiada jak zaczarowana. Dopada ją podlaska energia wielkich przestworzy. Przenosi nas w odległe czasy. Byłam pewna, że nikt nie będzie jej słuchał, a ona swoim głosem fascynuje każdego.

Idziemy za nią gęsiego. Ma cechy dobrego przywódcy. Znajduje swoją niszę w życiu i idzie jej tropem. Kieruje ludźmi przede wszystkim poprzez własną osobowość. To w tym wszystkim wydaje się najistotniejsze. Snuje opowieści, zapewne po raz tysięczny, jednak sprawia wrażenie, jakby robiła to pierwszy raz przed najważniejszym audytorium, jakie dane jest jej mieć.

Dowiadujemy się, że w 1939 roku Niemcy na dobre zadomowili się w Wygodzie. Ponad osiemdziesiąt procent koni zginęło. Dyрекcję objęła wojskowa władza okupacyjna i wbrew panującemu wśród ludności zgorzeniu ówczesny wróg postanowił to miejsce odbudować. Głównego dyrektora Hansa Fellgiebla przyciągnęła siła emanująca od koni. Całkowicie im oddany, potrafił całą noc spędzić przy chorych wierzchowcach. Do opieki nad nimi zatrudniał tylko i wyłącznie Polaków. Janowskie baby głoszą, że to za sprawą czarów uległ wewnętrznemu przeobrażeniu. Gdy w nocy partyzanci organizowali akcje przeciwko okupantowi, pod przykrywką dowozu lekarstw dla



swych końskich podopiecznych dorzucał im broń. Pech chciał, że w 1943 roku pojmany został jego kowal. Wywieziony do najsroźszego więzienia na zamku w Lublinie, miał już stamtąd nie powrócić. Dzięki protekcji Hansa po trzech miesiącach jednak opuścił areszt. Fellgiebel cieszył się uznaniem wśród kobiet i dzieci. Rozdawał im bardzo często mleko i cukierki. Gdy wojna się skończyła i dyrektor z wielkim żalem opuszczał placówkę, wiejska ludność zorganizowała dla niego pożegnalne przyjęcie.

Takich anegdot przewodniczka zna dużo więcej. Ogarnia wzrokiem całą stadninę. Dziwi mnie więc jej pytanie:

– Jaśmino, Lena mówiła, że masz przy sobie starą *silva rerum*.

Prosiła, żebym ją obejrzała, ale ja teraz zupełnie nie mam czasu. Czy mogłabyś jutro wpaść z nią do mnie?

– Ale... ja nie wiem, czy będę mogła się wyrwać... Wiesz, to szkolna wycieczka, nie mogę zostawić dzieciaków. – Zaskoczona nie wiem, co odpowiedzieć.

Po co w ogóle Lena opowiada obcym ludziom o moich tajemnicach? Nie pytała mnie o zgodę. Jestem lekko zdenerwowana tą sytuacją.

– Słuchaj, musisz przyjść i już. Jak los sam chce ci pomóc, to nie odmawiaj, tylko zrób wszystko, żeby się pojawić. – Daje mi swoją wizytówkę, szybko biegnie do samochodu i z piskiem opon odjeżdża.

Stoję jak słup soli. Mam wrażenie, że od pewnego momentu życie samo się toczy, bez mojego konkretnego udziału. Jakby ktoś tam na górze przesuwiał mnie z jednego pola na drugie. Głowa nie nadąża za biegiem wydarzeń. Słyszę jedynie wilczy skowyt:

– Odkryj swoją falę, poddaj się jej i płyn.

Żyję z dnia na dzień, nie patrzę ani w przód, ani w tył, łaknę jedynie sensu, to właśnie ratuje mnie przed wpadnięciem w marazm. Ładuję akumulatory, niech wyciągną energię z tego miejsca, bo będzie mi potrzebna na cały długi rok.

Blask słońca tańczy we włosach i otula twarz. Otwierając co chwila skrzynkę z wiadomościami od Władka, czytam o jego niezgodzie na komfortowy porządek i zjednoczenie dusz. Przepisane wiersze zasilają portfel, a ukradkiem czytane w łazience wywołują podniecający rumieniec.

Wieczorem młodzież chichocząc, zamyka się w pokojach, a w nauczycielskich czterech ścianach, o dziwo, nawiązuje się romans

pomiędzy panią od biologii a starszym kuzynem jednego z uczniów.

Niezauważona udaję się do sali jadalnej. Siadam z laptopem i zaczynam flirtować z Władkiem. To dopiero prawdziwa chuć, libido beztrosko skacze na stolikach w rytm kankana, a ja bezwiednie zaciskam nogi w podniecającym skurczu. Władek cały czas pisze i w końcu czuję, że jestem wolna!

*Jestem już tak żaloszny, że przypominam siebie z liceum. Te miłości, które miały być właśnie po to, by cierpieć, by wzdychać, by ona nie wiedziała, by nie odwzajemniała. Ale nawet wtedy nie było we mnie tyle pustki, nie przeżywałem tylu łzawych momentów, nie miałem tak gardła ściśniętego. Uwierz, że nie piszę tego, byś się litowała czy wręcz uświadamiała sobie, jaki jestem. Nie chcę Tobą manipulować w żadnym wypadku. Z drugiej strony, Ty też pragniesz, bym powtarzał, że Cię nie opuszczę w tej wirtualnej matni. A jak mógłbym opuścić? Mój stan wskazuje na cholernie mocne zaangażowanie. Mamy trudno, bo okłamujemy nie tylko małżonków, ale i dzieci. Ja dzisiaj tulę i całuję żonę, ale tylko po to, by odświeżyć pamięć o Tobie. To oczywiście niemożliwe, bo ona całuje się zupełnie inaczej, podczas gdy Ty jesteś totalnie otwarta na mnie, najchętniej połknęłabyś mnie w całości.*

*Zanim mnie jednak połkniesz, kosztuj, proszę, delektuj się, bo tego pragnę. Wiem, że to się zdarzy. Wiem, że następnym razem ja przyjadę*

*do Szczytna albo Ty do Warszawy (kombinuj, dziewczyno! Miałem przyjechać do Janowa, ale dziś gnam do Jeleniej Góry!) i zaciągnę Cię do jakiegoś hotelu. Ale ta wiedza tym bardziej dobija, bo znowu będziemy blisko, by na powrót mieć za czym tęsknić.*

*Po jaką cholere mi się przydarzyłaś? Po co na mnie czary odprawiasz, mną rządysz, mną dzielisz, urok rzucasz?! Po co jęczysz, a ja czuję, że mnie rozsadzi od środka, zapraszasz do siebie, sprawiasz, że wylatuję poza granice wszystkich doświadczeń seksualnych naszej próby kochania, pożerania się wzrokiem i ustami. Chciałbym wiedzieć, co o mnie myślisz, co chcesz mi powiedzieć, czego mi nie mówisz.*

*Chciałbym tak jak na początku naszej znajomości przeświecić Cię dogłębnie, bo wiem, że to miłe myśli. Dotyk Twojej dłoni, palców, które ogrzewam, a których dotykać nie mogę – to na zawsze będzie znak naszej posranej miłości, która tym smyraniem chwilowym musi się obejść, bo nawet gdy pójdzie na całość, to będzie to tylko chwila z całej reszty życia, które Tobie oddaję.*

*PS 1. Nie pisz mi nic o swoim mężu, bo zaczynam być zazdrosny, kiedy sobie uświadamiam, że całujesz jego, a nie mnie (cholera, tego nie było w naszej umowie!).*

*PS 2. Głupi jestem i płakać mi się chce, bo miałem zrobić Ci niespodziankę i wyrwać na nielegalną wycieczkę, a wyszło jak zwykle...*

Odpisuję, rumieniając się ze szczęścia:

*W tym, co do mnie piszesz, nie ma żadnej manipulacji. Ja jej nie czuję, Twoje łzy mogą tylko wskazywać na to, że obdarzyłeś mnie prawdziwym uczuciem. Myślisz, że ja nie ryczę, jak mi się wspomnień o Tobie nazbiera? Jak sobie przypomnę Ciebie, dotyk Twego słowa?*

*Płacz! Płacz oczyszcza. Pierwszy raz napisałeś mi, że jesteś zazdrosny, a ja czuję w tych słowach Twoją szczerłość. Raduje mnie to, nie wiem czemu. Kiedy w pierwszym Twoim mailu przeczytałam, że się z żoną całowałeś, pomyślałam: „Po co on mi to pisze, żeby sprawić ból?”. Też jestem zazdrośnicą. Łzy są godne mężczyzny, to nie jest wstyd. Dusza się wtedy uwalnia. Tak jak szeptuchy wypędzają choroby z ludzi, paląc nad ich głowami len i spluwając na popiół, tak dusza oczyszcza się poprzez łzy i śmiech.*

*Twoje dzisiejsze wyznania są najpiękniejszym listem miłosnym, jaki*

*mi wysłałeś. W tym, co napisałeś, są realne uczucia i strach. Paniczny strach przed naszymi ciałami. Jęczę, bo mi dobrze, bo Ciebie chcę, bo pragnę, żebyś dotykał mnie wszędzie, bo sprawia mi to ogromną rozkosz. I to tempo. Raz jesteś jak zwierzę, a za chwilę mnie przytulasz i głaszczesz. To niesamowite, jakbyś psa oswajał – dosłownie. Dostałam Cię od losu i niech los się teraz o nas martwi. Co sobie myślę, gdy na Ciebie patrzę? Już Ci kiedyś mówiłam, że mogłabym dzieci Twoje rodić, gdybyśmy się ciut wcześniej spotkali. Najzwyczajniej w świecie mogłabym z Tobą być na zawsze.*

*To myślę. Ale umowa umową, a my musimy się trzymać naszego wypełnienia, bo jak się wyda, to będzie źle. Wiesz o tym. Zachłanna jestem, bo pożądam Twego umysłu i ciała. Widzę Twoje facebookowe zielone światełko. O... uciekło... Znaczy, że zajęty jesteś normalnym życiem. Wróć, choć na trochę, do naszej fantazji jeszcze dziś bądź jutro.*

*Wymodlę nas przed Nim. Uda się spotkać, Papieżyca się o to postara.*

*Ja Twoja*

Jak mi dobrze, jak lekko, perliście, świetliście. Pani Wanda, kucharka, przynosi filiżankę kawy z maleńkim cukrowym ciasteczkiem do smaku. Jestem tu i teraz, nie interesują mnie ziemskie problemy. Janowski anioł nakrył skrzydłami twarz, osłania przed złem. Doczepił końskie włosie do mojego kuca. Pokazał niezamieszkane tereny psychiki; rozdziwiam je, nieufna, lecz świadoma siebie i swojego ciała w trwającej chwili. Odnaleźć własne miejsca to bardzo ważne zadanie dla tych, którzy chcą przeprowadzić zmiany w sobie i szukają do tego odpowiedniej metody. Im lepiej zrozumieć siebie, tym mocniej pokocham innych, odnajdę spokój, wolność, zaufanie. Docenię moc odprężenia.

Pani Wanda jedzie do Janowa, może zabrać mnie ze sobą.

Postanawiam, że podjadę na chwilę do Leny. Zaglądam do pokoju.

Gołąbki otworzyły butlę wina, a dzieciaki hulają radosne i pozbawione smyczy. Oznajmiam, że jadę do Leny pomóc w przygotowaniach do jutrzejszych warsztatów. Nikt nie wyraża sprzeciwu. Ośrodek specjalnie dla nas zamknięto od wewnątrz (wiadomo dlaczego).

Na podwórku wita mnie uśmiechnięta i piękna Lena. Dziś jej lśniące włosy spięte w wysoki kok odsłaniają delikatną, kremową szyję. Tej kobiecie wystarczy zwykły eye-liner na powiekach i wygląda jak aktorka Juliette Binoche. Dostojne miarowe ruchy dłoni jak skrzydeł

motyla. Alabastrowa skóra, przez którą gdzieś zarysowują się fioletowe żyły pompujące natchnioną krew. Podobny motyw można dostrzec w jej obrazach.

Od razu zalewa mnie potokiem słów, mamy sobie tyle do opowiedzenia, przecież nie widziałyśmy się cały miesiąc. Już z podwórka widać świece w oknach pracowni. Gdy przestępuję próg poddasza, zmieniam również sferę pobytu z ziemskiej na niebiańską. W powietrzu unosi się wielbiony przeze mnie zapach drewna i żywicy, w kominku tli się ogień, a wszystkie ściany podpierane są przez obrazy. Na podłodze w lewym rogu walają się kartonowe tektury ze szkicami. Fotel przy biurku, brudny od farb, zmienia kolor z czarnego na tęczowy. Wygląda jak tron, gdyż siada na nim tylko ona – królowa płótna. W ręku zamiast berła trzyma pędzel. To jej broń. Nie mogę nasycić oczu tym widokiem, patrzę z zachwytem i uwielbieniem. I do tego te drewniane ramy! Wszystko idealnie ze sobą współgra. Pod wpływem czasu obramowanie zmieniło kolor z jasnego na ciemny, wręcz brudny brąz. Nie wiem, który to już raz, ale zawsze, gdy widzę nowe dzieła Leny, zadaję to samo pytanie:

– Jak ty to robisz? Wszystkie te kobiety mają twoją kreskę, a każda z nich jest inna, nie ma dwóch identycznych. Mogą mieć podobne oczy, układ twarzy, ale wszystkie są różne.



– Normalnie, biorę piórko i szkicuję. Nie ma czegoś takiego jak samorodny talent. Oczywiście trzeba się czymś inspirować: przeglądam zdjęcia ładnych kobiet, gazety, czytam o malarstwie secesyjnym czy współczesnym. Dookoła znajduję co chwila bodźce, które skłaniają mnie do takiego postrzegania rzeczywistości.

– Dużo osób zarzuca ci, że one wszystkie są niespotykanie piękne i natchnione. Nie myślałaś o tym, żeby zacząć przedstawiać je w krzywym zwierciadle? No wiesz, pokazać ich karykaturę, tę ciemną stronę upływu lat. Życie nas nie rozpieszcza, a one są porywająco atrakcyjne. Nie można im niczego zarzucić.

– Słuchaj, Jaśmina, ja nie lubię otaczać się brzydotą. Nie potrafię malować starości, bo ona do mnie nie pasuje. Wiele razy próbowano mi wmówić, że obrazy są jak lalki Barbie, ale to nieprawda. Mają duszę, bo ja też ją mam. Może właśnie dlatego dla mnie czas się zatrzymał. Mam trzydzieści cztery lata, a wyglądam na dwadzieścia cztery, bo traktuję siebie i swoje otoczenie nie jako odwieczną mękę, ale radość i piękno. Nie potrafię malować wodospadów, zwierząt ani nawet portretów na zamówienie, a co dopiero mówić o martwej naturze. Jak byłam młodsza, poddawałam się tej presji i próbowałam rysować „na sprzedaż”. Patrzyłam, co było aktualnie w modzie: trupie czaszki, róże i tym podobne... W końcu stwierdziłam, że jak ktoś jest od wszystkiego, to jest do niczego. Znalazłam swoją niszę, wnękę w drzewie, i idealnie się

w nią wpasowałam, bo ona wpływa ze mnie, a nie z presji otoczenia.

Być może właśnie dlatego potrafię z tego żyć. Najdziwniejsze jest to, że zasiadając do płótna, nigdy nie wiem, co namaluję. Oczywiście moje samopoczucie ma na to duży wpływ, ale jaki będzie motyw przewodni – nie wiem. Nie mam przemyślanej koncepcji. To raczej spontaniczny proces twórczy. Kształt deski podpowiada mi zazwyczaj pozę postaci. Biorę materiał, to, co mam pod ręką, i zaczynam tworzyć. W trakcie pracy deska coraz bardziej przypomina kobiecą postać. Efekt jest również dla mnie zaskakujący. Nigdy nie wiem też, kiedy nastąpi finał. Tak samo jak w życiu obierasz jakiś cel, ale nie jesteś w stanie przewidzieć, kiedy dotrzesz do mety.

– Zazdroszczę ci tego talentu. Ja jestem tylko zwykłą nauczycielką.

– Co ty pleciesz, kobieto?! Rozmawialiśmy już o tym setki razy.

Nieustannie spotykasz się z młodzieżą, która cię uwielbia, nawet nie wiesz, dla ilu osób możesz być mentorem, ilu dzieciakom otwierasz kłapki w głowach, prawiąc o literaturze. Wiadomo, nie do wszystkich to trafia, ale choćby znalazła się jedna osoba, której dasz impuls, podpowiesz, w którą stronę ma iść, to chyba warto. A ta wycieczka? Jakbyś nie chciała, to nie przyjechałabyś tu z nimi, prawda? Nie wszystko jest takie kolorowe, jakie się wydaje. Masz normalną rodzinę, ja jestem zupełnie samotna: bez faceta, bez dziatwy. Muszę sobie radzić sama.

– No właśnie, Lena, ale dlaczego tak jest? Przecież jesteś piękna, inteligentna, niejeden facet biega wokoło ciebie, a ty ich wszystkich z kwitkiem odprawiasz. Pewnie masz dalej uraz... po tamtym zdarzeniu?

– Nie, ranę w sercu już zaleczyłam, ale mądrość, do której doszłam na drodze prób i błędów, jest taka, że w ciszy i zupełnej samotności pracuje się i widzi najlepiej. Dzieci rozpraszaają. Cały czas się o nie martwisz, absorbują cię. Może kiedyś poczuję instynkt macierzyński, ale nie znajdę w ciąży jedynie dlatego, że społeczeństwo wywiera na mnie presję. Jestem singielką i dobrze mi z tym. A facet? Dla mnie oni wszyscy są jednakowi. Nie chcę burzyć swojej harmonii, dlatego że ktoś się ze mną pokłóci, zostawi mnie, obrazi się. Wybrałam drogę sztuki w ciszy. Dużo medytuję, uwielbiam samotność. Gdyby spokój miał kolor, pewnie byłaby nim biel. Patrząc na bezbarwne płótna porozstawiane w pracowni, myślę tylko o jednym: żeby wygodnie się rozsiąść i popijając imbirową herbatę, posłuchać lasu za oknem. To jest moja droga, tak czuję i nie będę udawać, że jest inaczej. Kiedy słyszę jęki drewna pożeranego przez korniki, to wiem, że jestem u siebie. W samotności mam poczucie, że władam całym światem, nikt i nic nie zagłusza mojego spokoju. I uwierz mi, iż codziennie utwierdzam się w przekonaniu, że dokonałam jedyne go słusznego wyboru.

– Podziwiam cię, ja bym tak nie mogła. Muszę mieć stały kontakt

z ludźmi. Lena, ale przecież ty kiedyś taka nie byłaś...

– Lubię chodzić na imprezy, jestem w żywiolo, stojąc przed publicznością i prawiąc na temat ukrytych symboli w moim malarstwie, ale duet to nie dla mnie, dobrze o tym wiesz. Każdy jest kowalem swego losu. Pamiętasz, jak byłyśmy na ognisku u mojej koleżanki? Miałyśmy może po dwadzieścia cztery lata, kończyłyśmy studia. Ja wtedy zaczęłam pracę w bibliotece w Szczytnie. Pamiętasz?

– Nie, a u kogo było to ognisko?

– U Mariolki, tej, która zawodowo zajmowała się aerobikiem.

Miałyśmy wtedy fazę na ćwiczenia i różnego rodzaju wygibasy. Dzień bez biegania był dniem straconym. Na to ognisko przyszli jej znajomi, w tym notariusz i lekarz. Przedstawiając mnie jednemu z nich, powiedziała, że jestem malarką. Wtedy doznałam olśnienia. Nigdy nie myślałam o hobby jak o zawodzie. Ale jak to pięknie zabrzmiało: „Lena malarka”. Wówczas zakiełkowała we mnie myśl, żeby podszlifować te bazgroły i zamiast pomagać dzieciakom w kółku plastycznym, coś w końcu z tym zrobić. Usłyszałam głos i za nim poszłam. Badałam każdy zagajnik, słowo, gest, byle nie stracić celu z pola widzenia. No i chyba można powiedzieć, że jestem tu, gdzie chciałam być.

Ona mówi, a ja słucham. Niedawno przydarzyła mi się podobna

historia, problem tylko w tym, że była realna. Ciekawe, co oznaczała...

Jaki ślad odcisnęła na moim piasku? Tego jeszcze nie wiem, ale czuję, że już nie zostawię wilczego tropu, nie zgubię. Wcale się nie dziwię, że Lena odnosi takie sukcesy. Pasja, z jaką wyraża swoje emocje, jest nie do podrobienia. Ale pomimo tej złocistej otoczki widzę w niej coś jeszcze: smutek.

Ona jest naznaczona syndromem Maleny. Wymyśliłam ten termin po obejrzeniu włoskiego filmu z Monicą Bellucci w roli głównej.

Przeklęta za sprawą swej urody, bo dostała jej od Boga tyle, że inne kobiety patrzą na nią z zawiścią. Mężczyźni nie mogą oderwać wzroku od jej delikatnych dłoni, długiej szyi. Gdy tylko znajduje przychylną sobie duszę w postaci koleżanki czy przyjaciółki, myśląc, że to przyjaźń na całe życie, prędzej czy później zza szafy albo łóżka wychodzi niby ta jej druga połowa, która po wypiciu alkoholu (albo i nie) wysyła znaczące sygnały. Drobniutka, nieskazitelna i do tego z artystyczną duszą – kobiety automatycznie się wycofują, widząc jej wyższość. Znowu jest sama. A dla niej mężczyzna, który ogląda się za koleżankami swojej kobiety, jest stracony. Może to robić w myślach, ale przenigdy nie może się z tym zdradzić. Niektóre fantazje erotyczne w ogóle nie powinny się spełniać.

Krążyli wokół Leny szpiedzy. Przybierali nawet postać jej cienia, byle tylko się z nią przypadkiem spotkać na ulicy czy w sklepie. Aż do

obrzydzenia zalewali ją kwiatami, czekoladkami, a kobiety snuły domysły. A czemuż ona winna? Że paznokcie maluje, że usta ma zmysłowe i wydatne? Mogłyby ją ukamienować bez cienia wątpliwości. Przecież to dzieło szatana! W średniowieczu nazwano by ją czarownicą i od razu spalono na stosie. Za co? Za nic. Za ideał piękna. Z jednej strony – podziwiana i ceniona, z drugiej – skazana na potępienie.

Kobiety są okrutne w swojej zawiści. Najgorsze, że bronią mężczyzn, nie widząc problemu w sobie. Zapewne każdej podobałby się taki scenariusz, ale nie Lenie. Ona pragnęła czystej miłości, a dostrzegając swym bystrym okiem, że w życiu chodzi tylko o jedno, postanowiła zmienić fabułę filmu. Teraz przelewa ją na płótno.

Lena chce zobaczyć księgę, ale oczywiście o niej zapomniałam. Nie wzięłam z pensjonatu. Podobno Marzeny babcia może coś więcej na jej temat powiedzieć. Obiecuję, że jutro do niej pójde. Rozmawiamy jeszcze chwilę o sztuce, życiu, naszych marzeniach. Potem odwozi mnie do ośrodka. Jest dość wcześnie, więc postanawiam jeszcze trochę porozkoszować się widokiem przyrody. Za gościńcem znajduje się niewielki park, do którego nogi same prowadzą. Pośród szumiących drzew i krzewów, oddalone o jakieś pięćdziesiąt metrów, leżą ogromne głazy. Mogą ważyć nawet kilkanaście ton. Dotykając ich, zastanawiam się, dlaczego tu są. Potężne jak matka natura. Nie do ruszenia, chyba że za sprawą młotów cywilizacji. Wdrapuję się na jeden z nich, gdy nagle

pod ręką wyczuwam metalową tabliczkę z napisem *Bandola – królowa Janowa*. Momentalnie zeskakuję i robię krok w tył. Tu muszą leżeć zmarłe konie!

Wieje silniejszy wiatr znad Bugu i przynosi zapach jaśminu, zaraz po nim kłuje mnie w nozdrza woń wrzosu. Jestem na cmentarzysku koni. Wygląda dostojniej niż ten ludzki, bez zbędnych sztucznych kwiatów i świec. Tylko natura i one. W tej ziemi tli się niezwykle życie małych bogów. Oglądam kolejny gład z napisem *Czort 1949* i jeszcze jeden *Celebes 1949*. Pewnie byli ojcami wielkich potomków, których możemy podziwiać po dziś dzień. Teraz są jak księżyc, który nie świeci własnym światłem, a jedynie odbitym od słońca, od swych rodowitych następców.

Po powrocie dopada mnie sen. Powieki same opadają.

Opiekunowie, których zostawiłam grzecznie w pokoju, zaśmiewają się z byle powodu.

W powietrzu

unoszą

się

zapach

feromonów,

w spojrzeniach igra blask przeszyty zafascynowaniem. Bez miłości świat byłby niczym. Zapanowałyby chaos i pustka. Po ulicach chodziłby

skłębiony strach i nie mogąc przytulić się do samotności, pewnie by zwariował.

Z tego stanu upojenia rodzi się nowe spojrzenie na rzeczywistość, nowy sens odbioru wszystkich kątów, można nawet odnaleźć kamień filozoficzny. Miłość należy odkryć w sobie, wtedy przeniesie się na otoczenie i wróci do nas ze zwielokrotnioną mocą, przyniesie chłodny świt i gorącą noc. Bezczynność nie uszlachetnia, a zabija każdą myśl, każdy impuls ogarnięcia wszechświata. Miłość jest na wyciągnięcie ręki, trzeba tylko dostrzec ten migoczący punkt i pochwycić go w palce. Jeżeli zostanie jedynie zamknięty w dłoni, wypłynie spomiędzy palców, ale jeśli będzie swobodnie czuł ruch wolnych gwiazd, pozostanie na wieki.

Zasypiam spełniona. Nie boję się niczego. Przy łóżku zasiada wilczyca. Pilnuje moich myśli. Ponad głową kłębią się chmury i utracony raj. Jeszcze tylko jeden SMS:

*Stwórzmy tę przestrzeń chwilową, nierealną, ulotną. Nie można cały czas powtarzać, że się nie uda, przecież możemy być wyjątkiem...*

*Wyjątkiem od reguł...*

O poranku na stolikach w jadalni widzę pastę jajeczną ze szczypiorkiem. Smak dzieciństwa i przedszkolnej bez troski. Aromat



ziaren kawy wypełnia każdy kąt pomieszczenia. Zdrowy, czerwony pomidor ubarwia kolorem dzień. Jest sennie i pysznie. Wyjątkowo, ponieważ dzieciaki stają się jakby bardziej moje. Mam w nosie, co robią w pokojach, przestaję ich szpiegować na każdym kroku i wychodzi na jaw, że obdarzają mnie ogromnym szacunkiem, tylko na własne życzenie tego nie dostrzegałam. Mają prawo do szaleństwa i prywatności, bo są jak te nieujarzmione konie: jeszcze bez siodła i jeźdźcy. To właśnie w tym wieku pojawia się pozorny sens życia, bo chwytają się wszystkiego, co daje szczęście. Mają na to czas, więc bez zbędnych pytań zrywają owoce i próbują, czy to właściwy smak.

Zanim kończymy posiłek, wita nas przewodniczka Marzena. Jak zwykle w wygodnych butach i z małym plecaczkiem, gotowa do dalekich wycieczek w nieznane. Pośród pyłu końskich kopyt zaczyna dziś opowieść o dziewiętnastym wieku i emirze Wacławie Rzewuskim, który żył w latach 1784-1831.

Człowiek ten był inspiracją dla wielu słynnych polskich pisarzy, bowiem ukochał Wschód i jako pasjonat Orientu pragnął poznać go naocznie. Uwielbiał konie, miłością obdarował przede wszystkim araby, których w Polsce do tej pory nie było. Gdy odziedziczył ogromny majątek po ojcu, wybrał się na Daleki Wschód, aby podziwiać zwierzęta ujeżdżane przez Beduinów. Lata, które tam spędził, zrewolucjonizowały jego postrzeganie świata. Pragnąc sprowadzić konie do swego

ojczystego kraju, przeszedł na islam, gdyż tylko prawdziwym  
wyznawcom Allaha można było sprzedawać zwierzęta czystej krwi. Stał  
się przyjacielem i powiernikiem Ojca Pustyni, przywódcy szczepu  
Beduinów Edre ibn Shalana.

Rzewuski sprowadził ponad sto trzydzieści siedem koni, w tym  
sześćdziesiąt

klaczy

dla

siebie,

cara

Aleksandra

I i królowej

Wirtembergii, Katarzyny. Jego nadworna służba w majątku w Sawraniu  
na Podolu nosiła się po bizantyjsku. Nazywano go Złotobrodym, a jego  
postać odnajdujemy u samego Sienkiewicza.

Zafascynowani historiami nie zauważamy, kiedy Marzena

prowadzi nas nad skarpe, z której widać meandrujący Bug.

Gdzieś na jego powierzchni tworzą się maleńkie wiry,

przypominające o niebezpiecznym nurcie. Schodząc nad rzekę, czujemy

słodkawo-gorzki zapach tataraku. Jakże pasuje on do tych naszych

szafirowych opowieści, bowiem sprowadzony został właśnie podczas

najazdów tatarskich i tureckich. Jego niebezpieczne korzenie i pnącza co

roku ciągną w odmęty rzek niejednego wędrowca.

Tę roślinę upodobały sobie wszelkie ludowe topielice, nazywając ją lepiechem bądź ajerem. Skrywa w sobie diabelską moc, o czym wiedział już Iwaszkiewicz. Jest dokładnie tak jak w jego opowiadaniu: bardzo ciepło pomimo wrześniowej pogody. Panująca duchota sprawia, że w każdym z chłopców z mojej klasy widzę utopioną męskość, a w każdej z dziewcząt – Krystynę Jandę, która zagrała pierwszoplanową rolę w filmie *Tatarak* Andrzeja Wajdy. Kobietę naznaczoną śmiercią i bólem wojny. Nasze ciała parują, zmęczone wędrówką. Roszone kroplami potu, mienią się w słońcu jak brokat. Celebрую chwilę.

Marzena snuje swoją opowieść:

– Najprawdopodobniej gdzieś tu, nad Bugiem, w dziewiętnastym wieku przebywał Czesław Tański, który został zaproszony do Janowa w celu sportretowania koni. Z zamiłowania był malarzem. Obserwując szybujące ptaki, wymyślił konstrukcję pierwszej lotni. Miał jednak ogromne trudności z opatentowaniem swojego wynalazku, gdyż byliśmy wtedy pod zaborem austriackim i pech chciał, że urządzenia, które stworzył, zostały wykradzione. Ostatecznie wynalezienie lotni przypisali sobie Niemcy.

Jak to jest w życiu, myślę, jeden odnosi sukces od razu, dziedziczy

majątek z dziada pradziada, a drugi, choć utalentowany, musi ciężką pracą na nie zarabiać. Nic tu nie jest sprawiedliwe, jedynie chyba los decyduje o miejscu i czasie, w których dzieją się rzeczy dobre lub złe. Dziwne zrzączenie opatrności, siły wyższej. Nigdy nie potrafiłam tego zrozumieć.

– Dopiero kiedy wyzwolisz się od zamętu myśli, w odpowiednim świetle zobaczysz swoje życie i z należytą pokorą zaczniesz je traktować. Od pesymistycznego gdybania jeszcze nikt świata nie zmienił, a jedynie popadł w głęboką depresję – dobiega mnie głos wilczycy. I jak zwykle muszę przyznać jej rację.

– Dobra, Jaśmina, ja już skończyłam na dziś. Wracajmy do ośrodka, dzieciaki pójdą do Leny, a ty coś wymyśl, bo musisz teraz pojechać do mojej babci – oznajmia Marzena, grzebiąc w plecaku.

– Teraz? – odpowiadam zdziwiona.

– Tak, teraz, bo obawiam się, że jak sama cię tam nie zaciągnę, to w ogóle nie przyjdiesz, więc nie masz wyjścia. Wracamy, zabierasz książkę, a potem cię odwiozę do pracowni.

– Ale co ja mam im powiedzieć? Ałł!!! – krzyczę z bólu, lądując na ziemi z nogami w górze. Nic nie może w tej chwili równać się

mojemu zdziwieniu, gdyż czuję, że Marzena ewidentnie podstawiła mi nogę!

Wszyscy się zbiegają i zaczynają podziwiać moje rozkrwawione kolano i podarte ubranie.

– Ach, trzeba z tym jechać do lekarza, przecież ty masz rozcięte kolano! – z przejęciem lamentuje nasza przewodniczka. – Słuchajcie, wy jedźcie do Leny, a ja zawiozę panią Jaśminę na pogotowie do Białej Podlaskiej. Nie można tego tak zostawić, należy dać jej od razu szczepionkę przeciw tężcowi, zobaczcie, jaka jest brudna, może trzeba to zszyć – kłamie jak z nut.

Od razu orientuję się, o co jej chodzi. Nie mogę wydusić słowa, bo mocno chwyta mnie za ramię i pomaga wstać.

– Masz się doczłapać na jednej nodze do ośrodka – szepcze mi do ucha. – Będzie wyglądało, że naprawdę cię boli.

– Wiesz co, mogłaś mnie trochę oszczędzić. Gdzie ty się nauczyłaś takiej przebiegłości? Wymyślasz to wszystko na poczekaniu? – odpowiadam nieco rozgoryczona.

– Już widziałam takie miny na twarzach ludzi. Wyraz

niezdecydowania. Musiałam ci dopomóc. Powinnaś mi podziękować,  
a nie prawić morały. Życie to jedna wielka przygoda, więc jak ktoś chce  
ci ją pokazać, to czemu się bronisz, dziewczyno?

Biorę swoją torebkę, a do reklamówki niepostrzeżenie wciskam  
stary wolumin.

Dom staruszki znajduje się na samym końcu Janowa Podlaskiego.

Mała

drewniana

chatka

z prawdziwą

dachówką.

Białe

okna

przyozdobione kwiatami, a obok wielkie kolorowe okiennice, jak

w rosyjskich klechdach. Jedna z nich, skrzypiąc, kołysze się na wietrze.

Dwa bure koty leniwie przeciągają się w słońcu. Gdy tylko dostrzegają

Marzenę, biegną do niej i ocierają się o nogi. Pomimo tkliwej czułości,

jaką od razu obdarzam to miejsce, czuję coś dziwnego w powietrzu.

Słyszę jakieś dzwonki – czasem ten dźwięk przypomina uderzenie

metalowych łyżek o garnek, a innym razem brzęk kluczy. Wyglądam

ukradkiem zza rogu chatki i dostrzegam rozłożystą, ale niską jabłoń, na

której za pomocą kolorowych wstążek przymocowano najprzeróżniejsze

metalowe przedmioty. Pokrywki od garnków, talerze, widelce, łyżki, mosiężne dzbanuszki, chochle do zupy, sitka, jednym słowem: cuda-wianki. Umiejscowione blisko siebie, z każdym podmuchem wiatru wydają przedziwny metaliczny odgłos.

Wokół drzewa rozsiany jest arcydzięgiel. Podobno to zioło ma cudowne właściwości lecznicze, między innymi pobudza trawienie, ale najważniejsze jest to, że systematycznie spożywane wzmacnia układ odpornościowy. Tyle na jego temat wiem ze swojej tajemniczej książki. Całe podwórko, otoczone drewnianym płotkiem i porośnięte różowymi malwami, sprawia wrażenie dobrze zadbanego domostwa, jednak gdy poddam je głębszej obserwacji, zauważam, że na ganku pod sufitem suszą się kurze łapki oraz królicze uszy. Nabieram podejrzeń, że jestem u jakiejś czarownicy, ale obecność Marzeny mnie uspokaja.

Kiedy przekraczamy próg sieni, dostrzegam na ścianach obrazy z wizerunkami świętych. Nie jestem w stanie ich rozpoznać, ponieważ wszystkie napisy są wyryte cyrylicą. Waham się przed pójściem dalej, ale Marzena popycha mnie do przodu.

– No idźże, przecież to moja babuszka! Wyciągnij książkę! – szepcze z wyrzutem do ucha.

Sięgam dłonią do reklamówki, gdy przede mną wyrasta jakby

z mgławicy chudzieńka staruszka z kolorową chustą na głowie  
i zadziwiająco pogodnym uśmiechem. Jej oczy, jak moje, należą do  
*husky girl*. Gdyby nie zmarszczki na twarzy, pomyślałabym, że to sam  
święty, Matka Boska, duch, omam. Wszystko jest dobrze, dopóki nie  
odzywa się cierpkim głosem:

– *Szto dolaheje? \*\*\*\*\** Czemuże tu?

Dopiero gdy zauważa swoją wnuczkę, zmienia ton:

– Aaaaa, Marenica maja, ino szto ty?

– Ja? Yyyyy... – Nie mogę wykrztusić ani słowa, w takich  
sytuacjach zacinam się i po prostu tracę poczucie rzeczywistości. – Ja,  
ja? – powtarzam. – Jaśmina, koleżanka Marzeny. Z Mazur jestem.

– Una tu je kohorto z tom palenicą? – pyta Marzenę.

Nic z tego nie rozumiem, w końcu moja przewodniczka bierze  
odpowiedzialność za ten zbiorowy nieład:

– Babciu, mów po polsku, bo Jaśmina cię nie rozumie. To właśnie  
ta dziewczyna ma jakieś stare ludowe zapiski. Pamiętasz? Opowiadałam  
ci ostatnio.



– Aaa! – wykrzykuje babcia. – Pamiętam, pamiętam.

Teraz baczniej wbija we mnie swe blade źrenice, jakby chciała przeniknąć na wskroś. Dotyka mojego ramienia, czemu towarzyszy charakterystyczny brzęk kilku srebrnych bransoletek. Obchodzi mnie z wolna wokoło i kwituje:

– Będzie z tej mąki chleb, ooo... będzie. Ja po herbatę. Wy idźta do pokoju.

Gdy wchodzimy do środka, jedyne, co dokładnie zapamiętuję, to woń pomieszczenia: jakby właścicielka trzymała w nim mirrę. Obok maleńkiego stoliczka stoi krzyż z konającym Jezusem. Od razu wyciągam księgę i ostrożnie kładę ją na stole. Nim staruszka dociera do nas z poczęstunkiem, stawia go na komodzie i ze wzrokiem utkwionym w woluminie podąża ku niemu. Dotyka go delikatnie, z najwyższą świętością, powykręcany od reumatyzmu palcami. Potem patrzy na mnie.

– Oj, kołtuna masz w duszy, bo ino na włos ci siadł, co? – Drapiąc się po policzku, przekłada stronicę księgi i co chwila na mnie zerka.

Bystro zauważa, że zanim wypowiem słowo, dukam, więc przekłada po mojemu:

– Masz ostatnio problem z rozczesywaniem włosów?

– Mam...

– Ano właśnie, jak kołtun na głowie się robi, to i na duszę przechodzi. A raczej z duszy na włosy. Widać odrazusieńko, że nerwy u ciebie słabe, bo i na dwóch skrzypcach grasz, to melodia nigdy dobrze nie wychodzi.

Jestem wstrząśnięta jej słowami, bo wyciągnęła ze mnie prawdę.

Schyła się do szafki i wygrzebuje z niej gruby zwitek szarego materiału.

– To je ljen – prawi z namaszczeniem. – To je symbol życia i przemijania. Roślina znana nie tylko tu u nas w Polsce, ale i na całym świecie, z której zrobisz i napój leczniczy, i sukno, i modły uczynisz, i wieczerzę. I Jezusa na grób w ljen obleczono. To je dobro świata w czarcich kopytach wygrzewane, którego Bóg nie zabrał ludziom, bo tworząc świat, włókna w boskie stopy zaplatano.

Kładzie na księdze dłoń, obok stawia kubeczek z wodą, a mnie każe uklęknąć przed sobą. Wszystkie polecenia wykonuję bez zastanowienia. Kiedy unosi rękę z dość okazałym kawałkiem materiału nad moją głową, wyrywa mi się z ust:

– Czy pani będzie czarować?

– Dziecko drogie! Ja nie czary, a zamawianie odprawiam, żeby cię z tej choroby duszy ino maleńko wyzwolić, bo kołaczysz się ode jednych do drugich drzwi i sama nie wiesz, gdzie spocząć. Nie przeszkadzaj mi. Potem na gadanie nas zbierze – gromi surowo i zaczyna mamrotać coś pod nosem.

Mam wrażenie, że śpiewa jakąś białoruską pieśń. Nagle podpala len nad moją głową. Bucha ogień, strużka dymu unosi się wysoko pod sufit i z wolna zaczyna opadać. Teraz materiał spala się miarowo. Czuję ogromną falę ciepła. Jakby długo zmarznięte nogi pod wpływem koca

zaczęły się w końcu ogrzewać. Raptem robię się senna, powieki same opadają. Babuszka bierze kubeczek z wodą i strzepuje do niego popiół. Gdy już ogień przestaje się tlić, przelewa eliksir do słoiczka i każe mi wypić.

– Dziś dwa łyki przed snem, a jutro dwa z rana i dwa z wieczora.

I tak codziennie, aż do ostatniej kropli – cedzi.

Nie wolno mi zostawić ani zaniedbać choćby jednego łyeczka, bo wtedy zamawianie podobno straci swoją moc. Gdy już kończy, wycieńczona opada na dębowe krzeselko i ociera pot z czoła.

– Marzena, przynieś herbaty – mówi. – Bożesz mój, jaka ja już stara jestem, wszystko mnie męczy, a najbardziej praca. Dobrze ponad sto wiosen za mną, a Pan Bóg do siebie nie woła. Czasami mam wrażenie, że będę żyła wiecznie. A ty, dziecko, jakiegoś dziwnego ducha masz w sobie. Niespokojny jest. Widziałam go w oparach tłącego się ognia, wrywał się jak jaki dziki zwierz. Dobrze masz oczy i mądre, ale ja na czary nie mam siły, a na ciebie ktoś musiał coś rzucić. Ni to złe, ni dobre, bo duszę twoją zobaczyłam, jednak cała pokazać się nie chciała. Nie wiem, czy ta woda ci pomoże, ale warto spróbować, na pewno nie zaszkodzi.

– Ale ja nie znam nikogo, kto by mógł odprawiać czary.

– Dziecko drogie, nawet nie wiesz, ile czarownic, bożatek po świecie chodzi, tylko ukrywają się z tą swoją mocą. Każda z nas ma taki dar, tyle że nie wszystkie potrafią go wskrzesić, a im młodsze, tym mocniejszy czar, bo z naturą są za pan brat. Te starsze to już przestają wierzyć, ech... – głęboko wzdycha – ...niestety. Znam przypadki, że i zwierzęta naznaczone są jaką mocą, a najbardziej te, co do księżyca wzdychają. U nas kiedyś we wsi matka syna pierworodnego Wilkomirem nazwała, bo chciała go od tych zwierząt uchronić. *Mir* w języku rosyjskim oznacza spokój, a tego pierwszego tłumaczyć nie muszę, a że w trzynastą pełnię go porodziła, to imię tak w niego weszło, że mając dziesięć lat, nagle zaginął. I na nic się zdały lamenty, modły, poszukiwania. We wsi wszyscy wiedzieli, że z prawdziwymi wilkami w puszcze białoruskie uciekł. Ślad po nim zaginął.

Ja też urodziłam się w trzynastą pełnię księżyca, przecież tak wynikało z listu, który znalazłam na strychu. Miałam nieodparte wrażenie, że ten temat znowu do mnie powraca. Uwielbiam wilki, bo dały mi siłę przewycięzania przeciwności losu, i jeszcze ta cholerna pełnia... Ich drapieżna natura zagłębiła się w obszary mojej nieświadomości. Ale skąd ta kobieta mogła o tym wiedzieć? Może naprawdę czarownice i szeptuchy istnieją, może to wcale nie jest żadna bujda? Skoro jest ten domek i ta babuszka, i do tego na własne oczy widziałam spalający się len, to chyba najwyższy czas zacząć wierzyć?

– Przestań pytać, a zacznij działać. Skoro byłaś na tyle silna, aby otworzyć drzwi, to już nie możesz się cofnąć ani nieruchomo patrzeć w ciemność. Wejdź w nią, a mrok w końcu się rozświetli. Nie cofaj się, tylko idź.

Oj, niedobrze, zaczynam słyszeć moją wilczycę z podwojoną mocą, stoi za mną i dźga mnie nosem w plecy, a babuszka prawi dalej:

– No, co my tu mamy? Księga stara jak ja, dużo w niej mądrości, i to nie byle jakiej, gdzieś tam nawet są jakieś zaklęcia. No proszę, a skąd ty to masz, dziewczuszko? Nie bój się mnie. – Patrzy w moje przerażone oczy. – No nie bój się, przecież widzę, że to o tego drugiego chodzi, nie? Za ciebie nikt decyzji nie podejmie, ty sama wiesz, co dla ciebie najlepsze, na to lekarstwa nie ma, nawet ja na miłość nic ci nie dam.

Słucham z zapartym tchem. Od nadmiaru emocji jeszcze bardziej kulę się w sobie. Złękniona nic z tego nie rozumiem. Ja z syndromem wilczycy, czarownica, żona, kochanka, matka, niespełniona nauczycielka płaczę, a łzy kapią nieproszone. Nie chcę ich w tym momencie, po co te kobiety mają patrzeć na mnie i widzieć słabą i roztargnioną? Ale, jak to się pięknie mawia, kropla do kropli i kielich się przelewa. Nie wiem, co spowodowało ten nagły szloch. Najprawdopodobniej skumulowały się

we mnie wszystkie złe i dobre emocje, które chciały w końcu znaleźć ujście. A może to za sprawą zamawiania szeptuchy otworzyły się we mnie wszystkie okna i uleciał w powietrze ten dawno niesprzątnięty kurz?

Kiedy już opanowuję pierwszą falę spazmów, opowiadam im wszystko: od znalezionej listu, kart, wewnętrznego głosu, wirtualnego kochanka po historię dziadka i jego księgi. Postawiwszy kropkę nad „i”, doznaję uczucia radości i spokoju.

Czasami spotykam na swojej życiowej drodze osoby przypadkowe i raptem po krótkim rozpoznaniu duszy jestem w stanie opowiedzieć im całą swoją historię, łącznie z demonami i wszelkimi innymi psychozami. Za czyjąś sprawą potrafię też wyczuć, czy dochowają tajemnicy i nie będą mnie oceniały, patrząc z głębokim politowaniem. Skąd wiem, że te osoby mają takie pokłady wrażliwości jak ja?

Im dłużej opowiadam, tym większy błogostan rysuje się na twarzy szeptuchy. Wszelkie bruzdy i zmarszczki wygładzają się, a poprzez rozciągnięte w uśmiechu usta można dojrzeć braki w jej uzębieniu. Zapada cisza, ale taka, która swym anielskim spokojem góry przenosi i chorych uzdrawia. Atmosfera harmonią przypomina słowiczy śpiew i jeszcze ta nieskazitelna, niczym niezmacona głusza. Babuszka staje się jakaś dziwna, jakby nieobecna, jej oczy powoli zachodzą mgłą

zwiastującą łzy. Może powiedziałam coś, co ją uraziło? Ale przecież nie należy do tych kobiet, które same ważą każde słowo. Powoli wstaje od stołu i szurając niedbale stopami, podchodzi do maleńkiego obrazu, który na pierwszy rzut oka przypomina ikonę Matki Boskiej. Kobieta ma twarz owiniętą granatową chustą i delikatne złote wstawki. Babuszka wspina się na palce, zdejmując obraz ze ściany i jednym ze swych długich paznokci odgina kartonik, do którego jest przymocowany obrazek. Wyciąga stamtąd niewielką karteczkę i kładzie ją na stoliku.

W tym momencie czas zatacza koło i zatrzymuje się u mych stóp.

Nie biją dzwony, nie słyszę wskazówek tykającego zegara, jedynie krowy ryczą za oknem. Jakaś mała mucha przysiada na ciastkach podanych przez szeptuchę, jednak żadna z nas nie stara się jej przegonić.

W moich żyłach krew przestaje się kotłować, a ostatni z tysiąca puzzli wskakuje w odpowiednie miejsce.

– Ta kobieta miała na imię Roma, to moja córka. Poznała Białorusina i wyprowadziła się za granicę. W miarę możliwości przyjeżdżali do mnie w odwiedziny. Wtedy przyjechali z małym chłopcem, ale to nie był mój wnuk. Mojego wnuka tuż pod granicą ziemią przysypali, a tamtego drugiego, co go w krzakach znaleźli, wzięli jako swojego. Jadąc do Białegostoku, zatrzymali się u mnie, żeby odpocząć, ale zostali dwa tygodnie. Córka mocno się do tego chłopca przywiązała, musiała jednak zrozumieć, że to nie jest jej syn. Zawieźli



go potem do tej kobiety. Prosiłam córkę, żeby zostawiła mi adres jego ciotki albo jej dała mój, bo gdyby Franuś zachorował, tobym wiedziała, jak wypędzić z niego chorobę, ale niestety zapomniała. Gdy z mężem wracali do siebie na Białoruś, oboje zginęli w wypadku samochodowym. Przeżyłam swoje dzieci, jedynie Marzenka z jej matką mi ostały. Ciężko mi było na sercu, chciałam w odmętach Bugu ukoić duszę, ale nie mogłam. Ratowała mnie myśl, że są w niebie razem. We trójkę przechadzają się po raju. Sprzątając na stypę, znalazłam kartkę pod łóżkiem twojego dziadka. Może się przyda, w końcu przeznaczenie cię tu zesłało.

Przede mną leży karta tarota z napisem *La Papesse*, ta, której brakuje w mojej talii. Na obrazku widzę kobietę z głową nakrytą sukniem. Przypomina dziewczynę z krajów arabskich bądź zakonnice. Nogi, ręce i całe ciało przysłonięte ma długą suknią. Na kolanach trzyma otwartą księgę. Inaczej ją sobie wyobrażałam. Bardziej jako władczą kapłankę, która dzięki silnemu charakterowi jest w stanie osiąść całą ziemię. Przynajmniej taka była moja dorobiona karta. Taką chciałam być ja sama. Stworzoną na wzór i podobieństwo Władkowej namiętności.

Znaczenie symboliczne tej karty znam już na pamięć. Zawiera się w zdaniu powtarzanym przeze mnie codziennie: „Niech prawość i dobro będą z tobą zawsze”. Odnajduję w nim błogość domowego ogniska i pobłażliwą

uległość,

wilczy

smutek

i wieczne

poszukiwanie

upragnionego Boga. Jednak coś mi w niej zgrzyta – chyba przykryte włóknem milczenie. Jak niewypowiedziane myśli kobiet matek, aby nie narazić się na szyderstwa tych, które z oddaniem tworzą wokół siebie złudną rzeczywistość. Jedyne, co ratuje w moim odczuciu tę kartę, to zdanie Starowieyskiej na jej temat: „Kobieta, jeśli odwróci się ku słońcu prawdy, zrozumie prowadzona przez tę jasność, osiągnie cel idealny, ku któremu dąży”\*\*\*\*\*.

Taki jest mój cel. Intuicyjnie, ze spokojem dążyć do prawdy, nikogo nie krzywdzić, rozdawać dobro i ciepło, a jeżeli los obróci się przeciwko mnie, pamiętać, że każde cierpienie ma swój kres. Na każdą zbrodnię przyjdzie kara. Nie od razu. To się nie dzieje natychmiast, to jak kropla drążąca skałę – niszczy zdrowie, sprowadza ciężkie wypadki, uzależnienia, zanieczyszcza zgnilizną serce. Depresja tylko może zabrać kawał życia, a jeśli dopuszczę ją do siebie, to tak, jakbym na własne dziecko wydała wyrok. Jestem celem samym w sobie, nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Jestem panią myśli i zdarzeń. To ze mnie Bóg zbudował świat i zaufał mi, że jak Hiob nie poddam się tej odwiecznej walce. Czy będę buddystką, katoliczką, czy prawosławną, muszę żyć

w zgodzie ze sobą, jedynie wtedy będę szczęśliwa. Nawet jeżeli podejmowane przeze mnie decyzje będą błędne, będą moje, a nie cudze, wymuszone.

Babuszka wstaje i odcina z moich włosów kołtun, ten najbardziej nieułożony. Spala nad własną ręką, a popiół wyrzuca za okno. Brzydko pachnie, ale nie wywołuje to we mnie obrzydzenia. Kiedy już w pełni dochodzę do siebie, nadal nie mogę wyjść z podziwu, że ta historia przydarza się właśnie mnie. Że jest moją osobistą bajką, która sama zaczęła się pisać. Jestem jak we śnie. Otoczona nadzwyczajnymi istotami, które tak naprawdę są ludźmi z krwi i kości. Kobietami z niewiarygodnie łagodnymi usposobieniami, które nauczyły się słuchać własnego serca, dlatego potrafią przewycięzać zły los. Obdarzone intuicją, wyostrzyły ją do tego stopnia, że nauczyły się nią kierować niczym najdoskonalszą mapą. Wychodząc z chatki, obiecuję, że przed wyjazdem jeszcze tu zawitam, a książkę zostawiam na razie szeptusze. Ja z niej teraz nie skorzystam, a wierzę, że tu na pewno nie zginie.

Antropolog

Bronisław

Malinowski

napisał,

że

mit

w społecznościach dzikich w swej pierwotnej, żywej postaci nie jest tylko opowiadaniem, ale rzeczywistością. Człowiek, który ma dar opowiadania, niesienia słowa, postawiony jest najwyżej w hierarchii społecznej. Nie każdy może opowiadać mit, a ten, kto to kultywuje, jest chroniony i strzeżony jako najważniejszy w plemienu. O dziwo, w taki sposób nie traktuje się ludzi, którzy przynoszą pokarm, bronią granic terytorium.

Dlaczego? Dlatego że opowiadacze, szamani, magowie znają odpowiedzi na pytania dotyczące powstania świata. Są prawdą niesioną na ołtarzu słów, mówią o abstrakcyjnych symbolach życia, których nie można zobaczyć, a jedynie je poczuć. Zaspokajają potrzeby religijne, etyczne, dydaktyczne. W obecnych czasach brakuje nam żywego, bogatego przekazu natchnionych myślicieli. To właśnie wpływ kultury kształtuje nasze rytuały i język, wpływa na dobór słów, na nasze gesty.

Czy czarownik mamroczący zaklęcia nad ziołami w swojej chatce, zwracając się do duchów, wypowiada monolog? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta. Kiedy człowiek szepcze czy podśpiewuje podczas pracy – dla własnej przyjemności – niczemu to nie szkodzi. Praca nie ucierpi też, gdy będzie milczał. Gdyby jednak czarownik zaprzestał swego samotnego mamrotania, wówczas w całej społeczności nastąpiłaby zupełna dezorganizacja.

Obie kobiety, które poznałam, należą do wymierającego gatunku dobrych ludzi, którzy chcą korzystać z dobrodziejstw natury i wiary, a nie ze sztabek złota. Im więcej *husky girl* w naszym życiu, tym lepiej dla wszystkich.

Marzena odwozi mnie do ośrodka; o nodze już zupełnie zapomnieliśmy. Chwytam za telefon. Tak bardzo chcę podzielić się najnowszymi informacjami z Władkiem, że już nie mam zamiaru jechać na warsztaty do Leny. Nie odbiera. Włączam laptop i w jednym mailu, treścią przypominającym epopeję narodową, streszczam, co się dziś wydarzyło.

Potem siadam na łóżku i wyciągam karty. Liczę je, a następnie dokładam brakującą kapłankę. Pasuje do całego zbioru idealnie. Rozkładam swoją czerwoną apaszkę na kołdrze i wiedziona dziwną siłą, przetasowuję wszystkie Arkana. Zasłaniam delikatnie okiennice, zapalam dawno nieużywaną świecę. Postanawiam złamać swoją dotychczasową zasadę i postawić sobie tarota. Powoli wyciągam jedną kartę po drugiej. Kiedy już wszystkie leżą na chustce, zaczynam je odwracać i nagle robi mi się słabo. Otwieram okna. Tłumaczenie jest jasne.

Słońce, Sąd... Głowa coraz mocniej ciąży, a ból zatok zaczyna już z nosa przechodzić na skronie. Czuję, że zwymiotuję.

Mag, Trójka monet ... Może jestem w ciąży? – myślę, gdyż przed moimi oczami ukazują się dziwne czarne plamki. Przecieram dłonią powieki, ale nie pomaga. Podpierając się ściany, idę do łazienki i chlustam zimną wodą w twarz. Spoglądam w lustro, ale zamiast swojego odbicia widzę bystre, zielonoszare oczy. Wpatruję się w nie z ogromnym skupieniem. Ciemne obramowanie wokół nich potęguje grozę spojrzenia. Czy to ja? – pytam siebie, a w głowie słyszę przeraźliwy pisk.

Zaraz zwariuję, muszę zjeść kawałek czekolady, znowu mam migrenę. Może jestem cukrzykiem? Z wielkim trudem wracam na łóżko, tym razem kładę się obok kart, bo nie jestem w stanie siedzieć.

Pięć kijów ... Teraz już wszystko wiruje, powieki opadają, a jednak widzę nad sobą kolorową chustę, która w bardzo szybkim tempie opada i się wznosi. Nie nadążam z odgadywaniem kolorów, bo zaczynają się ze sobą zlewać. Tęczowe macki, jak wyładowania atmosferyczne, wciągają mnie do tego wiru. Dotykają, obchodzą całą jak Hatifnatowie Muminki na tajemniczej górze. Mój ledwo słyszalny puls znajduje się już nie w sercu, a w uszach. Opadam z sił.

Niech ktoś wezwie pomoc! – krzyczę w środku, ale nikt nie słyszy, bo mój głos nie może wyjść poza ciało. Odbija się jak bumerang od

niewidocznej membrany i powraca echem, rozganiając uwięzione myśli,  
które nie są w stanie przerodzić się w potok słów.

Pomocy! Ratunku! Czuję, jak napinam krtań, a głosu nie ma, znikł.

– Daj spokój, tu nikt cię nie usłyszy. Wstawaj, idziemy.

Ogarnia mnie przerażenie, że postradałam zmysły, bo nikogo nie  
widzę, a jednak słyszę w ciemności.

– No już, na nogi, raz, dwa. Mamy mało czasu, zresztą każdy ma  
go tyle, na ile sam sobie pozwoli. Fakt, że jestem szybsza, ale jakoś  
dogonimy przestrzeń. Rusz się, ile mam czekać?

Czuję, jak coś sapie nad lewym uchem. Już całą małżowinę mam  
mokrą od śluzu. Odwracam się i na tle czerni nieba widzę dzikie oczy, te  
z lustra. A może to moje własne? Jakież lustrzane odbicie?

– Żadne lustrzane odbicie! Wstań już, bo jak tego nie zrobisz, będę  
musiała cię pogryźć.

Zatrwożona siadam, a pod ręką czuję obrośnięty sierścią łeb ze  
sterczącymi uszami. Dopiero teraz widzę, że to jest moja wilczyca.

Prawdziwa, namacalna, wewnętrzna pramatka istnienia. Choć nic z tego

nie rozumiem, cieszę się, mogąc w końcu jej dotknąć. Do tej pory była jedynie gdzieś w środku, a dziś siedzi przede mną i jest moja.

– Słuchaj, ja jestem niczyja, a nie twoja. Jestem taka sama dla was wszystkich, z tą tylko różnicą, że ty chcesz ze mną być, a one nie. Ty miałaś odwagę otworzyć wrota, a one siedzą i marudzą – mówi, nie poruszając wargami, a ja to słyszę. To niesamowite!

– Umiesz czytać w moich myślach! – zafascynowana jej widokiem, z trudem wydobywam z siebie głos.

– Wiem o tobie wszystko. Znam cię lepiej niż twoja rodzona matka, bo jestem twoim sercem, słowem, myślą, pragnieniem i grzechem. Dlatego zaufaj mi i chodź. Czas ucieka, a nawet ja nie mam takiej mocy, żeby go zatrzymać. Nikt nie ma .

Prowadzi mnie, w końcu ma zdolność widzenia w ciemnościach.

Akurat ta umiejętność nie jest mi dana. W oddali tli się mały punkt.

Kiedy podchodzę bliżej, zauważam, że jest to świetlisty okrąg. Ogromny księżyc. Stopy grzęzną w żywej ziemi, a dookoła panuje ciemność.

Wilczyca każe mi wyjść zza krzaków. Boję się, ale utwierdza mnie

w przekonaniu, że i tak nikt nas nie zobaczy, gdyż fizycznie to

niemożliwe – przecież jesteśmy nierealne. Próbuję logicznie rozłożyć to

zdanie na czynniki i zrozumieć, ale mi się nie udaje. Nie chcę już tego



zglębiać, nie warto wszystkiego od razu wiedzieć.

Stajemy, odurzone jakimś świeżym, roślinnym zapachem. Nie potrzebujemy żadnych latarek, aby dostrzec, że wśród wonnych

krzewów

chodzą

młode

dziewczęta.

W białych

rękawiczkach

bezszelestnie poruszają się pomiędzy drzewkami i coś z nich zrywają. Są

delikatne i zwiewne. Mam wrażenie, że jednym nieostrożnym ruchem

można je wystraszyć, jak łanie na polu. Ich długie, idealnie skrojone

suknie otulają ciała. We włosach połyskują maleńkie srebrne

dzwoneczki. Teraz czuję w nozdrzach zapach niemowlęcia i lasu.

A nieznanome dziewczęta swą aurą dopełniają tajemniczości miejsca.

Przechadzają się wolno, nigdzie się nie spiesząc, i delektują swoim

zajęciem.

– Gdzie jesteśmy? Jak tu pięknie, jaki orzeźwiający zapach, niczym

powietrze nad niezamieszkanym brzegiem jeziora! Czuję, jakby moje

płuca się bardziej otworzyły, a pory skóry również starały się wciągnąć

do organizmu jak najwięcej tej ożywczej woni – szepczę.

– Te kobiety zbierają w jedwabnych rękawiczkach młode pąki białej herbaty. Według starożytnej chińskiej metody listki nie mogą dotknąć skóry człowieka, aby nie zostały zanieczyszczone jej zapachem i potem. Takie dziewicze pędy poddaje się procesowi wędnięcia, następnie suszy i sprzedaje po niebotycznie wysokich cenach. Ta herbata jest droższa od srebra, a nabywców z roku na rok coraz więcej. Zwalnia procesy starzenia i podobno zapobiega nowotworom. Jest niczym nieskażona – odpowiada wilczyca.

– Jesteśmy w stanie zebrać jej trochę? Mogę tam pójść, powąchać, zobaczyć? Będę ostrożna, wilczyco, one mnie nie zauważą. Proszę! Chcę być taka jak one, lekka! Mam wrażenie, że unoszą się kilka centymetrów nad ziemią. To zjawy? A może duchy? Ludzie?

– Jaśmina, Jaśmina! – Ktoś nade mną powtarza moje imię.

– Nie ruszaj jej! Nogi do góry, na krzesło, krążenie wróci.

Dzwońcie po lekarza, szybko! Ooo... otworzyła oczy!

Czuję, jak ktoś klepie mnie na przemian po policzkach. Na czole mam ścierkę zmoczoną zimną wodą. Rozglądam się. Jestem w gościńcu Wygoda. Obok leżą niedbale porozrzucane karty. Karty! Momentalnie chcę się podnieść i je pozbierać, ale przytrzymują mnie silne, męskie dłonie.

– Karty! – krzyczę.

– Jaśmina, spokojnie. Co się stało? Pamiętasz coś? Chyba zemdlałaś. Pamiętasz, o której tu przyjechałaś? Ile ona mogła tu leżeć? –  
Dobiegają mnie różne głosy, ale nie to jest najważniejsze.

– No co wy, dajcie spokój – odzywam się w końcu. – Musiałam zasłabnąć, naprawdę. Cały dzień nic nie jadłam. Z nogą wszystko w porządku. Nie dzwońcie po lekarza. Beata, przestań już, dobrze? Nic się nie stało, muszę coś przekąsić i napić się kawy, to wszystko.

– Zwariowałaś! – krzyczy moja koleżanka, rumiana ze strachu i gorąca. – Dzwonię po lekarza!

– Przestań – warczę jak obrażona. – Ja chyba jestem w ciąży, już raz mi się to zdarzyło – kłamię jak z nut.

– Żartujesz? Ale numer! Jejku, jak ci zazdroszczę, ja to nawet nie mam z kim, bo wiesz, teraz znaleźć odpowiedniego faceta to trudno, ale jak już by był, to ja bym od razu chciała – mówi podniecona.

Wiem, na jaki temat skierować uwagę. Beata już podłapała wątek.

Pewnie w poniedziałek cała szkoła będzie wiedziała o mojej urojonej

cięży, lepiej jednak tłumaczyć się przed nią niż przed lekarzem. Tym bardziej że z pokaleczoną nogą w ośrodku nie byłam i to kłamstwo od razu wyszłoby na jaw, a wtedy to dopiero Beata zaczęłaby plotkować na całego. Niepotrzebne mi takie kłopoty. Tylko co się ze mną stało?

Znajomi pomagają pozbierać karty, chcę koniecznie je przeliczyć, ale oni prowadzą mnie do jadalni, gdzie panie kucharki podają obiadokolację. O dziwo, po tym wszystkim jestem głodna jak wilk. Oczywiście Beata musi skomentować, że jem za dwoje, więc na pewno jestem brzemienna, jednak jej uszczypliwe uwagi nie robią na mnie wrażenia. Jestem jakaś inna po tym zdarzeniu. Kontempluję swój wewnętrzny spokój, a dzieciaki mi w ogóle nie przeszkadzają. Nie słyszę ich hałasowania, skarg. Jakby coś pękło, a raczej jakbym zmyła z siebie brudy, które w sobie kisiłam. Z głośników płynie znana melodia – *Perłowa łódź* Antoniny Krzysztoń: „Kiedy przyplynie perłowa łódź, jak o tym śpiewa serce, ja cię zawołam na cały głos: nie, nie opuszczaj mnie już więcej”.

Myślę o Władku i dobrze wiem, że dopóki nie zaznam słodczy jego ust bądź goryczy zdrady, nie odzepi się ode mnie ta zachłanna namiętność. Wyglądam na zewnątrz. Jaskółki, przyjaciółki słońca, istoty, które rozumieją jego moc, fruują z prędkością promieni i śpiewają jak opętane. Krążą nad końskimi łbami, co chwila zahaczając o siebie skrzydłami. Kiedy tak odbywają te podniebne tańce, składają hołd temu,

co nadzieje – ultrafioletowej burzy. Potrafią rozmawiać z tym żywołem. Jeden grzmot i milion jaskółczych odpowiedzi. Na tle atramentowego nieba przypominają stado nietoperzy. Pierwsza błyskawica jest szybka niczym cięcie diamentowym nożem.

Czy one wiedzą, że upajam się nimi jak najlepszym winem? Tak mógłby wyglądać świat przed zagładą, przed potopem. Trąby jerychońskie bez opamiętania grmią w pokłonie matce naturze. Chłonę ten obraz. Wsysam go w siebie jak ostatniego maila od Władka. Jestem zakochana czy zauroczona? Bo to dwa odmienne stany pożądania. Mój mąż nie byłby w stanie opisać w ten sposób żadnego z naszych spotkań, tym bardziej nierealnego. Znajomi na moją prośbę przynoszą laptop do jadalni. Mówię im, że muszę sprawdzić wyniki morfologii krwi. Mogę je odebrać przez internet, wpisując odpowiednie hasło na stronie przychodni. Oczywiście chcę przeczytać list od Władka.

*Luba ma!*

*Cóż za historia! Mam złudne wrażenie, że wspólnie piszemy rozdział jakiejś fantastycznej książki, w której głównymi bohaterami są dobro i zło wyruszające w poszukiwaniu ukrytego pod ziemią szczęścia. Jądra miłości. Nie strać kontaktu z tymi szeptuchami, bo mogą okazać się Twoimi jedynymi przyjaciółkami. Czasami tak jest, że gdy*

*potrzebujesz schronienia przed nawałnicą, cichy port znajdziesz u nich,  
a nie pod matczynym dachem.*

*Ja markotny, aż do znudzenia, tak bardzo pragnę ujrzeć Twoją  
cudną twarz. Już nawet nie kryję się ze słowami, bo i tak wiesz, Ty  
wszystko wiesz, bo przenikasz mnie do środka, a jedyny ból tkwi w tym,  
że nie możemy przenikać się realnie. Nawet nie zauważyłem, kiedy stałaś  
mi się taka bliska. Jesteś częścią mojego świata, a już nie okłamując  
siebie, przyznać muszę: jesteś moim światem, tak bardzo ukochanym,  
upragnionym, niedopowiedzianym, za którym mocno tęsknię. Odrabiam  
wszystkie chwile nieobecności, pisząc kolejne części tej (tele)noweli.  
Piszę Tobą i dla Ciebie. Jesteś moją ukochaną i wciąż niedoścignioną.*

*Uwielbiam*

*Twoje*

*wilcze*

*historie,*

*jesteś*

*w nich*

*prawdziwą,*

*nieujarzmioną feministką, a zarazem mamą gołębicą.*

Dzisiejszej nocy duchem jestem w Warszawie. Dzisiejszej nocy

jestem w nie swoim ciele, z nie swoimi myślami. Wszechświat mi  
sprzyja, otula ciepłem kołdry. Nieopodal konie rżą, a ich dźwięki  
roznoszą się po całej okolicy. Lena kończy swoje wielkie małe  
malowania, ocieplając nimi ludzkie serca. Zosia leczy rany i stawia opór  
nieprzyjacielowi, a ja każdym porem skóry jestem sobą. Taka, jaką  
zawsze  
chciałam  
być.

Naturalną  
kobiecością,  
bez  
silikonów

i wydumanych zabiegów, bez skalpela i plastiku. Zasłuchana w siebie  
i listy od Władka, zasypiam. Jutro wracamy na Mazury, do moich lasów,  
zwierząt, do mojej wilczycy.

\*\*\*\*\* Co dolega? (biał.)

\*\*\*\*\* H. Starowieyska, *op. cit.*, s. 19.

Gnam do szkoły z duszą na ramieniu, bo jestem spóźniona.

Poranna kłótnia z mężem całkowicie wytrąciła mnie z równowagi. Nie jestem w stanie się z nim dogadać, nie potrafię żyć w brudzie, który wokół siebie wytwarza. Albo ja jestem pedantycznym wcieleniem psychopaty, albo on zaczął obrastać tym swoim zgnuśnieniem. Może już chodzić, a nigdzie nie wychodzi. Nawet na spacer dookoła domu nie pójdzie. Siedzi przed telewizorem albo komputerem i milczy. Kiedy ostatnio opowiadałam mu o szkolnej wycieczce, nawet na mnie nie spojrział, tylko grał w jakąś durną grę. W pewnym momencie w swoją opowieść wplotłam zdanie: „...później zobaczyliśmy wielkiego niebieskiego smerfa z niebotycznie długim gilem pod nosem”, i czekałam na jego reakcję, a on nic. To znaczy, że w ogóle mnie nie słuchał. Gdy już wychodziłam, poprosił o kanapki. Jeśli chcę sprawdzić, czy mój mąż żyje, krzyczę z drugiego pokoju: „Jesteś głodny?”. Odpowiedź otrzymuję natychmiast.

Dziś poszło o syf w jego pokoju, bo od jakiegoś czasu sypiamy oddzielnie. To nie jest bałagan spowodowany użytkowaniem pomieszczenia, ale totalny syf. Domowe prace kobiet chyba nigdy się nie kończą, dlatego nie mamy czasu na indywidualne zajęcia, na kreowanie własnej twórczości. To nas zabija, a przynajmniej mnie. Każda z nas lubi się krzątać po domu, dobierać zasłonki, dywaniki, sadzić kwiaty i ozdabiać ciepłym szare kąty, ale gdy nadwyręża się nasze poczucie



estetyki, to jesteśmy w stanie uciec do lasu i siedzieć tam przez tydzień.

Podminowana wchodzę do szkoły i nieostrożnie uderzam kogoś w drzwiach, mimo to idę dalej. W pokoju nauczycielskim mam nieodparte wrażenie, że wszyscy dziwnie na mnie patrzą. Może trochę schudłam pod wpływem ostatnich wydarzeń, ale nie wyglądam ani nadzwyczajnie pięknie, ani brzydko. Na lekcji uczniowie coś między sobą podszeptują, śmiejąc się filuternie, jednak gdy pytam ich, czy może jestem brudna, nie uzyskuję odpowiedzi. Udają, że notują w zeszytach. Są dziwnie podnieceni. Kiedy kończę pracę i wychodzę z budynku, odjeżdżająca samochodem koleżanka otwiera szybę i krzyczy: „Gratulacje!”. Odpowiadam jej uśmiechem, ale zupełnie nie wiem, o co chodzi.

W drodze do domu robię zakupy, a po powrocie ogarniam domowe pielesze i siadam wygodnie pod jabłónką z moją ulubioną gazetą. Jedną ręką karmię dziecko bawiące się w piaskownicy, drugą – wertuję kolejne strony. Nagle, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, zauważam wytłuszczonym drukiem swoje nazwisko. Podejrzewam, że mi się przywidziało, ale nie. To moje imię i nazwisko! Wygrałam konkurs! To niemożliwe! Przecież zadzwoniliby do mnie wcześniej z redakcji albo chociaż wysłali maila. Boże, jaka jestem głupia – zmieniałam w tym czasie numer telefonu! A mail? Biorę Marysię na ręce i biegnę do komputera. Otwieram plik z dokumentami i widzę popełnioną literówkę,

nawet dwie, w moim kwestionariuszu. Trzęsąc się z wrażenia i podekscytowania, chwytam za telefon i dzwonię do redakcji. Za szóstym razem udaje mi się połączyć. To nie jest sen. Moje opowiadanie wygrało główną nagrodę! A kawałek historii wydrukowano w tym numerze! Dopiero gdy czytam to, co ukazało się na łamach gazety, rozumiem, dlaczego pół szkoły patrzyło na mnie z takim zainteresowaniem:

*Ech, te pijackie imprezy integracyjne. Kto to wymyślił? Chciałoby się zapytać: co artysta miał na myśli? To pole do popisu dla tanich lowelasów chcących zaimponować średnio rozgarniętym koleżankom z pracy, przekąsić coś w tę jedną pijacką noc, i bynajmniej nie chodzi o kielbaskę z ogniska. Na pewno zaś nie z tego ogniska, w które wlepialiśmy teraz oczy, śledząc z nudów przygasający płomień. Tej imprezy już zapewne nic by nie uratowało, zwłaszcza że grono przybrało dziwnie szowinistyczny charakter. Właściwie nie było w tym nic nadzwyczajnego, skoro firma zatrudniała w siedemdziesięciu procentach*

*płytkich, bezrefleksyjnych, beznamiętnych, bezideowych frajerów podążających z góry obraną nie przez siebie ścieżką. A zarządzał nimi jeszcze większy frajer. Ten ostatni miał najlepiej także z innego powodu. Właśnie wciągnął w krzaki ostatnią nietkniętą tej nocy dziewicę i tylko czekaliśmy, aż z oddali napłyną dźwięki mocno charakterystyczne dla wyjazdu integracyjnego.*

*Oprócz wszędobylskiego disco polo słyszeć było jedynie jęki zaspokajanej podwładnej, która pomyślała, że dzięki kilkuminutowej akcji w krzakach zdoła dochrapać się własnego biurka. To właśnie jej odgłosy były tej nocy czymś nieodłącznym i niezapomnianym.*

*Przynajmniej dla większości zapracowanych kolegów, którym już po pierwszym tygodniu z przepracowania opadało wszystko, co mogło opaść facetowi. Ich kobiety nie mogły być zazdrosne o nic, z wyjątkiem czasu, który poświęcali na realizowanie kolejnych projektów. W tym czasie skoki w bok stały się bardziej prawdopodobne w przypadku ich małżonek i dziewczyn. Nie zmieniało to jednak faktu, że „wyższe stołki zawsze dostawały” to, czego chciały. Przelotność znajomości była więc stanem naturalnym podczas integracji w plenerze.*

*Wiesz zapewne, jak czuje się ktoś, kto wpatrując się w dogasające ognisko, nagle uświadamia sobie, że te kilka tłących się gałęzi jest*

właściwie idealnym odwzorowaniem jego własnego losu? Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień jest w nim pewnie coraz mniej siebie. W tej branży należało nie tylko pogodzić się z brakiem wolnego czasu, ale przede wszystkim zdehumanizować. Wyjazdy tylko pozornie miały na celu integrację, w rzeczywistości skłaniały do popadania w jeszcze większe zezwierżenie. Stawaliśmy się bandą wygłodniałych baranów. Żłotaliśmy wodę, żeby zapomnieć o gównianej robocie, która jednak wydawała się nie do przecenienia, bo innej nie było i w najbliższym czasie nie miało być. Zapijaliśmy smutki, samotność i zagubienie w wielkim mieście. Kiedy przyjechałem tu kilka lat temu, miałem pewność, że normalny człowiek nie może żyć w ten sposób: mijać beznamiętnie miliony głów na ulicy, nie okazywać żadnego zainteresowania światem, przemykać przez codzienność, coraz bardziej wkręcając się w pościg. Nie wiesz oczywiście za czym, ważne, by nie być ostatnim.

„Ostatni gasi światło, ostatniego gryzie pies, ostatni zawsze zostaje w matni – śpiewa zespół Strachy na Lachy w piosence Ostatki. – Wisi u szyi ostatni kamień i lzy ostatnie schną pod poduszką”. Cierpiałem coraz mocniej. Wszystko okazało się prawdą. Trafiłem do samego środka, wrzucony w pogoni za tym, aby nie zostać ostatnim. Wiesz, jaki jest następny etap? Pogoń za własnym ogonem.

*Miałem dość gapienia się w ten promyk złudnej nadziei, pozorne światelko w tunelu, które dostrzegało zapewne jeszcze kilku innych koleśi polewających „czystą” do plastikowych kubków. To był mój ostatni, kończyły mi się rezerwy zdrowego rozsądku, chyba przekraczałem granice zalewania problemów, a dochodziłem niemiłosiernie do strefy resetu. Dla mnie ta impreza zdawała się kończyć, zwłaszcza że po nieudanej próbie postawienia się do pionu wylądowałem twarzą w jakiejś lepkiej mazi, mając jedynie skromną nadzieję na to, że nie był to krowi placek. Nie zdążyłem się jednak tego dowiedzieć, gdyż moja głowa zanotowała wszystko tylko do momentu upadku. Potem wyjazd integracyjny przybrał zupełnie inne barwy.*

*Nie wiedziałem, w jaki sposób trafiłem do lasu. Przeróżająco ciemnego, bez ludzkiego gadania, za to z nieskończonym szelestem, szmerem, a nawet czymś w rodzaju oddechów wypuszczanych przez wygłodniałe zwierzęta. Trwałem w tym odrętwieniu pewnie kolejne kilkanaście minut, czekając na ich ruch. W końcu znajdowałem się w centrum ich świata, byłem podległy temu miejscu, które w bezksiężycową noc całkowicie mnie zniewalało. Dawno nie czułem w sobie takiej bezsilności. Mogę startować w wyścigu ulicami wielkiego miasta, zdążyłem nawet się przyzwycząić, ale tutaj byłem całkowicie pozbawiony możliwości ucieczki. Komórka? Bez zasięgu. Gdy zdawało*

*się, że leśne odgłosy nieco ucichły, podjąłem niezwykle ryzykowną próbę działania. W tych warunkach każdy następny krok urastał do rangi wielkiej i odpowiedzialnej decyzji. Było na tyle mroczno, że stawiałem stopę delikatnie, jak gdyby w obawie przed ruchomym gruntem, który miałby ochotę wchłonąć małego człowieczka, zedrzeć z niego skórę naiwnego korporacyjnego śmiecia i odsłonić całą prawdę.*

*W ciągu kilku chwil stałem się bardziej prawdziwy niż przez całe życie. Sprawiał to las, nie wiem jak wielki, jak głęboko w nim tkwiłem. Jak tu dotarłem? Stojąc w miejscu, nic bym nie zdziałał, dlatego z intuicją poczciwego, służalczego podwładnego ruszyłem coraz odważniej w kierunku przełamywania własnych lęków, odkrywania nieznanych obszarów. I chociaż wątpliwe, że wtedy też z kimś lub czymś się ścigałem, to instynkt podpowiadał mi następną gonitwę. Tym razem rywalem stały się drzewa. Wpadałem na nie coraz rzadziej, wzrok przyzwyczał się do mroku, ale musiałem wykazać się zmysłem sportowca, najlepiej wybitnego slalomisty mijającego kolejne przeszkody z wielką wprawą. Zwłaszcza że z czasem mój powolny, ostrożny chód zaczął przypominać bieg. Pulsowała mi krew w żyłach, czułem coraz większe zenerwowanie, jakby odzywał*

się

we

mnie

jakiś

*klaustrofobiczny lęk, mimo że otaczała mnie otwarta przestrzeń. Ciemny i nieznany ląd sprawiał jednak, że możliwości działania ograniczały się do minimum, ręce i nogi funkcjonowały sprawnie, ale przeczuwałem zbliżający się paraliż, który już zdążył zawładnąć moją mową. Dziwne, że w tak trudnej sytuacji nie dość, że nie byłem w stanie wykrzyknąć błagalnej prośby o pomoc, to w dodatku nawet nie odkrywałem w sobie tego charakterystycznego dla ludzi daru mówienia. Jakbym stał się częścią tego miejsca, które żyło ciszą. Może jednak nie odczuwałem potrzeby krzyku. A w każdym razie stawała się ona coraz mniejsza.*

*Biegłem, spocony i niemal całkowicie trzeźwy. Lądowałem co jakiś czas na kolanach, innym razem moją twarz atakowały i kaleczyły niewidzialne gałęzie. Musiałem wyglądać co najmniej dziwnie, coraz bardziej dziko, zwłaszcza że również moje ubranie rozrywało się w coraz większym stopniu. Horror trwał, potęgowany odgłosami zwierząt, które musiałem kątem oka dostrzegać, ale zbyt przerażony tylko przyspieszałem kroku. Na pewno zaś czułem, że co pewien czas ocieram się o jakieś futro, wymijam leśnych mieszkańców, którzy wywołują mrozący dreszcz na moim ciele. W tym biegu chyba zapomniałem*

*o integracyjnym ognisku, tej pustej, irracjonalnej walce o alkohol i seks, a skupiłem się całkiem serio na walce o życie. Przed oczami stawał mi z coraz większą intensywnością obraz rozszarpanej istoty, odnalezionej nad ranem przez leśników. Będą stali nad moimi zwłokami, a raczej nad tym, co po nich zostanie, z dziwną pewnością przyznając, że jestem kolejną ofiarą zbyt mocno zakrapianego firmowego spędu – i będą niestety mieli rację. Dla pewności, że nie dostarczę im takiej sytuacji, przyspieszyłem ponownie, zmniejszając jednocześnie przerwy na odpoczynek.*

*Kiedy  
w oddali  
zauważyłem  
mniej  
zalesioną  
przestrzeń,  
przypomniałem sobie o światełku dogasającego ogniska. Blask wyjścia z mrocznego lasu był znacznie bardziej optymistyczną perspektywą, wręcz podniecającą. Mogłem poczuć się jak długodystansowy biegacz, który pokonuje ostatnie kilkadziesiąt metrów i wpada na metę z ulgą i szalem nieopisanej radości. Tak się czułem, mijając ostatnie rzędy drzew, uciekając od koszmaru, na który skazałem się z własnej głupoty, prawie jak na pokutę za przekroczenie granic rozsądnego picia. Czułem*



*ulgę, ale miałem w sobie także pewną dozę niepewności, co też czeka mnie na zewnątrz. Chyba nie może być jeszcze gorzej? A jeśli wkraczam na teren prywatny, gdzie mogę zostać pozbawiony życia z powodu nielegalnego wtargnięcia? W końcu mój aktualny rysopis bardzo pasował na przykład do uciekiniera z zakładu karnego. Albo notorycznego gwałciciela, złodzieja, mafiosa uciekającego od bandy podkurwionej lokalnej konkurencji. Mogłem być każdym, tylko nie normalnym człowiekiem. Wytaczałem się z lasu w nieznane, przez moment nawet odczuwając niepokój, że dotąd dawał mi schronienie i poczucie bezpieczeństwa, a teraz zostawia mnie na polanie jak kaczkę do odstrzału, szybko jednak pozbyłem się tych myśli. Widok, który ukazał się moim oczom, nie uspokajał co prawda do końca, ale na pewno dawał nadzieję na ratunek.*

*Na środku polany siedziała otoczona watahą wilków, piękna i tajemnicza kobieta. Rozmawiała z dzikimi bestiami jak z wyjątkowo bliskimi sercu istotami. W pierwszym odruchu miałem ochotę biec na ratunek, ale oceniwszy w pełni sytuację, zdałem sobie sprawę z tego, że je oswoiła. Tulila i głaskała ich sierść, a cały obrazek przypominał jakąś ryzykowną, a jednocześnie podniecającą grę. Był to widok tak niespotykany, że skłaniał do patrzenia i oczekiwania na ciąg dalszy. Nagle uświadomiłem sobie fenomen tej sceny i całej sytuacji, której stałem się mimowolnym bohaterem. Mroczny las wchłonął mnie,*

*pochwycił w swe sidła, sprowadził do stanu walczącego o przetrwanie i dał nadzieję. Być może jednak starał się ratować mnie od „ludzkiego zezwierżenia”, w jakie popadłem, dołączając do wielkowiejskiej gonitwy, by nie być tym „ostatnim”. W świecie, do którego trafiłem, kolejność wydawała się nie mieć żadnego znaczenia, mimo że w zachowaniu zwierząt dało się dostrzec pewną hierarchię. One jednak nie mają na nią wpływu, przekazują sobie niektóre nawyki z pokolenia na pokolenie. My możemy poddać się lub walczyć. Wybieramy miejskie zniewolenie, które najbardziej uświadamiamy sobie w tym pięknym zielonym krajobrazie: oczyszczającym, podniecającym i wciąż nienaruszonym. Miejscu, którego jeszcze nikomu nie udało się zniszczyć, gdzie nadal trwa nie tylko dzika przyroda, ale i jej pełne porozumienie z człowiekiem. Paradoksalnie właśnie tutaj wypełnia się czas, wracając do swego początku.*

*Dziewczyna z wilkami hipnotyzowała mnie coraz mocniej. Trwało to może godzinę, może kwadrans, może jeszcze krócej, kiedy uświadomiłem sobie, że nie jestem sam w roli natarczywego podglądacza. Kilkanaście metrów dalej zobaczyłem kobietę, która*

*z równie wielkim przejęciem i skupieniem podglądała towarzyszkę wilków. Gdy uczyniłem kilka kroków w jej stronę, kolejne moje odkrycie tylko potwierdziło, że w powietrzu wisi energia nie z tej ziemi.*

*Ciepły, łagodny wiatr odślaniał krągłe piersi podglądaczki.*

*Siedziała z lekko rozsuniętymi nogami, przykryta suknią niczym chustą, pod którą kryło się już tylko jej nagie ciało. Włosy opadające na ramiona były mokre – nie wiem, czy od energii pulsującej w jej ciele, czy bardziej od wieczornej rosy. Nie mogłem do końca uwierzyć w to, co widzę, ale sam jeszcze w lesie odkryłem dziwną energię przyprawiającą mnie o przyjemne dreszcze. Być może ten wilczy rytuał odkrywał przed kobietą coś więcej, jakiś rodzaj zakazanego spełnienia, którego szuka się, ryzykując normalne, codzienne życie. Energia przepływająca od magicznego widoku kobiety z dzikimi zwierzętami przez dotykającą swego ciała obserwatorkę trafiała do mnie coraz intensywniej i rozjaśniała wszystko. Może tylko moja głowa potrzebowała tego „zmyślenia”, tej ucieczki od totalnej pustki w stronę nieznannej natury, która daje się udobruchać i umożliwia odkrycie prawdy o sobie. Nie wiedziałem, jak zareagować na tę krępującą sytuację, pewne było jednak, że nie mogę długo pozostawać w ukryciu. Kobieta zaintrygowała mnie i odarła z obłudy, zawstydziła i sprowokowała, zakłopotała i jednocześnie zachwyciła, uczyniła odważnym. Musiałem dać jej znać, że uczestniczymy w tym rytuale oboje, a może raczej we trójkę.*

*Gdy zrobiłem kilka kroków, mogłem już być pewien niektórych rzeczy. Moja towarzyszka była młodą kobietą o pięknym ciele. Czasem siadała na trawie, a czasem tańczyła pomiędzy gałęziami. Jej piersi falowały, a złożone ku niebu ręce wirowały pośród liści. Czuję się fatalnie w roli intruza z lasu. Może chciała być sama, uciec od świata, znaleźć ciszę i spokój, upragnioną rozkosz, która jest tylko jej, którą nie musi dzielić się z nikim? We mnie jednak tkwił również pewien imperatyw polegający na chęci dowiedzenia się, co tak naprawdę nią kieruje, czemu znalazła się w takim miejscu, dlaczego obrała je za cel samotnej wędrówki śladami swych pragnień. Niezdarnie musiałem zaznaczyć swoją obecność, łamiąc butem jakąś gałąź. Nieznajoma z przerażeniem w oczach przerwała swój taniec – tak jak przypuszczałem – zabiłem chwilę, w której odpływała coraz dalej od rzeczywistości. Pospiesznie zakrywała częściowo odsłonięte ciało, w milczeniu zbierając się do ucieczki, a ja nie miałem odwagi wypowiedzieć słowa, które by ją zatrzymało. Stłumiła mnie jak ten las, przez który przedzierałem się z wielkim trudem. Było mi głupio i smutno, że ta historia będzie miała takie zakończenie.*

*Kobieta odwróciła się plecami i uczyniła kilka kroków, po czym stanęła. Musiałem ją przerażać, bo wyglądałem jak siedem nieszczęść po*

*leśnej wędrownicy. Jeśli dodać do tego brak jakichkolwiek słów, które wypłynęłyby z moich ust, choćby tylko „przepraszam”, musiałem sprawiać wrażenie doprawdy pierwotnej istoty. Równie dobrze mogłem być towarzyszem wilków otaczających obserwowaną przez nas kobietę albo ich dzieckiem, które po raz pierwszy poczuło potrzebę wyjścia na zewnątrz. Może właśnie nim byłem? Może cała reszta: ten wyjazd, te wielkowiejskie gonitwy, była tylko urojeniem, pozostałością ludzkiego pierwiastka? Może byłem bohaterem jednej z tych niesamowitych historii o dzikich dzieciach wychowanych przez zwierzęta? To by przynajmniej wyjaśniało nieumiejętność mówienia.*

*Chyba pomyślała o mnie w ten sam sposób, bo obróciła się w moją stronę i podeszła kilka kroków. Dostosowała się do mnie pod względem niemej rozmowy. Wszystko musiała widzieć w moich oczach, na pewno zaś nie mogło jej uwadze umknąć podniecenie, które rysowało się na mojej twarzy. Stała przede mną bardzo blisko i chwyciła mnie za rękę. Następnie złożyła pocałunek na mojej dłoni, przyłożyła ją do swego policzka, a potem przesunęła niżej. Teraz mogłem po części doświadczyć rozkoszy przemierzającej jej gorące ciało pobrudzone ziemią, z którą się niedawno stykało. Dotykałem pięknych piersi, najpierw jednej, później drugiej. Kierowała mną jak uczniem albo po prostu pozwalała poznać siebie, zanim wchłonimy się w całości. Przywarła do mych ust, chwyciła zębami dolną wargę i mocno pociągnęła. Następnie powtórzyła ten*

*zabieg kilkakrotnie, po czym przeniosła się na szyję. Moja ręka w jej władaniu też zmieniła położenie. Teraz przemierzała wnętrze ud. Miałem rację – pod zwiewną sukienką nie miała nic.*

*W mojej głowie zapanował prawdziwy mętlik, wszystkie obrazy zaatakowały naraz ze zdwojoną siłą. Ognisko, alkohol, las, wilki, piękna nieznajoma i ja – dziki, odkryty na nowo. Teraz zrozumiałem sens drogi, z której zboczyłem. Może przypadkiem, a może w życiu nie ma przypadków? Nieznajoma kobieta dająca mi rozkosz była wspaniała.*

*Moje ciało domagało się wyzwolenia. Ona widziała i czuła to doskonale, gdyż powoli przesuwała swoje dłonie poniżej linii mojego brzucha.*

*Oddając się temu całkowitemu upojeniu, kątem oka dostrzegłem wilki wracające do lasu. Mijały nas zupełnie niewzruszone. Energia tych istot udzieliła się nam, bo zjednoczyliśmy się, czując ich zapach, pot i pęd.*

*To największy paradoks życia – jeśli nie wiesz, dokąd iść, aby poznać całą prawdę o sobie, musisz zboczyć z wydeptanej ścieżki, skręcić z wytyczonego szlaku, poczuć strach, pot. Odkryć na nowo to, co zgubione, stworzyć to, czego do tej pory nie miałeś odwagi stworzyć.*

Historię, którą opisałam, opowiedział mi Władek. Podobno u niego

w pracy tak wyglądają imprezy integracyjne, które odbywają się dwa razy w roku. Próbowałam wejść w jego skórę. Wymieszałam rzeczywistość z fikcją. Naga kobieta w lesie to chyba ja i moje fantazje. Fragmenty bardziej namiętne zostały wycięte. Wcieliłam się w rolę mężczyzny, ale to chyba nic złego? Może właśnie ten fakt spowodował przychylną decyzję jury? Już będąc małą dziewczynką, zastanawiałam się, jakie kobiety by mi się podobały, gdybym urodziła się facetem. Zawsze byłam zdania, że chłopcy mają łatwiej. Nie muszą z takim namaszczeniem dbać o siebie, jak to czynią kobiety, poza tym uważam, że z wiekiem stają się obiektem coraz większego pożądania choćby ze względu na siwe skronie, drobne zmarszczki, barczyste plecy i bagaż doświadczeń. Kobiety niestety mają gorzej. Muszą poświęcić więcej czasu i energii na ćwiczenia i zabiegi pielęgnacyjne, szczególnie po ciąży, ale to właśnie my jesteśmy wytrwalsze. To my posiadamy wilczą intuicję oraz instynkt. Swego wilczego stada nie oddałabym nikomu!

Podejrzewałam, że wydawca zechce czegoś mocniejszego, a tu masz! Jaka niespodzianka! Władek zwariuje! Przecież napisałam to dla niego. Wygrałam! Wygrałam! Nie mogę wyjść z transu. Biegnę do męża, który, o dziwo, nie śpi. Czekam z duszą na ramieniu, co powie po przeczytaniu opowiadania. Taki tekst pióra nienaganej nauczycielki – przecież będzie to czytała cała rodzina! Ale ja okres wstydu mam już za sobą. Idę śladami Clarissy Pinkoli Estés, która powiedziała kiedyś, że prawie każda kobieta jest wyrzutkiem we własnej rodzinie, bo chcąc

odbiegać od utartego stereotypu matki, naraża się na oszczerstwa. Gdy ma w sobie tyle siły, aby „przetrwać” w domu, w którym nie ma sztuki, nie czerpie się z jej pokładów energii do życia i samodzielnego tworzenia, to już jest jej ogromny sukces. Jeżeli zachowa swoją niepowtarzalność na jałowej glebie i przezwycięży strach przed wyimaginowanym wygnaniem, może o sobie powiedzieć, że jest prawdziwa i silna. Jednak to z pozoru niewinne myślenie przeradza się z czasem w samouwielbienie, które hamuje dalszy rozwój, bo kobieta wie, że jej się udało i nie porzuciła własnych marzeń, ambicji. Nie robi jednak już nic więcej, aby je realizować.

Pora, by nadać sobie nowe imię, które odświeży sposób patrzenia na siebie. To imię ma być wyzwaniem, czerwoną płachtą na rozwścieczonego byka. Propozycje są przeróżne: malarka, rzeźbiarka, śpiewaczka, grotolazka, pływaczka. Moje nowe imię to pisarka! Nie jestem już tylko matką Polką, ponadprzeciętnym pedagogiem. Jestem również pisarką! I to jest właśnie ta pełnia, w której będę wzrastała jak egzotyczna roślina. Ile szczęścia wiruje we mnie. Boże, jak wspaniale żyć i podejmować wyzwania! Skaczę z radości, a Joachim czyta i coraz bardziej otwiera oczy ze zdumienia. O dziwo nie gani, tylko ze stoickim spokojem gratuluje. Jest zaskoczony, że potrafię przelać na papier takie filozoficzne rozważania... i ta odrobina namiętności. Pobudza go do tego stopnia, że chce się kochać, ale nie mamy co zrobić z Marysią, więc przekładamy ucztowanie mojego sukcesu na wieczór.



Gdy zapada zmierzch, szybkoitko kładę dziecko spać. Jestem tak podekscytowana, że myślę tylko o udoskonaleniu konspektu książki. Mam tyle różnych pomysłów, wątków, które muszę od razu zanotować. Czuję się jak w transie, co chyba w świecie artystów nazywane jest wena – gdy ręce i myśli same prowadzą i nie nadają się ze stawianiem kropek i zapisywaniem słów. Wilczyca w obłąkańczym tańcu biegnie przez pola, wierzgając łapami. Widzę ją oczami wyobraźni. Znowu dodaje mi energii, krzycząc:

– Nie poddawaj się, nie poddawaj się, ten moment należy do ciebie, pisz!

Jest beztroska i wolna. Przybyła po to, by pokrzepić zranioną duszę, dać upust emocjom, fantazjom. Ale chyba najbardziej cieszy się z tego, że udało się doprowadzić mojego ducha do takiego stanu. Swymi znakami przywiodła mnie do celu, z którym muszę dalej już mierzyć się sama. Czuję, że nie mam na nogach kajdan blokujących każdy krok.

Pękły, gdy tylko uświadomiłam sobie, jaką mam wewnętrzną moc. Mogę biec na skraj świata, wszędzie, gdzie tylko zechcę, bo to siła umysłu i pozytywnej woli napędza każdy mój ruch. Kiedy już zdobędę jeden szczyt, z góry zobaczę, ile jest jeszcze nieodkrytych.

Kończę pisaninę, zeskakuję z łóżka, biegnę do łazienki, aby wziąć

szybki orzeźwiający prysznic, i pędem do drugiego pokoju, gdzie przebywa mąż. Otwieram drzwi i od progu czuję znajomy zapach alkoholu. Zapalam lampkę stojącą tuż obok mnie, na stole widzę otwartą butelkę wódki.

– Piłeś wódkę sam? – Nie słyszę odpowiedzi, więc pytam jeszcze dwa razy.

– No i co z tego? Wódka jest dla ludzi – bełkocze Joachim.

– Jak mogłeś upić się w samotności? Nie wstyd ci? – Machając rękoma po próżnicy, coraz bardziej podnoszę głos.

– Chciałem się lekko zrelaksować i jakoś tak wyszło – kolejny bełkot wydobywa się z jego ust, po czym Joachim opada twarzą na poduszkę.

Wpadam w furję, wydaję z szafki alkohol i chowam go gdzie indziej. W puste miejsce wkładam karteczkę z napisem: „Mówisz, że nie jesteś uzależniony?”. Jestem pewna, że kolejnego wieczoru również tu zajrzy. Wiedząc, że dziecko śpi i nie usłyszy moich wrzasków, wykrzykuję całą złość na niego. Lubi wypić piwo albo dwa – zresztą ja też – ale nigdy w życiu się nie upijał! Mógł być lekko podchmielony, jak to się mówi „wstawiony”, ale pijany?! I to pije sam ze sobą i swym

najlepszym przyjacielem, czyli telewizorem! Już nawet zapomniał, że mieliśmy się kochać. Czekać na mnie, tak się nudził, że musiał się do tego stopnia zrelaksować? Największym wstydem dla mężczyzny jest moment, kiedy zostawia rozpaloną kobietę samą sobie. To właśnie wtedy u niej przychodzi geniusz cielesnego piękna z zapotrzebowaniem na miłość i rozkosz.

Już nie krzyczę, ja się drę, ocierając łzy z policzków. Mam wizję naszej przyszłości: ojca alkoholika i zaniedbanej żony z trójką dzieci. Joachim nie reaguje. Z alkoholem jest jak z narkotykami: najpierw marihuana, potem coś twardszego, najpierw piwko, później wódka. Kiedy zaczynam się trząść z nerwów, uświadamiam sobie, że przecież to nie ja się upodliłam, tylko on. Soma i psyche w jednej sekundzie kołyszają się do snu. Boli mnie urażone ego – wyszorowana, szczęśliwa ja, która czekała na seks. Ale przecież jest ktoś, kto mnie pragnie, prawdziwie i potężnie. Zdrada niejedno ma imię. Moja rośnie w siłę i nazywam ją za poetką Marią Komornicką „samotnością w więzieniu z odwróconych pleców”. Nie chcę jej znać, ale przychodzi nieproszona, wkrada się szczeliną, która powstała po kolejnym przekroczeniu Rubikonu.

Trzaskam drzwiami i szlochając na głos, siadam w kuchni przed laptopem. Wyciągam z szafki zeszłoroczną pigwówkę, ale nie piję, gdyż w jednej sekundzie uświadamiam sobie, że w ten sposób nie byłabym wcale lepsza od męża. Z wolna alkohol zaczyna mnie obrzydzać.

Zauważam w sobie pewną zależność: im więcej przy mnie się je i pije,  
tym bardziej stronię od tych rarytasów. Im więcej kłamstwa i obłudy,  
tym bardziej dusza łaknie czystości i spokoju. Zielony kwadracik  
Władka czeka na mnie jak zwykle, więc wylewam z siebie cały brud  
wieczoru. Bardziej niż wygrany konkurs cieszy go wiadomość  
o nieskonsumowanej nocy. W co drugim zdaniu zapewnia mnie  
o urodzie i niebywałym intelekcie. Gdyby był obok, zrobiłabym to bez  
najmniejszego oporu. W uszach mam piosenkę, która obłaskawia dwie  
twarze Jaśminy.

*Zemsta! Zemsta esencjonalna, krwawa, gęsta! Zemsta! Rozkosz,  
dla której warto żyć! Ta niebanalna i nieczęsta. Kto przeżył ten stan, ten  
gotów cierpieć, by się mścić. Zemsta! Rozkosz, dla której warto żyć! O,  
ukochany, przyjdź i skrzywdź mnie! W zachości nudnej przestań tkwić.  
I tak po mojej krzywdzie na swoje wyjść mi przyjdzie, bo się będę mścić.  
Zrób jakieś świństwo mi, co na nie przeciętnej świni nie stać jest – ja ci  
odpłacić za nie na pewno będę w stanie najpiękniejszą z zemst!*

*Aaaaaaa!!! (krzyk) Zemsta!... Nie, to żalotne – taki prztyczek,  
kamyczek drobny, słaby rzut. Na coś innego liczę, chcę z bólu  
zaskowyczeć, czuć odwetu głód! No, spróbuj celniej, mocniej jeszcze.  
Nareszcie, och, jak trzeba cios! Od niego czuję i wrzeszczę. Zemsty to  
jest głos! Aaaaaa!!! Zemsta!...*

To wszystko, co w tej piosence, jest we mnie. Krzyk ulubionej piosenkarki połączony z tekstem Kabaretu Starszych Panów. Ostatnie krople łez jak perły z przerwane go naszyjnika padają na stół, a melodia koi serce. Usta stopniowo się rozchylają. W błogim uśmiechu poddaję się drapieżnemu flirtowi. Zaczynam rozmowę z Władkiem na czacie. Czy ja robię coś złego? Przecież mój własny mąż mnie nie chce. W głowie mam wyraz twarzy śpiewaczki, z aktorską gracją nuta po nucie wkłada na białe dłonie czerwone koronkowe rękawiczki. Jaka ona seksowna... i ta czerń jej włosów, błysk krwistoczerwonej szminki.

Zdrady nie trzymają się ścisłych reguł, nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś przetnie ci drogę. Ja sama jestem jak wilk w stadzie, ale samotny. Zdrada jest pomyłką czy wybranką serca? Przychodzi jak nieproszona śmierć albo przygotowujesz się na nią z roku na rok, z dnia na dzień, z minuty na minutę. Wchłaniasz w siebie, przyswajasz tę myśl i umierasz lub rodzisz się na nowo w spleceniu z innym ciałem. Gdy samotność puka do bram, znikają pokora i szacunek. Szóste przykazanie istnieje wtedy jedynie na kościelnych tablicach z kamienia. Liczą się tylko zdrada i zemsta – nieodłączne małżeństwo wszech czasów, agonია duszy.

Lena podsyła kolejny obraz. Jedyne, co w nim widzę, to tytuł:

*Macki*

*samotności.*

Symboliczne

przyswajanie

nowych

wód

rzeczywistości. Miłość jak wodorosty oplata i wciąga. Orientujesz się, że

toniesz, dopiero wtedy, gdy już nie ma ratunku. Nie ma życia bez

problemów, jednak trzeba je przewycięzać z szacunku dla ciała

i przyrody.

Całą szkołę obiegła wieść o nowej pani dyrektor. Została wybrana

wczoraj, a dziś już pełni swoją funkcję. Znamy ją jedynie jako nauczycielkę matematyki z innej placówki, ale nie podejrzewałyśmy, że wygra w głosowaniu. Z podniesionym nosem chodzi po szkole, zaczepiając niektórych nauczycieli. Prowadzi z nimi rozmowy, pojawia się nawet na kilku niezapowiedzianych hospitaacjach. Trafia również do mnie i, o dziwo, obserwuje aż dwie lekcje. Kiedy kończę, prosi mnie na chwilę do swojego gabinetu.

– Pani Jaśmino – zaczyna bez wstępu. – Chciałabym, żebyśmy dobrze się zrozumiały. Wiem, że jestem tu nowa, ale moim życzeniem jest, żeby młodzież była kształcona i wychowywana bez demoralizowania.

– Z całym szacunkiem, pani dyrektor, ale nie rozumiem. Prowadzę lekcje zgodnie z programem nauczania i nie mam sobie nic do zarzucenia. – Nerwowo zdrapuję naskórek koło paznokci.

– Tak, widziałam na własne oczy, bez wątpienia jest pani bardzo

dobrą nauczycielką, ale zaniepokoił mnie tekst, który wczoraj

przeczytałam

w gazecie.

–

Wyciąga

z torebki

czasopismo

z opublikowanym opowiadaniem mojego autorstwa.

– Zaniepokoił? Ale dlaczego? – pytam, domyślając się już, o co chodzi. – Jest to bez wątpienia opowiadanie z elementami erotycznymi, choć wcale nie wulgarne. Ale jaki to ma wpływ na moje lekcje?

– Ano taki, pani Jaśmino, że młodzież się z pani śmieje i szkodzi to reputacji szkoły. Czy pani wie, co mogą o takim nauczycielu pomyśleć sobie rodzice, których dzieci mają w przyszłości zasilić nasze mury?

– Szczerze, pani dyrektor? Nie zastanawiałam się nad tym, ale to jest moja prywatna sprawa, co piszę i gdzie. Poza tym nikogo tym tekstem nie skrzywdziłam ani nie obraziłam, wręcz przeciwnie, spotykam się z dużą dozą aprobaty ze strony znajomych.

– No właśnie, pani Jaśmino, znajomi nigdy nie będą obiektywni.

Nadszarpnęła pani swoje dobre imię. Niestety, ale decydując się na pracę



nauczyciela, niejako stała się pani osobą publiczną. Młodzież nie powinna widzieć pani pijanej, przeklinającej...

– ...ale ja nie obnażam intymnej sfery swojego życia – nie wytrzymuję i wtrącam. – To jest fikcja literacka, pani dyrektor, poza tym ogromny sukces dla mnie jako jednostki twórczej, że zostałam wyróżniona i doceniona. Dzięki temu pokazałam dzieciakom, że warto starać się realizować własne marzenia. Uważam, że cenniejszy jest pedagog, który ma również jakieś zainteresowania poza pracą. Ilu ludzi tutaj w szkole tylko chodzi i marudzi, że nie cierpi bachorów i tego wrzasku? Że ta praca wypaliła ich zawodowo i przełożyła się na życie rodzinne, bo kobiety nie chcą już mieć dzieci albo straciły głosy i nerwy, uspokajając źle wychowaną młodzież? Ja czerpię z niej radość, satysfakcję i do tego swoim życiem pokazuję, jak spełniać marzenia i wierzyć w siebie. Trzeba przestać bać się krytyki innych, tylko robić swoje.

– Mogła to pani zrobić w jakiejś innej dziedzinie. Przecież może pani pisać normalne książki, a nie wyuzdane romansidła!

– Pani dyrektor, to nie jest wyuzdane romansidło, zresztą jeszcze nie powstało w całości...

– Właśnie dlatego panią tu wezwałam. Będę zmuszona zwolnić

panią z pracy, jeżeli ta książka ujrzy światło dzienne, a moim argumentem będzie demoralizacja młodzieży.

– To chyba jakieś nieporozumienie. Jestem nauczycielem mianowanym i nie może mnie pani zwolnić z byle jakiego powodu.

– Dlatego informuję panią o tym dużo wcześniej, bo to nie jest byle jaki powód. Mam prawo przeprowadzić w szkole ocenę pani efektywności zawodowej i jeżeli uzyska pani negatywny wynik, zostanie zwolniona. Proszę się nad tym zastanowić, a teraz żegnam. Ma pani jeszcze jakieś pytania?

– Tak, jedno. Gdyby ten tekst został napisany przez kogoś z moich kolegów z pracy, czy wówczas też wezwałaby go pani na taką rozmowę?

– Ależ cóż to za porównanie? – oburza się. – Oczywiście, że tak. Płeć nie ma tu najmniejszego znaczenia.

– Wydaje mi się, że jednak ma, bo kiedy panowie od wufu podrywają ostentacyjnie dziewczęta ze starszych roczników, to w tej sprawie nic się nie robi. Mam nadzieję, że zmieni pani dyrektor swoją decyzję. Do widzenia.

Wychodzę roztrzęsiona, przed oczami pojawiają mi się czarne plamki. Siadam na krześle w pokoju nauczycielskim i zastanawiam się, dlaczego w życiu jest tak, że nie można być całkowicie szczęśliwym. Człowiek osiąga sukces i zaraz zostaje za to zganiony. I co ja mam teraz zrobić? Jestem zaszokowana – pierwszy dzień pracy nowej dyrektorki, a już takie starcie! Czuję się jak po krwawej bitwie. Głowa ciąży, nogi lekko dygoczą. Nie spodziewałam się takiej reakcji. Za kilka tygodni mam podpisać umowę z wydawnictwem. No przecież się już nie wycofam... Chyba żeby nagłośnić tę sprawę? Ale wtedy wyrzuci mnie jeszcze szybciej, niż myślę. Cholera, i tak źle, i tak niedobrze.

W domu małżonek milczy. Męcę się w tej ciszy. Nie mam z kim porozmawiać. Dokładnie wiem, co bym usłyszała, gdybym poszła do niego po radę: „Trzeba było się zastanowić, zanim to napisałaś, w takiej sytuacji daruj sobie tę książkę”. Nie mam sił, by kajać się przed nim, tłumaczyć, pytać o zdanie. I do tego ta wczorajsza sytuacja. Wszelkie porady psychologiczne odeszły do lamusa. Nie chcę wiedzieć, dlaczego tak zrobił. Zastanawiam się jedynie nad tym, że może ma depresję powypadkową. Z drugiej strony jednak, gdy trzeba pojechać do Darka albo iść do innego kumpla, to jest w stanie się zmobilizować i nawet noga mu nie przeszkadza. Odnoszę wrażenie, że ucieka ode mnie i od dziecka. Wszystko wymyka się spod kontroli. Czuję się całkowicie bezradna. Znowu ktoś podcina mi skrzydła, znowu mam kłodę pod nogami, znowu tonę i nikt nie chce udzielić mi pomocy.

Spoglądam na deskę z malowidłem mojej przyjaciółki i chwytam za telefon. Opowiadam o całym zdarzeniu Lenie.

– Jaśka, nie możesz teraz tego zostawić, to znaczy tej książki, bo jak jej nie napiszesz, no wiesz, jak nie spróbujesz zmierzyć się z tym tematem, to będziesz podświadomie żałowała do końca życia. Obarczysz winą męża i dziecko. Nie chcę wypowiadać tych słów w złą godzinę, ale możliwe, że zniechęcisz swoją pracę, no bo to przez nią nie możesz stanąć na wysokości zadania. Nie patrz na to, co jest w dole, tylko na to, co w górze.

– Ale ja mogę stracić pracę, rozumiesz? Z czego będę żyła? I do tego Joachim chory. Wcale nam się nie przelewa, ledwie starcza do pierwszego, bez żadnych fajerwerków. Czasami nawet stojąc w drogerii, zastanawiam się, czy puder za dwadzieścia złotych nie jest dla mnie za drogi.

– Słuchaj, bez ryzyka nie ma zabawy, a żeby wygrać, trzeba grać.

Znasz ten tekst?

– Znam, aż za dobrze.

– No właśnie, ale nie każdy go rozumie. Przecież nie musisz nic

mówić dyrektorze. Na napisanie książki masz cały rok. Zmobilizuj się. Skończ ją przed początkiem nowego roku szkolnego. Potem weź roczny urlop zdrowotny. Na nim wydasz książkę i zobaczysz, jak to się dalej potoczy.

– Lena, chodzą słuchy, że ona będzie właśnie zwalniać nauczycieli, którzy mają wrócić z rocznych urlopów zdrowotnych. Wedle prawa można po roku takiej niedyspozycji rozwiązać z nimi umowy.

– Ale mała wredna! Kto ją wybrał? Nie było kogoś lepszego?

Jaśka, tak czy srak, możesz przedłużyć swoje zwolnienie o rok.

Reasumując, masz dwa lata na sprawdzenie się i podjęcie wyzwania albo schowaj głowę w piasek, wróć do szkoły i udawaj, że nic się nie stało.

To są twoje decyzje, życie polega właśnie na ich podejmowaniu.

– Myślisz, że można żyć z pisania? Ja nikogo nie znam, kto by tak pracował. Siedzieć w domu i pisać, jeździć na spotkania z czytelnikami, wymyślać nowe wątki, czerpać inspirację z otoczenia, poznawać nowych ludzi... Boże, jak ja bym chciała, żeby ktoś za to płacił!

– Osobiście nie znam pisarzy, nie wiem, jak to wygląda z ich strony, ale już samo pisanie książki to jest twój zawód i jeśli ci się uda, to tak właśnie będziesz funkcjonować. Oprócz tego chodzić na rynek, kupować truskawki i robić różne inne prozaiczne rzeczy. Pisarz to ktoś

podwójny. Mieszka w domu i w swojej głowie. Czasem go nie ma i tu, i tu. Rozdwaja się na sztukę i rodzinę. Miewa przyjaciół, partnerów i alter ego. Żyje Klimtem i Dante Rossettim, a zakupy robi w supermarkecie i nikt nie wie, co dzieje się w jego głowie, kiedy przechadza się po targu, pierze skarpety albo miesza w garnku. Ja też miałam z tym problem, myślałam: „Jaka to tam praca, jakieś durne malowanie, z tego nie można żyć”, ale tak właśnie jest. Jeśli nie chcesz być przez cały czas na etacie, to rób to, co kochasz. Rozumiesz? Dobra, Jaśka, nie roztkliwiaj się, tylko siadaj do laptopa i pisz. Im wcześniej zaczniesz, tym szybciej skończysz, bo jutro tak naprawdę to jest dziś. Ja lecę do płótna, bo już stygną zamówienia! Pa!

I co tu robić? Wiem, że Lena ma rację, ale jej łatwo mówić, bo jest sama. Jak nie będzie miała pieniędzy, to zje suchy chleb i przeżyje, a ja Marysi nie mogę karmić suchym chlebem. I w piecu też trzeba napalić. Co tu robić? Zachodzę w głowę pół dnia, krzątając się beczynn timer. Gdzie szukać tych znaków, które podpowiedzą, jak iść? No, gdzie? Wilczycy nie ma. Ostatnio dość nieregularnie się zjawia. A tarot? Boję się go dotykać, ale może znowu powinnam się przełamać?

Robię wszystko, aby nie zgłębiać jego tajników. Ostatni raz tak się czułam, jak musiałam się uczyć na studiach: sprzątałam, podlewałam kwiaty, pieliałam w ogrodzie, gotowałam, byle tylko nie usiąść do książek. Kładę się spać w naszej sypialni. Gdy już anielski chór

przygrywa na harfach, słyszę znajomy dźwięk objanych o siebie

butelek. Małżonek zagląda do szafki z alkoholem – skąd ja to wiem?

Przecież musiał sobie łyknąć przed snem, no bo co tu innego robić?

A tam zonk, bramka numer trzy z dość wymowną karteczką. Śmieję się

z własnego pomysłu, bo dobrze wiem, że i tak nic jutro na ten temat nie

wspomni, bo wtedy wyszłoby na jaw, że tam zaglądał. Już widzę ten

jego złośliwy wyraz twarzy i maleńkie oczka. Przecież popsulałam mu

cały wieczór. Jeden zero dla mnie. Bez wahania wstaję i wyciągam

tarota. Zaczynam gładzić opuszkami palców znajome obrazki.

Bezwiednie przetasowuję karty, losuję, kładę, a czas umyka. Słyszę, jak

woda z kranu kapie jednostajnie, odmierzając sekundy istnienia

w zagubieniu. Po raz kolejny odpływam ze swymi tajemnicami.

Wymykam się jakimś cudem przez dziurę w czasie.

Przeraźliwy pisk hamującego pojazdu. Ludzie stłamszeni padają na

siebie, a spazmatyczny turkot przybiera na sile. „Gdzie stoisz? Uważaj,

jak leziesz!”, dobiegają zewsząd przeróżne głosy. Starszy, elegancki pan

w czarnym meloniku i fraczku, z dobrze przyciętym wąsiskiem lubieżnie

spoziera na młodą kobietę w wagonie pociągu. Podpiera się laseczką.

Oddziela ich od siebie jedynie szyba. Wokoło mrowi się od panien

w gorsetach, które mają podkreślać talię osy – istny krzyk mody. Jestem

chyba w XIX wieku. Kapelusze z piórami i kokardami przyozdabiają

wyperfumowane głowy. A ona jedyna ubrana w czarną suknię mocno

gestykuluje, krzycząc do starszej kobiety:

– Jestem zupełnie normalna! Mamo! Po co mnie tam zawozisz, oddajesz w ręce samej śmierci! Już ci tłumaczyłam, że ja po prostu jestem inna. Nie będę nosić gorsetów, brzydzę się tym, bo tamują oddech. Duszę się! Rozumiesz? Duszę się, będąc kobietą! Wczoraj rozmawiałam z naszym praprzodkiem Piotrem Odmieńcem Włastem. Przyszedł do mnie i był taki spokojny. To on się teraz mną opiekuje, a nie zakład psychiatryczny. Mamo, zrozum to!

– Dziecko, uspokój się. Wszyscy na nas patrzą. Proszę cię, nie rób mi wstydu chociaż w tych ostatnich, jakże trudnych dla mnie godzinach.

– Mamo! Zlituj się, przecież ja jestem jak poroniony płód. I co z tego, że wymodlona, błogosławiona, skoro świat mnie nie rozumie, a tym bardziej rodzona matka! Gdybyś mogła urodzić mnie na nowo, byłabym zapewne mężczyzną. – Mówiąc to, z rozpacz przygryza wargi aż do krwi, a łzy podchodzą do samych źrenic.

– Maryniu, kocham cię, dziecko moje, ale tak nie można, musisz się leczyć – po cichu i dostojnie odpowiada kobieta o bujnych włosach.

– Mam dość, rozumiesz? Mam tego dość! Już nawet jak byłam na studiach w Cambridge, nie mogłam wejść sama do biblioteki, tylko musiałam to zrobić w obecności swego męskiego protektora!



A wcześniej, w Warszawie? Jak zaczynałam pisać, to musiało to wychodzić drukiem oczywiście pod męskim pseudonimem, ale ja sama tak chciałam! Zrozum to!

Znowu słyszę ten cholerny pisk. Masa ludzi klnie, wpadając na siebie. Para i dym przysłaniają wszystko. Jak we śnie przenoszę się do innego miejsca. Teraz nagle stoję w kącie hotelowego pokoju, gdzie ta sama dziewczyna, już bez świadków, mówi do siebie:

– Tak, jestem mężczyzną. Kobieta w tym świecie ginie, jak przewidział to sam Mickiewicz – „marny puch” – ale ja nie dam się im wszystkim patrzącym jedynie na biust i krocza, przecież mam coś w głowie! Tam jest tajemna myśl, słowa wszechświata i samego Boga! O Boże, przecież jestem mężczyzną!

Chwyta w dłonie nożyczki i niebezpiecznie szybko zbliża się do lustra. Tnie swój długi warkocz, a każdy ruch jest rozkosznie zwinnie i namiętny. Kontynuuje:

– Jestem mężczyzną! Nie chcę być Martą Orzeszkowej, nie chcę tak skończyć, to nie dla mnie, ja i mój pisarski duch teraz wzniesiemy się ku wyżynom ideału. Powyrywam sobie zęby, żeby zmienić twarz! Nie mogę być kobietą! Nie chcę! Zmiana płci rodzi się z samotności i potrzeby umiłowania, z równych praw. I co w tym złego? Mój duchu,

no co?

– Przecież to jest moja Marynia Komornicka – mówię szeptem do wilczycy, a łzy radości ze spotkania z ulubioną pisarką przybierają na sile. Jaka ona silna i piękna. Moja Czarna Inez. Wytoczyła sobie nowy, nieznany cel. Oswoiła ten łąd.

– Ale marnie skończyła – dopowiada dzika matka.

– Proszę, proszę, bądź ciszej, nie słyszę jej!

*Czysta byłam przed tobą, nietknięta przerażającą mocą kochania – tej okropnej, brutalnej miłości, która gardzi i wyje pożądaniem. – Jak płatki wiosennego kwiecica padały na mnie tamte kochania. – Nawiał je wiatr – i wiatr ode mnie odgonił. – Ale ty!*

*Szarpnąłeś mnie cynicznym wyznaniem – i nie zabiłam cię. Pod moimi oczyma tarzałeś się w grzechu – i nie zabiłam cię. Padłeś mi do nóg wstydu pełen i szaleństwa – i nie zabiłam cię.*

*Tylko od tych obrazów rozpalila się moja krew ogniem nieczystym – piekielnym, wiecznym pożarem zakazanej żądz – i umieram. I umrę,*

*jeżeli ty nie padniesz z mej ręki.*

*Pokalaleś mnie oczyma swymi – i musisz zginąć. Pokalaleś mnie palącym bluźnierstwem słów – i musisz zginąć. – Pokalaleś mnie zniewagą dotknięcia – i nie ma tortury, której nie wymyślę dla ciebie. Nie ma zemsty, zdolnej wyczerpać moją żądzę nienawistną. Nie ma konania dość długiego, by okupiło konanie mego ducha w szale tego pożądania, w otruciu żądzą ciebie\*\*\*\*\*.*

– Ach, poezjo! Lucyferze piekielnych otchłani, weź moją duszę do siebie, bo świat brudny i zimny, ale ja nie poniosę strat, choć krzyczą, biją i nawołują! Ja nie dam się im! Niech zamkną, stłamszą, zakatują, ja jestem duchem wolności! – mówi do lustra dziewczyna, a nocna lampka z kremowym abażurem oświetla jej młodziutką twarz. Walczy o swojego ducha, żeby nie zginął w uśpieniu, najbardziej ze wszystkich bolączek świata boi się, żeby nie przygasł jej wewnętrzny płomień. Na czerwony kwiecisty dywan padają pukle włosów, a owal twarzy coraz bardziej przypomina młodzieńca. Jak kocha, to szaleńczo, jak umiera, to prawdziwie.

– A ty już chyba o niej zapomniałaś? – prawi moja wilczyca. –

Przede wszystkim o tym, za co i o kogo walczyła, skazując się na

samotność. Tyle lat nosiłaś ją w sercu, jej żar, polot słów, wysyłałaś swoim chłopcom jej wiersze miłosne, a teraz? Do tej pory znudzona przemierzałaś utartą drogę z domu do pracy, a kiedy wreszcie coś się ruszyło, to chcesz poddać się bez walki? Przecież tak nie można.

– Wiem, ale się boję. Zobacz, jaki żywot miała Komornicka. Pisała takie wiersze, poematy, a nikt jej nie docenił. Tułała się jedynie po zakładach dla obłąkanych i umarła zapomniana. Nikt nie docenił tej pisarki. Zająli się jej twórczością dopiero po jej śmierci.

– Bo ona w tamtych czasach zmagala się właśnie z tym, co teraz jest wam, kobietom, ogólnie dostępne. Macie biblioteki, sklepy, komputery, wiedza leży na ziemi, tylko trzeba się po nią schylić.

Komornicka i później inne kobiety przecierały ten szlak, aby takie jak ty mogły działać i tworzyć! Nie zawieź jej. Pamiętasz, co sobie ubzduriałaś, pisząc na jej temat pracę magisterską? Dowiedziałaś się, że w 1987 roku, dokładnie 22 stycznia, przeniesiono jej prochy na Powązki.

– Tak, pamiętam – odpowiadam, śmiejąc się. – Urodziłam się

właśnie tego dnia i uważałam, że wraz z moim pierwszym krzykiem jakaś okruszyna popiołu z jej zwłok wpadła mi do gardła, dlatego jestem naznaczona jej losem. – Zakrywam ze wstydu oczy ręką.

– Nie śmieję się, bo nie ma z czego. Właśnie dla takich chwil człowiek żyje, pracuje, uczy się: głębokiego olśnienia i pojednania ze światem. To jest jak objawienie, zdjęcie zasłony i ujawnienie czegoś ukrytego, do czego nie można zbliżyć się w przeciętnym życiu. A teraz? Zapomniałaś o swych młodzieńczych ideałach, marzeniach?. Ja wiem, że życie samo weryfikuje każdą decyzję, ale nie możesz zapominać o sobie, bo inaczej zginiesz, umrze twoja naturalna kobiecość, duchowość. Przypomnij sobie momenty, w których byłaś najszczęśliwsza.

– Nie, proszę, daj chwilę na nią popatrzeć! Wilczyco, nie uciekaaaaaj! – Ale mój głos jest już ledwo słyszalny. Wiruję w czarnym odmęcie, gdzieś dostrzegam świetlisty pył. Kręci się i lśni jak cekiny na manekinach. Bransolety dźwięczą, chusty wirują. Coś oplata mnie w nocnym uścisku, aż nie mogę oddychać. Mam wrażenie, że nocna mara przysłała już po moją duszę. Nagle wdech, wydech, przełknięcie śliny i leżę na podłodze z potwornym bólem głowy. Nie mogę się podnieść, ale najważniejsze, że wszystko pamiętam, co do słowa. Znowu to miałam. Znowu zemdlałam przy kartach...

Rano zamiast do szkoły jadę do lekarza. Nie jestem w stanie

funkcjonować z takim bólem głowy. Dziwne, ale bez kolejki przyjmują mnie na rentgen, jednak badanie nic nie wykazuje. Dostaję zwolnienie z pracy na kilka dni oraz ketonal w kroplówce. Mówią, że jestem przepracowana. Mam leżeć, pachnieć i nic nie robić. Oczywiście po powrocie do domu piszę w natchnieniu, bo skrypt mojej debiutanckiej książki nie daje mi spokoju. Widzę w snach bohaterów przechadzających się po starych uliczkach, pijących kawę w kawiarenkach. Cały czas rozmyślam nad tym, co dopisać, żeby było ciekawie, prawdziwie, namiętnie. Nie mogę spać, wiedząc, że nie dodałam choćby jednego króciutkiego zdania czy wiersza. Pożytkuję ten czas na odbudowę wewnętrzną.

Codziennie rano ćwiczę. Rozciągam się jak leniwy kot przy dźwiękach znanych melodii i zauważam, że dzięki systematycznemu wykonywaniu ćwiczeń zaczynam rozumieć swoje ciało, bo ono chce czuć. Dotykam rzeczy, których do tej pory nie dostrzegałam. Kora drzewa, liście kwiatów, promienie słońca przenikające przez dłoń. Opuszkami palców uczę się być na nowo. Próbuję sobie na wiele sposobów wytłumaczyć różne zjawiska, które spotykam. Setny raz marzę o tym, żeby ktoś mi to wszystko wytłumaczył. Wilczyca przypomina widmo. Pojawia się i znika w otoczeniu mgły, jest jedną wielką niewiadomą.

Kiedyś mąż powiedział mi, że jestem jedyną osobą, z którą mógłby

się związać na całe życie. Zapytałam go w takim razie, jaką jestem

kochanką, bo że rewelacyjną kucharką, to wiem. Odpowiedział:

„Normalną”... i poszedł. Nie chcę być normalna! Do cholery, nie chcę!

Dlaczego Władek rozpala moją wilczą naturę, a Joachim tego nie

potrafi? I choćbym chciała, żeby było na odwrót, to nie jest? Przed

mężem nie potrafię się tak otworzyć jak przed obcym facetem,

a wydawałoby się to zupełnie niedorzeczne. Nie ma czegoś takiego jak

krystaliczna miłość. Bez wolności i twórczej swobody nie ma w związku

miłości.

Pewnego

dnia

podczas

mojego

„chorobowego urlopu”

postanawiam zaszaleć i wybieram się z koleżankami z pracy na

dyskotekę. Uwielbiam tańczyć, wtedy jestem jak motyl: choć na moment

wolna, by potem znów zanurzyć się w obowiązkach. I jak zwykle na

początku czuję się jak królowa parkietu: piękna, zgrabna, zmysłowa.

A im więcej mam w sobie alkoholu, tym wyraźniej widzę kolorowe

światła zasłaniające smutne lica. Większość osób wygląda, jakby

pracowała latami nad tym, żeby na ich twarzach nie było widać śladów

załamań, problemów, bolączek. Ja mam na siebie inny pomysł: chcę

kochać całą sobą każdą bruzdę, a lekki makijaż ma jedynie podkreślać

urodę, a nie zakrywać ślady po wyżłobionych tunelach łez czy zmarszczkach zmartwień. Jakże piękno kryje się w starszych obliczach? Można czytać z nich jak z otwartej księgi, podczas gdy młodzi są jak jedwabne chustki – gładcy aż do przesady. Kto ma więcej zmarszczek od śmiechu, a kto od łez i zmartwień. Kto ma bliznę, a kto ślad po uderzeniu. Tylko oczy wyrażają bezgraniczną tęsknotę za harmonią, pojednaniem.

Moje dyskotekowe euforie nie trwają zbyt długo. Po powrocie piszę kilka słów do Władka. Nie dociera jeszcze do mnie, że już za kilka dni stanę z nim twarzą w twarz, ponieważ muszę jechać do Warszawy, żeby zobaczyć się z moim potencjalnym wydawcą. Władek zawsze odpisze, wysłucha, czeka, uwodzi zrozumieniem. Jak dobrze być w niebie natchnienia z Władkiem. Tym razem pisze:

*Chciałbym mieć dla Ciebie coś więcej, ale mam tylko tę pieprzoną tęsknotę. Cholernie trudne do zniesienia poczucie, że jestem z inną zamiast przy Tobie. Nie mogę znieść sytuacji, kiedy bawisz się świetnie nie na tej imprezie, co trzeba. Bo mnie tam nie ma! A chciałbym być przy Tobie choć przez chwilę. Co to byłaby za chwila! Nawet nie potrafię sobie wyobrazić i wiesz, coraz częściej mnie coś trafia, że w próżnię piszę, że nam pozostaje ciągle tęsknić. Jaśmino, czyja to wina? Chyba tylko nasza, że postanowiliśmy się zakochać. To musiał być jakiś misterny plan. Nie wiem czyj, ale wpadliśmy, a teraz musimy się mierzyć*



*z brakiem siebie. Uwielbiam za Tobą tęsknić, bo chociaż tyle mam, że mogę do Ciebie wracać, liczyć na kolejne spotkanie, nie wyobrażam sobie, że nie mam nawet tego. Chcesz mnie przekonać, że jesteś nieatrakcyjna? Wiem, co widziałem, Jaśminko, Ty wiesz, co o Tobie myślę, więc nie będę powtarzał, bo zabrzmiałoby to jak kiepski bajer.*

*Całuję na dobranoc, na dzień dobry i obiecuję myśleć – tylko o Tobie, liczyć na więcej zaufania od Ciebie. Nie chcę Ci zniszczyć domu, który tak długo budowałaś, nie chcę czerwonej cegły w rozlew krwi zamienić, bo wiesz, że ten kolor jest zmysłowością oraz symbolem pokuty tajemnej. Nie chcę Cię ze skóry obdrzeć, a jedynie odbudować. Pamiętaj o tym, że czekam na nas i na to spotkanie, jak wierzący czekają na ciało Chrystusa. Wszędzie widzę sacrum i profanum. Nie ma nic gorszego niż nie móc w danej chwili napisać choćby słowa do Ciebie. A oczy męczy ból niemiłosierny bieli monitora, gdy nie widzę Cię w słowach.*

Odpisuję przejęta, a palce płaczą mi się na klawiaturze:

*Sparaliżuje nas strach, ale chmura motyli skrzydłami swymi pchnie nas sobie w ramiona. Jeżeli mam dostać od życia po ryju, to chcę wiedzieć za co, nie chcę niczego żałować! Nie znamy dobrze smaku*

*swych ust, spoconych ciał, szeptów, dotyku – na razie są tylko słowa, ale jeśli mam odbywać krwawą pokutę, chcę wiedzieć za co! Chcę Ciebie żywego! Ciebie z krwi i kości! Wtedy może mi ktoś przyłożyć za zdradę, za tę zakazaną miłość. Potraktuj to jako grę wstępną: długą, namiętą, szepczącą zmysłowością, i nie myśl, że, jak dinozaury, jesteśmy skazani na wymarcie. Ja przestawiłam swój tor myślenia właśnie na powyższy – a co dalej? Gdyby czas*

*mógł biec w odwrotnym kierunku, wiedzielibyśmy, co zrobić. Udawać szczęśliwych głupców. Miałam ostatnio we śnie spotkanie z moją ulubioną pisarką Marynią Komornicką, która uświadomiła mi, że każdy ból nowym niebem nas obdarzy, więc nie myśl o pokucie, jedynie o kobiecie.*

*Oj, nie dawaj mi spokoju, ograniczaj widoczność swym filozofowaniem. Już widzę, jak Twoje policzki śmieją się do mnie. Jak wiesz, byłem wczoraj na koncercie i nie mogłem uwierzyć, że Ciebie ze mną nie ma, więc z tęsknoty napisałem o koncercie mych fantazji:*

*Mamy miejsce na środku sali, która właśnie zapełnia się po brzegi. Jesteśmy w samym centrum, na oczach wszystkich. Wpatrzeni w siebie i niespokojni.*

*Konferansjer*

*z lekkimi*

*problemami*

*technicznymi*

*zapowiada długi wieczór, wypełniony muzyką, dobrym jedzeniem*

*i seksem. Przecież wiemy, że to dopiero początek. Widzimy to doskonale*

*w swoich oczach, które odrywają się od siebie z trudem. Przygaszenie*

*światel, oklaski na wejście i pierwsze pociągnięcia strun. Uwielbiam ten*

*moment, gdy gitara snuje się niemrawo, leniwie pieszcząc uszy, cichnie*

*prawie, a potem znowu melodyjnie porusza się w zgodzie z głębokim*

*głosem wokalisty. Brzmi pięknie i profesjonalnie, ciepło i nastrojowo.*

*Zamykam oczy, żeby widzieć więcej, pobudzać swoją wyobraźnię*

*kolejnymi dźwiękami. Bez przerwy trzymam Twoją dłoń, głaszczę*

*i opuszkami palców przesuwam po Twoich palcach, zapędzając się*

*trochę wyżej, aż po nadgarstek. Po drodze dotykam Twojej obrączki.*

*Dziwne, ale wcale nie mam wyrzutów sumienia. Nie mogę zresztą, bo*

*zaraz napotykam Twoje oczy. Ledwo widoczne w półmroku, oświetlone*

*tylko kolorowymi reflektorami. Spotykamy się w tej muzycznej uczcie, co*

*pewien czas zerkamy na siebie, a nasze usta domagają się wzajemnej*

*bliskości. Czekają na odpowiednią chwilę. Tymczasem jest ciepło, bo*

*w ciasnych fotelach przytulamy się bez problemu. Twoja głowa ułożona*

*na moim ramieniu to najcenniejszy dar tego koncertu i pamiątka, której*

*szybko nie zapomnę.*

*Muzycy uderzają coraz mocniej i szybciej w instrumenty, rozgrzewają publikę, która spija z ust wokalisty słowa piosenek. Nie jestem w stanie dzisiaj ekscytować się niczym poza Twoimi policzkami, które odmierzam końcami palców. Usta składam na Twoim czole: raz, drugi, potem zostaję w tym pocałunku jeszcze na moment. Tak bardzo chciałbym utrwalić tę chwilę na dłużej niż jeden wieczór, abyś nie uciekła jak kolejne pociągnięcia basowej struny albo klawisze pianina wymykające się spod miękkich palców artysty. Muzyk, malarz, pisarz – wszyscy używają dłoni z tak samo ważnych powodów. Teraz tworzą naszą przestrzeń: chwilową, ulotną i zbyt nierealną. Trzech muzycznych artystów zabiera mnie na spotkanie z Tobą pośrodku tej sali pełnej ludzi i zarazem pustej. Przyciskam Cię mocniej do siebie, jeszcze raz przemierzam dłonią fragment od skroni do ust. Po dwóch godzinach i kilku bisach podekscytowana publika opuszcza swoje miejsca w nadziei na autografy i zakup płyt. To znaczy, że będzie łatwiej przedrzeć się do wyjścia, bo przecież nie potrzebujemy świadków.*

*Wymykamy się bezszelestnie bocznymi drzwiami. Na zewnątrz się rozpadało. Ślizgamy się w mocnym uścisku, a gorące głowy mokną od nadmiaru przezroczystych kropel. Jak to możliwe, że w ogóle nie czujemy zimna z zewnątrz, natomiast odbieramy zmysłami aż zbyt wiele z tego, co między nami? Potrafimy odnaleźć swoje zagubione myśli, stęsknione*

*spojrzenia, ulubione piosenki i nawet intuicyjnie wypowiadamy te same słowa w tym samym czasie. Teraz przepadamy za jednym: „kocham”.*

*Badamy swoje oblicza, sprawdzamy, czy nadal gości na nich pożądanie.*

*Upewniamy się tak jak podczas wyczekiwania kolejnej wiadomości w komputerze, kiedy bez końca odświeżamy skrzynkę mailową. To piękne uczucie, gdy za każdym razem widzisz informację: „Masz wiadomość”.*

*Nie wiadomo, czemu ludzie do siebie piszą, skoro najwięcej można przekazać za pomocą najzwyklejszego spojrzenia. Chyba że nie możesz patrzeć...*

*Patrzę na Ciebie, ale tak naprawdę chcę już być Twoim kochankiem. Dawać Ci rozkosz, smakować każdy centymetr ciała. Czuję doskonale Twój zapach, który w tym momencie najchętniej scałowałbym z szyi. Pragnę zobaczyć Cię nagą, gdy wbijasz się paznokciami, wgrzwasz zębami, przywierasz mocno do mojego ciała. Rozumiemy się przecież doskonale, mamy prywatny koncert rozkoszy: pocałunków, pieszczot...*

*Chcę czuć ciepło Twojego ciała, schodzić niżej i drażnić się z Tobą, igrać z Twoim podnieceniem. Najpierw głaszcząc delikatnie podbrzusze, później dotykając wnętrza ud – powoli, opuszkami palców, wyczekując skumulowanej przyjemności. Wreszcie docierając do samego centrum, źródła nieposkromionej żądzy.*

*Nie pozwól mi się budzić z tej uczy, do której dotarliśmy po śladach magicznego koncertu rozpalonych do czerwoności ciał. Nie zabraniaj wierzyć, że jednak siedzę wśród publiczności z Twoją głową na ramieniu, głaszcząc Twoją dłoń. Nie pozwól mi zmyślać wciąż naszych mokrych ciał kotłujących się w pościeli, gorących głów skrapianych kroplami deszczu i czerwonym winem. Pozwól mi naiwnie wierzyć, że spędziliśmy ten wieczór w swoim doborowym towarzystwie...*

Nie mogę uwierzyć w to, co napisał. Policzki rumienią mi się jak u nastolatki, a ręce dygocą.

*Czyżby mi się to przywidziało? Z Twych myśli na papier zostało przelane o jedno słowo za dużo. Dobrze wiesz jakie. Nie możemy mówić „kocham”, bo zgubimy się, przemierzając drogę prowadzącą jedynie do hotelowego pokoju. Błagam cię, nie mów i nie pisz tak. Zakazuję Ci w imię godności, dla naszego dobra, ale jest w tym dużo sprzeczności, bo to najpiękniejsze wyznanie miłosne, jakim mogłam zostać obdarowana (oczywiście poza Marysi: mamó, kociam cie). Sam to wszystko wymyślasz? Skąd bierzesz pomysły? Choć nie możesz tego słyszeć, uwierz mi, że krzyczę z radości! Lepiej idź już spać, bo jutro trzeba zacząć nowy dzień, niestety wciąż w oddzielnych światach.*

*Jaśmino, nie ma nic przyjemniejszego niż niedosypianie z Twojego powodu. Nie pozwól mi dosypiać i dziś, i zawsze!*

I jak tu nie ulec pokusie? Ten motyw został opisany przez miliony ludzi na różnych kontynentach. Stworzono wiele synonimów, słów zastępczych, dosadnych, przenikających rdzeń kręgosłupa moralnego. Jednak nikt nie wymyślił lekarstwa, po którego zażyciu zapomina się to, co powinno, a pielęgnuje to, co chce. Przecież organ długo nieużywany zanika. Im więcej pieszczot, tym większa miłość, im większa pustka, tym szersza chęć ulegania. Kobiety z reguły nie mówią, czego pragną w łóżku, bo obawiają się reakcji partnerów. A gdyby tak spróbować najpierw im wyjawiać swoje tajemnice, a potem kochankom? Może zmniejszyłaby się liczba rozwodów?

Dla mnie już jest za późno. Widzę tylko trzy rozwiązania. Ta relacja zrukuje moje małżeństwo, naprawi je albo będzie drogą ku zrozumieniu siebie. Niestety, Kocham i męża, i kochanka, każdego inaczej, i nie potrafię żyć bez tej dziwnej zależności. Paradoks życia. Dopiero Władek uświadomił mi, że kiedy mężczyzna zaczyna mówić do żony „mamusiu”, to powoli przestaje patrzeć na nią jak na kobietę. Joachim tak się do mnie zwracał, zanim poznałam wilczycę. Zakazuję więc wymawiać w domu pewnych słów, które mi uwłaczają. Jeżeli ktoś tego nie rozumie, ma problem. Coraz częściej skłaniam się ku

pesymistycznym refleksjom, a kiedy już zbiera mi się na depresję, to myję okno w swoim obecnym pokoju, czyli sypialni. Jak się namacham szmatą, to jakbym złe duchy z siebie wygoniła, a okno kolorami obradza, zasypuje widokami. Czuję się wtedy, jakbym widziała światełko w tunelu. Chcąc więc odświeżyć wnętrze, zaczynam od tej czynności.

Zewsząd napływa nawałnica informacji, ale świetlik na życie pozostaje nienaruszony. Mam dosyć historii kobiet, którym po czterdziestce cały świat wali się na głowę. Gdyby zaczęły walczyć o siebie już od dnia ślubu, to nawet trzeci rozwód nie zachwiałyby nimi. Mają w sobie taki zmęczony strach, któremu się poddają. Mężczy je myśli o samotności, nie są w stanie utrzymać domu ze swoich pensji. Ja też bym się nie utrzymała, ale przynajmniej walczę o hobby, które kocham. I nawet jeżeli z niego nie można wyżyć, to daje mi ono więcej uśmiechu niż proza życia. Muszę to robić. Odnajdę harmonię życia. Tylko wtedy całkowicie zapanuję nad umysłem i ciałem, gdy nie będę unikała prawdy. Wówczas będę wolna. Nie uciekam przed ciszą, ona pozwala dotknąć tajemnicy duszy. Gdy słyszę nad sobą trzepot ptasich skrzydeł, cichutkie brzęczenie owadów, śpiew lasu, szum fali, szelest przesypywanych ziaren piasku, wtedy pytam siebie, gdzie jest wilczyca...

Gdzie jesteś ty, zagubiona w dżungli nie swoich słów? Spójrz w głąb siebie, zanurz się w tafli jeziora i zobacz, kto jest po drugiej



stronie lustra. Jeżeli niczego nie widzisz, poczekaj, nie spiesz się. Masz całe życie, aby zadawać pytania i szukać odpowiedzi. Cały czas rób swoje, ani na chwilę nie ustawaj, ponieważ gdy się zatrzymasz, w polu widzenia będzie tylko depresja. A ponieważ będziesz złałkiona miłości, chwycisz ją w ramiona. Niepostrzeżenie zamknie cię w garści i stopniowo, dzień po dniu, coraz mocniej zaciskając palce, zmiążdży. Nie ulegaj złudnym obrazom rzeczywistości. Nie mów, że nie warto, nie uda się, jesteś beznadziejna, nikomu niepotrzebna, samotna. Najpierw umyj okna, nie możesz tkwić beczynnie. Jeżeli już będziesz potrafiła rozmawiać z ciszą, zacznij pytać. Czasami stwarzamy problemy tam, gdzie ich nie ma. Postaraj się, jak śpiewa w utworze *Spokój i ręce* jeden z moich ulubieńców, zespół Pidżama Porno, „by z prostych rzeczy nie tworzyć intelektualnych labiryntów”. Na najprostsze pytania odpowiada się najtrudniej. Wtedy porzuca się czarnowidztwo i dostrzega prawdę oraz najintymniejsze emocje. Kobieta, która kocha otaczający ją świat, może go równie dobrze zmieniać i naginać rzeczywistość według własnej woli. Uchyła się przed nią rozmazany południowym słońcem zagajnik świadomości, a ona rozwija swe skrzydła dzięki prasołncu odkrytemu w promieniach codzienności.

\*\*\*\*\* M. Komornicka, *Miłość* [w:] tejże, *Czarne płomienie*, „Chimera” 1901, 4, s. 164-186.

– Obecnie wydarzenia przybrały tak niewiarygodnie szybkie tempo, że mało jest osób, którym się coś śni. Co ja mówię, marzenia senne są na wymarciu, bo teraz nie można zasnąć bez środków nasennych, a co dopiero mówić o snach. Spokojny sen to dar umysłu i świadectwo czystego życia. Moralność każdej epoki różni się od siebie. Inaczej czci się Boga, inaczej się do niego modli. Chodź, pokażę ci coś, zanim noc mrokiem otuli miasto. Tu nie ma latarni ani świateł, za to są bogowie zrodzeni z potrzeby wytłumaczenia tego, co niewytłumaczalne.

– Ile jeszcze będziemy tak podróżować? – pytam moją wilczą przewodniczkę. Mam nadzieję, że te wycieczki nie będą miały końca.

Niespodziewanie gałąź w gąszczu drzew rozdziera mi lnianą suknię.

– Ała!

– Cicho, Jaśka! Skup się, bo to, co się przydarza, nie przychodzi powtórnie.

Po raz kolejny wyłaniamy się z cienia drzew, tym razem wychodzimy na skraj leśnej polanki, a na horyzoncie rysuje się jakaś osada. Murowane i drewniane domki są z każdym krokiem coraz wyższe, masywniejsze. Kiedy się zbliżamy, dobiegają nas wyraźne pokrzykiwania ludności. Szybsze kołatanie serca, wywołane złymi fluidami, rozgania mój strach. Pozostaje jedynie zaciekawienie.

Stoimy wśród ludzi na brukowanym dziedzińcu. Tłum gapiów wbija wzrok w próżnię. Przypomina to końcową scenę z filmu Toma Tykwera nakręconego na podstawie powieści *Pachnidło* Süskinda. W powietrzu unosi się nieznośny zapach dzikich feromonów. Słodko-kwaśny smak lepkiego powietrza i kurz zgrzytający pomiędzy zębami. Otyłe kobiety trzymają przy sobie jeszcze piękne i niewinne córki, głośno mówiąc: „O, patrz i się ucz! Żebyś taka nie wyrosła!”.

Mężczyznom na skroniach występują krople potu. Co chwila któryś, myśląc, że nikt nie widzi, drapie się po genitaliach, po czym szybko kieruje dłonie ku twarzy, pod sam nos. Podnieca ich ten zapach? Psy ujadają, chcąc opowiedzieć własną historię, jednak nikt ich nie słucha. Bezchmurne niebo zapowiada jutrzejszy dzień. Moc pożądania przebija w donośnym głosie otyłego mężczyzny.

– Patrzcie, ludzie, patrzcie, bo już więcej nie będzie się działa krzywda waszym rodzinom! – krzyczy wniebogłosy, aż z wysiłku na

jego czole i szyi pojawiają się potężne żyły.

– Zabić kurwę! – odpowiada tłum gapiów, lecz, o dziwo, głośniejskandują mężczyźni, zaznaczając wyraźniej w drugim słowie literę „r”. Samcze głosy przebijają swym dźwiękiem nawet siłę kościelnego dzwonu.

Niektórzy mężczyźni mają tik nerwowy i nieświadomie poruszają to lewą, to prawą dłońią. Jeden obok mnie obgryza paznokcie i zniecierpliwiony drapie się po czole. Kobiety milczą. Obejmują się w talii kurczowo, jakby chciały zamknąć się w sobie. Są wyraźnie skupione. Ich białe twarze wyglądają nienaturalnie pośród pomarańczy słońca. Byle tylko ukryć lico, brązowe od pracy w polu. Byle tylko upodobnić się do najwyższych królów, monarchów nieskażonych ciężką robotą. Tanie maści i pudry spływają po policzkach, tworząc ciemne plamy. Niewolnicy dają upust marzeniom, myśląc o wolności, rzemieślnicy przestają doglądać straganów, czyniąc z tej uroczystości święto, najwyżsi dostojnicy oddają się imaginacjom, póki jeszcze czarownica jest symbolem niezależności. Nagle karłowaty grubas ciągnie na podest ustawiony wśród tłumu postać zawiniętą od głowy po kolana w worek. Ręce ma ona przewiązane i nie może się bronić, tymczasem ludzie z nienaturalną wręcz przemocą macają jej ukryte ciało. Wyją jak zwierzęta:

– Kurwo! Chodź tu, kurwo!

Kobieta w końcu staje ponad tłumem, a grubas tłustą dłonią brutalnie ściąga z niej wór. Nagle zapada cisza. Słysząc jedynie ciężkie dyszenie i posapywania. Wszyscy z trudem łapią oddech, dźwięczne podniecenie ogarnia mieszkańców miasteczka. Brakuje im tylko śliny spływającej z otwartych ust. Są jak psy spragnione wody, z jęzorami na wierzchu. Biegają nierozumnie przed siebie, wachając źródła wód.

Patrzę na nią i nie mogę oderwać wzroku. Długie, czarne, poskręcane włosy opadają na delikatne ramiona. Po szyi, kierując się ku podłużnej szczelinie, spływają krople świetlistego potu. Ciemne brodawki sterczą, przyklejone do dużych piersi. Dorodny biust trzęsie się jak dwie brzoskwinie. Jest jędrny i mocny. Największy gruczoł skórny człowieka. Tylko w tym miejscu im więcej tłuszczu, tym większa radość właścicielki. Wyniosłe wyspy w kształcie stożka, o których marzą mężczyźni. Ciepłe i wielkie falują, rozniecając żar w wyobraźni chłopców. Stykają się ze sobą, by zaraz się rozłączyć. Kobieta ma lekko zarysowany brzuch, korpulentną sylwetkę, ale ogólnie zdrowy i krzepki wygląd. Mocna opalenizna dodaje jej uroku. Biodra szerokie, pewne swojej kobiecości. Łono niedbale zasłonięte szarą szmatą, spod której wystają ciemne włosy. Nogi jak drzewa – stalowa ponętność, niejeden chciałby zatopić się w ich trwałym uścisku. A ponad tym wszystkim z nieskazitelnej twarzy na ziejących głodem chłopców patrzę

przenikliwie jasne oczy. Kolejna *husky girl!*

Przenika mnie ogromny żal. Bo oni ją albo o czary, albo o kurewstwo posądzili, chociaż jedno z drugim idzie w parze. Jest inna niż te wszystkie mączne, białe baby. Jest prawdziwa, zjednoczona z naturą, z wyższością spoglądająca na szalejących barbarzyńców.

– Nie lituj się nad nią – czytając mi w myślach, odzywa się wilczyca. – Ostatni bastion padnie wraz z ostatnią czarownicą, ale chyba nigdy się tego nie doczekamy, bo rychło grozi światu seksmisja. Kobiety są silniejsze, a ta? Już zdążyłaś ją poprawnie ocenić. Wygnali ją z miasteczka, bo za długo po polach i lasach się włóczyła. Baby ją wypędziły, obrzucając najgorszym ścierwem. A kiedy już zadomowiła się na odludziu, przyłazili pod jej dom ci, co chuci nie mogli we własnych zaspokoić. Straszyla ich czarami, klątwami. To była jedyna broń tej kobiety. Pod jej strzechą zdziczałe wilki dwóm gnojkom w gardła się wgryzły, to ją wiedźmą nazwali. Myślisz, że pomimo ich śmierci zaznała spokoju? Przez najwęższą szczelinę mężczyźni by włązili, żeby tylko im dała. Jednemu się udało i zgwałcił ją w jej leśnym domostwie. Zaraził syfem, jednak nie postradała zmysłów. Od tamtej pory kusiła każdego. Ilu tu na placu jest chorych? Tylko ich żony wiedzą.

Baby z zazdrości o urodę i konszachty diabelskie, chłopcy

z niemocy wtargnięcia w jej ciało co mieli zrobić? Spalić, żeby nie  
nęciło. Każda kobieta, która jest obdarzona niezwykłą siłą witalną, ma  
mężczyzn i siebie. Ta, która cząstkę swego życia oddaje duchom  
mieszkającym w trawach, kwiatach, górach czy lasach, jest bogata  
wewnętrznie, stanowi tajemnicę, której nie posiadają inne. Bo właśnie  
owa inność pozwala na szersze spojrzenie w głąb siebie. Święta?  
Obrządki? Boże Narodzenie jest uroczystością dawnych duchów  
Północy. Kiedy je ujrzy, przestaje być samotna. Marzy, żeby je  
zobaczyć, udomowić. Szeleszczącym głosem przemawiają do niej  
codziennie, a ona karmi je najśłodszym mlekiem, nie mówiąc o tym  
nikomu, bo i po co? Odkrywa siebie. Czasami mają dłuższe uszy niż  
przeciętni ludzie, bo starają się pochwycić więcej dźwięków.

Gdy tłum skanduje imię kobiety, dostojnie podchodzi do niej  
szcuple mężczyzna w długiej szacie. Dłonią znaczy krzyż przed jej  
obliczem. Szepcze coś do ucha i zbliżywszy się do niej, dotyka lewą ręką  
ust, wydatnych jak dorodne maliny. Tłum szaleje, kiedy przywiązana do  
drewnianego pala kobieta próbuje się uwolnić, jednak po chwili  
przestaje. Tępym wzrokiem ogarnia to świńskie zbiorowisko i spogląda  
ponad nim. Milczy. Polana zaczynają świszczeć pod brudnymi stopami  
i tłą się powoli, gdy ze wschodu nadciąga silny wiatr i jednym  
podmuchem dopomaga żywiołom powietrza i ognia. W jednej sekundzie  
motłoch milknie, niektórzy opuszczają plac, nie mogąc znieść zapachu  
palonych włosów i skóry. Przestają być pazerni i waleczni, mężczyzna

obok mnie ociera oczy. Płacze ze smutku czy z powodu nieznośnego dymu? Nie wiem.

Tyle się zmieniło od tamtych wieków, jednak ludzkie uczucia pozostały takie same. Zazdrość i nienawiść. W ciemnym dymie przestaję dostrzegać zmęczone twarze. Spaliny kotłują się na tle ciemniejącego nieba. Ktoś krzyczy:

– Boże, ratuj! Jaki ciemny dym, ludzie, uciekajcie, wyłazi z niej szatan!

Tylko ksiądz się nie boi. Zostaje do końca i zamiast dziewczynę wodą – kropi uciekający tłum opium mas.

– Czemu odeszła taka spokojna? Przecież to musi być niezmierny ból, kiedy palą cię żywcem na stosie... – pytam.

– A kto powiedział, że żywcem? Ten ksiądz jej przecież coś dał. Nie widziałaś, że ręką dotknął jej ust?

Zdziwiona wyostrzam zmysły, gdyż dochodzi do mnie znajoma melodia. Pobrzękiwania klawiszy. Muzyka koi i daje dużo do myślenia, jak ciepła fala otula dym z nut:



*Spójrzcie, jak wciąż sprawna,*

*Jak dobrze się trzyma*

*W naszym stuleciu nienawiść.*

*Jak lekko bierze wysokie przeszkody.*

*Jakie to łatwe dla niej – skoczyć, dopaść.*

*Nie jest jak inne uczucia.*

*Starsza i młodsza od nich równocześnie.*

*Sama rodzi przyczyny, które ją budzą do życia.*

*Jeśli zasypia, to nigdy snem wiecznym.*

*Religia nie religia – byle przyklęknąć na starcie.*

*Ojczyzna nie ojczyzna – byle się zerwać do biegu.*

*Niezła i sprawiedliwość na początek.*

*Potem już pędzi sama.*

*Nienawiść. Nienawiść.*

*Twarz jej wykrzywia grymas ekstazy miłosnej.*

*Ach, te inne uczucia – cherlawe i ślamazarne.*

*Od kiedy to braterstwo może liczyć na tłumy?*

*Współczucie czy kiedykolwiek pierwsze dobiło do mety?*

*Porywa tylko ona, która swoje wie.*

*(...) Zdolna, pojętna, bardzo pracowita.*

*Czy trzeba mówić, ile ułożyła pieśni.*

*Ile stronic historii ponumerowała.*

*Ile dywanów z ludzi porozpościerała*

*na ilu placach, stadionach.*

*Nie okłamujmy się:*

*Potrafi tworzyć piękno.*

*Wspaniałe są jej łuny czarną nocą.*

*Świetne kłęby wybuchów o różanym świetle.*

*Trudno odmówić patosu ruinom*

*I rubasznego humoru*

*Krzepko sterczącej nad nimi kolumnie.*

*Jest mistrzynią kontrastu*

*Między łoskotem a ciszą,*

*Między czerwoną krwią a białym śniegiem.*

*A nade wszystko nigdy jej nie nudzi*

*Motyw schludnego oprawcy*

*Nad splugawioną ofiarą.*

*Do nowych zadań w każdej chwili gotowa.*

*Jeśli musi poczekać, poczeka.*

*Mówią, że ślepa. Ślepa?*

*Ma bystre oczy snajpera*

*I śmiało patrzy w przyszłość*

*– ona jedna\*\*\*\*\*.*

Otumaniona wstaję z podłogi. Wokoło widzę porozrzucane karty, ubrania i małą walizkę. O Boże, już jutro wyjeżdżam, myślę. Zbierając tarota, czuję zapach dymu. Szybko wyglądam przez okno. To tylko Joachim pali stare liście. Przysiadam na łóżku i płaczę nad sobą i swoim życiem. Czym skończy się nadchodzący dzień? Po co to robię? Dla kogo? To ma być dowodem zemsty, nienawiści, utraconej miłości? Zagłuszam ból, ale zło wciąga mnie coraz mocniej. Chcę się ukryć, ale nie mam gdzie.

Władek jest słowem, które coś znaczy, przy nim czuję się jak na haju. Zapytasz, co brałam... Kreskę fantazji, to jest silniejsze od doczesnej powłoki. Kiedyś mój mąż nie był dla mnie ciężarem, jedyną sensualną wazkość czułam, będąc pod nim, w namiętym splocie rąk

i nóg. Co się z nami stało? Czy da się odbudować utraconą namiętność?

Mam wybór, ale chciałabym, żeby ktoś podjął decyzję za mnie.

Wierność Joachima jest prowokacją czy prawdziwym oddaniem? Nie

chcę być winna! Kto jak kto, ale nie ja! Życie wystawia mnie na próbę,

więc sam Bóg mi nie ufa, a może właśnie chce mnie przybliżyć do

tajemnicy małżeństwa? Czy można mówić o spojrzeniu skierowanym

w stronę innego mężczyzny nie jako o obłudzie, ale jako o szukaniu

prawdy w człowieku? Czy to tylko psychologiczna gra pozorów?

Zasłaniam się własną filozofią bytu, a tak naprawdę jestem zimną

dwulicową suką. Jak pisał ksiądz Tischner, „oto filozofia tego dramatu,

jak pomóc człowiekowi i światu”. To jak? Nijak. Tu nawet wilczyca nie

pomoże. Samo pragnienie obcego doświadczenia jest bardziej

poznawcze niż osiągnięcie tego celu. Droga, którą przemierzam, pytając,

czego tak naprawdę chcę od świata, jest kamieniem milowym. Punktem

końcowym,

który

podsumowuje

etapy

egzystencji,

a zarazem

rozpoczyna nowy bieg. Jest światłem wydobywającym się spod płachty

wiecznego nienasycenia. Próbą wykraczania poza granice rozumu,

uciszeniem głosu wołającego o zaspokojenie pragnienia.

Rozmawiam z Władkiem chwilę przez telefon. Na wstępie zaznaczam, że nie wiem, jak się zachowam w hotelowym pokoju. Albo rzucę się do ucieczki, albo na niego. Proszę o wyrozumiałość i uszanowanie każdej mojej decyzji. Skoro już powiedziałam A, to trzeba powiedzieć też B. Jestem głupią kozą, a tej raz śmierć. Mężowi mówię, że nocuję u Zośki, a przyjaciółce wyjawiam całą moją grzeszną tajemnicę. Na początku oświadcza, że robię to samo, co jej małżonek, z którym się rozwodzi, i się rozłącza. Szybko jednak oddzwania, szlochając, że ona swojej szansy nie wykorzystała, bo widziała tylko czubek nosa – nie swojego, lecz dzieci i męża.

Nie mogę tych niezłatwionych spraw dusić w sobie. Spada ze mnie mały ciężar, jednak ten większy rośnie w siłę. Teraz odpowiedzialność dzielę na dwoje, a raczej na troje. Przecież Zośka może wyjawić wszystko mojemu mężowi... Przyjaciółka jest jednak mężatką, więc zna ten ból i radość. Już rozumie, kiedy mąż dawał jej sygnały, że chciał rozmawiać, a ona nie przyjmowała tego do wiadomości. Wszystkim przecież to może się zdarzyć, tylko nie jej! Nie mnie... a jednak.

Gdy opuszczam dom, w powietrzu unosi się zapach rodziny i ciepłych pieleszy. Dziecięcy śmiech wypełnia każdy kąt, a poklejona podłoga trzeszcząc, łaskocze sękami małe stópki mojej córki. Kwiaty w donicach rozkwitają, wydzielając charakterystyczną woń pędów, które

już pousychały, i tych, co dopiero się narodziły. Aromat kaszy manny łączy się z zapachem mocnej białej kawy, delikatnie wibrując w nozdrzach. Koty łaszą się u nóg, a przerzedzone liście na drzewach w ogrodzie wyglądają jak zdjęte z szydełka. Zbliża się kolejna pora roku. Chmury nabierają wiatru w żagle, rozpędzone chłostą jesieni ciemnieją w oczach. Chłód wkrada się na pola, wyganiając ciepło letniego uroku. Z najbardziej zachwaszczonego kąta ogrodu znika wilczyca. Odeszła pewnie tam, gdzie była potrzebna, a może znowu usłyszała w sobie instynktowny zew wolności i pobiegła w nieznane?

Mąż kolejny raz gratuluje mi wygranego konkursu i przytula się mocno, jakby chciał uraczyć się jeszcze przez chwilę kobiecą energią. Patrzę mu w oczy i nie widzę w ich odbiciu siebie. Jeszcze nie wiem, kto chowa się pod sklepieniem powiek. Żegnamy się niezwykle czule, nie mogę oderwać ręki od mosiężnej klamki. Wsiadam do samochodu, ustawiam GPS i już jestem z siebie dumna. Pierwsza taka długa trasa przede mną. Do tej pory jeździłam tylko do Olsztyna, ale postanowiłam, że jak chcę być pisarką, to przecież muszę jeździć na spotkania autorskie.

Moje marzenia wybiegają daleko w przód. Śmieję się do swoich przyspieszonych myśli, karcąc te niepotrzebne – chciałam, aby ktoś zstąpił z nieba i wrzucił mój samochód do rowu, żebym nie dojechała do celu. „A ja jestem, proszę pana, na zakręcie, moje prawo to jest pańskie

lewo, pan widzi krzesło, ławkę, stół, a ja rozdarte drzewo. Bo ja jestem, proszę pana, na zakręcie, ode mnie widać niebo przekrzywione ...” – słucham Jandy i marzę, żeby siedziała obok, żeby spojrzała na mnie i powiedziała coś mądrego na temat mojego wyboru. Tylne miejsca mogłyby zająć Agnieszka Osiecka – zresztą jej oczy widzę w lusterku – i Magda Umer. Krzyczę do nich: „Dziewczyny, ratujcieee!”, z akcentem na ostatnią sylabę, ale milczą. Melodia nie koi tej dziwnej, dwumiesięcznej dolegliwości. Jestem sama, tylko Władek co chwila dzwoni. Kocham go jak piękne spróchniałe drzewo w parku. Mogę się do niego przywiązać na znak protestu.

Mijam zagajniki małych domostw i nagle zauważam, że jazda autem przestaje sprawiać mi trudność. Do tej pory, gdy wyjeżdżałam poza granice Szczytna, odczuwałam niesamowite spięcie w rękach, szyi i ramionach. Przed wyjazdem dokładnie przestudiowałam ABC kierowcy, przypominałam sobie znaki, skrzyżowania. Poprosiłam męża, żeby pokazał mi, gdzie są światła postojowe, bo dotąd, aż wstyd się przyznać, nie wiedziałam, nawet chciałam zajrzeć pod maskę. Pękł strach przed nieznanym, a jego miejsce zapełniała wolność. Przecież mogę wziąć Marysię i pojechać w odwiedziny do koleżanek ze studiów, do dalekiej rodziny.

To wszystko, co nas ogranicza, jest tylko i wyłącznie w naszych głowach! A co się dzieje z kobietami, które nie potrafią odnaleźć w sobie

odrobiny szaleństwa i wolności? Uzależniają się od partnerów i wydreptują kilometry na własnych nogach. Latem można jeszcze wziąć rower, ale zimą? Niektóre nie mają takich potrzeb, i chwała im za to. Nie buntują się, nie oczekują zmian na lepsze, są wspaniałymi gospodyniami i matkami, ale są wśród nas takie, które tylko marzą, żeby wyrwać się z domu. Kiedyś trzeba było posługiwać się mapą, a dla kogoś, kto jak ja nie ma orientacji w terenie, to katorga. Teraz jest miły pan, który mówi, gdzie skręcić, na jaki pas zjechać, i przy tym nie opieprza za niewciśnięte sprzęgło albo źle zmieniony bieg. Całą drogę myślę o wszystkim i o niczym, byle zabić głos sumienia. Mam przed sobą niewypielone grządki, uśmiechniętą młodzież, zaciśnięte usta pani dyrektor. Wracam do rzeczywistości, dopiero gdy wjeżdżam do Warszawy. Tu już muszę postawić w stanie gotowości każdy receptor.

Wydawnictwo znajduje się w samym centrum miasta. Chyba nigdy się tak nie spociłam, szukając miejsca do zaparkowania, w końcu mówię: basta! Chcę, żeby było taniej, ale czy zdrowiej? Wjeżdżam pod Pałac Kultury i Nauki i oddycham z ulgą. Raz mogę zapłacić za postój, najważniejsze, że samochód jest cały i ja też. Idę pod wskazany adres i moim oczom ukazuje się wspaniała, wysoka kamienica. To przedwojenne budownictwo nastraja mnie melancholijnie. Ile zła i dobra musiały widzieć te mury? Pięciopiętrowy budynek ma kształt koła, przez ogromną bramę wchodzę na asfaltowy dziedziniec, a tam jakby czas się zatrzymał. Już nie słychać hałasu dobiegającego z Alej Jerozolimskich.



Z drżącym sercem i mokrymi dłońmi wspinam się po murowanych schodach na trzecie piętro. Moje serce puka do drzwi.

Otwiera kobieta o ciemnych, prostych włosach. Przedstawiam się i od razu z wielką gościnnością zostaję zaproszona do środka. Cały dziesięcioosobowy zespół redakcyjny wita mnie i komplementuje mój wygrany tekst. Zanim przechodzimy do omawiania konkretów, jemy obiad i przepyszne tiramisu. Otrzymuję od nich dyplom oraz przepięknie zapakowany, niewielki prezent. Czuję się jak królowa, kiedy obcy ludzie głaszczą moje ego i patrzą z podziwem, przyklaskując temu, co mówię. Trema znika. Gdy wchodzimy do gabinetu, Helena, właścicielka wydawnictwa, prosi, żebyśmy mówiły sobie po imieniu. Oddaję jej pierwszy, piętnastostronicowy rozdział. Omawiamy scenariusz książki. Dostaję umowę, w której czytam, że pierwszą gażę otrzymam pół roku po premierze książki. Zgadzam się na wszystko, ponieważ nie mam nikogo, kogo mogłabym się poradzić. Instynktownie czuję, że los mi sprzyja. Nie opowiadam redaktorce o swoich zawodowych problemach.

Helena zaprasza mnie do niewielkiej kawiarenki znajdującej się na parterze budynku. Gdy wchodzę do pomieszczenia, zastygam z zachwytu. Wszędzie na ścianach są porozwieszane ręcznie robione piernikowe dekoracje przedstawiające

aniołki,

baranki,

kotki,

samochody, nawet znalazły się tu skrzypce i motor. Zapach cynamonu

i goździków otumania moją percepcję. Właścicielka Tebe, bo tak

nazywa się to miejsce, ma istny dar w dłoniach. Suszy w książkach liście

oraz

przeróżne

kwiaty,

a potem

tworzy

lampiony

i kartki

okolicznościowe. Dla takich uczt duchowych jak ta powinno się

wydawać oddzielne przewodniki turystyczne. Tutaj też lepiej poznaję

Helenę i kątem oka dostrzegam jej różową aurę. Jest przychylnie

nastawiona do ludzi i świata. Chcę wierzyć, że mi pomoże. Powoli

dopada mnie zmęczenie, dochodzi już prawie siedemnasta, a my cały

czas rozmawiamy. To się nazywa babska chemia, silniejsza niż domy

z pierników.

Nagle rozbrzmiewa dzwonek telefonu:

– Hej! Co tak trudno się z tobą skontaktować? Ostatni raz

rozmawialiśmy, jak wjeżdżałaś do Warszawy – mówi męskim i stanowczym głosem Władek. A ja odchodzę na bok, żeby Helena nie słyszała. Krępuje mnie ta sytuacja.

– Wiem, przepraszam, ale miałam masę spraw do załatwienia z wydawcą. Boże, mam ci tyle do opowiedzenia...

Przerywa mi w połowie zdania:

– Mam szkolenie do osiemnastej, zarezerwowałem dla nas hotel na twoje nazwisko, jest niedaleko, to Marriott. Wszystko opłacone, więc o to się nie martw. Jak wyjdiesz z kamienicy, będziesz go miała po lewej stronie. Możesz tam dojść albo podjechać. Lepiej podjedź, dla gości jest garaż. Jaśka, żyjesz? Bo ja mówię i mówię, a ty nic.

– Władek, ja jestem w takim szoku, że jeszcze to wszystko do mnie nie dociera. Przed chwilą zegnałam się z mężem, a teraz witam się z tobą. Totalna paranoja.

– Słuchaj, nie nalegam. Lgnę do ciebie i twojego ciała jak wygłodniały pies. Od pewnego czasu zaspokajasz mój głód duchowy, więc wybaczone określenie. Ja tam na pewno będę na ciebie czekał, nawet jeżeli nie przyjdiesz. Nie pałętaj się niepotrzebnie po Warszawie... jedź na przykład do Zośki, ale teraz są godziny szczytu,

więc może ci to zająć nawet godzinę. Dolicz do tego kolejne pół na powrót. Mnie by się nie chciało, ale nie myśl sobie, że chcę cię od razu zwabić do łóżka, chociaż kłamię, mówiąc, że tak nie jest. – Śmiejemy się oboje. – Chcę się tobą opiekować, zasługujesz na to. Dobra, muszę kończyć. Mam nadzieję, że będziesz czekała. Całuję nielegalnie i doczekać się ciebie nie mogę!

Rozebrał mnie swoim głosem. Do tej pory miałam obiekcje, ale ta subtelna chryпка i stanowczość są jego dużymi atutami. Wracam do stolika podniecona, a na plecach wyrastają mi skrzydła. Kiedy Helena idzie do domu, informuję o planach wydawniczych Joachima. Celowo dzwonię pierwsza, żeby uspokoić matczyne serce. Nie chcę przekazywać mu tych wiadomości, wyskakując z łóżka. Jaka ze mnie pruderyjna dziwka, myślę. Wszystko idzie zgodnie z planem. Gdy podążam do samochodu, zauważam niewielki sklepik z bielizną. Uśmiecham się do odbicia w szybie. Wychodzę z lokalu z kremowymi koronkowymi fatałaszками i dopasowanymi do nich pończochami. Wiem, że je lubi.

Szofer odbiera kluczyki od auta, a ja szybkim krokiem zmierzam ku recepcji. Dobrze, że jeszcze go nie ma, mam czas na toaletę. Po takim dniu chłodna woda i ulubione kosmetyki są istnym rajem. Kiedy wychodzę spod prysznic, trzęsę się z zimna i ze strachu. Przecież nie widziałam się z nim od pierwszego i zarazem ostatniego razu... Czat i maile to co innego. Zachowuję się jak nastolatka bez rozumu. A jak

mnie zgwałci? W końcu siedzę tu w najseksowniejszej bieliźnie świata,  
nikt w gwałt nie uwierzy.

– Sama tu przyszłaś i się rozebrałaś – wyje za uszami wilcza  
matka.

Czuję przeciąg i wilgoć. Już nawet nie zauważam luksusu, w jakim  
pławi się hotel. Szybkim ruchem wkładam sukienkę w kolorze khaki,  
idealnie dopasowana podkreśla talię, a wystająca bielizna uwydatnia  
opaleniznę. Jeszcze tylko odrobina ulubionych perfum i cała sceneria  
przypomina jedno z moich pierwszych opowiadań. Jak człowiek potrafi  
przewidzieć pewne sytuacje... najczęściej są to marzenia. Gdy się dąży  
do ich spełnienia, nic nie stanie na przeszkodzie. Chodzę z kąta w kąt,  
odmierzając minuty do spełnienia.

Dzwoni, że już idzie. Serce staje w przełyku. Sterczę przy oknie,  
nie wiedząc, na czym skupić wzrok, podziwiam panoramę Warszawy.  
Jest piękna, nowoczesna, ale smutna, przyćmiona pędem czasu. Nie  
słyszę kroków Władka, pokoje są bardzo dobrze wygłuszone. Dobiega  
mnie jedynie dźwięk magnetycznej karty przykładanej do drzwi i ślizg  
przekręcanej gałki. Stajemy naprzeciw siebie z głupimi uśmiechami, nie  
mogąc za parawanem warg ukryć bieli zębów. Jest elegancki,  
z nienagannym zarostem. Idealny, by zarzucać przynęty i zdobywać. Ja  
jestem jedną z nich. Nie chcę wiedzieć, czy wszystko, co mówił mi przez

ten cały czas, było prawdą, w tym momencie nic się nie liczy, tylko on i jego męskość. Moja kobiecość zaczyna się od palców u stóp, a kończy na czubku nosa; jestem piekielnym ognikiem.

– Cześć! – Rzucam mu się na szyję. – Jak ja za tobą tęskniłam!

– No, hej! W końcu się spotkaliśmy! A już myślałem, że się nie pojawisz. – Oboje nie mamy ochoty na komplementy, tylko na konkrety.

– Co powiedziałaś żonie?

– No jak to co? Że mam szkolenie w Bydgoszczy o ósmej rano i od razu po pracy tam jadę.

– Ale masz robotę, no niech cię, Władek! W każdym mieście po jakiejś panience?

Śmieje się ze mnie, wyciągając wino ze skórzanego plecaka.

– Tak. Na chwilę obecną w Warszawie mam dwie. Jedna na poczekaniu w domu, druga tu.

– Ale świńsko to ująłeś – stwierdzam lekko zażenowana.

– Oj, przestań, Jaśka, wiesz przecież, że gdybym nic do ciebie nie czuł, nie ryzykowałbym utraty rodziny. Bo jak się ktoś dowie, to tak może się skończyć.

– Władek, mnie nie musisz tego tłumaczyć.

Stoję wpatrzona w niego, a po plecach chodzą mi mrówki. Ręce odbierające kieliszek z krwistą cieczą nie mogłyby utrzymać skalpela.

Wypijam wszystko naraz.

– Dolej – mówię. Pragnę jak najszybciej zagłuszyć rozum i poddać się nadchodzącemu doznaniu, które skumulowane od tylu dni chce wybuchnąć. Wypijam drugi kieliszek. – Jeszcze jeden – proszę, a Władek śmieje się do rozpuku. Mojej duszy wcale nie jest do śmiechu.

Siadam w kącie na brzegu łóżka: – Władek, nie podchodź do mnie jeszcze, porozmawiajmy o dupie Maryny chociażby.

– Ha, ha, ha... Wolałbym o twojej dupie, ale jak wolisz, nie chcę cię do niczego zmuszać. Mnie wystarczy, że na ciebie popatrzę.

– Ale mi nie wystarczy... – Podciągam sukienkę, żeby zobaczyć biel pończoch na brązowej skórze. W jego oczach mieszka diabeł, wychyla się teraz, przebijając rogami skórę twarzy. Chcę na niego skoczyć jak wilk, by dopełnić trofeum, ale coś mnie hamuje i każe

siedzieć w tym kącie. Jeszcze nie teraz, spokojnie, mamy całą noc.

Wyciąga laptop i włącza muzykę. Rozmawiamy o dzieciach, ulubionych potrawach, o wszystkim, byle nie o tym, co się zaraz wydarzy. Kręcę stopami koła po dywanie; taka oznaka mocnego stresu. Fala gorąca w końcu napływa, miękkość dojrzałego głosu sprawia wrażenie atłasu otulającego biodra. Słyszę *Prosto w ogień* Kim Novak i Izabeli Skrybant. Ten kawałek wiąże mi wszystkie ścięgna i ścięgienka (takie mam też, bo to się drobniej wtedy odczuwa). W supełki, węzółki i inne sploty, które im dalej w nutę, tym bardziej się zaciskają.

Wychodzę do toalety, patrzę w lustro i chcę ją zobaczyć. Moją wilczą matkę. Pragnę, żeby się odezwała. Niestety, jestem sama. Podążając z powrotem do swojego kąta, niezgrabnie nadeptuję Władkowi na nogę. Zamiast przeprosić, chwytam wzrok penetrujący moją duszę. Siadam mu na kolanach i go całuję.

Dużymi i mocnymi dłońmi dotyka moich pleców i talii. Dość szybko przechodzi na biodra. Potem głaszcze wewnętrzną stronę ud. Momentalnie zdejmuje moje pończochy. Jednym ruchem rzuca mnie na łóżko, już jestem pod nim. Rozbieramy się z szybkością błyskawic rozcinających spokój natury. Wplata dłonie w moje rozpuszczone włosy i co chwila pociąga je, zadając rozkoszny ból. Wgryza się w moją szyję, dotyka ręką nabrzmiąłych i twardych piersi. Zaciskam coraz mocniej pięści na jego przedramionach. W końcu dobieram się do spodni.



Rozpinając pasek, marzę, żeby poczuć jego męskość. Chcę delektować się widokiem jego ciała, ale jest zbyt ciemno. Opuszkami palców przemierzam szlaki rozkosznego ucieleśnienia Apolla mojego wieku. Nie mogę już dłużej wytrzymać, jestem gotowa, ale on przeciąga ten moment w nieskończoność. Podnoszę biodra wyżej, żebyśmy oboje mogli dać upust zjednoczeniu ciał. Ale coś jest nie tak. On nadal mnie całuje, oplata ciałem, szepcze nieznośne świństwka. Wypinam się rozkosznie, przesuwam rękę w stronę jego męskości i... pierwszy raz w życiu nie wiem, co mam robić dalej.

Moje oczy, do tej pory zamknięte jego pocałunkami, otwierają się, podziwiając nad nami przepyszne, zgaszone lampy. Całuję go nadal, ale już bez wcześniejszego entuzjazmu. O takich historiach nie czytałam nawet w książkach, mogę mu pomóc, ale już nie chcę. Pewien repertuar słodkich póz mam zarezerwowany tylko dla męża, który nigdy pod tym względem nie zawiódł. Wręcz przeciwnie, im dłuższe oczekiwanie, tym bardziej satysfakcjonujące zadowolenie. Z gestów Władek odczytuje, że nie jestem już elastyczną kocicą. Delikatnie masuje moje plecy, całuje dłonie, leżąc obok, w końcu wydusza z siebie:

– Zestresowałem się, przepraszam.

Nie odpowiadam, bo nie wiem, jak mam tę informację zrozumieć.

Przerażająca cisza oddziela nas w ogromnym łóżu. I co mam

powiedzieć? Nie martw się? Spróbujemy jeszcze raz? Jestem  
zniesmaczona, zawiedziona. Jestem nietoperzem, któremu kazano  
wylecieć na żer w samo południe. Nie mogę latać, bo nic nie widzę,  
oślepia mnie słońce. Moje słońce gaśnie w jednej minucie. Nie chcę go  
pocieszać. Ale o czym ja mówię? Pocieszać trzydziestoletniego faceta,  
który miał przed sobą wulkan seksu?! No, kuźwa! Jak takie numery  
wywija żonie, to ja się wcale nie dziwię, że ona nie chce z nim sypiać!  
Pragnę stąd uciec, ale jak? Przecież nie zostawię go, ot tak, i nie  
powiem: „Słuchaj, stary, nic się nie stało, innym razem się zobaczymy.  
To na razie”. A właśnie tak mam ochotę zrobić. Boże, ratuj! Ja chcę do  
domu! Co mam robić, co powiedzieć?

Widzę, jak całe zaświaty, w tym Bóg, latające amorki, duchy,  
a przede wszystkim święty Piotr popijając piwko przy swej bramie,  
oglądają najzabawniejszą ziemską komedię tego roku. Tarzają się ze  
śmiechu wśród chmur, mówiąc: „Proszę bardzo, kochanka jej się  
zachciało, ha, ha, ha!”. Zostałam wystrychnięta na dudka. A może  
rzeczywiście on jest przepracowany? Nie mogę oczekiwać od niego  
jurności osiemnastolatka. Kobiety rozkwitają seksualnie około  
trzydziestki, mężczyźni niestety po dwudziestce. Nie patrząc na niego,  
rzucam:

– Spokojnie, nic się nie stało, wszystko rozumiem, zdarza się.

Na co Bóg wyimaginowanego seksu odpowiada:

– Wiesz, jakbyś się bardziej postarała, to może byśmy zakończyli ten wieczór przyzwoicie.

Chyba się przesłyszałam. To ja się peelinguję od trzech tygodni, żeby mieć skórę niemowlęcia, depiluję, biegam, skaczę, rozciągam się, żeby wyzwolić witalność i krzepkość, latam po kosmetyczkach, oczyszczając cerę, kupuję najdroższą bieliznę, jestem bombą seksu, a ona ma do mnie pretensje?! Mogę zrozumieć wszystko, ale nie to. Podczas dwunastu lat pożycia małżeńskiego nie usłyszałam takich słów z ust Joachima. Jestem zła na Władka, a przede wszystkim na siebie. Leżymy ciało przy ciele jak dwa nieruchome bizantyjskie posągi. Nagle słyszę wibrację swojego telefonu. Boże, jak dobrze, że wysłuchałeś moich próśb! Pospiesznie wstaję, narzucam sukienkę. Ten dźwięk rozgania kłęby nieznośnego milczenia.

– Boże, Jaśmina, nie uwierzysz, co się stało! Ale możesz gadać teraz? Cholera, późno już. Proszę, możesz? – krzyczy zrozpaczona Lena.

– No mów, mów.

– Mój kot! Boże! On chyba wpadł pod samochód! Wchodzę do pracowni dwie godziny temu, a tam wszędzie krew. Na początku

myślałam, że rozlałam farbę, ale kolor był dziwny. A tu zza kominka  
wyłania się postać w niczym niepodobna do zwierzęcia. Z tyłka zwisała  
mu skóra, prawa łapa złamana, głowa jakby zmiażdżona i bez oka!  
Rozumiesz? Myślałam, że zwymiotuję, ale wsadziłam go do kartonu  
i takiego piszczącego z bólu zawiozłam do weterynarza.

– No to dobrze zrobiłaś...

– Nie przerywaj mi! Słuchaj, myślałam, że go od razu uśpi, ale  
lekarz powiedział, że jest do odratowania, tylko trzeba się nim zająć  
przez najbliższy miesiąc, a ja na plener wyjeżdżam! Rozumiesz moje  
rozdarcie? Muszę tam jechać, to moja życiowa szansa, przecież tam  
jeżdżą najwybitniejsi artyści i profesorowie, ale przecież kota nie mogę  
zostawić!

– O nie, ja go do siebie nie wezmę, mam dziecko...

– Nie przerywaj, mówiłam przecież! Słuchaj dalej, bo najlepsze  
dopiero będzie. I tak stoję zapłakana, i nie wiem, co mam zrobić.

Z wrażenia wyciągnęłam od weterynarza papierosa i poszłam zapalić.  
Stoję i ryczę, aż tu nagle zjawiają się przy mnie jacyś państwo. Kobieta  
i mężczyzna. Mówią, że zdechł im kot i mogą się zająć moim, ale mam  
pokryć koszty leczenia. Rozumiesz? Jak ja się ucieszyłam! Opatrzność  
chyba nade mną czuwa, kamień spadł mi z serca. Kot pojechał z nimi.

No, co ja miałam zrobić? No co?

– Lena, a ty im już dałaś te pieniądze na jego leczenie? – studzę jej radość.

– No tak, od razu!

– Ile?

– Pięćset złotych chcieli.

– No to na moje zdrowe oko masz już po kasie i po kocie. Lena, ja rozumiem, że jesteś łatwowierna, ale żeby aż tak? Przecież mieszkasz na wiosce, tam jest cała masa kotów. Kto o zdrowych zmysłach bierze o dwudziestej drugiej taką pokrakę do siebie? No kto? Podejrzewam, że kotek już dostał w łeb łopata, a jego nowi właściciele świętują pochówek. Możesz w najbliższym czasie do nich pojechać i to sprawdzić.

– Ale, ale... – Zaczyna gorzko płakać. – Ale... ja nawet nie wiem, gdzie oni mieszkają! Zapomniałam zapytać. – Szłocha tak głośno, że Władek aż się podnosi.

– No to jestem już stuprocentowo pewna, że dopełnił żywota. Lena,

uspokój się. To tylko kot. Widocznie taki jego los. Nad rozlanym mlekiem nie ma co płakać. Przecież nie będziesz ich teraz szukać...

– A właśnie, że będę! Pojadę do weterynarza, skoro tam byli, to musi mieć ich w kartotece, prawda? – I się rozłącza. Tyle ją słyszałam.

Odkładam torebkę. Spoglądam na kochanka i widzę, jak stoi przede mną obdarty ze skóry, jedynie w tłuszczu i mięśniach, bez lewego oka. Jest tylko mięsem, takim jak my wszyscy. Zbiorem żyłek i komórek przeznaczonym na ubój. Zapewne Władek teraz czuje się jak ten kot, poturbowany życiem.

Pakuję się. On nie protestuje. Chcę jak najszybciej być sama. Pyta, czy jeszcze się spotkamy. Mówię, że tak, ale wiem, że kłamię. Pomimo jego próśb nie zgadzam się, żeby mnie odprowadził.

Na ulicach jest pusto, mijam radiowóz. Skręcam w lewo i zatrzymuję się w bezpiecznej odległości. Boże, co ja robię? Przecież piłam... Podchodzę do policjantów i proszę o alkomat. O dziwo, przyrząd niczego nie wskazuje. Trzęsę się jak galareta. Badawczo dopytują, czy nic mi się nie stało, chcą mnie nawet podwieźć. Dziękuję, odchodzę i wsiadam do samochodu. Marzę o swoim domu. Jak można się tak pomylić? – myślę cały czas. Mydlił oczy czy ja naprawdę go kochałam? A co to jest miłość? Czy to właśnie te dwa miesiące

uniesienia? Czy może trzydzieści lat wspólnego życia? Jak to rozgraniczyć, jak rozpoznać? Jak łatwo się pogubić. A gdyby wszystko poszło po naszej myśli? Pewnie szukając kolejnych okazji i hotelików, nasralibyśmy we własne gniazda... To wszystko było przemyślane, ale przez kogo? Dzwoni Władek. Nie odbieram.

Ja, wredna suka w stosunku do męża i niedoszłego kochanka, jedynie dla siebie jestem lojalna. Jestem duchem pędzącym na oślep przez ciemne lasy, a w każdym z nich kryją się jeszcze nieodkryte drogi i ścieżki. Liście spadają, ale na ich miejsce wyrosną nowe. Przenikam budynki i maszyny. Opada ze mnie brud noszony do tej pory, dzika dusza się uwolniła, lekko faluje w jesiennym zamgleniu. Najważniejszą sprawą jest świętość życia, ale nie ta, którą głoszą nadęci mędracy, ale ta, którą nosimy w sobie cały czas. Tam znajduje się jedyna prawda posklejana z drobiazgu chwil. To jest sacrum jedyne i niepowtarzalne. Oddając się poszumom serca, nawet jeżeli zbłądzę, odnajdę drogę do sedna. To jest jak sęk tkwiący w wiekowym drewnie, tworzący się z części gałęzi, które się nie przystosowały do całkowitego scalenia z drzewem, więc wrosły w pień. Jak doświadczenia ludzkie. Niektóre sęki bardziej krwawią, wydzielając żywicę, inne już całkiem zarosły. Jednak zawsze pozostają gdzieś „w środku”. Nie można się ich pozbyć, trzeba nauczyć się z nimi żyć. Dobrze żyć, bez poirytowania i pretensji.

W tym momencie nie mam ciała, za kierownicą siedzi mazurska

poświęta, naelektryzowana neonami Warszawy. Pędzę na oślep,  
podążając za zapachem skóry swojego dziecka i mazurskiej ziemi, która  
co jakiś czas bywa zroszona łzami. Poorana moimi stopami.

Parkuję przed bramą, nie chcę nikogo budzić. Czuję świeże

powietrze

napływające

od

jeziora.

Delikatny

szum

fal

jak

najwyborniejsza melodia tuli do snu. Zapach przypraw rosnących

w kuchennych donicach i strzegąca mojej osobowości drewniana

Małgorzata od Leny zsyłają na mnie spokój. Idę od razu do męża.

Wtulam się w jego ramiona i konsumujemy tę noc tak, jak należy. Nie

wiem, czy kieruje mną potrzeba zaspokojenia chuci, czy też

sprawdzenia, czy mąż jest w stanie mnie zadowolić. Może po prostu

chodzi o małżeńską bliskość. Spełnienie przychodzi, a razem z nim

niebывała radość z rozdwojenia osobowości. Nie mogę zasnąć.

Zastanawiam się, dlaczego właśnie mnie przydarzają się takie dziwne

historie. Z braku logiki w moim wszechświecie postanawiam na dobiecie

po raz kolejny postawić tarota.



Od razu ich widzę na zarośniętej polanie. Kobieta i mężczyzna,  
rajski owoc spełnienia w labilnym uzupełnieniu. Kobieta stoi na  
zielonym  
dywanie  
traw  
porośniętym  
białymi  
kwiatkami  
przypominającymi dzwoneczki. Jest na wzniesieniu, z którego widać  
niebieską połąć jeziora. Rozglądam się w panice, gdyż nigdzie nie  
dostrzegam wiernej kompanki wilczycy, nie czuję również jej zapachu.  
Kurczowo odgarniam trawy, myśląc, że znajdę ślady, jednak  
bezsukutecznie. Nie byłoby w tej sytuacji nic nadzwyczajnego, gdyby  
obserwowana, nie wyciągnęła z głębin ciemnego swetra pistoletu.  
Dziwię się, gdyż do tej pory w moich tajemniczych urojeniach nie  
występowała przemoc. Tym bardziej wyostrzam zmysły i zastygam  
w bezruchu. Mężczyzna stoi, ale ona nie zwraca na niego uwagi. Tu  
chodzi tylko i wyłącznie o nią.

W każdym z nas znajdują się dwa pierwiastki: męski i żeński.  
Wiedząc o tym, kobieta pielęgnuje ten pierwszy dla zachowania  
równowagi. Pomimo broni w ręce na jej twarzy rysuje się radość  
i wyższość nad innymi ludźmi. Bezceremonialnie patrzy w jeden punkt.

Gdy odgarnia włosy, widzę jasną długą szyję i lekko wydłużone uszy. Policzki i zuchwę pokrywa delikatny biały meszek, podobny do tego, który zdobi brzoskwinie. Dzikie spojrzenie tkwi gdzieś poza tym, co dane jest mi dostrzec. Zaczyna mrużyć oczy w skupieniu, przygotowując się na coś. Gdy pomiędzy brwiami pojawiają się trzy zmarszczki, odnotowuję stan gotowości bliski zwierzęcemu. Przypomina kogoś, a raczej jest tym kimś. Kiedy w grymasie skurczu wystawia język, wiem, że to już nie jest zwykła dziewczyna – to moja wilczyca przybrała zmysłową i niebezpieczną postać kobiety.

Ma piękne ciało, jak każda z nas, intelekt równy najwyższemu geniuszowi i dzikość potrzebną, by żyć. W dużym pierścieniu na palcu zauważam dobro i zło, symbol nieustannej walki o duszę. Zło daje siłę i ją zabiera, ale musi być obecne. Scena, którą widzę, nie jest jednolita. Pomimo kolorów dominują szarość, czerń i biel. W tym świecie nic nie jest tylko białe albo tylko czarne. Mieszają się ze sobą słowa, zapachy, emocje, ludzie. Ona wybrała aureę szarości z przewagą białego dymu, na znak harmonijnego oddania. Jest ani dobra, ani zła, ale na pewno nie byle jaka, bo swoja własna.

Spoglądam w ciemniejący las, gdzie skierowała nabitą broń, gdy ku mojemu zdziwieniu ziemia zaczyna się poruszać, tworząc kopiec, z którego wyłania się najpierw czerwona czapka, a potem twarz staro wyglądającego, lecz młodego karła. Mały skrzat śmieje się do rozpuku,

podążając ku kobiecie wilczycy, ale niosące go czerwone buciki grzęzną w ziemi. Białe źrenice ma utkwione w pięknej twarzy nieznajomej, ani razu nie mrugnął powieką. Jest niewzruszony, lubieżnie obrzydliwy. Nagle strzał!!! Ona robi to bez najmniejszego drżenia ręki. Wszędzie czuć proch. Dopiero gdy karzeł znika, dostrzegam wyłaniającą się z kłębow dymu kolejną postać, tym razem starej kobiety z chustą na głowie. Ledwo idzie, ale im jest bliżej, tym bardziej wyciąga ręce, a jej chód staje się zwawszy. Dłonie chcą chwycić przepoczwarzoną wilczycę. I nagle strzał! Kolejne smugi dymu. Mgła wydobywająca się z broni szczypie w oczy, aż zaczynają łzawić.

Wtem słyszę tętent końskich kopyt i moje serce przyspiesza jeszcze bardziej. Dopada mnie zapach spoconego męskiego ciała, nie fetoru osoby, która o sobie nie dba, ale jędrnej i zdrowej skóry. Zamykam oczy i doznaję znajomego skurczu w podbrzuszu. Nie chcę się budzić z tego snu. Zafascynowanie męskim wigorem przybiera na sile, a dym jak zjawa opada i znika. Odgłos uderzających o ziemię kopyt magnetyzuje cały las. Wyłania się on. Idzie ku kobiecie wilczycy. To nikt inny, tylko sam Diabeł o czerwonej poświacie umięśnionego ciała, ze wzrokiem pełnym pożądania, którym pochłania ją całą. Jego usta rozchylone w ponętym uśmiechu odsłaniają niewiarygodnie białe zęby. Wysunięte do przodu czoło i mocny czarny włos nadają mu bardzo męski wygląd. Istny gladiator sprawujący pieczę jedynie nad swym ciałem. Wilczyca truchleje w miękkości poszycia. Trzyma go na muszce. On dotyka jej

lewej ręki, która staje się bezwładna, i nagle strzał! Echo galopem odbija się od liści. Opada szara kurtyna. Z uśmiechem niewinnej kobiety, poczciwej matki ona idzie dalej, nie odwracając się. Prosto przed siebie.

\*\*\*\*\* W. Szymborska, *Nienawiść* [w:] tejże, *Koniec i początek*, Kraków 1996, s. 12.

Ten poranek zaczęłam od zadumania się nad pięknem świata. Mam wrażenie, że wszystko zaczynam od nowa. Jakby dokładniej, nie po łebkach, wypełniam swoje obowiązki. Rozmawiam z Władkiem na czacie, ale to już nie jest to samo. Ktoś mnie wyleczył, stosując alopatię – dawkę uderzeniową lekarstwa na absurd. Gdyby podano choremu łagodne, powoli działające środki, terapia mogłaby okazać się bezskuteczna. Ja jednak, bezwzględna samica, pożarłam podczas kopulacji psychikę partnera. Czy moje ogromne złoża empatii do ludzi i świata zostały wyczerpane? Miałam w zanadrzu schowaną dużą dawkę zrozumienia i czułości, a jednak nie udało się. Dlaczego w języku łacińskim dla odróżnienia miłości pełnej, bezgranicznej stosuje się nazwę *caritas*, a dla ukazania namiętności i zmysłów posługuje się

terminem

*amor?*

W małżeństwie

istnieją

oba

jednocześnie.

Usprawiedliwiam się, a może poszukuję myśli określających zgodność z rzeczywistością. Władek przestał do mnie pisać maile, zresztą po tej całej dziwnej sytuacji nie miał już chyba śmiałości.

Za dużo hałasu wokół mnie. Muszę się wyciszyć i poukładać życie w drewnianych szufladach, pamiętając o tym, żeby ich nie zamykać.

Wyłączam wszystkie urządzenia, które wydają jakikolwiek dźwięk.

Obecnie nasza indywidualność jest zagłuszana przez media i prasę, przez to zanika wiele wrodzonych cech osobowości. Jednostki są tłamszone jazgotem, nikomu niepotrzebnym rumorem dochodzącym z zewnątrz.

Ojciec Klimuszko powiedział kiedyś, że człowiek posiada trzy światy: swoje mieszkanie, wewnątrz własnej duszy i świat zewnętrzny. Żeby odczuwać jedność z kosmosem, musi być zachowany balans w każdej z tych sfer. Jak w zegarku, gdy któreś z kół zębatach zostaje uszkodzone, mechanizm przestaje działać. Wystarczy, że zepsuje się najmniejsza, ledwo widoczna gołym okiem część, a urządzenie staje i bez pomocy fachowca nie ruszy dalej.

Po tych wszystkich miłosnych zawirowaniach łaknę spokoju.

Organizm wysyła niepokojące sygnały: migreny, zawroty głowy, bóle stawów, żołądka. Nasze ciało to najmądrzejsza maszyna, bo wysyła nam znaki o problemach, które mogą się pojawić, zanim do nich dojdzie. Joachim zajmuje się Marysią, a ja siedzę przed domem zawinięta w koc i podziwiam ruchy powietrza. Nie pamiętam, kiedy ostatnio oddawałam się nicnierobieniu. Próbuję milczeniem zatrzymać czas, jednak on nadal ucieka. Łaskocze nozdrza i pędzi dalej. Nieruchomieję na godzinę. Ktoś patrzący z boku mógłby powiedzieć, że zwariowałam, ale ja potrzebuję wsłuchać się w muzykę ciszy. Postanawiam odstawić wszystkie środki przeciwbólowe, które piętrzą się w szafkach, i zacząć korzystać z dobrodziejstw natury. Moja babcia co jakiś czas leczyła się kaktusem, ponieważ podobno ta roślina ma niezwykłą moc. W naszych warunkach klimatycznych najlepszy do tego jest aloes. Ta cierpka nazwa została przyjęta przez ludzi, ale tak naprawdę roślina należy do rodziny liliowatych.

Parząc

kawę,

włączam

laptop

i widzę

trzydzieści

pięć

nieodebranych wiadomości od Władka. Kocha, całuje, przeprasza. Treść brzmi jak wyznania psychopaty. Widzę, że nie od razu odetnę się od tego cyberświata, ale zaczynam się bać, że Władek zamieni się w nawiedzającego mnie wielbiciela. Odpisuję grzecznie i po pańsku. Na koniec on stwierdza, że nie spocznie, póki mnie nie uwiedzie.

Zachowuje się jak nastoletni wariat, kusi słowami, ale to wszystko przypomina raczej rozpaczliwe zwątpienie. Przynajmniej tak uważam teraz. A co będzie dalej? Bóg raczy wiedzieć. Strach i stany depresyjne zazwyczaj powstają w naszych głowach. Ważne jest, żeby w takiej sytuacji wpaść na trop myśli, która potęguje niepokój, i pozwolić jej przeminąć jak burzowym chmurom. To, co istnieje jedynie w myślach, niekoniecznie musi zejść na ziemię. Rzeczywistość jest tak naprawdę zupełnie inna. Nie dajmy się złapać w sieć własnych skojarzeń, pozwólmy na samoistne rozproszenie albo zmieńmy miejsce pobytu. Ja wybieram to drugie rozwiązanie. Długi spacer wśród wirujących liści.

Nigdzie się nie spieszę, głaszczę stopami ziemię, a ona odpowiada mi szelestem kamyczków. Im wolniej stawiam kroki, tym wyraźniej dostrzegam szczegóły otaczające mnie od zawsze. Spadające szyszki, doły w ziemi, pnie ściętych drzew, śpiew ptaków przed sjestą. Świat lasu rządzi się swoimi prawami, ma siłę wyrywać dusze z niewoli. Każdy spacer przybliży mnie do odnalezienia swojego miejsca na ziemi, rozpoczyna wędrówkę mojego wnętrza.

Wchodzę na niewielką polanę. Promienie słońca nie są już zbyt ciepłe, ale widok żywej mazurskiej puszczy nadal ogrzewa mocno, przede wszystkim zwęglone fundamenty. Rozkładam niewielki kocyk i na nim siadam. Nie ma tu żywej duszy, najbliższe domostwa znajdują się w odległości kilometra. Patrzę w dal, kontemplując największy cud świata – naturę. Wyciągam karty. Najpierw je głaszczę i przykładam do twarzy. Czuję z tymi kartonikami jakąś więź, jakby nadprzyrodzoną moc – już przestałam się lękać ich siły. Specjalnie tu przyszłam, miałam nadzieję, że przyciągnę wilczycę.

Odsłaniam już piątą kartę i z wolna opanowuje mnie znowu stan głębokiego wtajemniczenia. Zanim położę szóstą, bacznie się rozglądam. Coraz mocniej wieje wiatr, ale jej nie ma. Wilczyca zniknęła. Oglądam ostatni symbol...

...Piach, pod gołymi stopami gorący piach. Wiatr sprawia, że maleńkie złote kamyczki pustyni obijają się o moją twarz, powodując ból. Przede mną wysokie i potężne granatowe góry. Kolor powietrza oscyluje wokół czerwieni i pomarańczy, jakby wydostało się z gorącego pieca. Położony niedaleko wysuszony kanion zaprasza do swych wrót. Idę przed siebie na oślep, zasłaniając ręką oczy i chroniąc się w ten sposób przed drobinkami ziemi wirującymi w powietrzu. Widzę białą postać przy wielkich głazach. Czeka na mnie. Zaczynam biec, byle szybciej, byle bliżej niej. Wtulam się w jej szorstką sierść, a ona



odwzajemnia radość, liżąc moją szyję.

– Chodź, musimy schować się za tym kamieniem. Tu może nas zobaczyć.

– Ale kto?

– Cierpliwości, wszystkiego od razu nie zobaczysz.

Ma rację, ku nam idzie stara kobieta z długim czarnym warkoczem i siwymi skroniami. Przez ramię ma przewieszony kolorowy, lecz brudny wór. Z ledwością, ale słyszę puste grzechotanie, jakby patyków albo drewnianych bransolet. Jest przyozdobiona najróżniejszą biżuterią. Świeci się ona na uszach, przegubach dłoni, nawet w zębach. Co jakiś czas wygrzebuje dół w ziemi. Wydaje się, że czegoś szuka. Prawi językiem zwierząt. Wyje, gdacze, popiskuje. Trudno ją zrozumieć, gdy mówi ludzkim głosem. Zaczyna skakać jak mała dziewczynka, chwytając w dłonie niewielką białą kosteczkę. Kładzie wór na środku wysuszonego placu i zbiera chrust, po czym rozpala ognisko, śpiewając niezrozumiałą dla nas pieśń. Ze środka zawiniątka kolejno wykłada kości. Grzebie w nich, jedne odrzuca, drugie dopasowuje, układając czyjś szkielet.

– Co ona robi? – odzywam się niepewnie.

– „Mówi się, że jest na pustyni takie miejsce, gdzie duchy kobiet i wilków spotykają się na przecięciu czasów”\*\*\*\*\*. Ona zbiera kości zwierząt, które umarły pomiędzy skałami. Przemierza stepy, góry, wody, wchodzi do jaskiń. Nie lęka się nocy ani dnia, żyje tym, co da jej natura, i właśnie dlatego jest szczęśliwa, bo kocha to, co robi. Nie każdy może być zbieraczem kości. To trzeba czuć, a potem poddać się losowi. Najcenniejsze są dla niej wilcze kości, gdyż to dzikie zwierzę ma największą moc uzdrawiania kobiet. A jak wiadomo, bez nas świat stałby się niczym. Byłby jednym wielkim polem bitwy. Przypatrz się jej dobrze, bo od spotkania z nią będziesz już innym człowiekiem.

Oczy starej kobiety płoną, gdy już leży przed nią misternie ułożony szkielecik z maleńkich kostek. Nagle wznosi ręce do góry, zamyka oczy i zaczyna obłąkańczy taniec. Wymawia jakieś głoski, sylaby. Wydobywa z trzewi dźwięki. Przeskakuje z nogi na nogę, a ogień, który rozpałała, strzela coraz wyżej i wyżej. Szamanka dusz uwalnia z każdego zakamarka pustynnej spiekoty uwięzione duchy. Jest wyczerpana, ale tańczy dalej, nieustannie intonując zawrodo. Nagle, ku mojemu zaskoczeniu, kości pokrywają się tkankami, mięśniami, skórą i sierścią. Na ziemi leży bliżej nieokreślony stwór, który z zadowoleniem macha puchatym ogonem przypominającym lisią kitę. Podnosi się ociężale, chwiejąc się na łapach. Szamanka nie przestaje śpiewać, wyciąga z kieszeni niewielkie pudełeczko i zaczyna posypywać głowę wilka

pyłem, który mieni się jak brokat. Teraz zwierzę stoi dumnie

i wyprostowane. Wygląda jak ogromny lis z niebotycznie długimi łapami. Ma wąski pysk, wydłużony ku przodowi, i czarne umaszczenie niczym węgiel północy. Kobieta pada na ziemię z wycieńczenia, a wilczyca biegnie przed siebie, ku wielkiej równinie. Wskrzesza ją pramatka życia.

– Wszyscy jesteśmy jak palimpsest. Dobrze wiesz, kto powiedział to zdanie – mówi moja wilczyca.

– Tak, mój ukochany mędrzec Michaił Bachtin.

– Jesteś swoim własnym rękopisem, który codziennie zostaje zapisany na uprzednio używanym materiale. Kodujesz receptorami rzeczywistość. Wnikają w ciebie słowa, zdarzenia, obrazy. Po jakimś czasie zapominasz i kodujesz następne. Jedno zapisane na drugim. W ten sposób tworzysz swoją tożsamość i osobowość. Człowiek w głównej mierze składa się z głosów ludzkich, które kształtują świat. Sam z siebie powstał tylko Bóg (w jakiegokolwiek widzisz go formie). Równocześnie prowadzone są przeróżne rozmowy, historie nakładają się na siebie jak śpiew w muzyce. Po jakimś czasie tworzą spójną całość – ciebie.

– No dobrze, wilczyco, to jestem w stanie zrozumieć, ale te wszystkie wtajemniczenia?

– Czy nie zauważyłaś, że od jakiegoś czasu żyjesz pełniej i spokojniej? Szerzej otwierasz oczy w zadumie nad światem, dostrzegasz szczegóły. Cieszysz się naturą, jesteś spokojniejsza.

– Tak, odkąd cię mam, właśnie tak jest.

– Nie przypisuj tych zasług mnie, tylko sobie. Gdybyś nie chciała za mną podążać, dalej tkwiłabyś w sfrustrowaniu i odrętwieniu.

Usłyszałaś głos, który tlił się w tobie od dziecka, tylko zapomniałaś o nim w pogoni za pozornym szczęściem. Człowiek, który nie ma jedności duszy, nigdy nie zazna spokoju. Nie zrealizuje się w życiu, bo cały czas będzie mu czegoś brakowało. Wtedy potrzebny jest kapłan,

odwieczny mag, pradziad albo szamanka. Ktoś, kto widzi coś więcej poza ziemią i budynkami. On pomoże ci poskładać zgubione kawałki duszy. Jeżeli poddasz się jego radom, odbędziesz wędrówkę do miejsc, w których zakopałaś brakujące ogniwa całkowitego spełnienia.

Nasza pierwsza podróż prowadziła do miejsca niewinności, w którym cały czas chciałaś być, a nie możesz, ponieważ jesteś już dorosłą kobietą. Tam ugrzęzła część jaźni, ta subtelna, niezatroskana, podobna do wigoru dzieciństwa. Tęsknota za nią nie pozwalała ci być w pełni matką i żoną, mocowałaś się z nią na przecięciu granicy z buntem, gdyż ten schowałaś w feministycznym widzeniu świata, które odbiega od zwykłego życia. Komornicka przez lata wskrzeszała bunt, który w sobie czuła. Upajałaś się jej listami, odwagą, hartem ducha i gdy

sama chciałaś wybuchnąć, coś kurczowo trzymało cię za gardło.

Niewinność i bunt można pogodzić, ale trzeba najpierw wiedzieć, że to właśnie te stany hamują rozwój. Należy je odkryć. Wyruszyć w podróż w poszukiwaniu słonecznej jaźni.

Czarownica odzwierciedlała twoją seksualność oraz intuicję. W tych wiedźmach ulokowałaś największe złoża namiętności, które powinny nieustannie w tobie być. Przyjmij ją

w sobie wraz z płonącym stosem, nie sprzątaj popiołów, czuj swąd, nie broń się przed nim.

Czarownice, mimo że wygnane, żyją w zgodzie z naturą. Wiesz o tym bardzo dobrze, jednak wiesz też, że to one ukradły część ciebie. Trzeba było po nią wrócić, zastanowić się, nie do końca zrozumieć, ale zobaczyć. Kiedy więc już mogłaś poradzić sobie sama, zastrzeżona wszystkie trzy

demony. Pod postacią kobiety wilczycy wzięłaś broń i pożegnałaś się z tym, czego się bałaś, co tłamsiło twój rozwój. Tylko ty wiesz, kim lub czym były twoje demony, po co wyciągały ku tobie ręce. Twoja wilczyca została poskładana jak te kości.

Pobiegła swoim szlakiem, więc nie pozwól, żeby ktoś zamazał trop do niej prowadzący.

Dusza nie chce wracać do brudnych ludzi. Oczyszczyłaś się, przemierzając trudną drogę. Nie pozwól odejść wilczycy.

– A Władek?

– Tego ci nie wytłumaczę. Dzięki mnie spojrzysz głębiej w siebie, ale na miłość? W tym ani czarownice, ani diabły, ani najszlachetniejsze zioła nie pomogą. Ten element musisz już odnaleźć sama. Na miłość nie ma rady, nie ma remedium. Są ludzie, którzy mają nas czegoś nauczyć, są też tacy, przez których musisz cierpieć. Miłość to wieczna niewiadoma. Wiem tylko, że bez niej nie ma po co żyć.

Otworzyłam oczy. Wiatr porozrzucił moje karty dookoła. Nie chciałam ich zbierać, nie chciałam się spieszyć. Patrzyłam w ciemniejące niebo i trwałam. Czułam, jak mrówki wchodzi na moje ręce, ale ich nie strzepywałam. Żdźbła trawy wbijały mi się w plecy i nogi, a ja nadal

leżałam na kocu niewzruszona. Czy poskładałam swoją duszę w całość?

Może o czymś zapomniałam? Pszczoły powoli odlatywały do swych uli, pospiesznie zbierając pyłki z jeszcze pozostałych kwiatów.

Niedługo zasną na całą zimę.

Magazynują dobra. Co będzie dalej ze mną? Nie wiem.